

ROMUALD KOPERSKI

POJEDYNEK Z SYBERIĄ

WYD. III

WSTĘP

Zimowe wieczory to najlepsza pora na odpoczynek. Padający za oknem śnieg i atmosfera domu pełnego ciepła i dźwięków sprawiają, że oddajemy się przeróżnym marzeniom - wiadomo, nie zawsze realnym. Rankiem przeważnie zapominamy o wszystkim, jesteśmy wypoczęci, a co za rym idzie - mózg nasz pracuje trzeźwiej. Kiedy jednak następnego dnia tkwimy w słuszności wieczornych urojeń, bądźmy pewni - jest to znak, że nad sprawą warto pomyśleć, nawet jeśli wszystko wydaje się kompletną bzdurą, po prostu w myśl zasady, że tylko to, co na pozór głupie i szalone, jest naprawdę cokolwiek warte...

Tak a nie inaczej powstał szalony pomysł przejażdżki samochodem z Europy do Nowego Jorku - ma się rozumieć drogą lądową.

Którędy?

Przez całą Syberię, Alaskę, Kanadę i prawie całe terytorium USA.

Wyczyn na pozór niemożliwy, ale dlaczego nierealny? Właśnie z tego powodu z uporem maniaka rozpocząłem przygotowania do podróży, które jak się później okazało, od początku skazane były na niedokończenie. Nikt nie mógł mi pomóc lub choćby posłużyć dobrą radą, ponieważ nikt tej trasy dotychczas nie przejechał. Nawet fachowcy z Moskwy zajmujący się turystyką niekonwencjonalną rozkładali ręce, gdyż niewiele mogli mi o Syberii powiedzieć.

Syberia, przez którą zaplanowałem podróż, to bezkres tajgi, bezdroży, to pół zamkniętego dotychczas świata.

Znajomi, którym zwierzyłem się ze swoich planów, pukali niedwuznacznie palcem w czoło, a przedstawiciele władz Rosji uznali sprawę za technicznie niewykonalną. Lecz na przekór wszystkim mój mocno rozwinięty instynkt wędrowania sprawił, że za wszelką cenę postanowiłem tę podróż odbyć.

Kontynuowałem przygotowania: szukałem map, zbierałem informacje od meteorologów, bez rezultatu pisałem listy do koncernów i różnych firm o poparcie mojej ekspedycji, ale nikt nie był zainteresowany udzieleniem mi jakiegokolwiek pomocy. Tylko profesorowie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu zachwyceni byli moim pomysłem. Ponieważ byli to znawcy meteorologii i geografii, fachowo wyjaśnili mi, co pod daną szerokością geograficzną może mnie spotkać. Prócz tych cennych dla mnie informacji wszyscy jak jeden mąż odmawiali mi udzielenia pomocy.

Nie powiodła się też próba znalezienia współtowarzysza podróży i w ogóle wszystko nie wychodziło. Kiedy do planowanej daty wyjazdu pozostało sześć tygodni, zrozumiałem, że nikt mi pojazdu na tę przejażdżkę nie zafunduje, poszedłem więc na złomowisko, gdzie

znalazłem porośniętego już trawą starego land - rovera. Wraz z zaprzyjaźnionym mechanikiem rozebraliśmy na części skazany na piec hutniczy samochód, po czym dokonując przeróżnych innowacji, złożyliśmy go na powrót do kupy. Nie robiąc sobie nic z niepowodzeń, które mnie od początku nękały, załatwiałem wizy oraz inne dokumenty podróży i czym bliżej było do wyjazdu, pewniejsze stawało się, że na żadnego sponsora liczyć nie mogę. Tak też się stało.

Na dwa dni przed planowanym terminem wyjazdu zabrałem się za malowanie samochodu, notabene niesprawdzonego jeszcze w terenie. Poinformowałem liczne media o swojej wyprawie, lecz nikogo to nie zainteresowało. Dwie godziny trwało przygotowanie niezbędnego skromnego wyposażenia.

W ten oto sposób 15 maja 1994 roku, wbrew opiniom wszystkich, wbrew radom znawców Rosji, wbrew przestrogom przedstawicieli ambasady rosyjskiej w Szwajcarii, wyruszyłem z Zurychu do Nowego Jorku. Byłem pełen optymizmu, posiadałem bowiem kompas oraz dostępną w każdym atlasie szkolnym mapę Rosji...

Nadszedł dzień, kiedy marzenia stały się rzeczywistością. 15 maja 1994 roku wyjeżdżam z Zurychu. Zegna mnie garstka znajomych, którzy pewni, że nie powrócę cały i zdrowy z tej szaleńczej wyprawy, pozują ze mną do ostatnich wspólnych fotografii. Aby skrócić ten żalobny nastrój, zapowiadam swój rychły powrót, po czym opuszczam smutne towarzystwo i zgodnie z wcześniej zaplanowaną trasą, udaję się w kierunku granicy, aby przez Niemcy dotrzeć do Polski.

Następnego dnia jestem już w rodzinnym Gdańsku. Dwa dni poświęcam na uzupełnienie skromnego wyposażenia. Wreszcie przygotowania uznaję za zamknięte, więc jeszcze kontrolnie dla zasady wjeżdżam na wagę. Okazuje się, że gotowy do drogi land - rover jest przeciążony - wazy ponad pięć ton, kiedy dopuszczalny jego ciężar nie powinien przekraczać tony!!! Na nic zdaje się próba odciążenia pojazdu - jestem pewien, że wszystko, co znajduje się w samochodzie, jest niezbędne do przetrwania w surowych warunkach Syberii.

W związku z tym, że ostatnimi czasy wszędzie straszono mnie mafią, która grasuje na drogach prowadzących z Europy Zachodniej do Moskwy, uznaję, że w celu zmniejszenia ryzyka najbezpieczniej będzie wjechać na teren Rosji od strony Finlandii. Z Gdańska do Helsinek kursował regularnie prom samochodowy, postanawiam więc następnego dnia nim wyruszyć w dalszą podróż.

Samochód swym dziwnym wyglądem przyciąga uwagę przechodniów: po obu stronach jest wymalowany wielkimi literami dający dużo do myślenia napis: „ZURICH -

SYBERIA - ALASKA - CANADA - NEW YORK". Znajdujący się na całej powierzchni dachu bagażnik z dodatkowymi kanistrami na paliwo oraz aluminiowymi skrzyniami już samym wyglądem mówi o wielkiej przygodzie... Z dumą widzę, że prawie na każdym przechodniu widok objuczonego samochodu wywiera wrażenie.

Po rutynowej krótkiej kontroli celnej wjeżdżam na przerdzewiałą, pokrytą białą farbą „Pomeranie”, prom pasażerski, który ma mnie przetransportować do Helsinek. Po zajęciu kabiny udaję się do restauracji na kolację. Dopiero teraz pierwszy raz “d miesiący czuję ulgę, uświadamiam sobie bowiem, że naprawdę jadę, że wbrew wszystkiemu i wszystkim doprowadziłem do rozpoczęcia wyprawy. Szczęśliwy siedzę w restauracji i jeszcze nie dociera do mnie fakt, że rzuciłem wyzwanie Syberii i jej całej nieposkromionej naturze.

Po dwudniowej podróży wyjeżdżam na ulice Helsinek, skąd drogą numer siedem udaję się w kierunku granicy z Rosją.

Po kilkugodzinnej jeździe docieram w pobliże przejścia granicznego. Jest noc, krotka kontrola celników fińskich, otwiera się szlaban i wjeżdżam na zalesiony pas uziemi niczyjej”.

Po pięciu minutach docieram do terytorium Rosji. Zapalają się światła reflektorów, ich oślepiający blask zmusza mnie do zatrzymania się. - Dokumenty do kontroli - usłyszałem w znanym mi języku rosyjskim. Powoli wzrok przyzwyczajają się do panujących jasności i widzę, że samochód jest otoczony przez żołnierzy. Podaję paszport i czekam na dalszy rozwój wydarzeń.

Urzędnik wraz z dokumentami oddalił się do pobliskiego posterunku, co dało mi czas na rozglądnięcie się po okolicy: na prawo i lewo, w pewnej odległości, znajdował się ciąg oświetlonego terenu, na którym celowo ustawiono wieże, by całkowicie kontrolować teren. Między dwoma rzędami słupów znajdował się ogrodzony drutem kolczastym zakazany pas. Każdy słup mógł mieć około czterech metrów wysokości.

Moje dokumenty były sprawdzane długo i wnikliwie, wreszcie po jakimś czasie zjawił się żołnierz i oddając mi papiery, zapytał o miejsce docelowe podróży. Kiedy wyjaśniłem mu, że jestem w drodze do Nowego Jorku, popatrzał na mnie jak na idiotę, po czym uśmiechnął się pobłaźliwie i polecił jechać dalej.

Każdy, kto kiedykolwiek przekraczał granicę lądową z Rosją, wie, co to za uczucie. To osobliwy dreszczyk emocji, to pewnego rodzaju ruletka, to sytuacja, z której może dużo wyniknąć, dlatego też bardzo się ucieszyłem, że tę przykrą sprawę mam już za sobą...

O tym, że byłem w błędzie, przekonałem się niebawem. Parę kilometrów dalej zauważyłem jasno oświetlony teren. Gdy dojechałem na miejsce, domyśliłem się, że

dopiero teraz znajduję się na właściwej granicy. Tu już mnie oczekiwano. Przybyły ponury w całej okazałości oficer oświadczył, iż mam bardzo dobre poczucie humoru, lecz bardzo słabe wiadomości z geografii, gdyż Nowy Jork nie znajduje się w Rosji, tylko w USA. Odparłem, iż zapewne pan oficer posiada lepsze wiadomości z geografii, lecz nie posiada fantazji, ponieważ Rosja jest tylko moim krajem tranzytowym, przez który zamierzam udać się do Nowego Jorku. Po tej kurtuazyjnej wymianie zdań poproszono mnie do obdrapanego budynku, który spełniał rolę urzędu celnego. Podczas gdy zajęty byłem wypełnianiem różnych formularzy wjazdowych, samochód został poddany ogólnym oględzinom oraz obwąchany przez psa z wyglądu przypominającego wilka.

Po trwających około godziny formalnościach, zezwolono mi wjechać na terytorium Rosji. Ostrzeżono mnie przed bandami czyhającymi na obcokrajowców oraz życzone szczęśliwej podróży...

- Nie dojedziesz nawet do Moskwy - usłyszałem głos i zauważyłem uśmiechniętego oficera - znawcę geografii.

- Mówili mi już o tym w Zurychu - powiedziałem, odwzajemniając uśmiech.

Ponieważ była głęboka noc, zdecydowałem, że zostanę na granicy do świtu, gdyż przyznam, że po tych ostatnich ostrzeżeniach zrobiło mi się bardzo nieswojo.

Ranek pogłębił jeszcze moją apatię, gdyż dzień odsłonił miejsce mojego postoju. Dopiero teraz zauważyłem betonową wieżę obserwacyjną podobną do tych, które stoją na niektórych lotniskach. Dookoła uwijało się mnóstwo żołnierzy, każdy prowadził psa, odnosiło się wrażenie, że jest się w koszarach, w których ogłoszono alarm bojowy. Do tego wszechobecne błoto i szarość. Wiosna pod tę szerokość geograficzną jeszcze nie zawitała. Okolica przerażała i odpychała. Nigdy i nigdzie nie widziałem tyle drutu kolczastego w jednym miejscu. Ktoś kiedyś powiedział, że granice ZSRR tworzą największy na świecie obóz koncentracyjny. Teraz dopiero widzę, ile w tym stwierdzeniu jest prawdy.

Ruszam w kierunku Wyborga czymś, co kiedyś było drogą. Błoto, wyboje, resztki twardej nawierzchni; wszystko to sprawia, że wlokę się żółwim tempem.

Lecz co to? Kolejny szlaban. STOP - Proszę wnieść opłatę na ochronę środowiska - oświadcza miłym głosem pani sierżant i choć jest to paradoks, płacę równowartość pięćdziesięciu dolarów. Przejornie pytam, ile posterunków muszę minąć, by opuścić pas graniczny. Za dziesięć kilometrów będzie jeszcze jeden - odparła uśmiechnięta pani sierżant.

Ostatni posterunek graniczny znajdował się na przedmieściach Wyborga. Tutaj kontrolujący mnie oficer był wczorajszy... Po raz kolejny ostrzegł o grożącym mi niebezpieczeństwie i nieśmiało zapytał, czy nie mam przypadkiem puszki piwa.

- Owszem, towarzyszc komandir, u mienia piwo jest'... Za wspólną pomyślność wypiliśmy po kilka piwek, po czym ostatecznie wjechałem do Rosji.

Na podstawie przejechanych kilometrów obliczyłem, że przeciętny obywatel byłego ZSRR miał prawo zbliżyć się do granicy państwowej na odległość nie mniejszą niż sześćdziesiąt cztery kilometry!

Przede mną cała Rosja. Tajemnicza i zagadkowa. To prawie pół zamkniętej dotychczas planety. Zapewne wszyscy, którzy pierwszy raz zobaczyli ten kraj, przezywali, podobnie jak i ja, podniecenie wywołane czymś potężnym i nieznanym. Będę musiał przemierzyć tysiące kilometrów, docierając do miejsc, gdzie jeszcze nie stąpnęła noga reportera, gdzie miasta i wsie są tylko małymi punkcikami na bezkresnych przestrzeniach.

Mijam miasto Wyborg i trasą M - 10 udaję się w kierunku Sankt Petersburga.

Jestem już w innym świecie - świecie smutnej, twardej rzeczywistości. Dookoła nieład i szarość. Niegustowne dekoracje szpecące otoczenie, ludzie patrzący obojętnym wzrokiem. Widok ten sprawia, że jest mi bardzo nieswojo. Będąc pod świeżym wrażeniem wczorajszego dnia oraz przestróg, które zewsząd otrzymałem, zrobiłem się przesadnie ostrożny i wszędzie wietrzyłem podstęp. Postanowiłem, iż nie będę zatrzymywał się na drogach, a noce będę spędzał zaszyty głęboko w lesie. Również wszelkie przerwy w podróży miały się odbywać z dala od tras przelotowych i skupisk ludzkich. Samobójstwem wręcz wydawało mi się skorzystanie z jakiegokolwiek zaproszenia... I tak w nastroju człowieka chorego na manię prześladowczą tego samego dnia bez przygód dojeżdżam do Sankt Petersburga.

Petersburg (dawniej Leningrad) do roku 1918 był stolicą carskiej Rosji. Jedno z niewielu miast, które za czasów niedawnego ZSRR udostępnione było dla turystów zagranicznych. Piękny zespół architektoniczny i urbanistyczny sprawił, że Sankt Petersburg po dzień dzisiejszy jest wizytówką Rosji. Wszędzie jest czysto i schludnie.

W nadziei otrzymania dokładniejszej mapy całego kraju, jadę do pewnej firmy zajmującej się turystyką, której adres otrzymałem od przedstawicieli władz Rosji w Szwajcarii. Po półgodzinnej jeździe odnajduję wskazane biuro podróży, którego pracownicy bezradnie rozkładają ręce.

- Takiej mapy nie posiadamy, jedyna, jaką możemy ofiarować, to mapa regionu, ale i ona jest niedokładna - odpowiadają. - Spróbujcie w Moskwie, tam może coś znajdą, ale chyba będzie też ciężka sprawa, gdyż za czasów ZSRR mapy stanowiły przedmiot największej tajemnicy państwowej i były dostępne tylko w kręgach wojskowych i niektórych służb specjalnych. Jak jest teraz, nie wiemy - dodali.

Późnym popołudniem opuszczam piękny Sankt Petersburg i udaję się w kierunku

Moskwy. Jadę ruchliwą drogą, która na mapie nazwana jest międzynarodową. W praktyce jest to bardzo szeroki pas nierówno ułożonego asfaltu, z rozległymi piaszczystymi pobocznymi, które mają znaczenie wojskowo - taktyczne, stanowiąc idealną drogę dla pojazdów gąsienicowych.

Mijam posterunki GAI¹. Przeciążony samochód „dobija” na każdej nierówności, których bardzo dużo na drodze. Zaczynam orientować się w przepisach ruchu drogowego obowiązującego w tym kraju, które istnieją tylko teoretycznie, ponieważ w praktyce pierwszeństwo ma ten, kto jedzie większym lub szybszym pojazdem.

Mijam wsie i osiedla, drewniane malowane domy. W każdej osadzie kwitnie handel przydrożny, towary najczęściej oferowane to kartofle i mleko, a w miejscowościach leżących blisko rzek i jezior - suszone ryby. Widząc wszechobecną biedę, jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że jadę przez najbogatszą część Rosji.

Pomimo późnej pory jest jeszcze bardzo jasno, więc szukam odpowiedniego miejsca na pierwszy nocleg. Wjeżdżam w leśną ścieżkę, by oddalić się od głównej drogi i rozbić obóz z dala od oczu ludzkich.

Mój ośmiocyndrowy land - rover doskonale dał sobie radę z błotem sięgającym po osie i po dwudziestu minutach jazdy zatrzymuję się nieopodal niewielkiego jeziora otoczonego brzoźowym lasem.

Wokół dziewicza natura. Daleko, po przeciwległej stronie jeziora, widać samotną, zagubioną w lesie wioskę. Obserwuję ją przez lornetkę. Bardzo małe drewniane chaty pomalowane na różnorodne kolory. Na próżno szukam jakichkolwiek oznak życia, wioska robi wrażenie niezamieszkaną. Ptaki, ptaki, niesamowite ilości ptaków rozspiewanych w wiosennym koncercie, właśnie te skrzydlate stworzenia uzupełniające swymi głosami tę piękną rajską scenerię najbardziej utkwiły mi w pamięci z pierwszego noclegu na rosyjskiej ziemi.

Rozpalam ogień i przygotowuję kolację. Jestem odprężony i oddycham wolnością. Do późnej nocy siedzę przy ognisku, delektując się ciszą, myśląc o przyszłej drodze i czekających mnie jeszcze przygodach.

Rano obudził mnie chłód i śpiew ptaków. Jest koniec maja i choć w Europie Środkowej jest już prawie lato, tu wiosna dopiero się zaczyna. Chcąc jeszcze za dnia dojechać do Moskwy, pospiesznie pakuję wszystko do samochodu i udaje się w kierunku

¹* GAI - w jęz. rosyjskim Gosudarstwienna Awto Inspekcja (Państwowa Inspekcja Samochodowa) - pozostałość po specjalnym oddziale milicji, który za czasów ZSRR zajmowała się kontrolą wjeżdżających i wyjeżdżających osób i pojazdów z miast i osiedli.

szosy.

M - 10 to jedna z głównych i bardziej ruchliwych dróg prowadzących do stolicy. Z zaciekawieniem patrzę na mijające mnie pojazdy, rozszyfrowując ich marki oraz lata produkcji. Ze zdumieniem stwierdzam, że większość prywatnych samochodów to demobil wojskowy. Stare ciężarówki, jak ziły, urale, krazy - wszystkie wymalowane na kolor ciemnozielony. Benzyna w Rosji jest bardzo tania i mimo że pojazdy te zużywają niekiedy do pięćdziesięciu litrów na sto kilometrów, to każdego posiadacza stać jest na ich użytkowanie. Jeżdżą też i mniejsze samochody: lady, wołgi, stare pobiedy oraz wyprodukowane na włoskiej licencji - żiguli. Od czasu do czasu wyprzedza mnie nowy pojazd marki zachodniej, przeważnie mercedes lub bmw. Kogo stać na taki luksus w Rosji, nie jest dla mnie tajemnicą.

Co kilkadziesiąt kilometrów mijam charakterystyczne dla tego regionu kolorowe drewniane chałupy, które ustawione po obu stronach trasy tworzą jednakowo wyglądające wsie. Po kilku godzinach jazdy docieram do miasta Twer, skąd próbuję połączyć się telefonicznie z firmą Pilgrim w Moskwie.

Firma ta jest oficjalnym przedstawicielem turystyki niekonwencjonalnej na terenie Rosji. Po dwóch godzinach oczekiwania uzyskuję połączenie i potwierdzam swój przyjazd.

Do Moskwy zostało około dwustu kilometrów, więc niecałe trzy godziny jazdy. Duży ruch na tej trasie sprawia, że czuję się bezpieczniejszy, lecz pomimo to rozglądam się bacznie na wszystkie strony.

Tuż przed rogatkami stolicy widzę zapory przeciwpancerne usytuowane po prawej stronie drogi. Dopiero z olbrzymich napisów dowiaduję się, że jest to miejsce, do którego dotarły wojska hitlerowskie w 1942 roku, a konstrukcja spełnia rolę pomnika, upamiętniającego tamte historyczne dni. Po chwili wjeżdżam na trzypasmową arterię szybkiego ruchu i po godzinnej jeździe docieram do stolicy imperium.

W tej właśnie chwili pomyślałem o wszystkich moich znajomych, o przedstawicielach władz Rosji, o oficerze „znawcy geografii” i innych „grabarzach”, którzy byli wręcz pewni, że nic dojadę nawet do Moskwy.

II

Ponad godzinę zajęło mi odszukanie firmy Pilgrim, w której spodziewałem się uzyskać mapy oraz kilku wskazówek odnośnie poruszania się po bezdrożach Syberii.

W firmie przyjęto mnie bardzo życzliwie, pytając o przebieg dotychczasowej podróży.

- Dzisiaj jest już późno i niewiele możemy załatwić. Jutro ściągniemy naszego pracownika, który z wykształcenia jest kartografem, ma różne mapy, więc na pewno coś da się zrobić - powiedział jeden z pracowników. - Na razie odstawimy twój samochód w bezpieczne miejsce, gdyż w Moskwie różnie bywa, a jutro od rana działamy - dodał.

Ucieszyłem się z tej wiadomości i pomyślałem, że Pilgrim jest poważną firmą turystyczną, skoro ma do dyspozycji kartografów...

Jeszcze nie tak dawno podobne firmy, zajmujące się obsługą turystów zagranicznych, były nieoficjalnymi rezydenturami któregoś z sowieckich wywiadów. Nie jestem pewien, czy Pilgrim przyjął ten sam status, ale dużo wskazuje na to, że tak. Pierwsze moje spostrzeżenie dotyczyło powierzchowności pracowników tej firmy. Każda twarz bez wyjątku zdradzała ponadprzeciętną inteligencję. Jest powszechnie wiadomo, że na całym świecie wszystkie służby specjalne rekrutują swoich pracowników spośród najzdolniejszych absolwentów różnych wyższych uczelni. Po drugie - turystyka niekonwencjonalna w Rosji jest jeszcze w powijakach i nie może przynosić dochodów, a skomputeryzowanej firmie Pilgrim widać powodzi się aż nadto dobrze, co może świadczyć o dofinansowaniu firmy przez rząd. Ponadto bezpośrednie kontakty z rosyjskimi biurami podróży rozsianymi na całym świecie same mówią za siebie.

Nazajutrz wcześniej rano wyruszam obejrzeć nową „demokratyczną” stolicę Rosji. Moskwa to prawdziwa metropolia (dwanaście milionów mieszkańców). Tłumy ludzi przeróżnych narodowości, wszędzie panujący pośpiech. W centrum miasta „Zachód” - szare i ubogie do niedawna wielkie domy handlowe błyszczą szyldami wszystkich znanych firm zachodnich. Jest kolorowo, czysto i bogato, ale nie do końca, gdyż widać również resztki starej „komunistycznej” stolicy. Bieda i ubóstwo większości mieszkańców są aż nadto widoczne. Ludzie w sile wieku zebrzą na ulicach. Bezrobocie i horrendalne ceny, które kilkakrotnie przewyższają ceny na przykład w Zurychu.

Dochodząc do placu Czerwonego, przypadkowo trafiam na uroczystości związane z uroczystym poświęceniem cerkwi, usytuowanej tuż przy na placu Defilad naprzeciw Kremla. Jak się dowiedziałem, Świątynia jest wierną rekonstrukcją stojącej tu już kiedyś cerkwi, którą w przeszłości na rozkaz Stalina zburzono i przez wiele lat nie było po niej śladu. Podobno przeszkadzała zakręcającym w czasie defilad czołgom. Tylko dzięki

odwadze pewnego architekta, który podczas rozbiórki w tajemnicy sporządził jej plan, zdołano ten zabytek wiernie zrekonstruować i ponownie oddać do użytku wiernych.

Snując się po placu Czerwonym, widzę parę nowożeńców składających kwiaty przed zamkniętym już definitywnie mauzoleum Lenina. Kwiatów leży tu dużo, więc przypuszczam, że ofiarowują je nie tylko młode pary... To pewnego rodzaju fenomen w dziejach ludzkości, kiedy to ofiary dobrowolnie składają cześć swoim oprawcom. Podobną sytuację zaobserwowałem przed gmachem, w którym mieści się muzeum poświęcone panu Leninowi. Tu z kolei tłumy protestują przeciw projektowi zamknięcia tego obiektu. W 1956 roku wolno było usuwać pomniki Stalina, w 1991 roku - Dzierżyńskiego, lecz do dziś nikt nie odważa się tknąć pamięci po Leninie. Wciąż jeszcze panuje wszechobecny kult jednostki. Na czym polega ta siła? Na tandencie ideologu, na fantastyczności zjawiska?

Koło południa idę do Pilgrimu na spotkanie z kartografem. - Anton - przedstawił się człowiek „od map”. Anton mówił dużo i z przejęciem, starając się na każdym kroku podkreślić swoją wyższość w związku ze znajomością kartografii. Operował niezrozumiałymi dla mnie terminami. Czasami tak się zagalopowywał, że odnosiłem wrażenie, że facet jest rąbnięty. - Syberia - rzeki - to nie miejsce na przejażdżki samochodowe. Sam niewiele o niej wiem, gdyż tylko kilkakrotnie tam byłem, a środkiem transportu był nie samochód, lecz samolot. Uważam ten pomysł za nierealny. Syberia to nie setki, lecz tysiące kilometrów bezdroża, bagien i Bóg wie, czego jeszcze. Owszem, w pobliżu wielkich miast są drogi, ale występują w odcinkach niełączących się ze sobą, więc generalnie dróg nie ma. Przygotowałem mapy, ale nie wiem, na ile będą przydatne, bo mogą być bardzo niedokładne... Nie myśl, że mamy złych topografów i kartografów - nie w tym rzecz. Za czasów ZSRR mapy były objęte najściślejszą ochroną i tajemnicą Jedną ze specjalności fachowców od ochrony kraju była dezinformacja. Dlatego produkowano miliony niby - dokładnych map i umiejętnie podkładano je tak, by „przypadkowo” dostały się w niepowołane ręce. Teraz przy tym całym zamieszaniu mało kto wie, które są prawdziwe, a które nie. To dopiero zobaczysz na miejscu. Może być tak, że mapa bardziej dokładna, okaże się mniej przydatna. Gdzie ma być miasto - będzie pole, a gdzie jest zielona plama, która oznaczać może tajgę - natrafisz na step. Możesz też raptem zobaczyć kilkutyśięczne miasto, którego próżno szukać na mapie. Ścieżki mogą być tam, gdzie spodziewałeś się, że są drogi. Na Syberii wszędzie będzie czekała na ciebie niespodzianka. Przed tobą setki rzek, ale nie wierz, że zastaniesz most, choćby był wyraźnie zaznaczony na mapie. Może będzie kursował tam prom, a może nie. Ale jak spotkasz ludzi, to zawsze pytaj - miejscowi wiedzą, co jest w promieniu ich domostw.

Anton położył na stole plik map, z których odczytałem, że należą do Sztabu

Generalnego Armii ZSRR. - Przed opuszczeniem terytorium Rosji wszystkie te mapy muszą powrócić do firmy - powiedział. - Tu są zaadresowane koperty, dzięki którym będzie można odesłać z powrotem mapy odcinków, które już przejechałeś. Kopertę wystarczy oddać na poczcie, a jak jej nie spotkasz, to na posterunku GAI lub w jakimkolwiek urzędzie.

Podziękowałem za wypożyczenie map i dobre rady. Pożegnałem pracowników Pilgrimu i bezzwłocznie ruszyłem w drogę, by jeszcze przed zmrokiem wyjechać z Moskwy. Na rogatkach uzupełniłem paliwo i ruszyłem drogą numer siedem w kierunku Kazania.

Droga wyjazdowa z Moskwy znacznie się różni od trasy wjazdowej ze strony zachodniej. I choć również jest oznakowana jako droga międzynarodowa, to stan jej nawierzchni jest o wiele gorszy. Osobliwie również wyglądają pojazdy opuszczające stolicę. Każdy samochód, czy to ciężarowy, czy osobowy, jest załadowany do granic wytrzymałości. Prawie każdy ciągnie przyczepę i dodatkowo posiada bagażnik na dachu. Towary transportowane to przeważnie żywność i inne produkty dostępne tylko w mieście. Prawie dwie godziny przeciskam się czteropasmową wyjazdową drogą, stoję w korkach, omijam popsute pojazdy, których bardzo dużo stoi poboczach. Obserwując cały ten harmider drogowy, zdałem sobie sprawę, że Rosja nadal nic dysponuje choćby kilometrem drogi, którą na Zachodzie przyjęto nazywać autostradą...

Późnym wieczorem dojeżdżam w pobliże miasta Władymir. Wiem, że w pobliżu znajduje się miasto muzeum Suzdal, które zamierzałem zwiedzić; odnajduję je na mapie, a ponieważ jest już prawie ciemno, postanawiam zanoć w okolicy. Pierwszą napotkaną drogą skręcam na lewo, jadę parę kilometrów, po czym zjeżdżam z drogi na pustkowie i po pewnym czasie docieram do rzeki Nerl. Wkoło tylko pola, las i rzeka. Wreszcie z dala od szosy, wśród przyrody, bajkowego krajobrazu. Siedzę nad wodą i pierwszy raz w Rosji łowię ryby, które na dobry początek biorą jak na zawołanie. Jest ich tyle, że część smażę, a z pozostałej reszty gotuję zupę rybną, nazywaną w Rosji ucha.

Nastaje chłodna noc i na dodatek zrywa się porywisty wiatr, więc czym prędzej zostawiam ryby i zaszywam się w namiocie. Kiedy już leżę, słyszę tylko szum rzeki i ciche zawodzenie wiatru. Zasypiam szybko, zmęczony nowymi wrażeniami.

Rano opuszczam swoją kryjówkę i udaję się do miasta Suzdal. Przed oczami rozwinął się wspaniały widok na przepiękny kreml, z niezliczoną ilością staroświeckich kopuł cerkiewnych w środku. Średniowieczem i dziczą Wschodu wiało od tych starych murów, zmurszałych, porośniętych historyczną pleśnią. Cerkwie uwidaczniają pierwotną

rosyjskość, przesiąkniętą potężną bizantyjską kulturą. Suzdał to prawdziwy klejnot prastarych rosyjskich miast, które ze względu na swoje historyczne bogactwo noszą nazwę Złotego Kręgu. Perłą w klejnocie są zabudowania kremla i soboru wraz z kilkunastoma XVI - XVII - wiecznymi cerkwiemi. Kreml przez długie lata był miejscem spotkań wszystkich pokoleń carskich. Niestety, obecnie budowle są zaniedbane. Wokół panuje bałagan, brak jakiegokolwiek informacji dotyczącej historii obiektu, poza kilkoma zardzewiałymi tablicami, z których trudno cokolwiek odczytać. Od razu widać, że komuniści nie kochali carów. Dziwi mnie też fakt, że w miejsce to dowożeni są turyści. Chyba że chodzi tu głównie o pokazanie światu bezmyślnej niszycielskiej potęgi Ministerstwa Kultury byłego ZSRR. Jestem rozczarowany tym miastem muzeum i jego gospodarzami, którzy potrafią tylko dbać o wygląd domów partii i komisariatów milicji...

Udaję się do odległego o trzydzieści kilometrów miasta Władimir. Miasto to uważane jest za pierwszą stolicę „Świętej Rosji”. Z drogi widzę zabudowania soboru, które postanawiam zwiedzić. Trafiam na mszę. Sceneria jak sprzed wieków. Wśród bogatych ikon, blasku i zapachu świec, panującego półmroku, rozbrzmiewa śpiew brodatych kapłanów, którzy w pięknej wokalne harmonii i z niesamowitą skalą swych głosów, oddają cześć Bogu. Niezapomniane, niesamowite wrażenie. Po nabożeństwie udaję się w dalszą drogę w kierunku miasta Czeboksary.

Krajobraz właściwie się nie zmienia. Przez wiele kilometrów tylko lasy, pola i od czasu do czasu parokilometrowej długości wsie, w których domy ustawione są wzdłuż drogi.

Mijam duże milionowe miasto Niżny Nowgorod (Górki), następnie zjeżdżam, z głównej drogi, ponieważ chcę dotrzeć do osad Maryjczyków (Czeremchów), wymierającej już grupy etnicznej zamieszkującej te tereny.

Land - rover to wspinały terenowy pojazd - dzisiaj zdał swój pierwszy prawdziwy egzamin: po błotnistej sięgającej po osie glinie podjechał wraz z ładunkiem pod kil ku kilometrowa stromą górę okalającą koryto rzeki.

Poniżej, na wprost mnie płynie Wołga. Wołga nazywana królową rosyjskich rzek to trudno wyobrażalna masa wody, która w okowach swych brzegów spływa majestatycznie do ujścia. Trudno tu szukać ciszy i wytchnienia, gdyż na rzece panuje duży ruch. Słychać syreny i szum silników okrętowych. Jestem zdziwiony, że w kraju, w którym prawie cała gospodarka runęła, funkcjonuje jeszcze tak dobrze flota śródlądowa. Widzę duże tankowce, drobnicowce oraz barki towarowe, płynące jedna za drugą. Przypomina to ruch statków, jaki panuje na redzie dużego portu morskiego. Widzę ludzi na pokładach mijających mnie jednostek, prawie każdy trzyma w rękach lornetkę, widzę, że jestem

obserwowany, marynarze patrzą, kto przybył do tego znanego im pustkowiec.

Zauważyli mnie również płynący rzeką rybacy. Po krótkim namyśle skierowali swoją łódź w kierunku wzgórza, na którym rozstawiłem już obóz. Po chwili widzę dwie pochylone sylwetki, coś mówią do siebie, ale nic nie rozumiem, ich słowa zagłusza jednostajne mlaskanie gumowych butów.

- Dobry wieczór. Widzimy, że jesteś w drodze, więc przynieśliśmy ci coś na kolację - powiedział starszy z nich, stawiając na ziemi stare dziurawe wiadro pełne żywych jeszcze ryb.

- Wielkie dzięki - odpowiedziałem i od razu zapytałem, ile jestem za te stworzenia winien. Przybyli spojrzeli po sobie z minami starych panien, którym przedstawiono niedwuznaczną propozycję.

- Nam pieniądze niepotrzebne - powiada jeden z nich - my tak prosto od serca.

Zresztą pieniądź tu nic nie jest wart, a i najbliższy sklep oddalony jest o sześćdziesiąt kilometrów, w którym na dodatek i tak nic nie ma. Ryb nam zbywa, a ty pewnie głodny - dodał.

- Wobec tego zapraszam na kolację - odpowiedziałem, gdyż inaczej po prostu nie wypadało. Zdałem sobie jednocześnie sprawę, że będzie to mój pierwszy kontakt z prostymi mieszkańcami tego kraju. Ciekaw byłem ich zachowań, myśli i stosunku do obcokrajowców.

Podzieliliśmy zajęcia: ja zająłem się zbieraniem drewna, a rybacy patroszeniem i przyrządzaniem ryb. Po półgodzinnej krzątaninie siedzieliśmy już wkoło ogniska, a na drewnianych rusztach sporządzonych przez moich gości, piekły się ryby, których zapach snuł się daleko w las, drażniąc nozdrza okolicznej zwierzyny. By rozładować panujące jeszcze napięcie, związane z niespodziewanym zetknięciem się dwóch światów, zaproponowałem wypicie flaszki za wspólne spotkanie, co natychmiast zostało przyjęte z nieukrywaną radosną aprobatą. „Na zdrowie” - rozległo się wokół ogniska i po tych magicznych słowach ustąpiły wzajemne dotychczasowe nieufności.

- Teraz to i my dwaj jesteśmy kapitalistami - powiedział jeden z przybyłych, śmiejąc się głośno sam ze swojego dowcipu. - Ale to inny kapitalizm niż u was.

- Nam było dobrze za czasów komunizmu i kolektywizacji. Kołchoz dawał nam ubrania i inne świadczenia, a wypłata była uzależniona od liczby złowionych ryb. Jak człowiek przyłożył się do pracy, to można było nieźle żyć. Transportowano złowione przez nas ryby do miasta, a w zamian przywożono nam potrzebne do życia produkty. Teraz nie ma już kołchozu i nikt już ryb nie odwozi, i co za tym idzie, nie mamy najpotrzebniejszych artykułów żywnościowych. Cały rok jemy wyłącznie ryby i tylko jesienią, jak uda się trochę

ich sprzedać, to kupujemy ziemniaki.

W ramach wszechobecnej prywatyzacji, odkupiliśmy wspólnie z sąsiadem tę starą łódź i łowimy tylko na swoje potrzeby. W naszym przysiółku wszyscy tak żyją, bo cóż zrobić - trzeba żyć... Jak jest u was na Zachodzie, dopiero teraz co nieco wiemy - kontynuował. - Dawniej mówiono nam, że kapitalizm to obrzydliwy system, gdzie panuje wyzysk, gdzie pracodawca zamęcza na śmierć swoich pracowników...

I wszyscy w to wierzyliśmy, bo tak pisano i mówiono. Byliśmy wówczas szczęśliwi, że żyjemy w tym kraju. Mam sześćdziesiąt pięć lat i tylko kilkakrotnie byłem w dużym mieście, cóż więc mogę o świecie wiedzieć - dodał z prostotą.

Wznieśliśmy kolejny toast i choć była już noc, siedzieliśmy dalej przy ogniu, w poczuciu niewidzialnej więzi, więzi całkiem normalnej, bo łączącej człowieka z człowiekiem. I choć urodziliśmy się i żyliśmy gdzie indziej, oddaleni od siebie o tysiące kilometrów, to po kilkugodzinnej wspólnej biesiadzie odnieśliśmy wrażenie, jakbyśmy znali się od dawna. I choć nie znaliśmy nawet swoich imion, nie było między nami żadnej różnicy. Tak samo jedliśmy, piliśmy i świeciły nad nami te same gwiazdy...

Kołchoz - spółdzielnia rolnicza w ZSRR gospodarująca na ziemi państwowej oddanej w dzierżawę bezpłatnie. Członkowie mieli prawo do posiadania domu i określonego stanu inwentarza. Przysiółek - osiedle mieszkaniowe usytuowane przy zakładzie produkcyjnym.

Ruch na rzece i towarzyszące mu dźwięki syren okrętowych nie pozwoliły na dłuższy sen. Po śniadaniu, na które składały się niedojedzone wczoraj ryby, wyruszam na poszukiwanie wiosek zamieszkałych przez Maryjczyków. Tą samą błotnistą drogą dojeżdżam do traktu wiodącego w kierunku Czeboksary.

Przemierzam się nadwołżańską równiną, na której co jakiś czas natrafiam na zabudowania opuszczonych sowchozów. Wszystko w totalnej ruinie i tylko walający się wkoło zniszczony sprzęt rolniczy przypomina o przeznaczeniu tych budowli. Spotykam pasterza pasącego stadko krów i pytam o najbliższe osiedle Maryjczyków. - Będzie ze trzydzieści wiorst - powiedział zaskoczony człowiek pilnujący krów, po czym ręką wskazał kierunek południowy. Ponieważ nie prowadziła w tamtym kierunku żadna droga, ruszyłem po prostu na przełaj. Trasa wiodła po rozległym, płaskim gruncie, który kiedyś był ziemią orną, o czym świadczyły gnijące resztki zeszłorocznego, niezbranego zboża. Areal ten jeszcze do niedawna należał do któregoś z mijanych sowchozów, które mogły nosić nazwę „Sowchoz imienia Rewolucji Październikowej”, „Gwiazdy Czerwonej” lub „Sowchoz imienia Lenina”. Oj, gdybym tak przed laty pozwolił sobie na jazdę po tej roli, oskarżono by mnie zapewne o sabotaż i wrogość wobec klasy robotniczej... Jestem

pewien, że nie potrzebowalibyśmy organizować ekspedycji, by znaleźć się na Syberii...

Późnym popołudniem w oddali zauważyłem jakąś wieś. Taka sobie niezbyt okazała osada, coś około czterdziestu domostw. To Maryjczycy. Z ciekawością rozglądam się między domami. Na pierwszy rzut oka przekonuję się, że choć to jeszcze Europa, to czas zatrzymał się tu przed wiekami. Drewniane zagrody, studnie z żurawiami, prymitywny sprzęt gospodarski: wszystko to tworzy scenerię Rosji z XVI wieku. Tylko słupy linii energetycznych oraz gdzieś tam pokryte eternitem dachy mogą powiedzieć przybyszowi, że znajduje się w XX wieku... Jestem oczarowany tym skansenem, zamierzam się zatrzymać i wykonać parę fotografii. Na niewielkim placu między domami widzę rozmawiających ludzi, śmiało podążam w tym kierunku.

- Jestem przejazdem i zbieram materiał reporterski o Rosji. Chciałbym z wami porozmawiać i wykonać parę fotografii, czy nie macie nic przeciwko temu? - zapytałem, przezornie nie wychodząc z samochodu.

- A skąd jesteś? - odpowiadają pytaniem.

- Jadę ze Szwajcarii - odpowiadam.

Nastąpiła krótka narada, która wypadła na moją korzyść. - Możesz pisać i fotografować - mówią.

Próbuję nawiązać bliższy kontakt z mieszkańcami, którzy ku mojemu zdziwieniu przyjaźnie, bez skrępowania, odpowiadają na pytania i jeszcze chętniej pozują do zdjęć.

Sowchoz - w ZSRR państwowe gospodarstwo rolne Wiorsta - dawna rosyjska miara długości równa 1,0668 km.

- My, Maryjczycy, jesteśmy samowystarczalni i gdyby było nas więcej, to na pewno mielibyśmy autonomię - powiedział najstarszy z grupy, który różnił się od innych posiadaniem czerwonych gumowych butów. - Mamy krowy, świnie i drób, a ziemia nasza jest bardzo urodzajna. Ziemia właściwie dopiero teraz jest nasza, bo przedtem należała do kolchozu, ale i tak była nasza - poprawił swą wypowiedź obuty w czerwone gumowce.

- My Maryjczycy, naród bohaterski - rozpędził się człowiek, gdy ujrzał skierowany na siebie obiektyw aparatu fotograficznego - a ponadto ojciec mój był carskim oficerem - dodał, niemal krzyżąc.

Widząc, że rozmówca jest już dostatecznie usatysfakcjonowany udzieleniem mi wywiadu, czym prędzej podziękowałem za rozmowę i śmiało ruszyłem między domy, aby podpatrzeć zajęcia mieszkańców tej ciekawej wsi.

Zauważyłem kobietę prowadzącą krowę na długim postronku, więc spytałem, czy zechciałaby pozować mi do fotografii. Kobieta stanęła w postawie na baczność i jednym tchem wyrecytowała:

- Nazywam się Olimpiada Wasilewna, mam sześćdziesiąt osiem lat, pracuję w kołchozie. Do pracy idę na czwartą rano i pracuję do szesnastej. Jestem z pracy zadowolona. Dzisiaj przyprowadziłam krowę do pokrycia. Nazywam się Olimpiada Wasilewna.

Zostałem tak zaskoczony tą recytacją wyuczonego tekstu, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak mam się zachować. Nastąpiła konsternacja i chcąc cokolwiek powiedzieć, spytałem, z jak daleka przyszła. - To za tym brzozowym lasem, będzie ze dwadzieścia wiorst - odpowiedziała kobieta.

Podziękowałem za rozmowę, fotografując jednocześnie niewiastę i krowę - przyszłą matkę. Rzeczywiście, tego dnia w Nacoli - tak nazywała się wieś - był wielki doroczny dzień inseminacji. Zewsząd nadciągali ludzie, prowadząc krowy na łańcuchach.

Przyjemnie spędziłem czas wśród tych ludzi, ale jak mówi przysłowie „komu w drogę temu czas”... Chcąc odwdziżyć się za miłe przyjęcie, przygotowałem drobne prezenty - czekolady dla kobiet i dzieci, a mężczyzn obdarowałem papierosami i zapalniczkami.

Podczas gdy zajęty byłem żegnaniem się z każdym z osobna, gościnni Maryjczycy przynieśli własne produkty: jajka, mleko i domowej roboty wędzonki. Podziękowałem za wszystko i ruszyłem w dalszą drogę. Przyjeżdżaj kiedyś jeszcze - krzyczeli, machając rękoma na pożegnanie.

Do końca dnia byłem pod wrażeniem spotkania z tymi ludźmi, nie praktycznie nieposiadającymi, a uważającymi się za szczęśliwych. O tym, że ci prości ludzie mieli rację, czując się szczęśliwi, przekonałem się miesiąc później, będąc już daleko na Syberii.

Tego dnia nie zrobiłem dużo kilometrów, ale za to byłem bogatszy o doświadczenie i materiał reporterski. Po kilkugodzinnej jeździe znalazłem się w pobliżu drogi M - 7 prowadzącej do Kazania. Chcąc nadrobić czas, postanowiłem kontynuować podróż nocą.

Zmrok przesiania mijane miasto Czeboksary. Z każdym pokonanym kilometrem robi się coraz ciemniej, nieuchronnie nastaje noc. Ze zgrozą stwierdzam, że na terenie Rosji nie da się jeździć nocą!!! To za sprawą stanu dróg, gdzie jest więcej dziur niż oryginalnej nawierzchni. Ciężkie pojazdy z demobilu wojskowego, ze źle ustawionymi oślepiającymi światłami, spychają mniej odważnych kierowców na pobocza. Brak białych linii dzielących pasy ruchu oraz stojące na drogach nieoświetlone „resztki” taboru transportowego, dodają pikanterii nocnym podróżom.

Usilnie wypatruje jakiejś bocznej drogi, by uciec z tego drogowego piekła, lecz w ciemności nic nie mogę zauważyć, dookoła tylko bagna lub ciemny las, odgradzony od drogi stromą skarpą. Pomny jeszcze ostrzeżeń przed grasującą mafią, boję się zatrzymać

samochód na błotnistym placu oznaczonym jako parking, więc jadę dalej, by pierwszą napotkaną boczną drogą oddalić się od tej niebezpiecznej trasy. Ale nic nie widać, wkoło pustka, a droga prowadzi tylko na wprost. Wytrzeszczam oczy do granic wytrzymałości, skupiając uwagę na najróżniejszych przeszkodach leżących na drodze. Omijam starą porzuconą oponę, pień zwalonego drzewa, zardzewiały blok wymienionego na drodze silnika...

Wreszcie dostrzegam boczny, nieoznakowany szlak - nie mam pojęcia, dokąd prowadzi, ale skręcam na prawo i czuję się jak człowiek, który przed chwilą dowiedział się o wysokiej wygranej na loterii. Zbawienna odnoga okazała się trasą dojazdową do jakiejś miejscowości. Jednak po chwili już nie umiem znaleźć właściwego określenia dla tego czegoś, po czym jechałem, ale na pewno nie była to droga. To istne pobojuwisko, gdzie dziury typowe dla dróg polnych zastąpiły głębokie doły. Miejscami zaschnięta na kamień glina, wyglądem przypominająca łańcuch ostrych szczytów górskich lub dla odmiany błotnista maź oblepiająca grubą warstwą koła. Posuwam się z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, a przechylający się na wszystkie strony samochód przypomina sztormujący statek. Przechyłom towarzyszą efekty dźwiękowe, szczególnie wyraźne, gdy przeciążona karoseria trze o koła. Cóż mogę zrobić? Dookoła tylko błotniste pola, jadę więc dalej, łudząc się, że może parę kilometrów dalej...

Mijam wioski, jedna, druga i nigdzie nie widzę bezpiecznego miejsca na nocleg. Nie wiem już nawet, w jakim kierunku jadę, myślę tylko o tym, żeby się gdzieś zatrzymać i wypaść. W oddali zamajaczyły zarysy lasu. Natychmiast też duch nadziei we mnie wstąpił. Droga z każdym metrem zdawała się być suchsza, prowadzi teraz pod górę. Po chwili reflektory rozświetlają mrok między drzewami, śmiało wjeżdżam do lasu i kieruję samochód głęboko między drzewa.

Jest już za późno na rozbicie obozu, nie czuję też głodu, więc przykrywam się śpiworem i natychmiast zasypiam.

Rano budzi mnie odgłos przejeżdżającego motocykla. Otwieram oczy i ze zdziwieniem stwierdzam, że samochód mój stoi około dwudziestu metrów od traktu, do którego przypadkowo wczorajszej nocy dojechałem. Po drugiej stronie duktu ujrzałem rząd kolorowych drewnianych chat, mokrych jeszcze, lśniących w porannym słońcu. Pięknie się schowałem - pomyślałem, przyrzekając sobie jednocześnie, że już nigdy w tym kraju nie będę jechał nocą.

Land - rover oblepiony od dołu do góry zeschniętym błotem w niczym już nie przypominał Szwajcarii; wyglądał jak stary ponemiecki czołg po latach wyciągnięty z bagna gdzieś pod Stalingradem...

Tego dnia bez pośpiechu wypilem poranną kawę, sprawdziłem stan oleju w silniku, uzupełniłem paliwo z kanistrów. Leniwie spojrzałem na mapę, z której i tak niczego się nie dowiedziałem, gdyż nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdowałem. Wiedziałem tylko tyle, że gdzieś w Rosji. Nie widząc lepszego rozwiązania, ruszyłem leśnym duktem przed siebie w nadziei dotarcia do jakiegoś skupiska ludzkiego. Z trwogą pomyślałem, że skoro tu w Europie mam już tego rodzaju kłopoty, to co dopiero będzie za Uralem, gdy wjadę na bezkresne tereny Syberii. Szybko jednak pocieszyłem się, uznając, że winne tego stanu rzeczy są drogi, prowadzące w niepożądanym przeze mnie kierunku. Gdyby nie drogi jechałbym prosto na wschód, ot, tak, na przełaj, lecz teraz kiedy jeszcze gdzieś jest cywilizacja, nie wypada trutować wszystkiego, co znajdzie się pod kołami samochodu. Później to co innego, będę jechał na przełaj, kiedy znajdę się na bezkresnych obszarach Dalekiego Wschodu, gdzie kierunek jazdy ustalał będę tylko na podstawie wskazań kompasu...

Śmiałem się w duchu sam z siebie i z tego szaleńczego pomysłu przejechania samochodem do Nowego Jorku... Jednak szybko przypomniałem sobie również tych, którzy pukali się w czoło, kiedy im o tym opowiadałem i wstępowała we mnie wówczas dziwna zaciekłość - nie dam wam, smutasy, tej satysfakcji... - Dojadę - muszę dojechać!

Mijam kilka małych wiosek, lecz nigdzie nic dostrzegam tablicy z nazwą miejscowości. Droga jest wyboista, ale co najważniejsze - sucha. Po przeszłogodzinnej jeździe dojeżdżam do niezbyt ruchliwej, ale za to asfaltowej drogi. Z pierwszych odczytanych po drodze tablic dowiaduję się, że znajduję na trasie prowadzącej do Uljanowska, więc w przeciwnym kierunku, bo prowadzącym na południe.

Postanawiam dojechać tą drogą do miejscowości Kanasz, a następnie bocznymi, oznaczonymi na mapie drogami, do Kazania. Po drodze mijam jakieś małe miasteczko, w którym zauważam stojącą na skrzyżowaniu cysterne, z której kierowcy zaopatrują się w benzynę. Domyśliłem się, że jest to obwoźna stacja benzynowa, więc postanowiłem uzupełnić paliwo. Na terenie Rosji handluje się czterema rodzajami benzyny: 76, 85, 91 i 93 oktanów, więc kiedy podjechałem, pytam, jaką sprzedają. Sprzedający spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Ciesz się, że jakkolwiek dostaniesz - powiada. - Tu nikt o takie rzeczy nie pyta - dodał urażony.

Więc póki dają, uzupełniam zbiornik główny i dwa dodatkowe boczne - każdy po osiemdziesiąt litrów i dodatkowo robię rezerwę w dziesięciu kanistrach umieszczonych na dachu. Pytam o drogę w kierunku Kazania i ruszam w dalszą podróż.

Rejon jest lekko górzysty, z rzadka porośnięty lasami. Ma to dobre strony, gdyż

wjeżdżając na wzniesienie, mogę obserwować otaczający mnie teren. Ale niewiele jest do oglądania, widać tylko pola, od czasu do czasu wioski i opuszczone przez człowieka, zarośnięte trawą budowle.

Z daleka dostrzegam meczet, więc wiem, że jestem już na terenie Tatarstanu. Wjeżdżam do wioski tatarskiej, która już na pierwszy rzut oka różni się od poprzednich mijanych po drodze. Dom z kolorowymi okiennicami, z bogato rzeźbionymi ornamentami, gdzieśgdzie półksiężyc - symbol imperium tatarskiego. Obejścia są czyste i zadbane. Widzę ludzi niosących pieczywo, więc pytam o piekarnię.

- Piekarni u nas nie ma, ale chleb kupicie w kibecie - mówi starsza pani i widząc, że nie bardzo rozumiem, sprostowała z uśmiechem - kibet to w języku tatarskim sklep. Rzeczywiście, kilkaset metrów dalej czytam napis wymalowany rosyjskim alfabetem - KIBET. Patrzę na ludzi rozmawiających w nieznanym języku, wiem, że to potomkowie legendarnych plemion mongolskich, wchodzących w skład imperium Czyngis - chana. Nie rozczulam się jednak długo, kupuję chleb i ruszam w dalszą drogę, by po kilkugodzinnej jeździe znaleźć MC na przedmieściach Kazania.

Kazań, stolica starego państwa tatarskiego (Tatarski Chanat), od XVI wieku przyłączonego do Rosji. Obecnie to milionowe miasto, które rozkwit swój zawdzięcza wydobywanej w okolicy ropy naftowej i jej przetwórstwu. Wszędzie widać dymiące kominy, wzdłuż drogi kilometrami ciągną się rurociągi.

Przy wjeździe do miasta zatrzymują mnie na posterunku GAI - rutynowa kontrola. Milicjanci sprawdzają dokumenty. - Wszystko w porządku, szczęśliwej drogi - mówią na pożegnanie. Skręcam na obwodnicę miejską szczęśliwy, że nie muszę przeciskać się przez brudne przemysłowe dzielnice Kazania i po półgodzinie jadę w kierunku miasta Perm.

Zdażyłem już zaobserwować pewną prawidłowość. Pojawienie się drogi asfaltowej lub betonowej zwiastuje bliskość miasta lub dużego osiedla ludzkiego, drogi między miastami są utwardzonymi nawierzchniami lub po prostu nic nie ma. Dziś jest identycznie - po przejechaniu około sześćdziesięciu kilometrów dalszy odcinek trasy w kierunku Permu zamienia się w piaszczysty dukt, jestem pewien, że niebawem droga się skończy...

Jest słoneczne popołudnie, dobra, równa droga, więc jadę szybko i nadrabiam stracony wczoraj czas. Dojeżdżam do wsi Czurno, gdzie po lewej stronie widzę murowaną cerkiew górującą nad pozostałymi drewnianymi budynkami.

Postanawiam zrobić sobie krótką przerwę, więc skręcam i wjeżdżam na plac w pobliżu świątyni. Ponieważ miejsce, gdzie się zatrzymałem, okazało się centralnym punktem wsi, jak na zawołanie pojawili się jej mieszkańcy. Najpierw przyjechały na

starych, wysłużonych rowerach ciekawskie dzieci - tak było zawsze - później dopiero dołączyli dorośli.

- Cerkiew jest już dawno zamknięta i właściwie niepotrzebna, bo Rosjan u nas od dawna nie ma - powiedział jeden z przybyłych, widząc, że zamierzam fotografować ten obiekt. Domyśliłem się, że jestem jeszcze wśród Tatarów, co mnie bardzo ucieszyło, gdyż miałem już wyrzuty sumienia, że przejeżdżając przez ich tereny, nie nawiązałem z nimi żadnego bliższego kontaktu.. W celu natychmiastowego zjednania sobie przedstawicieli tego narodu poczęstowałem dzieci cukierkami, a dorosłych papierosami.

Wiść o moim przybyciu szybko się rozniosła i cała prawie wieś wyległa mnie zobaczyć. Każdy chce zaznaczyć swoją obecność, coś powiedzieć, pokazać, dzieci toczą między sobą walki o pierwszeństwo przy samochodzie.

- U nas jest taki jeden, co mówi waszym językiem Nazywamy go „Germaniec” - mówi jeden z chłopców.

- Niemiec? - zainteresowałem się.

- Nie... jaki Niemiec, to nasz, tylko przez dziesięć lat był w DDR jako oficer oddziałów radzieckich stacjonujących w Niemczech. Teraz przyjechał z powrotem, naprzywoził samochodów, trzy sztuki... opowiadali z przejęciem.

Tymczasem we wsi odbywała się właśnie ceremonia pędzenia z pastwisk krów i innego inwentarza. Zwierzęta kroczą szeroką tyralierą, każde ma na sobie kolorową obrozę lub chociaż wstążkę oznaczającą przynależność do danego właściciela. Ludzie krzyczą, biegają, zaganiają swoje bydło do domostw, słowem - jeden wielki rozgardiasz.

Fotografuję - każdy chce być w kadrze - więc sprawiedliwie ustawiam wszystkich przy land - roverze i robię jedno wspólne pamiątkowe zdjęcie, fest bardzo miło i swojsko, ale nauczony wczorajszym doświadczeniem, kiedy to prawie przez całą noc przejechałem zaledwie trzydzieści kilometrów i to w przeciwnym kierunku, pospiesznie zegnając serdecznych Tatarów i aby jeszcze przed zmrokiem zaszyć się na odludziu, opuszczam w asyście rowerzystów ostatnią na mojej trasie wioskę tatarską.

Zmęczony, głodny i niewyspany pragnę jak najszybciej znaleźć dogodne miejsce na nocleg. Na mapie widzę oddaloną o około pięć kilometrów rzekę Nie szukam już żadnej ścieżki dojazdowej, skręcam na lewo i korzystając z równego terenu, jadę w zamierzonym kierunku. Po kilkunastu minutach odnajduję głęboki wąwóz i malowniczą płynącą w nim rzeczkę. Miejsce na obóz jest idealne, udaje mi się nawet dojechać do samej wody, co sprawia, że z daleka jestem niewidoczny, więc nie zdradzam swojej obecności.

Ile przyjemności jest w zmęczeniu, wie tylko ten, kto po ciężkim wysiłku ma w perspektywie beztrudny dłuższy odpoczynek. Zmęczenie wręcz odurza, powoduje, że

czujemy się jak w transie, jak na lekkim rauszu. Człek w takim momencie nie odbiera już dokładnie świata zewnętrznego - jest mu po prostu błogo.

Siedziałem więc sobie na brzegu tej rzeczki i bezmyślnie wpatrywałem się w pojawiające się co chwila kręgi na wodzie, powstałe za sprawą ryb, które w pogoni za owadami rzucały się co chwilę, mącąc leniwie płynącą wodę. Pobudzany przez wiatr ogień co raz wybuchał nowymi płomieniami, oświetlając rześście wszystko wkoło. Było błogo... Ale jak to w życiu bywa, znajdzie się zawsze coś, co każe nam robić to, na co w danej chwili nie mamy najmniejszej ochoty. Tak było i teraz, przypomniałem sobie bowiem, że od przeszło tygodnia nie miałem możliwości umycia się, korzystam więc z dostępu do „bieżącej” wody i nie bacząc na jej niską temperaturę, zanurzam się w niej cały i zmywam kilkudniowy brud. Orzeźwiony zimną kąpielą nie czuję już tej cudownej sennej błogości, mimo to kierując się rozsądkiem, udaję się na odpoczynek.

Coraz bardziej ciekawy jestem Syberii i tego, co tam zastanę. I choć z zainteresowaniem patrzę na mijane miejscowości, to myślami jestem już daleko, na wschodzie. Najbardziej interesują mnie ludzie i ich losy, bowiem zdaję sobie sprawę, że to ostatnia szansa, by poznać, zobaczyć żyjącą jeszcze historię. Dzisiaj rano po raz setny przyglądam się na mapie tym dalekim stronom, oczami wyobraźni jadę już piaszczystymi duktami tajgi i wierzyć mi się nie chce, że spełni się to niebawem, bo już za parę dni..

Tymczasem ruszam dalej w kierunku miejscowości Arsk. Jadę szeroką piaszczystą arterią, wzniesając za sobą tumany kurzu. Mijam nieliczne wioski, które w tak wielkim bezmiarze lasu wyglądają jak oazy na pustyni. Teren jest dziewiczy, całkowite bezludzie, jak okiem sięgnąć, na przemian to las, to leżąca odłogiem ziemia.

Po parogodzinnej jeździe docieram do większej osady, nazywa się Małamyz. Napotkani ludzie informują mnie, że na pobliskiej rzece Wiatce nie ma mostu, lecz od czasu do czasu płynie na drugą stronę barka z kołchozu, taki miejscowy prom... Zaniepokojony, ale jednocześnie ciekaw dalszych wydarzeń, jadę w kierunku rzeki. Ponieważ od dłuższego czasu nic nie jedzie z naprzeciwka, wnioskuję, że przeprawy przez rzekę nie ma.

Wreszcie po półgodzinnej jeździe docieram na wysokie wzniesienie, dostrzegam płynącą w dole Wiatkę oraz stojący przy brzegu gotowy do rejsu prom... Daję sygnał klaksonem, by na mnie zaczekano, po czym bardzo stromym i wyboistym zjazdem docieram na brzeg i po chwili wjeżdżam na pokład wielkiej barki, którą nazywano tu szumnie promem.

Na pokładzie jest już kilkanaście pojazdów. Traktory, motocykle, samochody

osobowe i ciężarowe. Pytam, gdzie mogę wnieść opłatę za przejazd. - U kapitana - odpowiadają wszyscy zgodnie. Przeciskam się między ludźmi, samochodami, z narażeniem życia przedostaję się na doczepiony do barki holownik i po chwili stoję już na mostku kapitańskim.

- Chciałbym zapłacić za przejazd, ile się należy? - pytam brodatego rosłego człowieka.

- Normalnie bierzemy sześć tysięcy rubli (trzy i pół dolara) ale widzę, żeś nietutejszy, więc nie chcę nawet kopiejki, bo u nas taki zwyczaj, że od gości nie bierze się zapłaty - odpowiedział z uśmiechem człowiek zwany kapitanem.

- Dziękuję, kapitanie - powiedziałem, sprawiając mu tym tytułem wyraźną radość.

- Skąd i dokąd jedziesz? - zapytał.

Kiedy mu wyjawilem swoje plany, pomyślał i po chwili powiedział:

- Chciałbym dać ci jakąś radę, ale niewiele mogę powiedzieć na temat Syberii. To wielka strona... Nie wiem też, czy zdołasz ją przejechać. Tak... żyją tam ludzie, ale jacy, nie mam pojęcia. Syberia do dzisiaj jest krajem wygnańców i banitów. Mam wuja, mieszka koło Swierdłowska tzn. koło Jekaterynburga, on przez lata tam przebywał...

- czekaj, zaraz napiszę ci adres i kartkę do wuja. - On coś więcej ci na ten temat powie - dodał.

Podziękowałem za adres oraz list polecający i na odchodnym zapytałem, o której godzinie odpływamy. - Czekamy na wywrotkę ze żwirem, bez niej nie możemy odpłynąć, bo byś nic wyjechał po przeciwnej stronie rzeki. Trzeba najpierw wysypać żwir, by wzmocnić miękki grunt - objaśnił. - Życzę ci szczęścia i nie zapomnij pozdrowić ode mnie wuja - dodał na pożegnanie.

Wróciłem na pokład, gdzie nudzący się kierowcy bacznie oglądali land - rovera.

- Czy to samochód amerykański? Ile ma cylindrów? Jaką osiąga szybkość? Czy możemy zobaczyć silnik? - pytali kierowcy jeden przez drugiego, a ja fachowo odpowiadałem na ich pytania i tak umilaliśmy sobie wzajemnie czas oczekiwania na wywrotkę. Wreszcie wjechała na pokład, powodując swym ciężarem przechył całej jednostki. Teraz byliśmy już w komplecie i niebawem prom ruszył w kierunku przeciwnego brzegu, na którym czekała długa kolumna samochodów i tłum zniecierpliwionych pasażerów.

Rzeka Wiatka płynie bardzo malowniczo. Jej wysokie strome brzegi porośnięte gęstym świerkowym lasem tworzą niezapomniany, przepiękny krajobraz. Dzisiaj wszystko wygląda wyjątkowo pięknie, bowiem załamujące się przez rzadkie chmury promienie słoneczne zabarwiły okolicę pastelowymi, spokojnymi kolorami.

Płyniemy w górę rzeki. Kapitan jakby nie zauważa przeciwnego brzegu i stojących nań pasażerów. Dopiero po czasie wykonuje gwałtowny zwrot i wraz z nurtem rzeki ostrożnie podchodzi do brzegu, szukając dogodnego miejsca do cumowania. Na pokładzie manewruje już wywrotka, by w odpowiednim momencie wysypać piach, po którym wyjadą z promu pojazdy. Wreszcie cumujemy: w pierwszej kolejności wyjeżdżają samochody ciężarowe - one swym ciężarem ubijają drogę, następnie traktory i wreszcie osobowe, które z różnym skutkiem osiągają twardy grunt. Wreszcie kolej na mnie, bez problemów opuszczam prom, sygnałem żegnam kapitana i załogę, stromym podjazdem wyjeżdżam na piaszczystą drogę i po chwili znikam między świerkami.

Droga podobna do poprzedniej, piaszczysta i równa, więc przemieszczam się stosunkowo szybko. Las, samotne, opuszczone domy, później całe wsie. Prawie codziennie mijam miejsca usiane szczątkami ludzkich siedlisk. Domy bez okien, zbutwiałe resztki ornamentów zdobiących w przeszłości budynki, samotnie sterczące kominy, gdzieś pozostałości prymitywnych urządzeń - wkoło żadnego śladu życia. Ponuro sterczące ślady niespełnionych marzeń, nieudanych przedsięwzięć. Odnosi się wrażenie, że jeszcze do teraz kręci się w pobliżu jakaś energetyczna siła, pamiętająca ciepło pomieszczeń, zapachy przyrządzanej strawy, radość, smutek i tęsknoty mieszkańców. Ciekawe, kiedy i dokąd odeszli stąd ludzie ku swojej kolejnej niewiadomej... Jest pewne, że w okalającym zgliszcza lesie na zawsze jest zapisana ich przeszłość... Może to właśnie tu mieszkali bohaterowie powieści Puszkina i Dostojewskiego, może tą właśnie drogą, którą teraz jadę, pędziły trojki, miały pokryte śniegiem chaty, a z kominów, które stoją do dzisiaj, unosił się prosto ku niebu dym...

Po godzinnej jeździe zauważam jezioro bajecznie położone wśród lasu, więc zatrzymuję się na odpoczynek. Przyrządzam coś do jedzenia, siadam na brzegu, jedząc, podsumowuję dotychczasową podróż.

Rosja jest pięknym, wciąż dziewiczym krajem i choć niewiele jeszcze widziałem, to na podstawie przebytej drogi mogę stwierdzić, że to jeden z ostatnich naturalnych rezerwatów przyrody. Na przykład tutaj: kłująca w uszy cisza, całkowite bezludzie, jezioro, las - wszystko to sprawia, że czuję w sobie niewidzialną, potężną siłę. Obcując coraz częściej z niezmaconą przez człowieka przyrodą, w niewiarygodnie szybkim czasie regeneruję nadwątlone cywilizowanym życiem siły. Siedząc tak, myślę o milionach znerwicowanych ludzi, którzy faszeryowani przepisany przez lekarza tabletkami udają życie, większość z nich myśli nawet, że te kretyńskie tabletki im pomagają. Cóż my wiemy, my, dumni ludzie cywilizacji, którzy dawno dobrowolnie odłączyliśmy się od naturalnego

„akumulatora”? Nic nie wiemy, żyjemy tylko w pogoni i stresie, w pogoni za czym? - za niczym.

Siedziałem na brzegu tego jeziora i byłem autentycznie szczęśliwy; szczęśliwy, ponieważ miałem w perspektywie długie tygodnie kontaktu z tą przepiękną, cudotwórczą przyrodą.

Wieczorem dojechałem do jakiejś miejsciny i pewnie byłbym ją minął, ale wśród walących się ze starości drewnianych chałup spostrzegłem ruiny starej murowanej cerkwi. Skąd taka świątynia na tym pustkowiu? Dlaczego jest murowana, skoro wszystko dookoła jest z drewna? - główkowałem. Zaciekawiony, postanowiłem zatrzymać się i w miarę możliwości dowiedzieć się czegoś na ten temat. Zauważyłem kobietę niosącą wiadra z wodą, podszedłem i zapytałem o cerkiew.

- To ty nie wiesz? - zdziwiła się niewiasta. - To Konstantinowa Cerkiew, a miejscowość, w której się znajdujesz to ulubiona letnia rezydencja carycy Katarzyny I. A tam - pokazuje ręką - był nawet mały kreml, ale ludzie go na cegły rozebrali - została tylko cerkiew, bo nikt nie miał odwagi jej zburzyć. Ta oto droga, którą przyjechałeś, to stary szlak chiński, wtedy przemieszczały się karawany kupców z Azji do Europy. Teraz już nikt tutaj nie jeździ - zadumała się kobieta.

- A czy ty jesteś Cyganem? Czym handlujesz? - pytała, patrząc na mój obładowany samochód.

Wyjaśniłem, że jestem turystą i dlatego jadę starą historyczną drogą, chcę zobaczyć ciekawe zapomniane miejsca.

- A kto to jest turysta i co robi? - spytała, nie wiedząc w dalszym ciągu, jak mnie zaszeregować.

- To taki facet, co jeździ i patrzy - odpowiedziałem zaskoczony tym banalnym pytaniem.

Przyglądam się z bliska świątyni, która stoi na lekkim wzniesieniu, otoczona zielonymi o tej porze drzewami. Metalowa brama zamknięta na dużą kłódkę, wkoło leżące drewniane szczątki rzeźbionych ornamentów stanowiących w przeszłości ozdobę cerkwi. W środku pozostałości po bogatym niegdyś wystroju - wszystko w totalnej rumie. Nagle pojawił się stary człowiek i nie pytany przez nikogo zaczął mówić:

- Co tu jest do oglądania - to normalna kolej rzeczy, wszystko musi się narodzić i wszystko musi umrzeć... Były czasy świetności caratu i cerkwi i to po nich zostało - wskazał głową na cerkiew - były czasy świetności komunistów i też zostały po nich ruiny... To całkiem naturalne - powiedział cicho, jakby do siebie, i tak jak niespodziewanie się pojawił, tak szybko odszedł bez słowa.

To był duch cara - pomyślałem i śmiejąc się sam ze swojego dowcipu, pożegnałem to historyczne miejsce.

Przemieszczałem się dalej na wschód przez coraz rzadziej zamieszkaną część Rosji, gdzie spotykane w bezmiarze lasów wioski wyglądały jak oazy na pustyni.

Nazajutrz, około południa, wjeżdżam na dziurawe i ruchliwe przedmieścia Permu. Panuje tu typowy dla rosyjskich miast tłok i zgiełk. Wielkie ciężarówki wiozące źle załadowany ładunek, samochody osobowe, motocykle oraz konne zaprzęgi. Wszyscy szeroką arterią dojazdową przemierzają się powoli w kierunku centrum.

Stawiam samochód na parkingu hotelu o dumnej nazwie „Syberia” i udaję się na pobliski plac targowy. Chyba nigdzie, poza Rosją, tak wyraźnie nie widać różnicy, jaka rysuje się między miastem a wsią. Podczas gdy wsie nie zmieniły się wiele od czasów cara, to w miastach nastąpiły wielkie przemiany. Widoczny jest już gdzieś zachodni wystrój, a w sklepach prócz rodzimych nieestetycznie opakowanych towarów pojawiają się kolorowe zachodnie buble... Również targowisko pełne jest ekskluzywnych zagranicznych produktów, lecz ceny ich, podobnie jak w Moskwie, są kilkakrotnie wyższe niż w kraju pochodzenia. Do tego często handlujący nie wiedzą, co sprzedają, gdyż napisy na opakowaniach są obcojęzyczne. Sam kiedyś byłem świadkiem, jak kobieta zamiast kremem smarowała twarz białą pastą do butów, a to tylko dlatego, że pudełka pasty do butów i kremu do twarzy były ładząco do siebie podobne. Oglądających jest wielu, lecz kupujących mało.

Spaceruję między straganami i przyglądam się ludziom. Twarze mają skupione, poruszają się szybkim, nerwowym krokiem - robią wrażenie, jakby każdy z nich znalazł się tu przypadkowo i pośpiesznie starał się teraz opuścić ten „zakazany dla niego teren” Zauważyłem też, że mieszkańcy miast inaczej zachowują się niż ich krajanie mieszkający na wsi. W miastach są bardziej nieufni i z lekką bojaźnią patrzą na obcych. Moja uroda jest czysto słowiańska, ubiorem nie wyróżniam się od miejscowych, ale jednak Rosjanie z tego milionowego miasta wiedzą, że właśnie ja jestem tu obcy. Po czym to poznają?

Korzystając z okazji, kupuję trochę warzyw i owoców, by witaminami uzupełnić menu składające się głównie z konserw Przebywając w tym zgiełku i hałasie od ponad trzech godzin, z tęsknotą już myślę o ciszy i przestrzeni, więc nie marudząc, zbieram się i wyjeżdżam z miasta.

Wtopiony w sznur pojazdów wolno posuwam się naprzód, mijam liczne w tym mieście ogromne fabryki i dla urozmaicenia sobie czasu, próbuję odgadywać profil ich produkcji Zauważyłem, że wcale nie jest to aż takie trudne zadanie, gdyż można podzielić fabryki na dwie grupy. Pierwszą grupę stanowią zakłady posiadające tzw. pomnik -

produkt. Na przykład przed bramą wjazdową do fabryki produkującej traktory zastaniemy ustawiony na cokole traktor, przed zakładem, w którym wytwarza się obrabiarki - obrabiarkę - pomnik, itd. Oczywiście, każda z tych fabryk ma jeszcze uboczną produkcję, ale główny profil został ustalony. Drugą grupą tworzą zakłady ogrodzone drutem kolczastym, z licznymi wieżami obserwacyjnymi i choć te fabryki nie stawiają przed bramą pomnika - produktu, to i tak wszyscy się orientują, co jest tam wytwarzane. Dodam jeszcze, że, niestety, tych ostatnich fabryk widziałem na mojej trasie więcej...

Jeszcze nie tak dawno, bo przed trzema laty, większość miast byłego ZSRR była niedostępna dla obcokrajowców i miały nawet oficjalną nazwę „miast zamkniętych”. Tajemnicy państwowej strzeżono do tego stopnia, że nawet obywatele ZSRR, którzy pochodzili z innych stron, mogli przebywać w zamkniętych obszarach tylko na podstawie ważnej przepustki wystawionej oczywiście na określony czas.

Ponad godzinę zajmuje mi wydostanie się na drogę prowadzącą w kierunku ostatniego już na mojej trasie europejskiego miasta - Jekaterynburga (dawniej Swierdłowski). Nie zamierzam jechać główną szosą, odbierać sobie przyjemności poznawania pięknych okolic, więc w miasteczku o nazwie Kungur zjeżdżam na podrzędną drogę, by prowincjonalnymi szlakami dotrzeć do Jekaterynburga.

Dwa dni zajęło mi przemieszczenie się wyboistą, pełną błota drogą w pobliże wspomnianego miasta. Dni te nie należały do najpiękniejszych, gdyż prawie cały czas padał siarczysty deszcz, uniemożliwiając tym samym dokładne poznanie mijanych stron. W tym czasie odmówił pracy jeden z tylnych teleskopów i obciążony samochód „dobijał” kołami, trąc o zamontowaną nad tylnym błotnikiem skrzynię. Jazda była o tyle wyczerpująca, iż wymagała stałego manewrowania po wyboistej, nieutwardzonej nawierzchni. Postanowiłem odszukać w mieście warsztat samochodowy i przemontować pechową skrzynię w inne miejsce, a powstała w tym miejscu dziurę zanitować kawałkiem blachy. Cała operacja miała za cel uzyskanie przestrzeni między kołem a podłogą pojazdu.

Wjeżdżam na rogatki miasta i „dobrowolnie” zatrzymuję się przy wjazdowym posterunku GAI, znudzonych milicjantów pytam o radę.

- Znam jeden warsztat, który jest nawet niedaleko stąd, o tam - wskazał ręką - to baza naprawcza samochodów „Kamaz”. Jest pewne, że mają wszystko, co będzie potrzebne do naprawy - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Zapewne mają, jak zwykle, dużo pracy i niechętnie was przyjmą, ale znam tam parę osób i zaraz zadzwonię - dodał, życząc mi szczęśliwej dalszej podróży.

Bez trudu odnalazłem wskazany zakład, gdzie dzięki protekcji milicjanta już mnie oczekiwano.

- Niech pan się zgłosi do kierownika - powiedział jeden z mechaników, zamykając za samochodem bramę. Wszedłem do baraku pełniącego funkcję biura i zapukałem do wskazanych drzwi.

- Witamy na Uralu - powiedział kierownik bazy, wstając zza brudnego od smarów biurka. - W czym możemy pomóc? - spytał, podsuwając mi jednocześnie upačkane krzesło. Wyjaśniłem, na czym polegają moje kłopoty, zaznaczając jednocześnie, że usterkę tę naprawię sam, do szczęścia potrzebne są mi tylko nożyce do cięcia blachy.

- Co, ty nie masz zaufania do naszych mechaników? - spytał kierownik.

- Nie chodzi o zaufanie - wyjaśniłem, lecz słyszałem, że macie dużo pracy, więc nie chciałbym absorbować pańskich pracowników, zresztą usterka nic jest skomplikowana...

- Jeżeli jest to naprawa nieskomplikowana, tym bardziej pańska obecność w trakcie naprawy jest zbędna - odparł szef warsztatu. - Niech mechanicy pokażą, co potrafią, a my tymczasem pojedziemy do mnie na obiad. Już zdążyłem żonę powiadomić, że będzie nas więcej na obiedzie - dodał uśmiechnięty.

Nie sposób było odmówić, więc wbrew moim wcześniejszym założeniom, zdałem się na towarzystwo kierownika. Wyjaśniłem fachowcom, jakiej przeróbki sobie życzę i zostawiwszy cały swój dobytek na lasce mechaników, samochodem szefa pojechałem na proszony obiad.

Po półgodzinnej jeździe zatłoczonymi, dziurawymi i brudnymi ulicami Jekaterynburga dojechaliśmy do osiedla, składającego się z kilkunastu wysokich bloków. Osiedle wyglądało odrażająco, przypominało bardziej slumsy typowe dla biedoty południowoamerykańskiej niż europejskie miasto zamieszkanego przez cywilizowanych i wykształconych ludzi. Brudne dziurawe ściany budynków, tygodniami niewywożone śmieci, będące miejscem spotkań bezpańskich psów i kotów, zardzewiałe balustrady balkonów, na których mieszkańcy przechowywali stare, niepotrzebne już nikomu rzeczy; wszystko to tworzyło smutny obraz rosyjskiej miejskiej rzeczywistości.

Wchodzimy na klatkę schodową i tylko poczucie taktu zabrania mi zatkać nos. Roznosi się tu straszny odór dowodzący, że zwierzęta domowe zrobiły sobie w tym miejscu wychodek. Braku estetyki dopełniają żelazne drzwi prowadzące do poszczególnych mieszkań, których jedynym zadaniem jest zabezpieczenie drewnianych drzwi właściwych. Każdorazowe otwarcie lub zamknięcie mieszkania powoduje hałas, roznoszący się echem w całym budynku. Wreszcie wchodzimy do mieszkania, gdzie wita mnie uśmiechnięta żona kierownika. Poustawiane w korytarzu kapcie świadczą o tym, że

w domu tym zdejmuję się buty, więc chcąc nie chcąc zdejmuję obłocone ekspedycyjne buciory.

Zaskakuje mnie duży metraż i funkcjonalność mieszkania.

- To „chruszczówka” - wyjaśnia gospodarz, widząc, że rozglądam się po pomieszczeniach. - Mieszkania w Rosji mają parę określeń, w zależności, za czyjej kadencji były zbudowane. Mamy „stalinówki”, „chruszczówki”, „breżnieówki” i „gorbaczówki”. Najlepsze są jednak „chruszczówki”, gdyż są największe i solidnie zrobione - dodał z dumą.

Po chwili gospodyni poprosiła nas do obszernej kuchni, gdzie stał „suto” zastawiony stół: były ziemniaki w mundurkach, ryba w oleju, konfitury własnej produkcji i duża wiązka szczypioru. - Czym chata bogata - wyrecytowała gospodyni i przystąpiliśmy do posiłku.

Dla mnie, który od tygodni jadał na kamieniu lub pniu drzewa, obiad ten był wyśmienitą ucztą - siedziałem przecież przy stole... Po obiedzie otrzymaliśmy na deser podgrzany na patelni czarny razowy chleb, który posmarowany konfiturami spełniał rolę ciasta. Nie obyło się oczywiście bez tradycyjnej rosyjskiej herbaty, którą w Rosji podaje się z konfiturami zawsze po posiłku.

Po pewnym czasie gospodarz zatelefonował do bazy, gdzie oznajmiono, że samochód jest już gotowy do dalszej drogi. Poinformowano również, że w ramach usługi sprawdzono dokładnie cały pojazd... Zadrżałem na wieść o tej dodatkowej kontroli, ale jeszcze wtedy mało wiedziałem o Rosji i Rosjanach, a kompletnie nic o Syberii i Sybirakach, bo jak się okazało, to właśnie Sybiracy naprawiali mi samochód, bowiem od paru już godzin byłem na Syberii...

Serdecznie podziękowałem małżonce kierownika za gościnę, po czym pojechaliśmy po odbiór pojazdu. - Ile jestem winien za naprawę? - spytałem, gdy znaleźliśmy się ponownie w warsztacie. - Za jaką naprawę? - zdziwił się kierownik. - To tylko drobna koleżeńska pomoc i o jakichkolwiek rozliczeniach nie ma mowy.

Na nic zdały się moje protesty; widząc, że nic w tym przypadku nie wskóram, obdarowałem pracujących przy naprawie mechaników, a także szefa warsztatu puszkami piwa oraz zachodnimi papierosami. Nie zapomniałem również o gościnnej żonie kierownika, której przez męża przekazałem kilka czekolad oraz inne słodycze.

Zegnano mnie jak starego znajomego, wszyscy jak jeden wylegli przed bramę i długo jeszcze stali po moim odjeździe. Tymczasem udałem się w dalszą drogę w kierunku miejscowości, gdzie mieszkał wuj kapitana promu, chodząca historia Syberii.

Dom wuja położony był w mieście, którą można by uznać za peryferyjną dzielnicę

Jekaterynburga, gdyż stał przy podrzędnej dojazdowej drodze do miasta. Nikołaj Pietrowicz, jak wynikało z danego mi adresu, z uwagą przeczytał list od siostrzeńca, po czym powiedział: - Kartofle u mnie są, nie będziemy głodować - zapraszam do środka.

Wszedłem na podwórze kształtem przypominające podkowę - jest to typowa zabudowa, jaką można zobaczyć w całej Rosji. Front wraz z szeroką wahadłową bramą ogrodzony był wysokim drewnianym parkanem, którego szerokie deski, szczelnie przylegające do siebie, zasłaniały wnętrze posiadłości. Dwa pozostałe boki wypełniały zabudowania domu mieszkalnego oraz chlew wraz z zabudowaniami gospodarczymi i prowizoryczna stodoła na siano. Na środku stała studnia, jedynie tył podwórza był odsłonięty, ukazując widok na pola i rosnące na nim zboże. Wszędzie panował ład i porządek, co świadczyło o zamiłowaniu właściciela do czystości.

- Wejdźmy dalej - powiedział Nikołaj Pietrowicz, otwierając drzwi prowadzące do domu. - Komfortu miastowego u mnie nie ma, ale jest dach nad głową i, co najważniejsze, jest ciepło. Dom składał się z jednej izby, która przedzielona była stojącym na środku zapiekiem, tworząc tym samym jakby dwa pomieszczenia - kuchnię i sypialnię. Wyposażenie mieszkania wyglądało na blisko stuletnie, lecz wszystko utrzymane w dobrym stanie, ogólnie było bardzo czysto i schludnie.

- Na razie popijemy herbaty, później przygotuję ci kąpiel, a wieczorem po kolacji sobie pogawędzimy - powiedział gospodarz, nalewając wody do starego samowara.

Nikołaj Pietrowicz wyglądał na osiemdziesięcioletniego człowieka. Jego pogodna, pomarszczona głębokimi bruzdami twarz, szczerze patrzące oczy i poharatane ciężką pracą ręce podświadomie wzbudzały szacunek, świadczyły również o tym, że człowiek ten w swoim życiu ciężko pracował na chleb. I chociaż nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze poznać, to byłem już prawie pewien, że siostrzeniec nie mylił się w ocenie swego wuja, uznając go za „chodzącą historię”. Obserwowałem go, krzątającego się po kuchni, jak to swoimi wielkimi, spracowanymi dłońmi skrzętnie układał dorobek swojego życia. Kilka aluminiowych łyżek, dwa stare garnki i parę pojemników po musztardzie, które spełniały rolę szklanek. I każdy podniesiony przez niego przedmiot został pieczołowicie obejrzany, tak jak troskliwie oglądane są samorodki, znalezione ten jeden jedyny raz w życiu przez poszukiwaczy złota...

- Nie będziesz tułać się po nocy, zostań do rana - powiedział Nikołaj Pietrowicz, kiedy już czysty siadłem do przyrządzonej ze wspólnych produktów kolacji.

- Jest już późno i nawet nie zdążyliśmy w tym całym zamieszaniu porozmawiać. Jestem już stary i niejedno w życiu przeżyłem, jednak ciekawy też jestem innego Świata, a i ty pewnie też nie przyjechałeś do mnie tylko na kartofle... - powiedział gospodarz,

przesądzać tym samym sprawę mojego noclegu.

- Przejechałeś już szmat drogi, ale najgorsze jest dopiero przed tobą. Twoja prawdziwa przygoda zaczyna się dopiero teraz, gdyż Jekaterynburg jest zachodnim przyczółkiem Syberii.

Ale zanim zaczniemy sobie opowiadać, podtrzymamy wiekową rosyjską tradycję i napijemy się po szklaneczce samogonu, będzie się nam lepiej gaworzyć. Czy wiesz, że w Jekaterynburgu zamordowano rodzinę carską? - spytał gospodarz, krzątając się po kuchni. Ale największym draństwem komunistów było to, że nazwiskiem mordercy nazwali miasto - kontynuował. - Człowiek, który przyłożył rękę do niejednej zbrodni, w tym do egzekucji rodziny carskiej, nazywał się Jakub Swierdłow. Teraz miasto nasze nazywa się jak dawniej - Jekaterynburg, lecz miejscowi długo jeszcze będą nazywali to miasto Swierdłowskiem... Jak będziesz w centrum, to odwiedź park miejski, stoi tam od niedawna pomnik upamiętniający tę zbrodnię, stoi dokładnie w tym miejscu, gdzie ongiś stał dom, w którym zakończyli życie Romanowowie.

To miasto zawsze było związane z władzą, nasz obecny prezydent Borys Jelcyn urodził się i wychował w Swierdłowsku, ale czy miasto na tym zyska, pokaże dopiero historia. Osobiście myślę, że nie, bo kim jest Jelcyn i jaki nosi bagaż doświadczeń? - żaden, to dziecko dobrej pogody, ale teraz wypijmy za nasze spotkanie - powiedział Nikołaj Pietrowicz, nalewając gorzałkę do pełna do naczynia po musztardzie. - Pierwszy do dna - zakomenderował gospodarz, wypijając cała zawartość szklany.

- Pamiętaj, zawsze bezpośrednio po wypiciu mocnego alkoholu wachaj chleb, najlepiej żytni - to stary rosyjski wypróbowany sposób na to, by jutro było dobre samopoczucie - upomniał, śmiejąc się.

- Więc chcesz przejechać całą Syberię - kontynuował Nikołaj Pietrowicz, mówiąc to głosem ani pytającym, ani stwierdzającym. - Ja ją już widziałem i nie wiem, czy chciałbym ją powtórnie zobaczyć, ale to co robisz, uważam za słuszne. Jesteś odważnym człowiekiem i patrząc na ciebie, czuję, że sprostasz temu zadaniu.

Wierzysz w to, co robisz, a to więcej jak połowa sukcesu; ja też taki byłem i wygrałem. Mam dach nad głową, kawałek pola, krowę i jak widziałeś, po podwórku moim chodzą kury. Dla ludzi z Europy, którzy mieszkają poza granicami byłego ZSRR, nie stanowi to wielkiego bogactwa, ale sam zobaczysz, jak mogą żyć ludzie u schyłku XX wieku - zobaczysz to na trasie swojej wyprawy. Przez długie lata byłem człowiekiem, któremu oficjalnie odmawiano prawa do życia i traktowania jak istoty ludzkiej, a to tylko dlatego, że byłem młody i dużo rozumiałem. Opowiem ci, jak czasami głupio mogą ułożyć

się losy ludzkie, losy, dzięki którym dane mi było poznać Syberię.

Urodziłem się i wychowywałem w Moskwie i na swoje szczęście lub nieszczęście uczyłem się w szkole, która kształciła przyszłych hydrotechników i meliorantów. Miałem wówczas dziewiętnaście lat i do ukończenia szkoły brakowało mi niespełna roku nauki, gdy w tym samym czasie naszemu „wielkiemu wodzowi i przyjacielowi ludu”, towarzyszowi Stalinowi wpadł do głowy iście farański pomysł budowy Kanału Białomorskiego. Niewykwalifikowanej siły roboczej w ZSRR było pod dostatkiem, bo obozy koncentracyjne istniały u nas już piętnaście lat przed Hitlerem, lecz brakowało inżynierów i techników, czyli wyuczonych fachowców. A władza radziecka zawsze była pomysłowa i mając na względzie dobro ludu, stwierdziła, że my, uczniowie uczący się melioracji i hydrotechniki, już teraz zapowiadamy się na przyszłych wrogów klasowych, więc spreparowano fałszywe oskarżenie i wlepiono kilku młodzieńcom w naszej szkole na początek pięcioletnie wyroki.

W tej grupie byłem również ja i tak w październiku 1931 roku znalazłem się wraz z kolegami szkolnymi w Miedwieżegorsku, gdzie mieścił się zarząd budowy Kanału Białomorskiego. Na terenie przyszłej budowy zastaliśmy parotysięczną grupę więźniów, którzy pomimo panującego już pod tą szerokością geograficzną chłodu mieszkali po prostu pod gołym niebem lub w prowizorycznych szałasach zrobionych z gałęzi. Brak było materiałów budowlanych, betonu, żelaza, nawet siekiera była rzadkością; byli tylko ludzie, łopaty i źle skonstruowane ciężkie taczki. Wyznaczono termin ukończenia budowy, który wynosił dwadzieścia miesięcy!!

I tak średniowieczną techniką rozpoczęto tę wielką inwestycję, ręcznie kopiąc ziemię, którą wywożono taczkami na pobliskie hałdy. Jako osoba bądź co bądź wykształcona zostałem majstrem falangi (dwustu - , trzystuosobowa brygada), co nie znaczy, że tylko nadzorowałem pracę. Byłem tak jak inni więźniem i razem ze wszystkimi pracowałem, a do tego byłem odpowiedzialny za wykonanie ponadludzkiej dziennej normy.

Tylko pierwszej zimy, jak się szacuje, zginęło na miejscu budowy około stu tysięcy więźniów. Na moich oczach ludzie zamarzali lub padali z wycieńczenia i głodu.

W drugim roku, było to chyba latem, rozszalała się epidemia tyfusu i pociągnęła za sobą tysiące ofiar. Ludzie czasami pracowali po czterdzieści osiem godzin bez przerwy, nie zawsze otrzymując wyżywienie. Już wtedy porównywano naszą pracę i nas samych do niewolników z czasów faraona, z tą różnicą, że faraon płacił za swoich niewolników, gdyż w większości wypadków musiał ich kupić, a Stalin miał ich za darmo... Mógłbym jeszcze długo opowiadać o tym przeklętym kanale, ale jest mi ciężko przywoływać tamte smutne

dni. Dodam tylko, że budowa została ukończona zgodnie z terminem, i tak pierwszego maja 1933 roku został ukończony 227 - kilometrowy pomnik komunistycznej zbrodni, gdzie w ciągu dwudziestu miesięcy na skutek zimna i katorżniczej pracy zginęło ponad trzysta tysięcy ludzi. Niedawno czytałem w jakimś czasopiśmie, że Kanał Sueski, długości 160 kilometrów budowano dziesięć lat... Pikanterii dodaje fakt, że kanał okazał się wielkim niewypałem, gdyż przepłynął nim tylko jeden statek, i to pamiętnego pierwszego maja 1933 roku. Kanał okazał się po prostu za płytki...

Po Kanale Białomorskim przyszła kolej na kanał Moskwa - Wołga, lecz tam byłem niedługo, bo złamałem nogę podczas wypadku i w ten sposób wylądowałem w szpitalu. Po leczeniu krótko przebywałem w małym obozie pod Moskwą, gdzie pracowałem jako krawiec, szyjąc mundury dla wojska, lecz uznano to za zbyt przytulną posadę dla takiego wroga ludu jak ja i resztę kary ze sławnego artykułu 58 odbyłem w budynku więziennym Górnouralskiego izolatora. Wyrok odbyłem w całości i nie doczekałem się nawet jednej odpowiedzi na składane przeze mnie podania o warunkowe zwolnienie - prawdopodobnie nikt ich nawet nie rozpatrywał.

Gdybym wówczas wiedział to, co wiem teraz, to na pewno życie ułożyłbym sobie inaczej. Nie chodzi o pierwsze moje aresztowanie, bo tego przewidzieć nie mogłem, ale o to, co nastąpiło później - powiedział Nikołaj Pietrowicz, przejęty opowiadaną przez siebie historią własnego życia.

- Jeszcze wówczas nie wiedziałem tego, że w kraju tym, kto raz był więźniem, temu już nigdy nie będzie wolno cieszyć się wolnością. W ZSRR człowiek wart był tyle, ile warte były jego papiery. A jak miał je „pomazane” lub nie miał ich w ogóle, był nikim i mógł być w każdej chwili uwięziony. Więc zamiast wyjechać daleko, by zaszyć się w jakimś sowchozie, nawet na etacie traktorzysty, ja wróciłem do Moskwy i wierząc jeszcze naiwnie w sprawiedliwość, starałem się o przyjęcie na powrót do szkoły, by dokończyć naukę.

Oczywiście starania moje spełzły na niczym i zyskałem tylko tyle, że znów wpadłem w oczy wszechobecnej władzy bezpieczeństwa. Parę miesięcy później na którejś z wyższych uczelni w Moskwie doszło do manifestacji studenckiej, i ponieważ byłem już „na oku”, a mój rocznik właśnie w tym czasie studiował, więc przyszyto mi łatę agitatora i pewnej nocy ponownie aresztowano. Na nic zdało się tłumaczenie, że nawet nie wiem, gdzie owa uczelnia się znajduje - organa bezpieczeństwa wyrabiały swoje normy aresztowań i o jakiegokolwiek dyskusji nie mogło być mowy. Wówczas jeszcze nie przypuszczałem, że nie zobaczę już nigdy moich rodziców, a dom rodzinny dopiero w trzydzieści lat później...

I historia się powtarzała: jeden wyrok się kończył - dokładano drugi, stałem się

trybem maszyny niewolniczej, która nie mogła beze mnie pracować. Byłem na dalekiej Północy, pracowałem w kopalni złota w Jakucji i na słynnej budowie numer 550 na Sachalinie. Dopiero rok 1956 przyniósł mi wolność, lecz cóż to była za wolność, kto chciałby zatrudnić człowieka po dwudziestopięcioletnim wyroku? A jednak wygrałem, bo moje kości nie zostały na Syberii i spełniło się moje marzenie - na starość dom, ciepło i sytość.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, po czym, jakby kończąc tę historię, Nikołaj Pietrowicz powiedział: - Nie wierz nigdy w mądrość starców, ale przynajmniej posłuchaj, co mówią, przeanalizuj i zostaw z tego coś dla siebie. Powiem ci, co w życiu jest najważniejsze. Nie szukaj nigdy tego, co złudne: majątku, sławy - żeby to zdobyć człowiek rujnuje nerwy przez dziesięciolecia, a może stracić w ciągu jednej doby. Żyj z poczuciem spokojnej wyższości nad życiem, nie bój się biedy, nie żałuj straconego szczęścia, przecież nigdy nie jest tak, że ani goryczy do dna, ani słodyczy do pełna... Ciesz się, że nie marzniesz, że głód i pragnienie nie rwą ci wewnątrzności. Jeśli nie masz przetrąconego kręgosłupa, jeśli obie nogi chodzą, obie ręce się ruszają - to komu tu zazdrościć? Po co? Zawiść zżera w końcu samego zawistnika. Przetrzyj oczy, a najwyżej ceń sobie tych, którzy cię kochają i którzy ci dobrze życzą. Nie krzywdź bliźniego, nie obrażaj; pamiętaj - z nikim nie rozstawaj się w gniewie, bo nigdy nie wiadomo, czy to nie twój ostatni uczynek i czy nie taki twój obraz zostanie w ich pamięci...

Zapanowała cisza, która zwiastowała, że gospodarz zakończył swą opowieść.

Spojrzałem na mojego rozmówcę, i tak jak w pierwszej chwili naszego spotkania, ponownie zwróciłem uwagę na jego pogodną, pomarszczoną głębokimi bruzdami twarz oraz spracowane ręce; ręce, które były świadectwem życia tego człowieka i jego walki o przetrwanie. Przypomniały mi się wówczas usłyszane w Rosji czyjeś słowa, że na trasie swej podróży spotkam żyjącą jeszcze historię, opowiadanie o tamtych przeklętych przez miliony dniach. Poczulem się dumny z tego powodu, że to właśnie ja, a nie kto inny jest gościem tego niezwykłego człowieka, który opowiadając swoje losy, uczyni! mnie godnym przekazania tej historii...

- Spotkasz wielu takich jak ja - mówił dalej - bo na Syberii nikt nie osiedlał się dobrowolnie - wszyscy starsi ludzie mieszkający tam do dziś, to tak jak ja, byli więźniowie. To bardzo ciekawa społeczność, ale bądź pewien - w razie potrzeby zawsze na nich można liczyć, nie zostawią cię w biedzie, bo na Syberii obowiązuje niepisany obowiązek niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Nie musisz się niczego obawiać, gdyż jest to taki sam kraj jak każdy inny i tacy sami ludzie, którzy mają takie same serca i ciała jak inni. W każdym człowieku zawsze pozostaje coś nienaruszonego, coś nietkniętego, czego nie można

pokonać i zniszczyć. Więc nie bój się Syberii, naucz się ją akceptować, a na pewno dojdiesz do celu.

Była już bardzo późna noc, kiedy udaliśmy się na spoczynek i żał mi było, że rano ruszam w dalszą podróż, czułem bowiem dziwny niedosyt historii...

- Mamy chyba taką samą krew - powiedział nazajutrz Nikołaj Pietrowicz - och, gdybym był młodszy, pojechałbym z tobą - żartował, ściskając mnie przed odjazdem.

- Trzymaj się, wszystko będzie dobrze - dasz sobie radę...

Ranek był pochmurny i dżdżysty, a nadciągające ciemne chmury zwiastowały deszcz. Na ulicach Jekaterynburga panował spokój, miasto pogrążone było jeszcze w porannym śnie. Tylko od czasu do czasu zauważyć można było pojedynczych przechodniów, którzy w obronie przed chłodnym wiatrem szli z głowami wtulonymi w kołnierze. Wypatruję drogowskazu z napisem Kurgan, gdyż według mapy właśnie to miasto stanowi mój kolejny etap. Błądzą po Jekaterynburgu, wreszcie pytam ludzi o drogę. - Kieruj się na Kamieńsk Uralski, dalej to już tylko jedna droga, więc nie zbłądzisz - tłumaczy napotkany starszy człowiek.

Zauważam stację benzynową i choć paliwa mam dużo, to jednak zgodnie z zasadą tankowania do pełna, napełniam po korki wszystkie zbiorniki. Wreszcie wyjeżdżam z miasta, mijam ostatnie zabudowania starego drewnianego przedmieścia; przede mną roztacza się już tylko pagórkowata przestrzeń. To Ural Środkowy, a za nim rozpościera się Syberia!

III

Z naprzeciwka mijają mnie liczne samochody i ze zdziwieniem patrzę na kierowców, którzy jadą w samych podkoszulkach lub wręcz rozebrani do pasa. Ale im gorąco - pomyślałem, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że wjechałem w inną strefę klimatyczną, że na dworze panuje trzydziestostopniowy upał... Jestem niesamowicie zdumiony, gdyż jeszcze przed kwadransem było zimno i zapowiadało się na deszcz. Pierwszy raz w życiu doświadczyłem, jak wielką rolę w klimacie odgrywają, góry.

Jestem już w Azji, gdyż właśnie góry Ural na terenie Rosji stanowią europejsko - - azjatycka granicę. W samochodzie robi się piekielnie gorąco. Krótki postój, przebieram się w luźne letnie ubranie i jazda dalej.

Przede mną przestrzeń; przecinam zielone, wilgotne od rosy łąki, mroczną tajgę i pachnące igliwem zagajniki, prowadzony jasnym pasmem drogi. Lazurowe niebo styka się w oddali z gorącą, białą wstęgą piaszczystego duktu, migocące ciepłe powietrze faluje, a gorący wiatr uderza w twarz silnym strumieniem. Rozpalone do zenitu czerwcowe słońce wisi ciężko nad ziemią.

Jestem na Syberii! Cieszę się jak dzieciak, dziwna jest ta radość wypływająca nie wiadomo z czego: z drogi rzuconej daleko, z ryku silnika, z wiatru rwącego w głowę... Wóz jedzie równo, jednostajnym rytmem rozdmuchuje ciszę południa, wielki, ciężki, posłuszny w moich rękach. Wyjeżdżam na olbrzymią równinę i w oddali widzę las kominów fabrycznych. To Kamieńsk Uralski - przemysłowy gigant Syberii. Nad miastem widać unoszący się smog, dopełniany bezustannie czarnym dymem wydostającym się z licznych wysokich kominów. Dym powoli zakrywa niebo; tworzy to pełną grozy scenę ze strasznej bajki, w której okrutny czarnoksiężnik rozpościera swe czarne, wrogie skrzydła, okrywa mrokiem całe miasto...

Po półgodzinie dojeżdżam w pobliże miasta. Po obu stronach drogi, na obszarze setek hektarów, widać domki rekreacyjne stojące w równych szeregach. Domki zbudowane są według jednego projektu, niezbyt zresztą gustownego, ale za to swym nowym wyglądem dowodzą, że powstały już po upadku władzy radzieckiej. Obraz wiejskiej sielanki zakończył się równie szybko, jak się pojawił, gdyż po paru minutach znalazłem się już w centrum Kamieńska Uralskiego. Tu króluje wielki przemysł z rafineriami, żelazobetonowymi blokami, z łoskotem, z tłumami ludzi i natłokiem ruchu samochodowego w każdym zaułku, w każdym punkcie miasta. Wszędzie panuje brud i nieład, ulice tylko kształtem przypominają swoje przeznaczenie, kolczaste ogrodzenia otaczające fabryki, ciągnące się kilometrami przez miasto zardzewiałe rurociągi,

poprzewracane latarnie uliczne - taki jest obraz rosyjskiego miasta przemysłowego.

Zatrzymałem się przed jakimś domem. Był to stary murowany budynek, odrapany i ohydny, jeden z wielu tysięcy miejskich domów, na który wystarczy tylko spojrzeć, aby zamarzyć, by drzwi tego domu zawsze były przed tobą zamknięte. Poczulem wielkie pragnienie wydostania się z tego przemysłowego piekła i rezygnując z planowanego odpoczynku, czym prędzej ruszyłem ku prawdziwej syberyjskiej przyrodzie.

Kominy fabryczne z każdym kilometrem pozostawały w tyle, a przede mną rozlała się olbrzymia równina Stepu Iszymskiego.

Wyciskam z land - rovera, ile mogę, pędzę przed siebie w bezmiar stepowej przestrzeni. Wokół całkowita pustka i nadziwić się nie mogę, że jeszcze jest pod kołami asfalt...

Wtem dostrzegam znak ostrzegający przed niebezpiecznym skrzyżowaniem dróg i po chwili tu, na tym pustkowiu, widzę duże skrzyżowanie, a nawet najprawdziwsze rondo... Z ciekawością patrzę na mapę, lecz... nie widzę na niej takiego oznaczenia. Po kierunkach, w jakich drogi się rozchodzą, wnioskuje, że po prawej stronie mijam właśnie Czelabińsk. Choć nie ma drogowskazu, to jednak wiem, że aby dojechać do Kurganu, muszę jechać prosto. Myślę jeszcze przez chwilę o tym dziwnym skrzyżowaniu, a może powstanie tu w przyszłości miasto? Na razie rozkoszuję się bezkresnym stepem, widokiem ładującym „akumulatory”. Po dwóch godzinach wyśmienitej jazdy dojeżdżam do miasta Kurgan i już bez zdziwienia stwierdzam, że jest wiernym odzwierciedleniem poprzedniego przemysłowego giganta: tłoczne, brudne i odpychające. Korzystając z obwodnicy, omijam je szerokim kołem. Przejeżdżam przez wałący się most na rzece Toból, mijam lotnisko cywilne, na którym rolę pasa startowego pełni wysypany żwir i ponownie wyjeżdżam na niekończącą się równinę.

Kończy się natomiast asfalt, więc tempo jazdy spada znacznie, ale mam jeszcze nadzieję tej nocy dotrzeć w okolicę granicy z Kazachstanem.

Opodal dostrzegam niewielką osadę, więc nieznacznie zbaczam z trasy, by zaopatrzyć się w wodę. Bez trudu odnajduję studnię znajdującą się w centralnym punkcie wsi. Przy akompaniamencie szczekających psów nalewam do pełna przeznaczony na wodę pitną pięćdziesięciolitrowy rezerwuar celowo zamontowany na dachu samochodu na wypadek podróży przez pustynny teren. Sprawa jakości oraz ewentualnego braku wody na terenie Kazachstanu jest ogólnie znana, więc przezornie nie chcę dopuścić do sytuacji, w której by jej zabrakło. Swoim nagłym nocnym przybyciem bardzo zaniepokoiłem czujne wiejskie psy, które głośnym ujadaniem pobudziły śpiących już o tej porze mieszkańców osady. Gdzieniegdzie pozapalały się w oknach blade światła, więc nie chcąc narazić się na

nieprzyjemności, czym prędzej opuszczam wieś.

Po pewnym czasie znajduję się już na całkowitym pustkowiu. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie widać najmniejszych śladów obecności człowieka. Z kilometra na kilometr droga staje się coraz bardziej trudna, po prawej i lewej stronie rozciągają się niekończące połacie bagien i mokradeł. Z przerażeniem patrzę na otaczający mnie teren i zastanawiam się, co zrobię, gdy wśród takiego krajobrazu raptem skończy się droga...

Postanawiam zrobić krótką przerwę, by zobaczyć, jak sprawa wygląda na mapie. Bacząc, by nie zapaść się w podmokłym terenie, ostrożnie zjeżdżam na bok, po czym wyskakuję z pojazdu, by rozprostować kości i pooddychać świeżym powietrzem. Wtem pojawia się narastający piskliwy szum. Chmara komarów obsiadła moje skąpo ubrane ciało i od razu przystąpiła do konsumpcji. Jednak dopiero kiedy poczułem piekący ból zdałem sobie sprawę, że trzeba natychmiast z tego miejsca uciekać. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem taką masę owadów, które siedząc na mnie, tworzyły jakby ciemny kobierzec. Opędzając się, wskoczyłem do samochodu, zamknąłem szczelnie okna i dostępną pod ręką mapą wy tłukłem wszystkie, które zdołały za mną wlecieć do środka przez otwarte drzwi. W wyniku masakry, jaką urządziłem tym małym stworzeniom, szyby samochodu pokryły się czerwonymi plamami, co podczas późniejszej jazdy znacznie utrudniało mi widoczność.

To zapewne te wielkie połacie bagien - tłumaczę zaistniałe przed chwilą zjawisko; nie zdaję sobie jednak jeszcze sprawy, że od tego dnia właśnie komary staną się moim największym wrogiem, nie do pokonania.

Na próżno wypatruję dogodnego miejsca na nocleg - wkoło tylko bagna. Chcąc nie chcąc jadę dalej. Droga w świetle reflektorów jest świetnie widoczna, co sprawia, że szybkie tempo jazdy jest utrzymane. Wreszcie bagna i błota pozostają daleko w tyle, zmienia się otoczenie. Pojawiają się rzadkie lasy i małe skupiska drzew. Zmienia się również nawierzchnia drogi, która z ubitej kamienistej zamienia się w piaszczystą. Jedzie się „miętko” jak po równym stole; pęd pojazdu sprawia, że w tyle powstają tumany kurzu, ciągnące się jak ogon komety za mknącym szybko do przodu samochodem. Już tylko kilkadziesiąt kilometrów dzieli mnie od granicy z Kazachstanem i z niepokojem zaczynam myśleć, co będzie, gdy przy wjeździe do tej autonomicznej republiki zażądają okazania wizy, której nie posiadam.

Będąc jeszcze w Moskwie, dowiedziałem się, że władze Kazachstanu, Jakucji oraz wielu innych byłych republik radzieckich nie darzą zbyt dużą miłością Rosjan i obcoplemieńców, wymagając od nich wiz przy wjeździe na swoje terytoria - jak będzie ze

mną, okaże się niebawem.

Nagle widoczność znacznie się pogorszyła. Zorientowałem się, że jedzie przede mną jakiś duży pojazd, który pędząc w tym samym kierunku, zostawia za sobą tuman unoszącego się piasku. Nie chcąc ryzykować jazdy na oślep, zjeżdżam ostrożnie na pobocze, aby przeczekać do chwili, kiedy zawiesisty pył opadnie. Czuję się wyśmienicie, więc wbrew wcześniejszym postanowieniom postanawiam kontynuować jazdę nocą, przymusowy postój wykorzystuję na zjedzenie kolacji oraz pokrzepienie się mocną kawą.

Wkoło panuje niezmacona żadnym hałasem cisza, tylko od czasu do czasu słychać cichy przyjazny szum wieczornego wiatru, królującego wysoko wśród koron pobliskich drzew. Obudzony z dziennej drzemki jakiś nocny ptak wydał przeraźliwy krzyk, rozrywając uroczystą ciszę. Z podmuchem wiatru idą w moim kierunku ciepłe upojne stepowe zapachy...

Dwugodzinna przerwa świetnie wpłynęła na moje samopoczucie, więc wyruszam dalej.

Jest noc, noc bez księżyca, mająca swoją miękką poświatę, która srebrzy lekkie opary, stwarzając jakieś bajeczne nieruchome jakby wodne przestrzenie w dali.

Jadąc, rozmyślałem o następnym etapie podróży, o trudnościach i niewiadomych, o których jeszcze nie mam najmniejszego pojęcia. Nie jest to kryzys psychiczny ani apatia, tylko analiza sytuacji i doświadczenia, które w krótkim czasie trwania mojej ekspedycji zdążyłem już nabyć. Widząc te wielkie połacie ziemi oraz odległości i warunki, w jakich się obecnie znajduję, zaczynam wątpić, że zdołam szczęśliwie dojechać do celu. Kiedyś ktoś mądry powiedział: naucz się żyć i pracować z myślą, że nie może się udać - tylko wtedy od czasu do czasu udaje się coś naprawdę...

Teraz, kiedy w parę miesięcy po wyprawie staram się opisać wszystkie moje przygody, wiem, że to powiedzenie jest prawdziwe i że ma wielką wartość. Lecz wtedy tej pięknej nocy, jadąc odludziem w kierunku granicy z Kazachstanem, myślałem, że tylko to się udaje, w co się święcie wierzy, ale tak nie jest, udaje się to, co na zdrowy rozsądek udać się nie może...

Do granicy republiki było niedaleko i niebawem zobaczyłem na całkowitym pustkowiu jasno oświetlony obiekt. Po chwili zatrzymałem się przed pomalowanym w czarno - białe pasy szlabanem granicznym.

- Kim jesteś i dokąd jedziesz? - usłyszałem głos i ujrzałem kilku uzbrojonych po zęby żołnierzy, ubranych w kamizelki kuloodporne. Jeden z nich w stopniu oficerskim grzecznie poprosił o dokumenty, polecając jednocześnie, abym zjechał na bok i wyłączył

motor, po czym wraz z moimi wszystkimi dokumentami oddalił się do drewnianego baraku stanowiącego strażnicę.

Będzie dłuższa przeprawa - pomyślałem, widząc służbowe miny Kazachów. Siedząc w samochodzie, obserwuję, co dzieje się w jasno oświetlonej dyżurce: zebrali się tam wszyscy obecni na posterunku żołnierze i skwapliwie, jeden po drugim, przeglądają papiery. Wtem jeden z nich uchylił drzwi, gestami przywołując mnie do siebie. Będzie niewesoło - pomyślałem i z duszą na ramieniu wszedłem do pomieszczenia.

W strażnicy panował osobliwy zapach - mieszanka dymu papierosowego i alkoholu, co w połączeniu z panującym ciepłem tworzyło smród godny poważnej pijackiej meliny.

- Nie posiadasz wizy i nie możemy ciebie wpuścić na nasze terytorium - odezwał się najstarszy rangą, siadając jednocześnie na rancie mebla z wyglądu przypominającego biurko. - A czym w ogóle handlujesz? - zapytał uprzejmie oficer.

- Nie jestem kupcem, lecz ekspedycją - wyjaśniam - staram się dostać drogą lądową do Nowego Jorku; zapewne pomyliłem drogę i przez przypadek wjechałem na granicę - dodaję przezornie, widząc groźne miny Kazachów. - Ale prawdę mówiąc - kontynuowałem - nie ma innej drogi, więc jeśli mnie nie przepuścicie, będę musiał się cofać wiele kilometrów i w rezultacie nic dojadę do Nowego Jorku...

- Nic nie możemy dla ciebie uczynić, bo istnieją przepisy, których nie możemy łamać - odparł oficer, robiąc minę postaci tragicznej żywcem wziętej z Dostojewskiego...

Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że zaraz dojdziemy do obopólnej zgody i porozumienia, a wspólną tego płaszczyzny będzie posiadana przeze mnie wódka oraz dobrej marki zachodnie papierosy. Została tylko kwestia, jak to zaproponować, by nie urazić dumy Kazachów i nie napytać sobie dodatkowej biedy.

Wóz albo przewóz, pomyślałem, widząc napięcie pełne oczekiwania i nadzieje malującą się na twarzach obrońców granic.

- Przepisy są przepisami i nie należy ich w żadnym przypadku łamać, zaraz zawrócę i pojedę inną drogą - powiedziałem, grając w te same karty, co moi rozmówcy, zdając sobie jednocześnie sprawę, że o tej porze roku po prostu nie ma innej drogi - ale skoro już jestem tutaj, to proszę choć o zgodę na zrobienia sobie krótkiej przerwy, gdyż na drogach w nocy jest bardzo niebezpiecznie i można zostać napadniętym lub wręcz pozbawionym życia.

- Ależ bardzo proszę, jest dopiero druga w nocy, a służba nasza trwa do szóstej, więc nie ma problemu - odparł oficer.

Podziękowałem skwapliwie za okazaną mi życzliwość i po prostu od razu zaproponowałem wspólne wypicie piwa, argumentując swą propozycję suchym

kontynentalnym powietrzem oraz tym, że piwo jest przednie, gdyż zachodnie...

- Na służbie nie można, ale do końca przecież tylko cztery godziny, a i okazja taka, że z gościem to nawet wypada - odparł oficer, a jego twarz i obecnych w pomieszczeniu żołnierzy promieniowały w nadziei i szczęściu. Poleciałem więc żołnierzom przygotowanie miejsca na stole, a sam udałem się do samochodu po niezbędny prowiant: alkohol, papierosy i zagrychę.

Na strażnicy zapanowała wesoła atmosfera, wszyscy byli w stosunku do mnie bardzo życzliwi i przychylni. Żołnierze byli zdania, że nie należy tracić czasu, więc natychmiast przystąpiliśmy do konsumpcji. Prócz obiecanego piwa na stole znalazły się przyniesione przeze mnie butelki z wódką, konserwy i oczywiście papierosy. - Na zdrowie - zaryczały spragnione gardła Kazachów i wypiliśmy po głębszym. Gospodarze doszli do bardzo słusznego wniosku, że praca, czyli sprawdzanie dokumentów, przeszkadza im w kontynuowaniu dobrej zabawy. Otworzono więc opuszczony dotychczas szlaban, przepuszczając wszystkich bez kontroli, a zatrzymującym się automatycznie zdziwionym kierowcom puszczano stek wyzwisk i machano rękami, aby jechali dalej.

- Miesiąc temu mieliśmy jeszcze bardziej wesoło na służbie - powiedział dobrze już wstawiony oficer. Akurat w czasie naszej służby na granicę wjechała cysterna ze spirytusem jadącą do Celinogradu. Przetrzymaliśmy kierowcę oraz towarzyszącego mu właściciela spirytusu, ale dopiero po pięciu godzinach domyślili się, że my też ludzie i lubimy wypić. Wypłukaliśmy wówczas pięć kanistrów po benzynie i napełniliśmy je do pełna. Ty jesteś bardziej inteligentny i już Kazachstan stoi przed tobą otworem - śmiał się rubasznie oficer, robiąc przy tym głupie małpie miny, a ciężki nosowy oddech świadczył, że ma już dosyć. Inni żołnierze również patrzyli już zezem, ale żaden incydent się nie wydarzył, panowała po prostu solidarna pijacka zgoda.

Czas płynął wyjątkowo szybko i zanim się spostrzegłem, na dworze było już jasno. Spojrzałem na zegarek i ze zgrozą stwierdziłem, że jest piąta rano, więc do zmiany na granicy pozostała już tylko godzina. Znalazłem się w dość trudnej sytuacji, gdyż nie wiedziałem, co zrobić, by gospodarzy nie urazić, a przed szóstą godziną wjechać na terytorium Kazachstanu. Zrobiłem kilka nieokreślonych ruchów, które mogłyby świadczyć, że alkohol dostatecznie w moim organizmie zadziałał. Powiedziałem w pijackim żargonie znanym na całym świecie „że wysiadłem i mam już dosyć” i najlepszym wyjściem dla mnie będzie, jak odjadę w jakieś ustronne miejsce i odpocznę. Napomknąłem jeszcze, że będzie niezręczna sytuacja, w której się wszyscy znajdziemy, kiedy to przybędzie następna zmiana i zastanie nas wszystkich w takim a nie innym stanie.

- Nie ma czego się bać, ale która jest właściwie godzina? - wybełkotał dobrze już wstawiony oficer. - Po piątej - odpowiedział jeden z mundurowych.

- Więc jeszcze jest dostatecznie dużo czasu, by wypić na pożegnanie. Taki w Rosji zwyczaj i nic na to nic poradzę - powiedział prawie służbowo dowódca, a obecni żołnierze solidarnie potwierdzili ten fakt kiwnięciem głowy. Napełniono więc ponownie metalowe wojskowe kubki, pokrojono w plastry cebulę oraz resztę brudnego od żołnierskich rąk tłustego boczk.

- Za twoją pomyślność i abys dojechał cały i zdrowy do Ameryki - wznosił toast oficer. I jak na komendę, las żołnierskich rąk sięgnął po napitek. Nastąpiła krótka cisza, po której na strażnicy rozległ się metalowy, głuchy dźwięk uderzanych o siebie kubków wojskowych. Następnie powąchano chleb i zagryziono boczkem z cebulą, a miny Kazachów wydawały się przy tym rytuale obojętne.

- Znam niedaleko stąd odpowiednie miejsce, gdzie będziesz mógł wypocząć i dojść do siebie - powiedział gospodarz. - Płynie tam niewielka rzeka i to jest wielki plus, gdyż woda chłodzi, a dzień zarówno dla ciebie, jak i dla nas, zapowiada się dzisiaj wyjątkowo upalny... - Tam - wskazał ręką - jest piaszczysta droga, jedź nią dziesięć kilometrów na południe, a następnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni skręć na prawo. Będziesz co prawda jechał w odwrotnym kierunku, ale później jak odpoczniesz, to nadrobisz te parę kilometrów. Wjedziesz na step, tam już nie ma żadnej drogi, ale jedź cały czas prosto, a po około pięciu kilometrach odnajdziesz rzekę. To dobre miejsce na ukrycie się, są tam krzaki, nikt się nie kręci - zakończył dowódca objaśnianie terenu. - Jeszcze jedno - dodał - jeżeli kiedyś ktoś ciebie zapyta, którędy się tu dostałeś, odpowiedz tak jak nam, że poblądziłeś. I tak nikt w to nie uwierzy, bo tacy ludzie jak ty rzadko błędzą, ale zawsze wymówka jest. Okay? - wymamrotał dowódca placówki, mrużąc przy tym porozumiewawczo oko.

- Okay - odparłem, i korzystając z okazji, podziękowałem w najpiękniejszych słowach, jakie umiałem po rosyjsku wymówić. - Kazachowie to charakterny naród - dodałem, by pochlebić przełożonemu i pozostałym żołnierzom.

Nadeszła oczekiwana przeze mnie chwila pożegnania. Całowaliśmy i ściskaliśmy się z każdym z osobna tak szczerze, że przypadkowy obserwator stwierdziłby, że jest świadkiem, kiedy krewni żegnają bliską rodzinę, odjeżdżającą w nieznaną na stałe...

Ruszyłem chyżo przed siebie, by oddalić się od tego niebezpiecznego dla mnie miejsca, gdyż lada chwila spodziewałem się nadejścia żołnierzy przychodzących na służbę. Pędziłem do przodu wskazaną mi drogą, a pęd pojazdu sprawiał, że powstał za mną tuman piasku, który na wzór wojskowej dymnej zasłony przesłaniał mi widok na

kiwających jeszcze na pożegnanie dzielnych obrońców kazachstańskich granic.

Po krótkiej jeździe zgodnie z otrzymanymi instrukcjami zatrzymałem land - rovera przy niezbyt stromej skarpie; przede mną wolno, bez szumu, płynęła średniej wielkości rzeka. Stosując się do rad otrzymanych od oficera, postanowiłem zjechać ze zbocza, by znaleźć się jak najbliżej dającego chłód nurtu. Zjechałem na dół na równą płaszczyznę, którą kiedyś zapewne uformowała rzeka. Wtem patrzę, a przód mojego pojazdu wolno, majestatycznie zapada się pod ziemię... Czar tego zdarzenia prysł jak mydlana bańka, kiedy próbowałem samochód wycofać z zagrożonego terenu. Koła obracały się już w glinianej mazi, a każda próba dodania gazu przynosiła wręcz odwrotny skutek - samochód powoli zapadał się cały. Wreszcie oparł się głęboko na podwoziu, tak, że nie sposób było drzwi otworzyć i w rezultacie ze śmiechem na ustach opuściłemabinę samochodu oknem. Z czego się śmiałem - śmiałem się z mojej daleko posuniętej głupoty, którą wykazałem, wjeżdżając samochodem na podejrzanepodłoże bez uprzedniego sprawdzenia terenu. Śmiałem się jeszcze długo, w końcu sam nie wiedziałem czy to śmiech radości, czy rozpacz.

Zacząłem zastanawiać się nad swoją nową sytuacją. Co prawda przed wyjazdem zamontowałem w land - roverze wyciągarkę linową, licząc, że prędzej czy później spotkam się z podobną przygodą, ale w tym przypadku w żaden sposób nie mogłem sam sobie pomóc. Przede mną w odległości około dwudziestu metrów płynęła rzeka, a z tyłu było zbocze z rzadka porośnięte krzakami. Możliwość zaczepienia liny wyciągarki o cokolwiek nie wchodziła w rachubę. Topiąc się po kolana w gliniastej mazi, wyostałem się na skarpę. Rozejrzałem się po okolicy i z przerażeniem stwierdziłem, że nie ma tu żadnych kamieni ani kawałków drewna - niczego, co mogłoby być pomocne w wyciągnięciu samochodu z błotnej pułapki. Wokół jak okiem sięgnąć rozpościera! się widok na step z zeszlą, zeszlóroczną roślinnością i tylko płynąca przez jego środek rzeka nie pasowała do tego księżycowego krajobrazu. Pomimo wczesnej pory na dworze panował już solidny upał. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że to słońce przygotowało dla mnie naturalną pułapkę, nadając bagnu wygląd suchej, twardej powierzchni. Przyroda, żeby się całkowicie satysfakcjonować, stworzyła dodatkowo komary, które właśnie w tej chwili na mnie nasłała. Gdzieś kiedyś przeczytałem, że samica komara czuje obecność swych przyszłych ofiar z odległości sześciu kilometrów. Nie bardzo w to wówczas wierzyłem. Teraz przekonałem się, że jest tak naprawdę. Całkowitej stuprocentowej pewności nabyłem w parę tygodni później, będąc już na terenie dziewiczej syberyjskiej tajgi.

Bywało przeważnie tak: rozbijam obóz w dowolnym miejscu. Wychodzę z samochodu i z radością stwierdzam, że komarów w tym rejonie nie ma. Lecz dranie na

przekór moim modłom i nadziejom zawsze się pojawiały. Na złość całemu światu i wszystkim żywym stworzeniom, które krew w żyłach ma]ą. Komary w małe] lub dużej ilości, prędzej czy później, ale zawsze i wszędzie do końca mojej syberyjskie] podróży życie mi uprzykrzały. Teraz również głodne ich wnętrzości wyczuły bliskość ulubionego pożywienia, więc ile sił w skrzydłach przyleciały do „swojej letniej restauracji”... Ustal śmiech i żarty, zdałem sobie bowiem sprawę, że bez pomocy ludzi i sprzętu nie zdołam wyciągnąć samochodu z tej glinianej pułapki. Postanowiłem udać się z powrotem w kierunku granicy i prosić żołnierzy o pomoc. Nie zwlekając, ruszyłem natychmiast, a drogowskazem były pozostawione przeze mnie rano ślady opon. Po godzinnym marszu przez spaloną słońcem, wymarłą krainę, dotarłem do znanej mi wcześniej piaszczystej drogi. Dzięki Bogu komary zostały w towarzystwie rzeki, a mnie prócz wyrzutów sumienia i pragnienia nic więcej nie dolegało. Na trakcie panował spoko] i nic nie mąciło wszechobecnej ciszy, tylko ślady opon wskazywały na to, że od czasu do czasu prócz mojego samochodu coś tędy jeździło. Szedłem prosto w kierunku granicy, po jakimś czasie najpierw zauważyłem na dalekim horyzoncie tuman kurzu, później ujrzałem jadącego w moim kierunku motocyklistę. Gdy zbliżył się i ujrzał mnie idącego, zwolni! i zatrzyma! motor. Człowiek ten był starym rodowitym Kazachem i słabo mówił po rosyjsku. - Skąd idziesz? - spytał zdziwiony. Starłem się, jak umiałem, wyjaśnić mu swoje nieszczęście, ale przybysz zdawał się słabo mnie rozumieć, jednak gdy padło słowo „granica” wykrzywił w grymasie swoje bezzębne usta i coś powiedział w nieznanym mi języku, rozumiałem natomiast aż nadto jego gesty, z których wynikało, że mam coś nie w porządku w głowie...

- Wojskowi mc ci nie pomogą, bo nie mają odpowiedniego sprzętu - powiada - zresztą każdy pojazd w tym terenie jest mało użyteczny. - Tylko konie - dodał i gestem nakazał mi, bym wsiadł z nim na motor. Ruszyliśmy w kierunku, skąd przybyłem i po krótkiej jeździe Kazach zatrzymał motocykl w miejscu, gdzie skręciłem samochodem w step. Gdy spytałem go, skąd wiedział, że to ślady mojego pojazdu, wykrzywił swą starą twarz i odparł, że tylko ktoś, kto nie zna okolicy, może tutaj skręcić samochodem...

- Zobaczmy, jak to wygląda - krzyczał Kazach, starając się przekrzyczeć ryk stuletniego chyba motoru. Wjechaliśmy na step i jak poprzednio, jadąc po wyraźnych śladach, dojechaliśmy do wpół zatopionego w błocie land - rovera.

Stary człowiek na wzór doświadczonego dowódcy zlustrował miejsce mojej hańby, po czym rzekł niewyraźnie: - Cztery konie. Bez słowa zapuścił motor i oddalił się w sobie tylko znanym kierunku. Ogarnęła mnie obawa, czy człowiek celowo nie zostawił mnie w tej pułapce. Różne najgorsze myśli kotłowały mi MC w głowie, ale cóż mogłem zrobić, nie miałem wyjścia - musiałem zaufać temu niezbyt wylewnemu człowiekowi - mogłem tylko

czekać. Woda zamiast chłodu oferowała niezliczone ilości komarów, tak dokuczliwych, że nawet prażące słońce, które wypaliło wszystko wkoło, wydawało się tylko zbawiennym gorącym. Odszedłem więc w step na odległość około pięciuset metrów, gdyż wysoka temperatura była bardziej znośna niż ciągle bezskuteczne oganianie się od owadów.

To była pora roku, gdy nowa, młoda roślinność zaczynała się pojawiać spod zeschniętej trawy. Spacerowałem więc po wysuszonej na kość ziemi i z nudów przyglądałem się wszystkiemu. Zauważyłem, że ubiegłoroczna trawa stepowa ochrania młode źdźbła świeżej i jednocześnie glebę przed utratą wilgoci. Wywnioskowałem z tego, że gdyby nie zapobiegliwość samej natury, ziemia ta mogłaby zmienić się rychło w pustynię. Różne jeszcze filozofie i naukowe myśli przychodziły mi do głowy, ale inna ciągle powracała - czy nie zawiedzie mnie Kazach. Poczulem zmęczenie fizyczne, efekt nieprzespanej nocy, później dołączyła apatia, efekt widoku zatopionego land - rovera, wreszcie poczucie bezsilności. Zachciało ci się Syberii, ty baranie... - pomyślałem. Minęło prażące południe i słońce, czerwieniąc jakby ze wstydu, chyliło się wolno ku zachodowi. Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek ujrzę jeszcze starego człowieka, już gotowałem się do powtórnej wycieczki na granicę, kiedy usłyszałem głosy i śmiechy, tak mi się przynajmniej zdawało. Dopiero po chwili w ostrym świetle zachodzącego słońca pojawiły się rosnące z każdą chwilą sylwetki czterech jeźdźców pędzących w moją stronę. - Tutaj! Tutaj! - darłem się jak rozbitek na bezludnej wyspie, lecz nie odpowiedział nikt, słychać było tylko ich głośnie śmiechy i tętent zbliżających się koni. Po chwili stali już przede mną jak jeźdźcy apokalipsy, a konie ich były spocone i wyglądały tak, jakby ktoś oblał je szamponem...

- Dlaczego krzyczałeś? - spytał znajomy Kazach. - Bałem się, że mnie nie zauważycie - odpowiedziałem prawie ze wstydem, a Kazachowie na to wybuchli tak głośnym śmiechem, że przez chwilę myślałem, że naprawdę zwariowali. Wszyscy byli chyba w jednym wieku i nie posiadali już uzębienia, a ich twarze wykrzywione w spazmie śmiechu przypominały groźne maski afrykańskie. Również ich konie nie reprezentowały się zbyt sztywnie i skory byłem sądzić, że dorównywały wiekiem swoim właścicielom. Szkapy bez uprzęży, tylko u siodeł wisały zwoje lin. Widok ten pogłębił moją apatię, gdyż podejrzewałem, że starsi ci panowie przybyli tu tylko po to, by się zabawić i pośmiać. Ale stało się inaczej, śmiechy ich ucichły ' rozpoczęli żywą rozmowę w sobie tylko znanym języku. Gestykulowali przy tym żywo, a z ruchów ich rąk wynikało, że tematem dyskusji jest land - rover. Trwało to dosyć długo i wyglądało tak, jakby ich dyskusja przeszła w kłótnię. Wreszcie Kazachowie doszli do porozumienia i zjechali na swych rumakach ze skarpy. Zsiedli wreszcie z koni i odpięli liny przywiązane do siodeł.

Zapytałem usłużnie, jaką techniką mają zamiar wyciągnąć samochód z bagna i w czym mogę im pomóc, lecz oni tylko ruchem ręki nakazali mi stać w miejscu, uważając mnie tym samym za nieprzydatnego głupka... Jeden z nich, z trudem brodząc w gliniaste) mazi, doszedł do samochodu i zawiązał linę za tylny zaczep. Pozostali ustawili cztery konie w dwa szeregi i stosując jakieś dziwne wiązania, sprzęgli je razem. Na końcu związali liny ze sobą tak, że powstał węzeł podobny do orczyka. Następnie dołączono linę, która przytwierdzona była do samochodu i oryginalny zaprzęg był już gotowy. Cała operacja trwała nie dłużej niż pięć minut, a ja zrozumiałem wówczas, że pomimo szczerych chęci, starając się im pomóc, byłbym im tylko zawadzał. Ho! ho! - krzyknęli na konie moi wybawcy, liny się napięły i samochód przy pomocy końskich mięśni zaczął powoli wypęłać z glinianej pułapki. Po chwili silne rumaki, których rasy do dzisiaj nie mogę określić, pięły się zręcznie zboczem, by wreszcie znaleźć się na szczycie skarpy.

Samochód wyjechał już na twardy grunt. Kazachowie zatrzymali konie, odpięli linę łączącą samochód z zaprzęgiem, a ja niezwłocznie wskoczyłem do samochodu, uruchomiłem silnik i jakby bojąc się, że znów się zapadnę wraz z samochodem w błoto, z rykiem silnika wyjechałem na samą górę.

Kazachowie sprawnie zwinęli swe liny i przypięli je na powrót do siodeł. Widać było, że są zadowoleni, wydawali się nawet bardziej przyjaźni. Zostawiwszy konie związane razem ze sobą, podeszli do samochodu i wtedy jeden z nich słabym rosyjskim spytał, czy mogą jeszcze w czymś pomóc. Podziękowałem im, jak umiałem, za wybawienie mnie z opresji, dodając, że gdyby nie ich pomoc, to Bóg jeden wie, jak by się zakończyła ta przygoda.

Poprosiłem przy okazji, by powiedzieli, ile za tę przysługę sobie życzą. Wydawało mi się, że nie bardzo wiedzą, o co mi chodzi, więc by im to wizualnie wytłumaczyć, wyciągnąłem portfel z pieniędzmi. Gdy wreszcie zrozumieli moje intencje, ponownie zaczęli żywo rozmawiać w swoim ojczystym języku, a ja na próżno starałem się zrozumieć chociaż jedno słówko. Przyglądali się mi przy tym uważnie, jakby szacowali, na ile mogą mnie skasować. Ja natomiast zacząłem się już modlić, by na opłacenie tej imprezy wystarczyło mi pieniędzy.

- Na początku myśleliśmy - odezwał się jeden z nich - że jesteś geologiem, więc Rosjaninem i nawet było nam wesoło z tego powodu. Ale nie zgadzały się nam napisy na samochodzie, bo one nie są po rosyjsku... Później obejrzelismy twoje wyposażenie i doszliśmy do wniosku, że jesteś obcokrajowcem i dlatego nie przyjmujemy od ciebie pieniędzy. W Kazachstanie jest taki odwieczny święty zwyczaj, że gospodarz odpowiada dosłownie głową za bezpieczeństwo gościa, którego podejmuje. Ty przyjechałeś z daleka i

przebywasz na naszej ziemi, więc jesteś naszym gościem - powiedział dobitnie, zataczając przy tym ręką krąg na obszar, gdzie, jak okiem sięgnąć, roztaczało się pustkowie. Pozostali Kazachowie przytaknęli kiwnięciem głowy, a ja zrozumiałem wtedy, że są za dumni, aby przyjąć jakiegokolwiek wynagrodzenie. Poczęstowałem więc ich papierosami, które chętnie przyjęli i dokładnie obejrzeni, z ich min nic nie wynikało, nie wyrazili nawet zachwyty wbrew moim oczekiwaniom. Zrozumiałem wówczas, że nie są oni zwolennikami osiągnięć cywilizacji i szanują tylko to, co potrafią i posiadają;}. Patrzyłem na ich spalone słońcem twarze i pomyślałem o tych wszystkich „zachodnich” starcach, mieszkających w ekskluzywnych domach starców, czołgających się do grobu i czepiających się swych nędznych przyzwyczajzeń... Moi starcy byli z żelaza... Wiedziałem też, że znają każdy centymetr tej ziemi, że posiadają umiejętności i wiedzę, która przekazywana jest w tym kraju z pokolenia na pokolenie. Wyglądali przy tym na ludzi, którzy każdego dnia walczą o swoje życie. Pisząc powyższe, zdaję sobie sprawę, iż nie wyjawiam nieznanych dotąd spraw. Niemniej jednak na podstawie obserwacji, które poczyniłem, żyjąc długie Uta na Zachodzie, teraz przebywając w Rosji, stwierdziłem bardzo filozoficznie, że świat dzieli się na dwie równe połowy. Jednak na jednej z nich jest nie do życia, na drugiej zaś nie do wytrzymania...

Kazachowie zapytali, z jak daleka przybywam i dokąd się udaję. Gdy odpowiadałem na ich pytania, niczego nie komentowali, tylko w milczeniu słuchali. Wreszcie oznajmili, że muszą już odjechać i jeśli sobie tego życzą, to poprowadzą mnie przez jakiś czas we właściwym dla mnie kierunku.

Propozycja ta jakby z nieba spadła, gdyż w związku z nieprzespaną nocą oraz wydarzeniami dzisiejszego dnia czułem się nieswojo na tym terenie i nie byłem w stanie logicznie już myśleć. Kazachowie dosiedli koni i ruszyli klusem, kiwając rękoma, bym jechał za nimi. Wsiadłem więc do samochodu i ruszyłem za moimi wybawicielami. Jechali dokładnie na wschód, tak jakby posiadali kompas, od czasu do czasu oglądając się tylko za siebie, jakby czuwając nad tym, czy jadę cały czas za nimi. Konie ich przeszły teraz w galop, zostawiając za sobą niewielki, zdmuchiwany przez wiatr na bok, tuman kurzu. Cały ten widok przypominał szarżę kawalerii, która śmiało pędzi do ataku. Pewnie i z całkowitą swobodą siedzieli w siodłach, a rumaki ich łeb w łeb pędziły przed siebie. Po dłuższej jeździe przez wypaloną słońcem krainę, w oddali rozpostarł się widok na szmaragdowy potop ziela, utworzony przez soczystą młodą trawę. Daleko na horyzoncie widać było również ciemną wstęgę, która z każdą chwilą rosła w oczach, wreszcie rozpoznałem w niej ścianę gęstego lasu. Kazachowie jeszcze chwilę jechali w kierunku wschodnim, następnie skręcili na południe. Po jakimś czasie dotarliśmy do skraju lasu, Kazachowie zatrzymali

się i zsiadli z koni. - Trzeba nam trochę odpocząć - oznajmili, gdy dojechałem do nich.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że cały dzień nie jedliśmy i chociaż uczucia głodu nie odczuwałem, to zaproponowałem spożycie wspólnej kolacji. Chętnie na to przystali, więc wyciągnąłem prowiant i rozpocząłem przygotowania do wieczerzy. Jeden z nich zajął się w tym czasie końmi, pozostali zaczęli gromadzić drewno na ogień.

Zjedliśmy konserwy mięsne, które przyrządziłem na ciepło, a ponieważ nie chciałem tracić czasu na gotowanie makaronu, zagryzaliśmy tę wykwinną kolację czerstwym już prawie chlebem. Kazachowie zaś z wiadomych przyczyn wrzucili chleb do potrawy i zmuszeni byli czekać, aż trochę rozmoknie... Tym razem jednak pochwalili konserwowe jedzenie i gdy siedzieliśmy już przy herbacie, z min ich widać było, że mnie na swój sposób zaakceptowali. - Zapili my teraz naszego papierosa - powiedział jeden z nich, bo te twoje to nic nie działają - dodał, wyciągając z kieszeni sfatygowanej kufajki zawiniątko z tytoniem i szarą bibułkę. Zręcznie skręcił długiego papierosa i poda! mi go do przypalenia. Chociaż inni również byli palaczami, to z jakiegoś powodu schował tytoń z powrotem do kieszeni. Pomyślałem natychmiast, że jest chyba tutaj taki zwyczaj, że wszyscy palą wspólnie jednego papierosa, podobnie do tradycji Indian amerykańskich palących fajkę lub polskich górali, którzy tak sobie obmyślili, że piją wódkę z jednego kieliszka... Zapaliłem więc tego skręta i po paru sztachach podałem Kazachom. Papieros krążył teraz między mną a wybawicielami. Po kolejnym razie, gdy wciągnąłem dym do płuc poczułem, że świat mi z lekka wiruje przed oczami, a przemęczony organizm popadł w dziwną błogość. Teraz dopiero zgadłem, co za papierosy palą tu tubylcy. Był to zapewne haszysz lub coś w tym rodzaju. Kazachowie szybko się połapali, że ich „fajka pokoju” w moim mózgu już funkcjonuje. Szeptali coś do siebie i co chwilę życzliwie na mnie spoglądali.

Około trzydziestu kilometrów na południe znajduje się nasza wioska - powiedział jeden z tubylców - jeżeli masz ochotę być naszym gościem, to zapraszamy do siebie.

- Dziękuję, ale już dostatecznie dużo dla mnie zrobiliście, poza tym straciłem czas i chciałbym ruszyć dalej - odpowiedziałem.

- Wobec tego nam już czas w drogę, więc się pożegnajmy. Uścisnęliśmy sobie dłonie, jeszcze raz podziękowałem Kazachom za pomoc, a oni życzyli mi szczęśliwej podróży.

- Dalsza twoja trasa przez Kazachstan nie będzie już bardzo skomplikowana - powiedział optymistycznie jeden z nich. - Musisz jechać około trzystu kilometrów na wschód, aż dojedziesz do rzeki Iszym. Tam jeżeli kogoś spotkasz, to zapytaj, gdzie przeprawiają się promy z kołchozu. Jak już będziesz na drugiej stronie, to lekko odbij na

północ i jedź cały czas w tym kierunku. Po jakimś czasie dojedziesz do drogi, która zaprowadzi cię prosto do Omska...

Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym Kazachowie przywołali pasące się konie, okiełznali je, dopięli popręgi i zgrabnie na nie wsiedli. Pokiwaliśmy sobie rękami i ruszyli w swoją stronę. Stałem jeszcze długo, patrząc na nich, aż sylwetki jadących całkiem zmalły. Powróciło zmęczenie, czułem się niezdolny do dalszej jazdy, więc zdecydowałem się spędzić noc na miejscu, a ponieważ samochód stał na otwartej przestrzeni, postanowiłem wjechać nim do pobliskiego lasu. Otwieram drzwi do kabiny, patrzę, a na siedzeniu leży woreczek z tytoniem, ten sam, który Kazach po skręceniu papierosa tak skwapliwie chował do kieszeni... Do dzisiaj nie przypominam sobie, jaki moment wybrał stary człowiek, by zostawić mi tę pamiątkę.

Tego wieczoru długo myślałem jeszcze o tych ludziach, o ich dumie, o ich poświęceniu, o ich szacunku do tradycji i o tym, że aby mi pomóc, tam i z powrotem przejechali ponad sto kilometrów. Było jeszcze jasno na dworze, gdy zasnąłem i nie pamiętam, czy kiedykolwiek w życiu tak dobrze spałem.

IV

Obudziłem się jeszcze przed świtem. Wkrótce gwiazdy poczęły blednąć, a niebo rozjaśniać się stopniowo. Jedna po drugiej opadały nocne zasłony. Na widnokregu jako preludium do brzasku pojawiły się fioletowe pasemka, świeciły przez moment i zaraz znikwały, tracąc swą intensywność. Teraz powoli zaczęła ukazywać się purpura, która przyozdabiała niebo jakby ceremonialną szatą, mieniającą się tęczowo wszystkimi kolorami, od liliowego poprzez zieleń i niebieskość. Trwało to krótko, aż wreszcie spoza tej poświaty ukazało się czerwone rozpalone słońce. Nastął kolejny dzień.

Wypoczęty i oczarowany tym zjawiskiem postanowiłem nadrobić stracony czas i niezwłocznie ruszyć w dalszą drogę. Rozpalam ogień, zagotowuję wodę, zjadam śniadanie. Godzinę później pędzę już przez morze różnorodnych stepowych traw.

Krajobraz zmienia się co chwilę. Raz jadę przez płaskowyż, który obniżając się stopniowo jak gigantyczne schody, prowadzące daleko w doliny, daje możliwość zachwycania się przepięknym widokiem, raz niekończącymi się obszarami wypalonego przez słońce stepu. Godzina za godziną płyną wartko, wreszcie późnym popołudniem docieram do rzeki Iszym. Daleko na prawo widzę jakąś wieś, na oko około dwudziestu stojących koło siebie domów oraz pięć długich baraków wyglądających jak zabudowania gospodarcze lub chlewnie - pewnie kołchoz imienia Lenina. Natychmiast postanawiam tam dojechać i za radą starych Kazachów spytać o przeprawę promową. Po niespełna dziesięciu minutach budząc w osadzie sensację, znalazłem się w centrum wioski. Jak zwykle pierwsze zjawiają się dzieci... Widząc, że jest to mały kołchoz, spytałem, gdzie mieści się biuro. Dzieci z entuzjazmem wskazały mi najokazalszy budynek i po chwili jestem już w „gabiniecie” sekretarza tej instytucji. Przewodniczący kołchozu nie prezentował się wytwornie: ubrany był w kufajkę oraz minimum dziesięcioletnią flanelową koszulę, na nogach miał obłocone gumowce. Zobaczywszy mnie oraz okazały zagraniczny samochód, momentalnie przyjął wręcz postawę zasadniczą. - Jesteście pewnie z Moskwy? Dziennikarz? - zapytał przewodniczący, kłaniając się nisko.

- U nas jest wszystko w porządku i praktycznie żadnych dużych zmian nie ma - tłumaczył na wyrost spieszenie przewodniczący, zanim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić.

- Proszę się nie denerwować - powiedziałem. - To, że u was jest wszystko w porządku, to widać gołym okiem, ale tak się złożyło, że znalazłem się tu przypadkowo i potrzebuję waszej pomocy. Jestem w drodze przez Syberię - wyjaśniłem - i chcę przedostać się na drugą stronę rzeki - czy możecie mi w tym pomóc?

Przewodniczący natychmiast odzyskał rezon i będąc mile zaskoczony, powiedział, że uczyni dla mnie wszystko, co jest w jego mocy.

To, że na swoim obszarze jest królem i władcą, niebawem pokazał. Kiedy nie podnosząc słuchawki, pokręcił korbką od telefonu, już po paru minutach zjawiał się w pomieszczeniu człowiek okazujący przesadny szacunek dla przewodniczącego.

- Gdzie jest nasz prom? - spytał przewodniczący przybyłego. - Chłopcy stoją jakieś sześć kilometrów stąd i czekają na traktory - odparł przybyły.

- Połączcie się z nimi przez radio i niech najszybciej, jak mogą, tu podpłyną, trzeba redaktora przeprowadzić, i to zaraz - dodał dumnie, a ton jego polecenia wykluczał jakąkolwiek dyskusję. Podwładny opuścił pomieszczenie, a przewodniczący zaproponował herbatę. Chcąc umilić przewodniczącemu czas oczekiwania na swoją przeprawę, opowiedziałem o celu wyprawy, barwnie opisując swoje dotychczasowe przygody.

- Och, gdybym był młodszy, to też bym się z tobą zabrał - westchnął przewodniczący.

- Za czasów mojej młodości też dużo podróżowałem, co prawda nie za granicę, ale kawał ZSRR zwiedziłem - przewodniczący ożywił się bardzo i w przyływie wspomnień zaczął wymieniać regiony, w których przebywał, opowiadając przy tym najróżniejsze przygody z tego okresu. Czas płynął nam mile. Wtem ktoś zapukał do drzwi i ukazała się w nim głowa któregoś z pracowników.

- Panie przewodniczący, „przewoźniki” już płyną, za jakieś dwadzieścia minut już tu będą - powiedział i bez czekania na komentarz zamknął za sobą drzwi.

- Jest chwila czasu - powiedział gospodarz - więc pokażę ci moje gospodarstwo.

Specjalizujemy się w hodowli koni i w tym roku mamy dużo źrebiąt. Chodź, pokażę ci - powiedział, wstając zza biurka.

Przewodniczący kroczył pierwszy i objaśniał wszystko, co napotkaliśmy po drodze. Obserwujący nas z daleka ludzie coś szeptali do siebie i byli zapewne przekonani, że przewodniczący przyjmuje u siebie ważną osobę ze stolicy. Doszliśmy do dużego ogrodzenia i oczom moim ukazał się niesamowity widok. Wielkie stado koni, a raczej klaczy z małymi źrebiątkami. Pierwszy raz w życiu widziałem taką liczbę koni jednocześnie. Źrebiątka zabawiały się, ganiając i brykając, a klacze dostojnie skubały resztki występującej jeszcze gdzieś trawy.

- W Kazachstanie dużo kolchozów specjalizuje się w hodowli koni - wyjaśnił gospodarz - jesteśmy specjalistami w tej dziedzinie. Co prawda Jakuci też hodują konie, ale nasze tradycje są o wiele starsze... Powiedziałem, że pochodzę z Polski, która również posiada tradycje hodowli koni. Przewodniczący nic na ten temat nie wiedział, ale jak usłyszał słowo Polska, to wyraźnie się ożywił. - Mam dużo przyjaciół z Polski, mieszkają tu w Kazachstanie... W okolicach Pietropawłowska jest jeden kolchoz, gdzie około

osiemdziesiąt procent pracowników stanowią Polacy. Większość z nich do dzisiaj w paszportach ma wpisaną narodowość polską. To prawdziwi patrioci i naprawdę kapitalni ludzie, bardzo chętnie przebywam w ich towarzystwie...

Rozległ się dźwięk syreny okrętowej i odbił echem wśród zabudowań. - To nasi - powiedział przewodniczący - podjadę z tobą, żeby nie było nieporozumień.

Wkrótce prom dobił do brzegu, opuszczono klapę wjazdową, a przewodniczący ruchem ręki polecił mi wjazd na pokład. Sam natomiast wdrapał się po drabince do sterówki i coś powiedział do sternika, który tylko przytaknął głową.

- Życzę ci pomyślnej dalszej drogi i zawitaj jeszcze do nas - powiedział na pożegnanie przewodniczący i opuścił pokład. Odbiliśmy od brzegu i po dziesięciu minutach byliśmy już na drugiej stronie rzeki. Podszedłem do sternika, aby zapytać, ile jestem winien za przewóz, ale ten się uśmiechnął i powiedział, że jest tylko pracownikiem, któremu przewodniczący wydał polecenie. Poczęstowałem więc załogę papierosami, a za pazuchę kapitana wsadziłem flaszkę, mrużąc przy tym znacząco oko.

Czując, że wstąpiły we mnie nowe siły, postanawiam jechać bez przerwy całą noc. Według moich obliczeń do Omska pozostało około pięciuset kilometrów i za cel postawiłem sobie obejrzenie tego miasta o wschodzie słońca. Nie marudząc, ruszam w drogę. Po kilkugodzinnej jeździe docieram do miejscowości Roszinskoje, gdzie według mapy znajdować się powinno skrzyżowanie dróg.

Miejscowość wyglądała tak jak inne w tej okolicy i widać było, że powstała według takiego samego projektu jak pozostałe. Przejechałem przez wieś, ale nigdzie żadnego skrzyżowania dróg nie zauważyłem. Ponownie przejechałem, a skrzyżowania jak nie widać, tak nie widać. Zapadał już zmierzch i niewiele już ludzi można było spotkać w osadzie. Nie mając innego wyjścia, postanowiłem zapukać do jakiejś chaty i zapytać o skrzyżowanie, i oczywiście o dalszą drogę.

Zatrzymałem samochód przy okazałym drewnianym domu i zapukałem do drzwi.

- Proszę wejść - usłyszałem w czystym języku rosyjskim. Wchodzę do środka i pierwsze wrażenie jest wręcz szokujące. Mieszkanie urządzone było bardzo nowocześnie. Meblościanka, kolorowy telewizor, regały z książkami i mnóstwo najróżniejszych dywanów, które zamiast leżeć na podłodze, przyozdabiały ściany.

Przeprosiłem na wstępie gospodarza za zakłócanie spokoju oraz wytłumaczyłem przyczynę tak późnych odwiedzin. - Ależ nic się nie stało - uspokoił mnie młody człowiek wyglądający na inteligenta. - Jestem tu lekarzem - oznajmił - i często się zdarza, że budzą mnie w nocy - proszę siadać, zaraz żona zaparzy herbatę.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu - powiedziałem - prosiłbym tylko, by wskazał mi

pan drogę prowadzącą do Omska.

- Zaraz wszystko panu wytłumaczę - powiedział gospodarz - proszę tylko siadać i nie denerwować się.

- Ja tylko na chwilę... - tłumaczyłem, łudząc się, że gospodarz zrezygnuje z poczęstunku, ale odniosło to wręcz odwrotny skutek.

- To świetnie - ucieszył się lekarz - dawno nikt u nas nie był, zrobisz więc nam przyjemność goszcząc u nas chociaż przez chwilę. W ten sposób to ja nigdy nie dojadę do Nowego Jorku - pomyślałem, ale nie chcąc urazić gospodarza, zrobiłem minę zadowolonego z obrotu sprawy.

- Tatiana i Andriej - przedstawili się gospodarze. Oboje są lekarzami i od sześciu lat pracują na tej placówce. - Nie myśl przypadkiem, że sami sobie wybraliśmy ten piękny zakątek na Ziemi - śmiał się Andriej, nalewając herbatę. Schodzimy z Moskwy i tam kończyliśmy studia, później gdy otrzymaliśmy już dyplomy, dostaliśmy też pięcioletni nakaz pracy, który skierował nas właśnie tutaj. Co prawda jesteśmy tutaj już szósty rok i moglibyśmy próbować się gdzieś przenieść, ale teraz, w sytuacji, w jakiej znajduje się Rosja, znaleźć jakieś inne lepsze miejsce jest rzeczą praktycznie niemożliwą. Czekamy więc tutaj na lepsze czasy. Zapytałem o dalszą drogę Andrzej wykrzywił w grymasie usta i przecząco pokiwał głową - To nie żadne drogi - odparł - To tylko zarysy gliniastych, błotnistych szlaków, które w euforii współzawodnictwa i wykonania planu radzieccy kartografowie oznaczyli na mapach jako drogi. Co prawda o tej porze roku są suche, ale za to tak wyboiste, a normalna jazda jest wprost niemożliwa.

- A gdzie znajduje się tu skrzyżowanie? - zapytałem, pokazując oznaczenie na mapie.

- Skrzyżowanie? - zadumał się Andriej - Tu nie krzyżują się żadne drogi, ta która prowadzi w kierunku Omska jest nieoznaczona, a początek swój ma na placu kołchozu. Andriej wraz z żoną przyglądali się mojej mapie, a twarze ich wyrażały przy tym wesołość - To ładnie wygląda tylko na mapie, ale rzeczywistość jest inna - powiedział po chwili Andriej - znam okolicę w promieniu co najmniej dwustu kilometrów i jestem pewien, że nie ma tu ani kilometra porządnej drogi, może dalej, bliżej Omska, ale tu na pewno są tylko polne wyboiste szlaki.

Wreszcie rozmowa zesłała na tematy ogólne, a Tatiana w tym czasie, wbrew moim protestom, zajęła się przygotowywaniem kolacji - Jako lekarze jakoś dajemy sobie radę, gdyż żywność praktycznie u nas nie kosztuje. Gdy jesteśmy gdzieś z wizytą, to zawsze ludzie coś nam podarują. Raz jajka, raz kartofle, czasami i mięso się trafi. To się bardzo liczy, bo najdroższa jest tu żywność. Może wam wydawać się to śmieszne, ale nasze pensje

są niższe niż na przykład mechaników pracujących w kolchozie - to jest w pełni słowa równość, prawda? Ale cóż, człowiek nie wybiera ojczyzny - dodał filozoficznie na zakończenie Tatiana podała kolację. Jajka sadzone, kartofle smażone na słoninie, szczypior i jakąś maź przypominającą w smaku ser - To specjalność regionu - powiedział Andriej, pokazując mazisty ser. - Kazachowie robią to z kobyłego mleka, początkowo mieliśmy do tego uprzedzenia, ale się przyzwyczailiśmy - spróbuj, naprawdę jest dobry, a ponadto zdrowy - zachęcał lekarz.

Rzeczywiście, smakował wybornie, przypominając twaróg ostro przyprawiony ziołami.

Po posiłku gospodyni podała jeszcze herbatę i własnej roboty ciasteczka, które były twarde jak kamień, ale wyśmienicie smakowały - Może zostaniesz u nas na noc - zapytała Tatiana - miejsca, jak widzisz, wystarczy dla wszystkich - Dziękuję - odparłem - ale i tak już jestem spóźniony w swoim planie podróży, bo miałem trochę nieplanowanych przygód.

Widząc zainteresowanie, opowiedziałem pokrótce dotychczasową podróż, a gospodarze z zainteresowaniem słuchali, od czasu do czasu zadając pytania.

Atmosfera naprawdę była miła i z chęcią bym jeszcze dłużej pozostał u gościnnych lekarzy, ale przyrzekłem sobie za wszelką cenę ujrzeć Omsk w blasku wschodzącego słońca.

Andriej zaproponował, że poprowadzi mnie parę kilometrów, bym już na początku nie pobłądził. Wsiadł do swojego służbowego gazika i ruszył przodem. Skręciliśmy w stronę kolchozu i po kilku minutach staliśmy przed zamkniętą już bramą Andriej zatrąbił i po jakimś czasie ukazała się sylwetka stróża, który w towarzystwie psa nieokreślonej rasy podszedł do bramy zakładu. Doktor coś powiedział człowiekowi pilnującemu dobytku państwowego, bramę otwarto, wjechałem na dziedziniec. Omijając liczne przeszkody składające się ze starych części oraz maszyn, po chwili wyjechałem na zeschniętą, glinianą drogę, która zaprowadzić miała mnie do Omska. Jadący przodem samochód doktora zostawiał za sobą tuman gęstego kurzu, co bardzo utrudniało widoczność, więc dałem mu sygnał światłami, by się zatrzymał. Podziękowałem jeszcze raz za wszystko i dalej samotnie ruszyłem w ciemność ku swojemu przeznaczeniu.

Zgodnie z tym, co mówił Andriej, droga ta nie nadawała się do użytku. Koleiny i wyboje, które zostały uformowane przez traktory wiosną, zeschnięte teraz na kamień tworzyły twardą nierówną nawierzchnię, kryjącą dużo rozmaitych niespodzianek. Jazda odbywała się slalomem, a samochodem targały raz po raz wstrząsy. Wkoło otaczały mnie ciemności, tylko od czasu do czasu gdzieś daleko na horyzoncie można było zauważyć

blado świecące światełko, dające dowód, że jeszcze istnieje tu jakieś życie. Jadąc tak, rozmyślałem o producentach samochodów, urządzających rajdy samochodowe mające podkreślić świetność pojazdów - puście tu przez Syberię swoje maszyny, zobaczymy, które całe dojadą do celu.

Po kilkugodzinnej jeździe stwierdziłem, że usta mam pełne piasku Zatrzymałem MC na chwilę, by odpocząć i ugasić pragnienie i gdy zapaliłem w kabinie światło, oniemiałem. Całe wnętrze samochodu sprawiało wrażenie, jakby ktoś posypał wszystko mąką Drobne cząsteczki zeschniętej gliny wcisnęły się wszędzie, tworząc gruby biały kobierzec Ja natomiast wyglądałem jak młynarz, tylko oczy połyskiwały wśród szarej zasłony Pył był wszędzie w uszach, w nosie, we włosach i na odzieży. Co robić - nie ma rady, trzeba ruszać dalej w głąb tej glinianej pustyni.

Zaczęło świtać, kiedy zatrzymałem się na odpoczynek Wkoło jak okiem sięgnąć rozciągało się pustkowie. Teren był równy i porosły trawą Czyste, wilgotne poranne powietrze oraz śpiew licznych tu skowronków natychmiast usunęły przykre zmęczenie Rozglądałem się urzeczony dookoła, oddychałem całymimi płucami i cieszyłem się otaczającą mnie przestrzenią To niesamowite uczucie, które człowiek odczuwa, będąc sam na takim pustkowiu. Jak dalekie i śmieszne wydaje się wówczas cywilizowane życie pogoń za pieniędzmi, za bogactwem, za sławą Czułem się wolny, silny i jak mi się wydawało, byłem zdolny przestawiać góry Jakież piękne było to uczucie.

Zaparzyłem sobie kawę i popijając ją małymi łyżkami, delektowałem się każdą chwilą spędzoną wśród przyrody nietkniętej ludzką ręką. Daleka czerwona poświata zwiastowała rychłe pojawienie się słońca Rozłożyłem mapę i starałem się odgadnąć gdzie się obecnie znajduję. Biorąc pod uwagę kierunek oraz prędkość, z jaką się przemieszczałem, wywnioskowałem, że znajduję się już blisko głównej drogi prowadzącej do Omska. Chcąc jak najszybciej tam dotrzeć, postanowiłem opuścić gliniasty szlak, wjechać na porośniętą trawą równinę i jechać prosto na północ. Przed wjazdem przezornie zbadałem teren, który okazał się wilgotny, ale dostatecznie twardy. Włączyłem biegi terenowe i ruszyłem w kierunku północnym. Po trwającej około trzydziestu minut jeździe zauważyłem w oddali słupy telegraficzne, wywnioskowałem więc, że znajduje się tam droga.

Po chwili dojrzałem jadącą drogą ciężarówkę i byłem już pewien, że zobaczę Omsk o wschodzie słońca.

Asfalt objawił się jak sen Samochód sunie równo, nie podskakując na wybojach Co za komfort jechać drogą asfaltową... Dostrzegam znak drogowy - Omsk 70 km - gaz do dechy, ale radość...

Z daleka widzę kominy fabryczne, słupy wysokiego napięcia, zarysy domów mieszkalnych. Droga łagodnym łukiem skręca na prawo, więc domyślam się, że przemieszczam się obwodnicą. Dojeżdżam do posterunku GAI Szlaban - kontrola dokumentów.

- Dalej drogi nie ma - oznajmia kontrolujący milicjant. - Jest zalana wodą i jeżeli chcesz dojechać do Nowosybirsk, to musisz objechać zalany teren.

- Którędy?

- Przez Kazachstan.

- Właśnie szczęśliwie go opuściłem, a teraz każecie mi powtórnie tam jechać - protestowałem - Nic się nie poradzi, innej drogi nie ma - powiedział służbowo. - Pokaz mapę, to ci objaśnię, jak dalej jechać - powiedział kontrolujący.

Rozłożyłem mapę na masce samochodu, milicjant spojrzął na mnie i wyprostował się jak porażony piorunem.

- Skąd masz tę mapę? - spytał nieufnie - Z Moskwy - odpowiedziałem, wyjaśniając jednocześnie okoliczności, które sprawiły, że stałem się posiadaczem map Sztabu Generalnego Armii ZSRR. Nie bardzo w to wierzył, ale zaczął objaśniać.

Przejedziesz przez most na Irtyżu i skręcisz na prawo. Później będziesz jechał cały czas wzdłuż rzeki, aż do miejscowości Kaczin. Tam należy skręcić na lewo i dojechać do miasta Karasuk, dalej do Nowosybirsk prowadzi już tylko jedna droga. Uważaj na siebie w Kazachstanie - ostrzegł milicjant - tam obcych nie bardzo lubią...

- Jak daleko jest stąd do Nowosybirsk? - zapytałem.

- Niedaleko - odpowiedział stróż prawa - będzie około tysiąca pięciuset kilometrów.

- To rzeczywiście bardzo blisko... - odpowiedziałem grzecznie i ruszyłem w kierunku Irtyża.

Poranne słońce wysoko już świeciło nad horyzontem, w kabinie zrobiło się ciepło, a mnie ogarnęła senność. Przejechałem most na Irtyżu i skierowałem samochód na drogę prowadzącą wzdłuż rzeki. Po półgodzinnej jeździe poczułem silne zmęczenie, zasypiałem już za kierownicą. Nic na siłę - pomyślałem i skręciłem w pierwszą drogę prowadzącą w kierunku wody. Stromym zjazdem docieram do rzeki - patrzę, a tu dosłowny las namiotów..

To klasa robotnicza Omska odpoczywa nad wodą. Nie robiąc sobie nic z sąsiedztwa, postanowiłem pospać. Ledwo się ułożyłem wygodnie pod krzakiem, chcąc przymknąć na chwilę oczy, a już mnie obsiadły komary. Wróciłem więc pośpiesznie do samochodu, oparłem głowę na kierownicy i przysnąłem na około godzinę. Trzeba znaleźć jakieś inne

miejsce na odpoczynek, pomyślałem, uruchomiłem silnik, przełączyłem przekładnię na biegi terenowe i ruszyłem, by wjechać na stromą skarpe. Lecz co to? Przekładnia nie funkcjonuje, skrzynia biegów pozostała na biegach drogowych. Zaglądam pod samochód i ze zgrozą stwierdzam, iż zgubiłem cięgło łączące skrzynię biegów z rączką umożliwiającą przełączenie przekładni. Cofnąłem więc samochód i z rozpędu sforsowałem górę Muszę znaleźć kowala i dorobić brakujące cięgło - pomyślałem i ruszyłem ponownie w kierunku granicy z Kazachstanem. Po dwóch godzinach wjechałem do miejscowości noszącej nazwę rzeki - Irtysz.

Było upalne przedpołudnie, powietrze suche i słońce prażyło niemiłosiernie. We wsi znajdowała się stacja paliw, a przy mej najazdowa rampa umożliwiająca naprawę podwozia. Uzupełniłem paliwo, po czym wjechałem VIA rampę, by dokładnie stwierdzić, na czym polega usterka. Patrząc, a cięgło, które uważałem już za stracone, znajduje się wciśnięte między ścianę dodatkowego zbiornika a ramę samochodu. Trudno określić, jak wielką była moja radość, kiedy wydobyłem je na zewnątrz i stwierdziłem, że jest tylko lekko wykrzywione. Natychmiast za pomocą młotka wyprostowałem je i zamontowałem we właściwe miejsce Trochę kłopotu sprawiła mi regulacja raz udawało włączyć się tylko biegi terenowe, innym razem tylko drogowy. Wreszcie po dwugodzinnych próbach zakontrowałem nakrętki i samochód był już gotów do dalszej drogi.

Dochodziło południe i żar płynący z nieba stał się dokuczliwy niemiłosiernie. Nieprzespana noc oraz ogólne zmęczenie wpłynęły bardzo apatycznie na moją psychikę O niczym innym nie marzyłem, tylko o tym, by znaleźć się gdzieś w cieniu drzew i choć trochę się przespać. Czym prędzej ruszyłem więc w dalszą drogę z nadzieją znalezienia odpowiedniego miejsca. Po przejechaniu około trzydziestu kilometrów, zauważyłem po prawej stronie las oraz wiodącą prosto do niego polną drogę - Skręciłem w tym kierunku i po paru minutach znalazłem się już wśród szumiących drzew.

W dole, w głębokim korycie, majestatycznie płynął Irtysz. Miejsce okazało się wymarzone na odpoczynek Drzewa dawały cień, nad wodą wiał lekki wiaterek przynoszący chłód, a samo miejsce oddalone było od skupisk ludzkich. Zjechałem z bardzo stromej skarpy w pobliże wody, ustawiając samochód pod naturalnym parasolem utworzonym z drzew gęsto rosnących w tym miejscu. Zostaję tu do późnego wieczora - pomyślałem, przygotowuje sobie wygodne posianie.

Lecz nie dane było mi spać tego dnia i to z całkiem błahej przyczyny. Na którymś z pobliskich drzew uwity sobie gniazdo siwe wrony i właśnie teraz zaniepokojone moim przybyciem krążyły wokół samochodu, kracząc głośno. Początkowo łudziłem się, że te wredne ptaszyska uspokoją się, ale gdzie tam, krążyły bezustannie i darły się wniebogłosy.

Wreszcie zmęczone bezustannym lotem siadły na pobliskich gałęziach, ale gardła miały nie do zdarcia - ciągle przeraźliwie głośno krakał). Narzuciłem na głowę śpiwór, by choć trochę odizolować się od tego straszego mi dźwięku, ale nic przyniosło to pożądanego skutku, gdyż temperatura panująca na zewnątrz sprawiła, że po prostu zalewałem się potem, brakowało mi tlenu, oczy wychodziły na wierzch. Przeklęte wrony...

Zrezygnowałem z wymarzonego odpoczynku, rozpałem ogień i przygotowałem posiłek. Zaparzyłem piekielnie mocną kawę, spakowałem wszystko do samochodu i ruszyłem w dalszą, drogę. Wstąpiła we mnie jakaś obojętność, spowodowana zmęczeniem i kontynentalnym upałem nie do zniesienia.

Jechałem wolno przez tę skąpaną w żarze słońca krainę, przebijając się przez niewidoczne, stale następujące po sobie ściany gorąca. Kropelki potu spływały jedna po drugiej, całe ciało zrobiło się mokre i lepkie, pot zalewał mi twarz i przesiąkał przez koszulę. Czulem stale podnoszącą się temperaturę, ciężką, drętą masę powietrza, w którą się coraz bardziej zagłębiałem. Była tylko rozpalona słońcem droga, pył, piach i lekki wiatr, który nie przynosił chłodu. Kilometr za kilometrem posuwałem się do przodu, obojętny na to, co się wokół mnie działo i tylko w myślach pocieszałem się, że kiedyś przecież z tego piekła wyjadę i znów znajdę się gdzieś, gdzie jest chłód i cień, gdzie nie będzie słońca ani zapachu spalonej ziemi...

Mijałem pojedyncze osady, jechałem przez lasy, równiny i płaszczyzny, gdzie słońce wszystko wypaliło. Krajobraz był różnorodny i zmieniał się często. Wszystko przypominało wielką szachownicę, gdzie kolorem jasnym oznaczone były stopy, a ciemnym soczyste, zielone oazy.

Wreszcie docieram do miejscowości Kacziri; jadę teraz na wschód w kierunku miasteczka Karasuk. Według mapy odległość oceniałem na około dwieście sześćdziesiąt kilometrów, z czego osiemdziesiąt kilometrów mogłem przejechać widoczną na mapie drogą - dalej mapa pokazywała tylko białą plamę.

Był późny wieczór i światło dzienne zaczynało już blednąć. Zatrzymałem się na chwilę, gdyż organizm mój wszedł w fazę kryzysu, byłem zmęczony i czulem słabość we wszystkich członkach. Celowo zrezygnowałem z wieczornej kolacji, bo jak już wcześniej zauważyłem, przebyte dzienne odległości zwiększały się wraz z pogłębianiem się głodu. Gdy byłem najedzony, jechałem wolniej i raz po raz morzyła mnie senność. Jakiś dziwny upór wstąpił we mnie albo podświadomość mi coś szeptała, ale za żadną cenę nie chciałem nocować w Kazachstanie na otwartym terenie. Jedna myśl mnie tylko opanowała - do rana dojechać do Nowosybirsk.

Było już ciemno, gdy ruszyłem w dalszą drogę. Byłem zmęczony i odczuwałem ból w całym ciele. Mięśnie miałem zeszywniałe do tego stopnia, że utraciły elastyczność jak zmoczona i potem wysuszona skóra. Świat wokół mnie pozostawał bez żadnych kształtów i kolorów, a jedynym dźwiękiem było monotonne pomrukiwanie silnika. Po północy wjechałem na ulice miasta Karasuk. Miasto było puste. Jechałem wzdłuż ciemnych okien sklepowych i zamkniętych na głucho bram, przez wymarły plac przywalony fioletowym cieniem olbrzymiego pomnika Lenina, potem skręciłem w jakieś ulice i dojrzałem znak drogowy - Nowosybirsk. Pozostałą część nocy jechałem uparcie naprzód, odliczając dziesiątki i setki kilometrów jak w jakimś transie.

Jechałem teraz bardzo złym odcinkiem drogi; traktory jadące tędy wiosną zmieniły drogę w bagno, teraz wszystko wyschło i nawierzchnia była pełna twardych dołów i kolein. Pod samochodem coś się obluzowało i dzwoniło o ramę. Wpatrywałem się w pustą, monotonną drogę, starając się dostrzec coś ciekawego, co mogłoby zająć wzrok i wyobraźnię, aby w ten sposób ustrzec się od snu. Rozwierałem powieki aż do bólu źrenic, byłem zmęczony i wyczerpany, dławiło mnie pragnienie snu i świadomość, że sen jest blisko, niby ciepły i miękki worek, w który można się zapaść.

A potem świt przyszedł mgłami. Wszystko rozpływało się w mlecznych oparach i księżyc uciekł jak zdmuchnięty; potem obudził się wiatr - przegnał chmury i słońce znów zaczęło drążyć pustkę nieba. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Była chyba piąta rano, kiedy zauważyłem rosnącą samotnie w polu kępę niewysokich drzew. Natychmiast skierowałem tam samochód, ustawiając go tak, by nie był widoczny z drogi; wyłączyłem silnik, oparłem głowę na kierownicy i natychmiast zasnąłem.

Obudziło mnie rżenie koni; spojrzałem na zegarek, było po siódmej. Wkoło samochodu, jak sępy gotowe do uczyty, zgromadziło się stado koni. Otworzyłem drzwi, coś krzyknąłem, ale się nie bały; wspiąłem się na stopnie, by dojrzeć pasterza, ale wkoło nikogo nie było. Konie chodziły samopas. Skąd na tym pustkowiu tak wielkie stado koni? Kto je pilnuje? Pytania bez odpowiedzi. Uruchomiłem silnik i powoli ruszyłem, a konie rozchodziły się na boki, otwierając przede mną wolną daleką przestrzeń.

Dwie godziny snu w czarodziejski sposób zregenerowały mój organizm i w niepamięć poszły już koszmary poprzednich nieprzespanych nocy. Po godzinnej jeździe w porannym piekącym słońcu dojechałem do jakiejś malej miejsciny, w której KU mojej radości i zdziwieniu wjechałem na asfalt. Nie była to droga pierwszej klasy, pełno było w niej dziur i nierówności, ale tempo jazdy nieporównywalnie wzrosło. Minąłem skrzyżowanie z drogą prowadzącą do miasta Kargat, po czym dostrzegłem drogowskaz:

Nowosybirsk 440 km. - Trzeba to uczcić - pomyślałem i zjechałem na Pobocze drogi, aby rozprostować kości i wypić mocną kawę.

Zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej wskazywał drugą po południu, kiedy Znalazłem się na ulicach największego miasta Syberii - Nowosybirsk.

[]

Pani redaktor podeszła do milicjantów zajętych organizacją ruchu, a ściślej mówiąc, rozblokowywaniem dużego korka, który sami zrobili; coś im poszeptła do ucha, milicjanci pokiwali twierdząco głowami. Zostawili cały ten bałagan uliczny, wsiedli do wysłużonej lady, włączyli sygnały świetlne i dźwiękowe i jak przystało na prawdziwych milicjantów, z piskiem opon ruszyli przodem. Pokiwała mi na pożegnanie ekipa telewizyjna oraz licznie zgromadzeni ludzie. Musiałem porządnie się koncentrować, by nadażyć za mknącym przede mną radiowozem. Samochody na dźwięk znanego sygnału posłusznie zjeżdżały na bok, a gdy brakło miejsca, wjeżdżały na trotuary i zieleńce. Mijaliśmy skrzyżowania na czerwonym świetle, jechaliśmy ulicami jednokierunkowymi w przeciwną stronę, Zdziwieni przechodnie przystawali, komentując między sobą zdarzenie - cyrk był nie z tej ziemi.

Wreszcie wyjechaliśmy poza miasto. Radiowóz zakręcił prawie na miejscu, Milicjanci pomachali na pożegnanie i całą mocą silnika pognali z powrotem w kierunku bałaganu, jaki zostawili w mieście. Ponad godzinę zajęło mi wydostanie wzmożonego ruchu panującego w pobliżu syberyjskiej metropolii. Pędziłem drogą, która oddalała mnie od miasta i przybliżała do tajgi, a szarobiały asfalt szumiał w chwili, kiedy wóz nabierał prędkości, aż w końcu stał się szarym, później czarnym pasem biegnącym wśród niewzruszonej zieleni.

Dzisiaj postanowiłem wcześniej niż zazwyczaj znaleźć odpowiednie miejsce na postój aby wypocząć należycie. Podczas krótkiego postoju rozłożyłem mapy sztabowe oglądając je uważnie, znalazłem piękne miejsce, które mogło nadawać się na rozbiecie obozu. Miejsce to znajdowało się nad rzeką Ob. Aby tam się dostać, należało jechać do miejscowości Ojasz, po czym zjechać z głównej drogi i jadąc prosto na północ dotrzeć do rzeki.

Był piękny letni wieczór. Temperatura powietrza znacznie się obniżyła, wpadający do kabiny podmuch powietrza przyjemnie chłodził rozpalone upałem czoło. Przed sobą dostrzegłem już znany mi z mapy las, za którym niosła swoje wody szeroka syberyjska rzeka. Po chwili jechałem już wśród szumiących brzoź i jodeł. Długo szukałem dogodnego dojazdu do wody, gdyż wszędzie szerokim pasem rosły kolczaste krzewy, które na wzór wojskowych zasieków broniły dostępu do rzeki. Wreszcie zniecierpliwiony włączyłem

najniższy bieg i jak czołg przedarłem się taranem przez naturalną przeszkodę, wjeżdżając samochodem na piaszczysty brzeg. Miejsce na pierwszy rzut oka było wymarzone. Był las, śpiew ptaków i szumiąca cicho szeroka rzeka. Lecz pech prześladował mnie już od kilku dni, nie dając mi porządnie wypocząć; tak było i tym razem, gdyż w miejscu, gdzie się zatrzymałem, było dużo komarów. Rozbiłem szybko namiot i rozpałem ogień, a gdy już porządnie się rozpałił, dorzuciłem do niego wilgotną trawę, by wytworzył się dym i odstraszył kąśliwe owady. Nie na wiele się to zdało, i tak latały i boleśnie kąsały. Pod drzewami, gdzie panowała jeszcze wilgotna i ociążała gorączka, kłębiły się gęste chmary komarów w takich ilościach, że od zabijania ich krew pokrywała mi twarz i szyję. Krwiożercze owady doprowadzały do szaleństwa. Wysmarowałem twarz jakimś śmierdzącym paskudztwem, które, jak wynikało z napisu na opakowaniu, miało skutecznie chronić przed różnymi owadami, a szczególnie komarami. I rzeczywiście chroniło, ale tylko przez pierwsze minuty, później traciło swój odstraszający zapach i zasychało skorupą na twarzy. Komary stawały się coraz agresywniejsze i nie dawały za wygraną. Były nieczułe na wydobywający się z ogniska gęsty dym, który zamiast mnie bronić przed owadami, powodował kaszel i wyciskał z oczu łzy. Nawet obrzydliwy smród maści, która skutecznie podrażniała skórę, był dla komarów zaporą tylko przez krótką chwilę. Siadały na spodniach i koszuli, przebijając materiał swoimi cienkimi żądłami, znajdowały dla siebie zawsze dogodne miejsce, by się napić krwi, a ofiarę doprowadzić do szaleństwa. Nie dam z siebie dłużej robić restauracji, bo i tak komary nic mi nie zapłacą - pomyślałem i natychmiast salwowałem się ucieczką do namiotu. Jeszcze pół godziny zajęło mi polowanie na osobniki, które w pogoni za mną wleciały do środka.

Przez siatkę chroniącą wewnątrz namiotu przed owadami przyglądałem się zachodzącemu słońcu i chmarom komarów, kłębiących się w świetle palącego się jeszcze ognia. Jak bańka mydlana przysła perspektywa umycia się w bieżącej wodzie i zrobienia drobnej przepierki. Położyłem się spać brudny i głodny, ale najważniejsze, że odizolowany od tych przeklętych owadów. Leżałem już wygodnie, gdy uwagę moją przykuł dźwięk, którego początkowo nie mogłem określić. Bardzo niskie, długie uuu... brzmiące wręcz basem, dopiero po chwili odgadłem, że dźwięk ten pochodzi od skrzydełek milionów, a raczej miliardów komarów. Przeszedł mnie dreszcz na myśl, co by ze mną było, gdybym się znalazł tu przypadkowo i nie posiadał namiotu...

Zerwał się wiatr i nawiał ciemne chmury. Nastąpiła posępna, czarna noc. Przerzucałem się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Szczypała mnie twarz podrażniona śmierdzącym mazidłem i piekły mnie wszystkie miejsca, w które ukąsiły mnie komary. Pomimo pragnienia snu i zmęczenia, sen nie nadchodził. Słysząc było zawrodozenie wiatru,

który przegnał już ciemną zaslone, a teraz zamiatał pojedyncze, ciemne obłoki, aż wreszcie po jakimś czasie oczyścił całkowicie niebo. Raptem księżyc wyskoczył, płynął spokojnie niebem szerokim i pustym i znów ożyły wszystkie cienie i szmery świata, a ja nie wiedząc kiedy, zapadłem się w pustkę...

Spałem około dziesięciu godzin. Odpoczynek, poranne rześkie i czyste powietrze spowodowały we mnie zadziwiające zmiany. Czulem się znów silny i niestraszne mi były żadne przeszkody. Nawet komary, czekające już od rana na swoją ofiarę, siedzące jeden koło drugiego na siatce ochraniającej wewnątrz namiotu tak gęsto, że zasłaniały dostęp światła dziennego, były już tylko drobnostką... Drobnostką o tyle utrudniającą życie, że niemożliwy stał się dalszy pobyt nad rzeką. Należało więc szybko opuścić to miejsce i to w taki sposób, by jak najmniej krwi znalazło się w ich głodnych brzuchach.

Ustaliłem taktykę odwrotu. Była ona nieskomplikowana i polegała na szybkim zwinięciu namiotu i ucieczce.

By zdeorientować wroga, z krzykiem na ustach opuściłem namiot i nie bawiąc się już w jego składanie, wrzuciłem wszystko niedbale do samochodu. Uruchomiłem silnik i przedzierając się ponownie przez kolczastą, zaporę, wyjechałem w las, a później na ogrzaną już porannym słońcem otwartą przestrzeń. Zatrzymałem się na chwilę, by powybić resztę komarów, których było jeszcze dużo we wnętrzu pojazdu. Zjadłem wczorajszą kolację wraz ze śniadaniem, zrobiłem porządek w samochodzie i ruszyłem w dalszą drogę.

Okolo południa jechałem już długim mostem przez rzekę Tom, minąłem odpychające przemysłowe miasto Kemerowo, później malowniczo położony Aczinsk.

Wieczorem zatrzymałem samochód przed napisopomnikiem Krasnojarsk. W dole płynął Jenisej, a po obydwu jego stronach rozciągało się paromilionowe miasto. Postanowiłem zatrzymać się w Krasnojarsku na noc, by rankiem następnego dnia dotrzeć do miasta Abakan, w pobliżu którego mieszkał liczny jeszcze lud azjatycki - Chakasi. Co prawda musiałem zboczyć z wyznaczonej trasy na odległość tysiąca pięciuset kilometrów, gdyż kraina ta leżała na południu, ale tematem mojej przyszłej książki miał być człowiek Syberii, więc zależało mi na odwiedzeniu tego mało znanego azjatyckiego ludu.

Dojechałem do posterunku GAI, a pełniący na nim służbę milicjanci na mój widok wręcz oniemieli, doznając krótkotrwałego szoku.

Obcokrajowcy w Krasnojarsku, to wręcz niemożliwe... Dokładnie sprawdzali wszystkie dokumenty, a w szczególności wizę, na której stało jak byk - Krasnojarsk. Długo jeszcze kręcili głowami z niedowierzaniem, wreszcie otworzyli szlaban i przepuścili mnie dalej. O przyczynie zachowania milicjantów dowiedziałem się parę godzin później, siedząc

wygodnie przy stole w niezbyt stylowo urządzonym motelu, gdzie zatrzymałem się, by odpocząć i posilić.

Moim rozmówcą był właściciel tego przybytku, który widząc, że jestem obcokrajowcem, podejmował mnie osobiście.

- Morozow - tak przedstawił się właściciel. Był człowiekiem około pięćdziesięcioletnim i posiadał niekwestionowany dar mowy. Było widać, że jest człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji, znał języki obce, historię i można było z nim porozmawiać na każdy temat.

- Krasnojarsk jeszcze niedawno był miastem szczególnej troski władz - opowiadał gospodarz, gdy już po posiłku siedzieliśmy przy herbacie. - Jeszcze parę miesięcy temu był miastem całkowicie zamkniętym dla obcokrajowców, nawet Rosjanie z zewnątrz mogli przebywać w mieście tylko na podstawie specjalnych przepustek wystawionych na określony czas. Rozwój swój zawdzięczał drugiej wojnie światowej, kiedy to w obawie przed nadciągającym frontem niemieckim przeniesiono tu wszystkie zakłady produkcyjne i wielkie fabryki z zagrożonej części europejskiej. - Czy wiesz, co to była za akcja? Ile ofiar pochłonęła? Przejechałeś tę trasę, to sam wiesz, jakie to są odległości. Po drugiej wojnie światowej miasto stało się jedną wielką fabryką broni, ściągano tu najlepszych uczonych i fachowców z całego ZSRR. Teraz to już nie jest żadna tajemnica, że cały potencjał radzieckiej broni jądrowej został praktycznie tutaj wyprodukowany. Niedawno, bo przed paroma miesiącami, chciała odwiedzić to miasto jakaś międzynarodowa komisja, chyba z organizacji Greenpeace badająca różne rzeczy, między innymi skalę napromieniowania, ale władze Rosji nie wpuściły jej na teren Krasnojarska. To ze względu na pluton, który się tutaj dostosowuje do celów zbrojeniowych. Wielka szkoda, ale to miasto jest już praktycznie wielkim cmentarzem. Promieniowanie występuje wszędzie: średnia życia mężczyzn wynosi pięćdziesiąt dwa lata, a kobiet pięćdziesiąt sześć. Naprawdę nic nie zmyślam, to są dane już teraz oficjalne - powiedział gospodarz. - Zresztą jak będziesz jutro w mieście, to popatrz na twarze, nie ujrzysz żadnego starego człowieka - dodał, udowadniając swoją rację.

- Dlaczego ludzie stąd nie wyjadą? - zapytałem.

- Bo nic mają dokąd i nie mają pieniędzy - odpowiedział właściciel lokalu.

- Przez długie dziesięciolecia żyliśmy w jarzmie, żaden człowiek nie mógł z własnej woli porzucić swojego zakładu pracy, a obowiązek meldunku przykuwał go do miejsca pobytu. A ponadto jak łańcuchem związany był mieszkaniem, którego nie sposób ani sprzedać, ani zamienić, ani wynająć. Ludzie żyli w wiecznym strachu i niczego nie byli w stanie zrobić. Dlatego właśnie uchodził za szaleństwo każdy protest w miejscu

zamieszkania albo pracy. Jeszcze przed dwoma laty byliśmy po prostu więźniami...

Urodziłem się i wykształciłem w Krasnojarsku - wcale nie jestem gastronomem, dopiero od roku tym się zajmuję. Przez wszystkie lata byłem pracownikiem naukowym działu fizyki jądrowej - powiedział gospodarz, jakby się usprawiedliwiając.

Czy uwierzysz mi, że poza Krasnojarskiem przebywałem może dziesięć razy i to zawsze służbowo. Były tu do niedawna czasy, że nie wjechałeś ani nie wyjechałeś z miasta bez dokumentów i przepustki, najlepiej z aktualną datą ważności. Nawet na tramwaje nie wolno ci było patrzeć bez okazania papierów... Teraz jest już inaczej i można się swobodniej po Rosji poruszać, ale w sumie to niczego nie zmienia, gdyż ludzie nie mają pieniędzy. Nie podróżują i jak dawniej muszą siedzieć tu na miejscu - w Krasnojarsku. Przepraszam, że się tak rozgadałem, ale zauważyłem, że cię to interesuje, a ponadto, pisz o tym, niech ludzie się dowiedzą, jak żyliśmy i jak jest obecnie. - Czy zostaniesz na noc? - zapytał.

- Nie mam wyjścia, przecież nie rozbiję namiotu na ulicy - odpowiedziałem.

- Wobec tego postaw samochód pod oknem recepcji, wiesz, to jest duże miasto i różnie bywa - doradził knajpiarz z tytułem doktora...

Pokój był bardziej niż skromnie urządzone, nie miał toalety ani wody, ale przyznać trzeba, że był czysty.

Nazajutrz gospodarz czekał już na mnie ze śniadaniem. - Jak już jesteś w Krasnojarsku, to musisz koniecznie zobaczyć Stołby - powiedział. - To olbrzymie głazy; mówią, że najstarsze na świecie. Są ewenementem w tym krajobrazie i mają swoją legendę. Zaraz ci wytłumaczę, jak do nich dojechać - powiedział gospodarz i wyrysował plan na kartce papieru.

Zaraz po śniadaniu wyruszyłem obejrzeć te specjalne kamienie. Dojechałem na miejsce, a tam okazało się, że do kamieni jeszcze sześć kilometrów, a od trzydziestu lat Stołby są parkiem narodowym i nie wolno tam żadnymi pojazdami wjeżdżać. - To już niedaleko, tylko około sześciu kilometrów, za godzinę będziesz na miejscu - poinformował człowiek stojący przy szlabanie i noszący odznakę strażnika przyrody.

Nie uśmiechało mi się sześć kilometrów pod górę drałować, by zobaczyć jakieś kamienie, które podobno są najstarsze na świecie. - Zbieram materiały do książki o Syberii, zróbcie wyjątek i wpuście autem, to nie potrwa długo - mówię do strażnika, uśmiechając się przy tym mile. - Zaraz - odparł strażnik - muszę zapytać kierownika.

Wszedł do dyżurki, rozmawiał z kimś przez telefon i po chwili podniósł szlaban, wpuszczając mnie na teren rezerwatu. Po dwudziestominutowej jeździe dróżką, która pięła się cały czas pod górę, wjechałem na osiedle składające się z kilku drewnianych

domów.

Tu już na mnie czekano. - Witamy na Stołbach - powiedział młody człowiek, który zapewne pełnił tu rolę kierownika. - Zaraz dam przewodnika, który zaprowadzi cię w najpiękniejsze miejsca i kilku ludzi do noszenia sprzętu - powiedział kierownik, przejęty rolą organizatora. - Dziękuję - odpowiedziałem - zaraz wypakuję co trzeba i możemy ruszać w drogę.

- Muszę cię uprzedzić o pewnym niebezpieczeństwie, na które będziesz narażony, przebywając w lesie - powiedział z powagą w głosie kierownik.

Otóż w tym roku mamy tu niesamowitą liczbę kleszczy, które są zainfekowane wirusem powodującym zapalenie opon mózgowych. Mieliśmy już parę przypadków śmiertelnych i trzeba bardzo uważać. Pasożyty te potrafią miesiącami siedzieć na drzewach i czekać na stosowną okazję, a kiedy wyczują, że ofiara jest już pod nimi, po prostu spadają na nią i wżerają się w ciało. Znalezienie kleszcza pod skórą jeszcze nie przesądza sprawy, ważne jest tylko, by nie przebywał on tam dłużej niż dwadzieścia minut, bo dopiero po tym czasie następuje infekcja. Więc przebywając na tym terenie, musisz co pewien czas oglądać się, gdyż kleszcz wchodzi pod skórę bezboleśnie i dopiero po około półgodzinie następuje pierwszy objaw, jakim jest swędzenie.

- Czy macie jakieś szczepionki przeciw temu? - zapytałem.

- Szczepionki? - zdziwił się kierownik. - W całym Krasnojarsku nie ma tabletki od bólu głowy, a co dopiero mówić o szczepionkach - powiedział, a z miny jego było widać, że mówi całkiem poważnie.

Szliśmy ścieżką pomiędzy drzewami i złowrogo patrzeliśmy na otaczające nas konary, na których czaiły się niewidoczne dla nas kleszcze. Po chwili staliśmy już przy sławnych kamieniach, których kształt kojarzył mi się z wyglądem zwierząt. Rzeczywiście, głazy te, a właściwie kamienne góry, nie pasowały do otaczającej nas zewsząd tajgi. Wdrapaliśmy się z trudem na jeden z nich, przypominający wielkiego słonia. Roztaczał się stąd widok na Krasnojarsk, rzekę Jenisej i olbrzymie połacie tajgi, wyglądającej jak ocean, który swoimi wodami otacza wyspę.

Zrobiłem kilka fotografii otaczającej nas pięknej panoramy i nie chcąc dłużej narażać się na kontakt z obecnymi tu kleszczami, ruszyliśmy w powrotną drogę. Przy samochodzie czekał na nas już kierownik, który z ojcowską troskliwością obejrzał dokładnie nasze ciała, czy przypadkiem nie „złapaliśmy” kleszcza. - Chciałbym jeszcze coś pokazać - powiedział kierownik po kontroli, która wypadła na naszą korzyść. - Mamy tutaj szpital dla zwierząt, a właściwie dom pogodnej starości. Pensjonariuszy mamy tak dużo,

że takiej liczby zwierząt nie powstydziliby się żadne zoo. Zwierzęta, które tu widzimy - powiedział kierownik, kiedy spacerowaliśmy już pośród licznych ogrodzeń i klatek - są inwalidami i to w większości wypadków za sprawą człowieka. Mamy tu lisicę, która odgryzła sobie łapę, chcąc wydostać się z potrzasku; wilka z przestrzeloną łapą, któremu udało się ujść z życiem pomimo odniesionej rany; małe niedźwiadki, którym w ubiegłym roku ktoś zastrzelił matkę i wiele innych zwierząt i ptaków. Ludzie nas informują lub przynoszą poszukiwane zwierzęta. Nie mamy żadnych dotacji od państwa i utrzymujemy zoo z wolnych datków, o tam jest skarbonka - wskazał kierownik ręką. - Wrzuć teraz coś, jak już tu jesteś - za to, że wjechałeś samochodem - powiedział prosto z mostu kierownik rezerwatu.

Spodobała mi się bezpośredniość tego człowieka, który, jak było widać, z sercem wykonywał swoją pracę. Nie ociągając się więc, wrzuciłem do skarbonki kwotę, za którą podejrzewam zwierzęta jadły cały miesiąc. Pożegnałem fanatyków przyrody i ruszyłem w kierunku miasta.

Było południe i skwar dawał się już porządnie we znaki, napęniając udreńką każdy zakątek tego kamiennego miasta; liście na drzewach wiotczały, gorący asfalt wręcz się topił i potężnie pachniał smołą. Wjechałem na most i ujrzałem miasto w pełnej krasie: w dole płynął Jenisej, a olbrzymie wieżowce stojące nad samą rzeką do złudzenia przypominały nowojorski Manhattan. Centrum całkowicie różniło się od podobnych miejsc w innych syberyjskich miastach, ulice były zadbane i praktycznie wszystko świeciło czystością. Podobnie jak w Nowosybirsku, na ulicach panował wzmożony ruch i widać było uśmiechnięte młode twarze. Drogą prowadzącą wzdłuż Jeniseju opuszczam Krasnojarsk i udaję się na południe w kierunku miasta Abakan. Po chwili ponownie jadę długim mostem, w dole widzę port rzeczny, a opodal olbrzymią elektrownię wodną zbudowaną na sztucznie utworzonym zalewie rzeki.

V

Trasa jest bardzo malownicza Droga raz pnie się stromo w górę, raz gwałtownie opada. Wykorzystuję te nierówności terenu, wjeżdżam wolno pod górę, a następnie z prędkością na granicy ryzyka zjeżdżam w dół, tak by siłą rozpędu wjechać na następne wzniesienie, po lewej i prawej stronie tej pagórkowatej trasy rozciągają się tylko wielkie połacie lasu. Jest duszno i gorąco, słońce w zenicie, w kabinie gorąco jak w piekle, a pracujący na wysokich obrotach wiatrak zamiast chłodzić, miesza tylko ciepłe powietrze.

Po czterogodzinnej jeździe kończy się teren zalesiony i wjeżdżam na pagórkowaty, na którym nie rosną już żadne drzewa.

Dojeżdżam do małej miejsciny o nazwie Pierwomajskoje, w której dostrzegam prowizoryczną stację benzynową Widząc, że wjeżdżam teraz w rejony praktycznie niezamieszkałe przez ludzi, przezornie uzupełniam do pełna wszystkie zbiorniki i kanistry. Upał staje się coraz bardziej dokuczliwy, jest bezwietrznie i jak okiem sięgnąć nie widać żadnego miejsca, gdzie byłoby choć trochę cienia. Rezygnuję więc z odpoczynku i ruszam dalej przed siebie. Po godzinie dojeżdżam do rozwidlenia dróg znajdującego się na całkowitym pustkowiu. Nie odnajduję żadnego drogowskiego i zmuszony jestem sięgnąć po mapę. Szukam więc odpowiedniej mapy regionu i nigdzie nie mogę takowej znaleźć, jeszcze raz przewracam wszystko do góry nogami i taki sam rezultat. Wreszcie po namyśle sprawa się wyjaśnia - tej strony po prostu nie posiadam, ponieważ w Moskwie wyposażono mnie tylko w te mapy, które prowadziły na wschód w kierunku Przyładka Dieżniewa. Wokół całkowite bezludzie, więc nie ma kogo się zapytać. Niewiele też pomaga mi kompas, gdyż według niego obydwie drogi mogą doprowadzić mnie do celu. Zdaję się więc na intuicję i wybieram drogę prowadzącą w lewo, czyli południowy wschód Dziesięciokilometrowym podjazdem pnę się pod górę, wreszcie osiągam szczyt i z wrażenia automatycznie się zatrzymuję Przede mną roztaczał się krajobraz, jakiego dotychczas nie widziałem.

Na horyzoncie wyraźnie prezentowały się silnie wygładzone płaskowyże z zaokrąglonymi szczytami, które w świetle zachodzącego słońca przybrały jednolitą matową barwę khaki Przestrzeń między górami a miejscem, gdzie się zatrzymałem, była wielką doliną, całkowicie gołą, bez żadnego zabudowania, bez żadnego drzewa, - była tylko trawa, trawa tego samego koloru co góry.

Oniemiałem zdumiony tym widokiem, gdyż pierwszy raz w życiu zobaczyłem krajobraz jednokolorowy. Wpatrywałem się w otaczającą mnie przestrzeń i starałem się znaleźć jakiś inny kolor lub choćby inny odcień, lecz na próżno - była tylko jedna farba - koloru khaki. Natychmiast dobytek ogólną mapę Rosji, którą miałem w szkolnym atlasie i

z zadowoleniem przeczytałem, że rozciągające się przede mną pasmo gór to Sajjan Wschodni, czyli obrany kierunek jazdy był prawidłowy.

Temperatura powietrza znacznie spadła, wiał przyjemny chłodny wietrzyk, muskając delikatnie rozpaloną jeszcze upałem twarz.

Do Abakanu pozostało około czterystu kilometrów, więc postanowiłem przejechać dzisiaj jeszcze trzysta, by jutro przed południem być już wśród Chakasów.

Tempo jazdy było wyśmienite. Równa asfaltowa droga sprawiała, że czasami osiągałem prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu mijał mnie jakiś pojazd, ale w zasadzie droga była pusta, więc jechałem bezustannie na pełnym gazie, połykając szybko kilometry otaczającej mnie pustki.

Było już ciemno, kiedy zdecydowałem się na nocleg, zjechałem z głównej drogi w szczerze pole i oddaliłem się od głównej trasy na bezpieczną odległość. W świetle reflektorów zauważyłem jakiś pagórek i stojące na nim duże kamienie, objechałem więc tę górkę i stanąłem z jej drugiej strony, by się skryć i być niewidoczny z pobliskiej drogi.

Na niebie świeciły gwiazdy, zwiastując upalny dzień. Rozbiłem namiot, zjadłem kolację i zmęczony gorącym dniem ułożyłem się do snu.

Obudziłem się wcześniej rano i choć na dworze było jeszcze chłodno, to bezchmurne niebo zapowiadało już kolejny dzień prażącego piekła. Zaparzyłem kawę i siadłem na masce samochodu. Nie wiem dlaczego, ale czułem jakiś niepokój, coś mnie podświadomie dręczyło, ale nie mogłem określić co. Coś się nie zgadzało - tylko co? Wreszcie wzrok mój padł na stojące na wzniesieniu kamienie, skąd się tu wzięły w tym stepowym krajobrazie. Obejrzałem je z bliska i ponad wszelką wątpliwość stwierdziłem, że nie mogą pochodzić z tego piaszczystego wypalonego słońcem miejsca. Było też wyraźnie widać, że kształt ich uformowała ludzka ręka. Kto je tu przytaszczył i w jakim celu - rozmyślałem - może to jakiś znak topograficzny? - różnie kombinowałem, ale nie znalazłem żadnego sensownego wytłumaczenia.

Niebawem zapomniałem o sprawie i dopiero jakiś czas później zobaczyłem znów podobne kopce i stojące na nich kamienie. Z każdym kilometrem było ich coraz więcej w tej pustej stepowej krainie i już wiedziałem, że to nie przypadek, że coś ważnego oznaczają. Nie wiedziałem tylko co. Pewności nabrałem, gdy dojeżdżałem do Czarnogórska, a po obydwu stronach drogi ciągnęły się kilometrami wielkie pola uprawne. Niedaleko drogi zauważyłem znane mi już kamienie stojące na gruncie ornym. Całe pole było dokładnie zaorane, tylko kopiec i stojące na nim wysmukłe głazy jak jakaś świętość stały nietknięte, oborane po prostu w koło. Zżerała mnie ciekawość i pewnie by mnie zjadła, ale wjechałem na ulicę Czarnogórska i moją uwagę zajęły inne sprawy.

Manewrując pomiędzy licznymi dziurami i innymi przeszkodami leżącymi na drodze, zobaczyłem po raz pierwszy rosyjskie więzienie urządzone na wzór niemieckich obozów koncentracyjnych.

Olbrzymi plac ogrodzono podwójną strefą drutu kolczastego, pośrodku której ustawiono drewniane baraki. Z boku stał murowany biały budynek należący pewnie do komendantury. Obiekt był już stary, poniszczone baraki, zardzewiałe ogrodzenie, tylko wieże wartownicze były w dobrym stanie - widocznie te ważne budowle często konserwowano. Więźniów był chyba komplet, gdyż tłumnie było na placu; wszyscy mieli jednakowe szare ubranka i głowy ogolone na zero. Uderzyło mnie to, że obiekt ten stał na widoku, odsłaniając nawet to, co było w środku. Na całym świecie wnętrza podobnych przytulisk są szczelnie zamknięte przed oczyma ciekawskich, lecz w Rosji jakby na odwrót - popatrzcie sobie ludzie, przyzwyczajcie się z góry do tego widoku...

Szczęśliwy z faktu, że znajduję się z drugiej strony drutów, wcisnąłem gaz do dechy i opuściłem to przyjemne miasteczko. W pół godziny później zatrzymał mnie posterunek GAI na przedmieściach Abakanu. Pełniący służbę milicjanci byli mieszanej narodowości. Skośnoocy milicjanci - Chakasi i „prostooocy” Rosjanie.

- Dokumenty samochodu proszę - powiedział skośnooki, salutując przy tym z gracją.

- Proszę bardzo - powiedziałem i podałem mu nieważny już bilet na przejazd promem z Gdańska do Helsinek. Skośnooki obejrzał wnikliwie „dokumenty wozu”.

- Wszystko w porządku, możesz jechać dalej - powiedział i zsalutował służbowo. Zapytałem przy okazji o jakąś miejscowość, gdzie można by spotkać rodowitych Chakasów.

- Jesteś już w Chakasji. W mieście co prawda żyjemy pospół - Chakasi i Rosjanie, ale jak pojedziesz drogą w kierunku Biełego Jaru, to każda napotkana po drodze chałupa zamieszкана będzie przez Chakasów - dodał mundurowy, życząc mi szczęśliwej podróży. Trochę głupio mi się zrobiło z faktu bezczelnego oszustwa, jakiego dopuściłem się w stosunku do tego uczynnego i miłego człowieka, pokazując mu nieważny bilet na prom, ale na własne usprawiedliwienie pomyślałem sobie, że to przecież żarty i postanowiłem od teraz zawsze oszukiwać posterunki GAI. Następna okazja nadarzyła się w parę minut później przy wyjeździe z miasta. Tym razem podałem do kontroli prawdziwe dokumenty wozu, a jako prawo jazdy pokazałem swoją kartę bankową, tłumacząc, że na tym czarnym pasku są zakodowane wszystkie moje dane...

Sprawdzono je również wnikliwie i życiono mi pomyślnej drogi... Żarty te stały się dla mnie o tyle zabawniejsze, że w czasie kiedy podawałem lipne papiery do kontroli,

kontrolujący mnie milicjanci mieli bardzo debilowate miny... Wiem, że to nieładnie z mojej strony, ale kontrole GAI stały już się, brzydko mówiąc, upierdliwe.

Jest rzeczą wiadomą dla każdego idioty, że aby znaleźć się tak głęboko w Rosji, trzeba było przebyć tysiące kilometrów, na których znajdują się setki podobnych posterunków. Po drugie - żaden z kontrolujących funkcjonariuszy nie znał alfabetu łacińskiego, a co dopiero mówić o czytaniu tego pisma. Przykłady można by było jeszcze mnożyć, ale nie o to w tym sprawozdaniu chodzi. Na razie postanowiłem się tak bawić do czasu, kiedy mi się to samemu nie znudzi...

Miasto ze swoimi kominami pozostało z tyłu, a przede mną odsłaniała się sucha piaszczysta kraina. Słońce świeciło już z podobną siłą jak dnia poprzedniego. Gorący, monotony świat milczał przykryty kloszem szklanego nieba. Wszystko, co żyło tera; na tym pustkowiu, było ciepłe i oświetlone potężnym snopem słonecznego światła. Panował bezruch, a okolica milczała niby martwa woda...

Zauważyłem zabudowania oddalone parę kilometrów od głównej trasy i prowadzącą doń piaszczystą drogę. Tam spotkam Chakasów - pomyślałem i skręciłem w tym kierunku. Po chwili jechałem już wzdłuż nadszarpniętych zębem czasu walących się drewnianych domów.

We wsi było pusto i gdyby nie spacerujący w pobliżu domostw nieliczny drób, pomyślałbym, że nikt tu nie mieszka. Przy jednym z zabudowań zobaczyłem krzątającego się mężczyznę, więc natychmiast skierowałem tam samochód.

- Dzień dobry, czy wioskę tę zamieszkują Chakasi? - zapytałem człowieka; o wyglądzie Azjaty.

- Tak, a o co chodzi? - spytał mężczyzna, podchodząc do zniszczonego ogrodzenia.

- Jestem turystą i robię dokumentację o narodach mieszkających na terenie Rosji czy zgodzicie się pozować do zdjęć? - zapytałem.

- A co u nas ciekawego do fotografowania? Stare walące się chałupy i na każdym kroku widoczna bieda - odpowiedział Azjata.

- Robię dokumentację o ludziach, a nie o biedzie, o ludziach prawie nieznanym Europejczykom.

- Skoro się tak upierasz, to nie mam nic przeciwko temu - powiedział Chakas rozglądając się wkoło, jakby szukając pomocy.

Na dworze panował już doskwierający upał. Opuszczona na pozór wieś ożyła jak dotknięta czarodziejską różdżką. Zewsząd garnęły do mnie dzieci, kobiety i mężczyźni. Zacząłem gaworzyć z mieszkańcami wioski. Wtem kobiety odłączyły się od grupy, coś cicho między sobą poszeptały i jakby czymś przestraszone rozbiegły się w pośpiechu do

swoich chałup. Widocznie w tych stronach wiara lub obyczaj nie pozwala fotografować kobiet, pomyślałem, patrząc na tą scenę. Ale niebawem przekonałem się, że byłem w błędzie, bowiem po kilkunastu minutach ujrzałem wracające kobiety ubrane w chakaskie ludowe kolorowe stroje. Najstarsza z nich przyniosła duży kwadratowy bochen chleba, który w imieniu mieszkańców wioski mi podarowała. W goście tym było tyle prostoty i serca, że w pierwszej chwili zbaraniałem, nie wiedząc, jak mam się zachować.

To właśnie jedna z wielu chorób, jakimi jest dotknięta wysoko rozwinięta cywilizacja: człowiek przyzwyczajony jest do chamstwa i do tego, że nie ma nic za darmo, wszelkie proste, bezinteresowne objawy przyjaźni i dobrego serca sprawiają, że się gubi w takiej sytuacji i nie wie, jak należy się zachować.

Odzyskałem szybko rezon, wyczuwałem kobietę i podziękowałem za ten piękny symbol gościny i przyjaźni, a obecnym Azjatom bardzo się to spodobało i bariera początkowej nieufności została przełamana. Chakasi chętnie pozwali do fotografii i na moją prośbę rozmawiali ze sobą w swoim języku. Gdy dowiedzieli się, że pochodzę z Polski, podeszła do mnie jedna niewiasta i oświadczyła, że też jest Polką. Przyjrzałem się jej uważnie i zauważyłem, że rzeczywiście posiada słowiańskie rysy twarzy. - Jak pani tu się znalazła? - nie mogłem się nadziwić - tu wśród Azjatów?

- Moi rodzice po wojnie zostali tu wywiezieni, niestety, już nie żyją; urodziłam się tutaj, ale w paszporcie mam napisane Polka - wyjaśniła. - Nie byłam nigdy w Polsce, ale słyszałam, że to kraj bogaty; chciałabym kiedyś tam pojechać i zobaczyć, jak żyją moi krajanie.

- A czy nie chciałaby pani osiedlić się w Polsce, jako Polka ma pani teraz do tego pełne prawo? - zapytałem.

- Nie. Tu się wśród tych ludzi urodziłam i wychowałam i tu jest moja ojczyzna.

Na Syberii mieszka wiele narodowości, chyba około stu dwudziestu; żyjemy wszyscy w zgodzie i wzajemnie sobie pomagamy i każdy powie to samo, że się tu urodził i tu jego ojczyzna. Jestem jedyną osobą w okolicy, która posiada urodę europejską, ale traktują mnie tu wszyscy jak swoją. Chakasi to wspaniały naród - dodała, wszystko tym zdaniem wyjaśniając.

Poprosiłem kobiety, by ustawiły się koło siebie, gdyż chciałem wykonać ogólną fotografię. Naradziły się między sobą i same wybrały do tego odpowiednie miejsce. Weszły na stojącą pod brzozą ławeczkę i uśmiechając się życzliwie, cierpliwie z powagą pozowały do zdjęć. Uderzyła mnie wręcz dziecinna prostota tych ludzi: niezakłamana, szczerą i ufna.

- Czy jesteś w drodze na jutrzejsze święto? - zapytał jeden z mężczyzn. - Jakie

święto? - zdziwiłem się.

- To ty nic nie wiesz? Jutro od samego rana wielkie święto w Askizie, na które zjadą się przedstawiciele ludów azjatyckich żyjących na Syberii. Będzie parę tysięcy osób, niektórzy przybędą z bardzo daleka.

- Jak daleko jest do Askizu? - zapytałem podniecony tą wiadomością.

- Niedaleko, będzie około dziewięćdziesięciu kilometrów - odrzekł mężczyzna.

Była to wspaniała wiadomość dla mnie, gdyż zdałem sobie sprawę, że przez czysty przypadek, będę miał „wszystkich Azjatów” na jednym placu, a co za tym idzie, wzbogacę swój skromny dotychczas materiał reporterski. Przed pożegnaniem wręczyłem wszystkim po małym prezencie, nie zapominając przy tym, by obdarować dzieci dodatkowo słodyczami. Nikt nie ukrywał swojej radości, cieszyli się wszyscy, starzy i młodzi, atmosfera spotkania była tak przyjazna, że chętnie bym pozostał na dłużej wśród tych ludzi. Zegnaliśmy się, jak byśmy znali się od lat i naprawdę zrobiło mi się smutno, że tak wspaniałe chwile trwają tak krótko. Dzień dzisiejszy pomimo dręczącego upału był dla mnie szczęśliwy, a ponadto był dniem odpoczynku.

Do zmierzchu pozostało jeszcze wiele godzin i do pokonania tylko dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie spiesząc się, jechałem wolno w kierunku Askizu. Znów zauważyłem usypane stożkowate nasypy i stojące na nich kamienie.

- Ale ze mnie dureń - pomyślałem. Mogłem się przecież od Chakasów dowiedzieć, co to za ziemno - kamienne konstrukcje, tak licznie stojące w ich regionie... Po lewej stronie zauważyłem dosyć duże jezioro. Mając jeszcze prawie pół dnia przed sobą, zaproponowałem sobie odpoczynek, myśląc głównie o orzeźwiającej kąpieli. Fakt, że przez ostatnie dni nie miałem okazji umycia się i zdążyłem zarosnąć już brudem, przemawiał dodatkowo za tym, by nie przepuścić takiej okazji.

Gdy tylko zatrzymałem samochód, tak jak stałem, w ubraniu, rzuciłem się do wody. Co za rozkosz, kiedy spocone, rozpalone od słońca, swędzące od brudu ciało zanurzy się w chłodnej, orzeźwiającej wodzie. To ulga, jaką znają przewlekle chorzy, którym z jakiś powodów ustaje gwałtownie ból.

Lecz co to? Woda jest słona, smakuję powtórnie - jest słona. Więc to słone jezioro, skąd tutaj sól? Nie zaprzętam jednak tym sobie głowy, ważne jest, że chłodna i przynosi ulgę cierpiącemu ciału. Plażowałem prawie do wieczora. Na zmianę, kąpiąc się, jedząc i ucinając w cieniu samochodu drzemkę. Zdumiewające, jak szybko potrafi organizm za pośrednictwem odpowiednich bodźców zregenerować swe nadwątłone siły. Czulem się jak nowo narodzony, miałem ochotę biegać i skakać, a świat wydawał mi się bardziej różowy...

Początkowo chciałem zostać w tym miejscu na noc, ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak dojadę dzisiaj do Askizu i odnajdę miejsce, gdzie jutro ma odbyć się święto.

Po godzinnej jeździe dotarłem na miejsce. Rzekomy plac okazał się wielką doliną, wokół której rozciągało się pasmo gór Sajanu Zachodniego. Krajobraz do złudzenia przypominał widok, jaki mnie wczoraj zauroczył, kiedy stałem na wzniesieniu i zachwyciałem się jednobarwnością terenu i zaokrąglonymi szczytami gór.

Na miejscu zastałem komitet organizacyjny, zajęty oznaczaniem poszczególnych sektorów, w których miały odbywać się rozmaite imprezy towarzyszące.

Byli już też pierwsi goście, jakiś lud wędrowny, który musiał przybyć z daleka, gdyż było widać, że są bardzo zmęczeni. Mężczyźni rozstawiali właśnie jurty, a kobiety nosiły w wiadrach wodę z ustawionych na tę okazję beczkowsów. Wszędzie widać było puszczone samopas konie. Podeszedłem do organizatorów, przedstawiłem się i zapytałem, czy będę mógł uczestniczyć w jutrzejszej uroczystości. - Ależ oczywiście, I czujemy się zaszczytami faktem, że przyjechałeś z tak daleka. Jutro wskażemy ci miejsce, w którym będziesz mógł ustawić samochód, tak abyś wszędzie miał blisko - I dodał.

- O której godzinie najlepiej przyjechać, by nie sprawiać wam specjalnego kłopotu?
- zapytałem.

- Oficjalnie otwarcie uroczystości jest o dziewiątej rano, ale dobrze by było, byś był tu o ósmej, to będzie jeszcze cała godzina.

Niedaleko miejsca, gdzie stałem, rozciągało się niewysokie wzniesienie, a właściwie płaskowyż. Postanowiłem wjechać na jego szczyt i tam spędzić noc, a pojawić się na miejscu uroczystości jeszcze przed godziną ósmą. Jadąc wzdłuż z wypatrywałem niezbyt stromego miejsca, które nadawałoby się na to, by bez zbytniego ryzyka wjechać na szczyt. Wreszcie zauważyłem łagodną pochyłość, która dopiero u samego szczytu przechodziła w dwudziestometrowej długości stromiznę.

Zatrzymałem samochód, zlustrowałem jeszcze raz przeszkodę, włączyłem biegi terenowe i śmiało ruszyłem pod górę. Ośmiocylindrowy land - rover z prawie trzema tonami ładunku piął się pod górę z taką lekkością, jakby jechał po równej asfaltowej drodze. Gdy dojeżdżałem już do szczytu, ze zgrozą stwierdziłem, że widoczna z dołu stromizna pnie się w górę bardziej pionowo niż przypuszczałem. Zawahałem się przez chwilę, ale wrodzony instynkt ryzyka zwyciężył. Wbrew ogólnie przyjętym zasadom mówiącym, że nie należy redukować biegów w czasie jazdy pod górę, przełączyłem bieg najniższy, wcisnąłem gaz do oporu, tak że pracujący na najwyższych obrotach silnik wprowadził w wibracje cały samochód. Najeżdżałem już na przeszkodę, kiedy mimowolnie

niepotrzebnie zdjąłem nogę z gazu i tym samym wytraciłem prędkość. Próba się nie udała, włączyłem wsteczny bieg i wolno tyłem zjechałem ze wzniesienia. Obserwujący nie wysiłki organizatorzy uważali, że wywrócę samochód, ale byłem innego zdania i dlatego ponowiłem próbę, by wbrew ich opinii zdobyć szczyt. Podobnie jak poprzednio, tyle że o wiele szybciej, dotarłem do stromego podjazdu, zredukowałem bieg na najniższy i na pełnym gazie najechałem na przeszkodę. Przód samochodu niebezpiecznie podniósł się w górę, tak że cały ciężar ciała spoczywał na plecach; dopiero teraz włączyłem blokadę kół powodującą, że wszystkie koła jednocześnie spełniały rolę napędową. Samochód mozolnie pisał się pod górę, od czasu do czasu wpadając w wibracje, kiedy obracające się koła traciły przyczepność. Do szczytu pozostało około pięciu metrów; zacisnąłem nerwowo ręce na kierownicy i pochyliłem się automatycznie do przodu, tak jakby zmiana pozycji ciała mogła w jakiś sposób odciążyć pojazd. Pedał gazu był wciśnięty w podłogę z taką siłą, że bolała mnie już noga. Po chwili przednie koła osiągnęły szczyt, obroty silnika gwałtownie się zwiększyły i samochód stał już w poziomie na rozległej płaszczyźnie płaskowyżu. Dumny z siebie wysiadłem i poklepałem samochód po masce, tak jak robią to jeźdźcy po skończonej gonitwie i już zastanawiałem się, czy w nagrodę nie wrzucić do chłodnicy kostki cukru...

Spojrzałem w dół i dopiero teraz z góry zobaczyłem, jak stroma jest pochyłość, po której wjechałem na górę i w duchu przyznałem organizatorom rację, że woleli nawet wizualnie nie uczestniczyć w tej karkołomnej wspinaczce. W chwilę później przejechałem na drugą stronę płaskowyżu, skąd roztaczał się przepiękny widok na dolinę i odległe pasmo gór Sajanu Zachodniego.

Wokół panowała cisza i jak okiem sięgnąć nie widać było najmniejszego śladu obecności człowieka. Jaki ogromny wpływ na samopoczucie człowieka ma przestrzeń! Uczucie wolności, więzi i przynależności do przyrody; chciało się biegać, krzyżeć, baraszkować, każde zmęczenie zamienia się wówczas w wigor. Swym przybyciem zaniepokoiłem parkę gęsi azjatyckich, które teraz krążyły nade mną, głośno gęgając. Różnobarwne upierzenie tych ptaków, połyskujące w promieniach zachodzącego słońca, tworzyło jakby dysonans, nie pasując do otaczającego mnie świata, który jak poprzednio był w kolorze khaki. Do późnej nocy siedziałem, wpatrując się w bezdźwięczną nieruchomą przestrzeń.

Nazajutrz przed godziną ósmą byłem już na miejscu. Dolina była pełna gości. Wielobarwny tłum ludzi poubieranych w różnorodne stroje ludowe, samochody, autobusy oraz mnóstwo jeźdźców, którzy na uroczystość przybyli konno. Należy tu wyjaśnić, że słabo rozwinięta sieć drogowa lub jej całkowity brak sprawiły, że koń na południu Rosji

jest najpospolitszym środkiem transportu. Dorośli używają go zamiast samochodu, a dzieciom zastępuje on rower. Pośrodku doliny została umieszczona trybuna, na której mieli zasiąść przedstawiciele władz poszczególnych narodów oraz miejscowi promineni. Wokół trybuny honorowej ustawiono drewniane podwyższenia, na których miały się odbywać występy artystyczne i zawody sportowe. Nieco dalej znajdowały się prowizoryczne jadłodajnie, w których każda z grup etnicznych polecała swoje narodowe potrawy. Z tyłu natomiast znajdował się wielki bazar, na którym można było nabywać artystyczne wyroby ludowe oraz różności: baloniki, piłeczki itd. Goście, którzy przybyli na uroczystość w charakterze widzów, mieli do dyspozycji łagodne zbocze z widokiem na całą dolinę. Tłok panował jak na wielkim bazarze i czuć było świąteczny nastrój. Status społeczny uczestników tego dorocznego święta był łatwo rozpoznawalny. Władza ubrana była w mundury lub garnitury, z gęsto poprzyczepianymi odznaczeniami i orderami, wieśniacy w stroje ludowe, a pracownicy sowchozów w kufajki.

Organizatorzy sądzili, że jestem reporterem zachodniej telewizji, ustawili więc mój samochód w centralnym miejscu tuż obok trybuny honorowej, a na dodatek przydzielili mi jedną z dziennikarek, która miała za zadanie ułatwianie mi pracy w bezpośrednich kontaktach z przedstawicielami poszczególnych narodowości. Nie starałem się wyprowadzać organizatorów z błędu, wręcz przeciwnie, utwierdziłem ich w tym przekonaniu, zakładając na plecy duży magnetofon reporterski; trzymany w ręku metrowej długości mikrofon oraz słuchawki założone na uszy sprawiły, że wyglądałem jak prawdziwy sprawozdawca telewizyjny.

Krótko przed godziną dziewiątą zauważyłem jadącą kolumnę samochodów osobowych prowadzonych przez radiowóz milicyjny. - To naczalstwo - wyjaśniła dziennikarka, mając na myśli nadjeżdżających przedstawicieli władz. Po chwili samochody podjechały pod trybunę i wysiadła z nich grupa dostojników państwowych. Jak za dawnych czasów komunistycznych przyjazd prominentów został uczczony burzliwymi oklaskami.

Nastąpiło oficjalne otwarcie uroczystości poprzedzone przemówieniem i wręczeniem dyplomów oraz medali. Na estradę wkroczyły pierwsze zespoły artystyczne, a w wyznaczonych sektorach rozpoczęły się zawody zręcznościowo - sportowe. Każdy z widzów mógł oglądać to, na co miał ochotę, a ja z panią redaktor przemieszczałem z miejsca na miejsce, pytając o interesujące mnie rzeczy.

- To święto ma długą tradycję - tłumaczyła pani redaktor - i jest związane z wypasem bydła. Wywodzi się jeszcze z czasów pogańskich, kiedy to nasi przodkowie zbierali się o określonej porze roku i prosili różnych bożków o opiekę nad bydłem i o

pomyślny sezon pasterski. Do dzisiaj się mówi, że jest to święto otwarcia pastwisk. Za czasów ZSRR uroczystości tych nie było, gdyż były zabronione, ale teraz już od trzech lat wznowiono tę starą tradycję.

- Więc wywodzi się to z Mongolii? - zapytałem.

- Niekoniecznie, wszystkie tu obecne ludy i grupy etniczne są bardzo blisko spokrewnione z Mongołami, ale nie tylko - proszę spojrzeć na te usypiska ziemi i stojące na nich kamienie - pani redaktor wskazała ręką na oddalone nieco stożkowate nasypy, które od kilku dni przykuwały moją uwagę. To kurhany, prastare groby wywodzące się z kultur epoki brązu (1500 lat p.n.e.), znane od neolitu aż do wczesnego średniowiecza. Kopce te kryją jeden lub więcej grobów, bogato wyposażonych w broń, ozdoby z brązu i ceramiki. Całe południe Rosji jest gęsto usiane kurhanami. To, co wiemy o tych wszystkich ludach, pochodzi z ziemi, z drewnianych komór grobowych, gdzie chowano zmarłych, otoczonych wszystkim, co ukochali za życia. Ponad dwa tysiące lat temu z gór południowej Syberii zniknął żyjący tam tajemniczy lud - Scytowie. W zeszłym roku opodal granicy z Chinami i Mongolią, na bezdrzewnym płaskowyżu zwanym Ukok odkryto ich groby, drewniane komory grobowe wypełnione litym lodem; to, co kryło się pod spodem, zostało zakonserwowane na ponad dwa i pół tysiąca lat... O wszystkich wymarłych ludach Syberii wiemy zadziwiająco niewiele. Byli wśród nich okrutni wojownicy i spokojni pasterze. Wyznacznikiem bogactwa były konie, zbytek i namiętności. Tereny na których się teraz znajdujemy, były ich zimowym pastwiskiem, ale także miejscem pochówku. Żyjący tu Chakasi dotąd wierzą, że głośne wołanie jest świętokradztwem - obraża bowiem prastare duchy...

Kurhany grobowe imitują ziemską siedzibę zmarłych - kontynuowała pani redaktor. - Duchom zmarłych zapewniono wszystko, czego mogliby potrzebować w przyszłym życiu. Konkubiny służące swym panom po śmierci, dywany, derki, przedmioty kultu i zbytku. Ciała arystokratów były zmumifikowane, wypełnione trawą i wełną - zachowane na wieczność. Ludy nie składały się tylko z bogaczy, grzebano również biedaków. Jednak wszystkich razem z końmi i to nie jest przypadek. Ludy Syberii nie mogły się bez nich obejść na tym i tamtym świecie, dlatego konie chowano wraz z ich właścicielami. Ludzie wierzyli, że po śmierci ich dusze wędrują na niebiańskie pastwiska, gdzieś daleko ponad zachmurzonymi szczytami gór. Nie potrafili sobie wyobrazić przyszłego świata innego niż ten, który znali za życia, a ich życie toczyło się na bezkresnych pastwiskach. Odnosi się wrażenie, że wciąż tu są, trzeba wierzyć w nieśmiertelną duszę i w to, że duchy pochowanych w tych kurhanach ludzi są między nami... Nie wystarczy napisać o tym uczonych słów...

Na groby te została rzucona klątwa, która ostrzega, że jeśli ktoś naruszy spokój zmarłych, przyplaci to życiem. Trochę prawdy w tym musi być, skoro w nic niewierzący komuniści, dla których nie było żadnej świętości, nie odważyli się zbezczścić tych grobów.

Jest jeszcze jedna ciekawostka - ciągnęła pani redaktor - do dziś nie jest znane miejsce pochówku najwybitniejszego zdobywcy i władcy imperium - Czyngis - chana, ale są przesłanki, że grób jego znajduje się na terenie Rosji w okolicach Kyzylu. Ostatnio dużo się o tym mówi - dodała.

- Czy język, którym posługują się obecni tu przedstawiciele ludów, jest językiem mongolskim? - zapytałem.

- Wszystkie języki narodów sajańskich reprezentują turecką grupę językową. Nie do wiary, jak stara jest ta kultura. O niektórych plemionach sajańskich wspominają chińskie zapiski kronikarskie z trzeciego wieku p.n.e. Żyjący tu Chakasi, Szorcowie, Tuwińczycy i Buriaci są blisko spokrewnieni z narodami mongolskimi; zresztą, co tu dużo mówić, wystarczy popatrzeć na twarze, nie jestem pewna, czy odróżniłbyś Mongoła od na przykład Chakasa - dodała jakby na potwierdzenie swojej tezy.

Pani redaktor miała całkowitą rację, ludzie tu obecni wyglądali prawie jednakowo i nie sposób było się połapać, kto do jakiej grupy narodowościowej należy.

- Ile narodowości żyje obecnie w Rosji? - zapytałem.

- W tej chwili trudno mi powiedzieć - powiedziała pani redaktor - ale za czasów ZSRR było ich sto trzydzieści i wszystkie miały swój odrębny język, teraz będzie około pięćdziesięciu.

Przed nami zatrzymała się ciężarówka pełniąca rolę autobusu, którą przybyli spóźnieni goście. - Czy „skaczki” już były? - pytali wkoło. - Nie - odpowiedzieli zapytani, będą pod koniec imprezy.

- Co oznacza słowo „skaczka”? - zapytałem.

- To nazwa wyścigów konnych, to jakby narodowy sport w azjatyckiej części Rosji. Nie ma w tych stronach żadnej uroczystości, na której by nie było wyścigów konnych, to prawie świętość - tłumaczyła pani redaktor.

Uroczystość odbywała się już w pełnej krasie. Na estradach występowali tancerze, śpiewacy oraz muzycy grający na instrumentach ludowych. Jednocześnie sportowcy rywalizowali między sobą w zapasach, biegach i najróżniejszych grach zręcznościowych. Trzeba przyznać, że impreza była dobrze i sprawnie zorganizowana przez megafony umieszczone na samochodach informowano na bieżąco, jakie występy i zawody odbędą się wkrótce.

Tłumy ludzi oblegały poszczególne estrady, każdy starał się zobaczyć jak najwięcej, lecz nie dla wszystkich wystarczyło miejsca w pobliżu podwyższenia. Ludzie powchodzili na dachy samochodów, a najmniejsi chłopcy ustawili konie w pobliżu i siedząc po kilku na jednym koniu, wszystko obserwowali z góry. Przeszliśmy z panią redaktor w poblizsze jurt i szałasów, z których można było popróbować przeróżnych specjałów azjatyckiej kuchni. Były tradycyjne pierogi buriackie, gdzie rolę farszu spełniał ugotowany kartofel; różne rodzaje ciast i pieczywa; cukierki własnego baran piekący się nad ogniem - każdy za drobną opłatą mógł się sam obsłużyć, odkrawając sobie ulubioną sztukę mięsa. Wszędzie dymiły różnej wielkości samowary, gdzie można było napić się gorącej herbaty. Z napojów alkoholowych polecano tylko kumys, wódkę sporządzoną z kobyłego mleka, którą sprzedawano bezpośrednio z dużych kań przeznaczonych do transportu mleka. Wokół było gwarno i wesoło, Azjaci suto zajadali, wódką popijali i głośno komentowali poszczególne występy. Wtem na placu zawrzało jak na giełdzie nowojorskiej, gdy dociera wiadomość o spadku kursu dolara i każdy z Azjatów ile sił w nogach podążył ku obrzeżom doliny, gdzie prowizorycznymi taśmami był oznaczony tor wyścigowy. Megafony kilka razy powtórzyły wiadomość, na którą wszyscy czekali. Zaraz odbędą się „skaczki”, czyli wyścigi konne. Podążyliśmy w tym kierunku, by z bliska zobaczyć gonitwę. Najpierw odbyła się prezentacja koni. Jak burza przeleciał tabun dosiadany przez młodych jeźdźców, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście. Większa część jeźdźców posiadała siodła, ale byli i tacy, co jechali, dosiadając koni bez siodła, po prostu na oklep. Z podziwem patrzyłem na tych młodych chłopców i ich umiejętność dosiadania konia; ich wyprostowane sylwetki, ruchy i twarze wyrażające pewność siebie sprawiały, że odnosiło się wrażenie, jakby koń i człowiek stanowiły jedną całość; pewien w tym momencie byłem, że chłopcy ci będą jeszcze niemowlakami, najpierw nauczyli się jeździć konno, a dopiero później chodzić. Tłum wrzał, ludzie przekrzykiwali się wzajemnie, panował jeden ogólny harmider.

- Dlaczego ci ludzie tak wrzeszczą? - zapytałem panią redaktor. - Tu chodzi o pieniądze - odpowiedziała, rozglądając się uważnie na boki. - Jakie pieniądze? - zapytałem. - „Skaczki” to odwieczna tradycja i hazard - powiedziała - obecni tu ludzie należą do różnych rodów, które współzawodniczą ze sobą. Przywódcy tych rodów robią między sobą nieoficjalne zakłady, które opiewają czasami na bardzo wielkie sumy. Wiadomo, że za czasów komunistycznych zabronione były jakiegokolwiek loterie i hazard. Mądrzy Azjaci wpadli więc na iście szatański pomysł, wykorzystując do tego celu oficjalne święta państwowe, w czasie których nikt nie zabraniał ścigania się na koniach, ponieważ była to jedna z licznych dyscyplin sportowych. Władze wiedzą o tym od dawna, ale

przymykają na to oko, bo zdają sobie sprawę, że rody te są silne i blisko powiązane. Komuniści i obecnie rządzący nie chcą o taką bądź co bądź drobnostkę prowokować niesfornych zawsze Azjatów. Może wydawać się to dziwne, ale każda władza trochę się bała tych rodowych klanów - komuniści byli wręcz usatysfakcjonowani, że udało im się zrzeszyć tych ludzi w kolchozach - dodała pani redaktor.

W dolinie czuło się wielkie napięcie. Ludzie wychylali głowy w kierunku, skąd nadjechać mieli ścigający się jeźdźcy. Wreszcie gonitwa się rozpoczęła, zawrzało jak w ulu; ludzie cisnęli się i podskakiwali, robili wszystko, aby zobaczyć walkę toczącą się na torze. Ustawieni wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia milicjanci z trudem panowali nad sytuacją, napierający tłum wychodził już prawie poza ogrodzenie. Zza zakrętu wychyliła się już czołówka, krzyczano, dopingując swoich faworytów; konie przeleciały w szaleńczym tempie, powodując drżenie ziemi, głowy widzów jak na komendę odwróciły się w przeciwną stronę, lecz widać było tylko opadający już tuman kurzu. Ludzie pozostali na swoich miejscach, więc domyśliłem się, że to dopiero pierwsze okrążenie.

- Ile jeszcze będzie okrążeń? - zapytałem stojącego obok mnie mężczyznę.

Azjata spojrzał na mnie jak na stwora nie z tej planety, gdyż widocznie w głowie mu się nie mieściło, aby ktoś nie wiedział, ile ma być okrążeń.

- Jeszcze cztery - odparł, patrząc na mnie jak na skończonego idiotę, a ja już nie miałem odwagi spytać się, ile to razem będzie kilometrów. Rozgorzały tłum głośno skandował każdorazowe pojawienie się jeźdźców. Wreszcie ostatnie okrążenie.

W dolinie zapachniało krwią... Walczyli już wszyscy: jeźdźcy na torze i widzowie między sobą, bezpardonowo rozpychając się i prac w kierunku, skąd miały nadbiec konie. Z trudem ochraniałem aparat fotograficzny i reporterski magnetofon, tłum „mnie ścisnął i już w ogóle nic nie widziałem, ani toru, ani koni - widziałem tylko Pokrzywione w ekstazie azjatyckie twarze. Po chwili usłyszałem dzikie wrzaski i wycie przypominające głosy Indian ruszających do ataku; słychać było tętent przebiegających w pobliżu koni; po chwili dziki wrzask jakby przycichł, aż wreszcie zamarł i było słychać tylko ożywione głosy. Rozluźnił się żelazny uścisk, tłum się rozchodził, skośnookie twarze wyrażały u jednych smutek, u innych zadowolenie.

Towarzysząca mi pani redaktor otrząpywała się jak kura przejechana przez ciężarówkę i z oburzeniem powtarzała: - Na śmierć by mnie cholery zadeptały...

Święto otwarcia pastwisk zostało zakończone. Ludzie rozjeżdżali się w różne my. Składano jurty i prowizorycznie zbudowane chaty, słychać było głosy nawoływań i warkot ruszających samochodów. Po godzinie w dolinie zapanował już spokój i w świetle popołudniowego słońca widać było ostatnich gości oddalających w kierunku, gdzie była

tylko wypalona słońcem trawa. Pożegnałem gościnnych organizatorów oraz panią redaktor z narażeniem życia towarzyszącą mi w oglądaniu Wyścigów konnych i ruszyłem w kierunku na południe, by dotrzeć do miasta Kyzyl, okolicach którego zamieszkiwali przedstawiciele narodu Tuwińczyków.

VI

Ponieważ z miejscowości Askiz, gdzie się znajdowałem, nie prowadziła w kierunku Kyzylu żadna droga, postanowiłem jechać bezludną stepową krainą wzdłuż pasma Sajanu Wschodniego.

Jechałem teraz krajem spalonym słońcem, polami bez drzew, bez cienia, bez dzikich zwierząt. Ziemia porośnięta była jakimiś roślinami: wysokimi, kłującymi, wiecznie suchymi, tak, że nawet na myśl mi nie przyszło, że mogły one zakwitać i przekwitać jak wszystkie inne rośliny w tym kraju. Chyba nikt nawet nie znał nazwy tych badyli...

Godziny jazdy ciąły się jak zrobione z gumy. Pomimo że była już dwudziesta druga, na dworze było jeszcze całkiem jasno.

Wreszcie krajobraz zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zewsząd otaczała mnie zielona wybujała trawa, w oddali widać było pojedyncze drzewa, za którymi spostrzegłem zlewającą się z niebem czarną drogę... Po chwili zobaczyłem niewielką dolinę i stojące w niej liczne drewniane chaty. Za wsią płynęła dosyć duża połyskująca rzeka.

Zatrzymałem samochód, wyjąłem mapy, aby zobaczyć, dokąd mnie Bozia zawiodła. Biorąc pod uwagę prędkość i kierunek jazdy, doszedłem do wniosku, że przede mną znajduje się miejscowość Czeremuszki, a płynąca opodal rzeka to najdłuższa z rosyjskich rzek - Jenisej. Zdając sobie sprawę, że jest już za późno na przeprawę przez rzekę, postanowiłem zatrzymać się na noc gdzieś w pobliżu. Skręciłem na lewo i po krótkiej jeździe zatrzymałem się opodal kilku rosnących obok siebie drzew. Rozłożyłem namiot i nie chcąc zdradzać swej obecności rozpalaniem ognia, zjadłem kolację na zimno.

Nad dalekim lasem ciemniało już niebo, dołem płynęła rzeka, a nad polami unosiły się wilgotne mgły. Zrobiło się chłodno, więc zaszywam się w namiocie i natychmiast zapadam w sen.

Jechałem bardzo powoli, oślepiony wschodzącym słońcem. Z tablicy umieszczonej na budynku poczty dowiedziałem się, że rzeczywiście znajduję się w Czeremuszkach. Zapytałem przypadkowego przechodnia, jak można przeprowić się przez rzekę.

- Tu nie ma przeprawy - odpowiedział napotkany - musisz jechać na północ do Sajanogorska, tam kursuje co jakiś czas prom. Za godzinę dojedziesz - dodał i pożegnał mnie machnięciem ręki. Rad nie rad ruszyłem w przeciwnym, niezamierzonym kierunku i rzeczywiście po godzinnej jeździe stałem już na prowizorycznym nabrzeżu, obserwując płynący w moim kierunku holownik z doczepioną barką.

Wraz z innymi pojazdami wjechałem na pokład.

- Odplywamy za godzinę - poinformował mnie skośnooki sternik, widząc, że jestem

nietutejszy. - A dokąd jedziesz? - zapytał.

- Do Kyzyłu - odpowiedziałem.

- Znasz tam kogoś? - dopytywał się sternik.

- Nie, jestem tylko turystą - wyjaśniłem. Sternik zamyślił się i po chwili odezwał się:

- Powiem ci szczerze: lepiej tam nie jedź.

- Dlaczego? - zainteresowałem się.

- Tam mieszkają Tuwińczycy, którzy bardzo nie lubią Rosjan.

- Ale ja nie jestem Rosjaninem - odpowiedziałem.

- Ja to wiem, ale oni mogą nie zdążyć tego zauważyć... Zresztą, obojętnie kim jesteś, oni nie lubią nietutejszych i są bardzo agresywni - paru już stamtąd w trumnach odjechało... - Zrobisz jak uważasz, ja tylko ciebie ostrzegłem - dodał pojednawczo.

- Jak już tu jestem, to tam pojedę - odpowiedziałem, ale po tym, co usłyszałem, niewesoło na duszy mi się zrobiło. Po godzinie, zgodnie z tym, co powiedział kapitan, prom odbił od nabrzeża i ruszył w kierunku przeciwnego brzegu. Warto napisać testament - pomyślałem, kiedy znalazłem się na drugiej stronie rzeki, ale zaraz przypomniałem sobie, że już mi wróżono, że nie dojadę nawet do Moskwy...

Zbliżało się południe, kiedy dotarłem do drogi prowadzącej w kierunku Kyzyłu. Daleko z tyłu pozostały drzewa i łąki z zieloną trawą rosnącą w sąsiedztwie rzeki. Teraz na powrót otaczał mnie księżycowy krajobraz pozbawiony życia. Prażące słońce sprawiło, że w kabinie było tak gorąco, że nie sposób było normalnie oddychać. Jak ryba wyciągnięta z wody otwierałem usta i krótkimi oddechami łapałem w płuca rozgrzane powietrze. Niewiele ulgi przynosił pracujący wiatrak i pootwierane okna, do wnętrza samochodu wdzierał się gorący strumień pozbawionego wilgoci powietrza. Ciało moje przestało wydzielać pot, skóra na dłoniach stwardniała i stała się szorstka niczym gruboziarnisty papier ścierny. Wokół była pustka; nic, tylko nagie piaskowe Wzgórza rzadko porośnięte kępami wysokiej, wyschniętej trawy.

Po czterogodzinnej, pełnej udręki jeździe dotarłem do miejscowości Turan oddalonej siedemdziesiąt kilometrów od Kyzyłu.

Wieś robiła wrażenie wymarłej, nie było widać najmniejszego śladu życia; wszystko co żyło, skryło się gdzieś przed lejącym się z nieba piekłem.

Jak można tu żyć? - pomyślałem, patrząc na wałące się drewniane chaty, otoczone wypaloną ziemią.

Przed każdym z domów zauważyłem stojącą beczkę, a ponieważ nigdzie wokół nie zauważyłem żadnej studni, domyśliłem się, że woda jest tu dowożona. Odkryłem blaszane wieko i zajrzałem do jednej z nich, wydobył się z niej bagnisty odór i ujrzałem czarną,

ciepłą, lepłą od różnych glonów wodę. Obraz tego piekła na ziemi pozostał do dzisiaj w mojej pamięci - widzę stale podgrzewaną słońcem pordzewiałą beczkę i znajdującą się w niej zgniłą wodę...

Byłem pewien, że znajduję się w jednej z wiosek zamieszkałych przez Tuwińczyków. Chciałem spotkać tych ludzi, porozmawiać z nimi i nie dojeżdżać do Kyzylu, tylko prosto stąd udać się w kierunku na wschód. Lecz wieś trwała w swojej śpiączce, zauważyłem tylko człowieka jadącego na koniu i starszą kobietę, która parę chałup dalej nabierała z beczki wodę do wiadra. Nikt nie zainteresował się moim przybyciem, jak to było w innych miejscowościach, więc lekko zawiedziony zrezygnowałem ze spotkania z Tuwińczykami, zadowolając się poznaniem krajobrazu, w jakim ci ludzie mieszkają.

Przestudiowałem parokrotnie mapy, starając się obrać najdogodniejszą trasę, którą dotrę do Irkucka, a tym samym nad jezioro Bajkał. Wrócić tą samą drogą? Nie.

Szlak był tylko jeden - przez pustynię i wypalone słońcem góry - Sajjan Wschodni. Do przebycia około ośmiuset kilometrów całkowitego bezludzia, gdzie przeszkodami będą góry, piach, upał oraz rzeki. Zdałem sobie sprawę, że przede mną pierwszy prawdziwy egzamin, przy zdawaniu którego nie mogę spodziewać się żadnej pomocy, że mogę tylko liczyć na siebie i sprzyjające mi dotychczas szczęście. Sprawdzam stan paliwa i stwierdzam, że wystarczy go na około tysiąc dwieście kilometrów, uzupełniam olej w silniku i robię ogólny przegląd samochodu. Zapas wody pitnej określłam na trzy dni i uznaję go za wystarczający. Zegnam się znakiem krzyża i ruszam piaszczystym bezdrożem w kierunku północno - wschodnim.

Po godzinie docieram do rzeki Bij - Chem, a ponieważ płynie ona na północny wschód, udaję się w tym kierunku i jeżeli warunki terenowe na to pozwalają, jadę wzdłuż jej koryta. Dzisiaj postanawiam wcześniej niż zwykle wzbić obóz i korzystając z dostępu do wody wyszorować kilkudniowy brud i zrobić drobną przepierkę. Zaplanowałem, że następnego dnia wyruszę o świcie, by jeszcze w porannym chłodzie przejechać jak najwięcej kilometrów.

Wczesnym wieczorem chłodzę już spalone słońcem ciało w czystej, przezroczystej wodzie. Och, co za ulga! Opodal na brzegu leżą suche gałęzie, które musiała przynieść w to miejsce wzburzona wiosennymi roztopami rzeka, rozpalam więc ogień i przygotowuję ciepły posiłek. Czysty i najedzony siadam na piaszczystym brzegu i rozkoszuję się ciszą oraz płynącą leniwie przezroczystą wodą.

Zapadła jasna noc; niebo czarne, wygwieżdżone, konstelacje Pegaza i Perseusza układają mi się w kształt byka rwącego przed siebie z pochylonym łbem, jakby chciał mi

dać dobry przykład... Syberię bykiem bierz, bracie... Co za gwiazdy, co za noc...

Gdy tylko pierwsze promienie słońca wyjrzały zza horyzontu, ruszyłem w dalszą drogę. Parę kilometrów dalej rzeka wielkim zakolem skierowała się na południe, a przede mną rozpostarła się pofałdowana, wypalona słońcem bezkresna przestrzeń.

Od dwóch dni jechałem przez pustą ziemię z rzadka napotykając na charakterystyczne punkty, na które mógłbym wziąć namiar kompasem. Step, piach i słońce...

Zatrzymałem się i spojrzałem na mapę. Mapa gdzieś tam wskazywała góry i rzeki, ale najczęściej absolutnie nic - była tylko biała plama.

Cały czas starałem się utrzymać kierunek północno - wschodni i zjeżdżałem tylko wtedy, kiedy warunki zmuszały mnie do tego. Koła samochodu ciężko pokonywały kilometr za kilometrem, zostawiając wgłębienia w gorącym piachu. Przejeżdżałem niekończące się doły i wierzchołki, ale za każdym razem widoczny dla mnie horyzont ograniczał się do tylko do następnego pagórka. Pod wieczór zerwał się silny wiatr wijący raz po raz z innych kierunków, powodując piaskowe zamiecie i trąby wietrzne unoszące tumany kurzu. Szyby oblepił gęsty biały piasek, w którym wycieraczka złobiła uparcie półksiężyc. Jechałem powoli, na wycucie, strzałka szybkościomierza kiwała się niechętnie. Tylko silnik dudnił uporczywie, pewnie, w tej białej gmatwaninie. Byle do przodu - do Irkucka, do Bajkału... Noc przespałem w samochodzie. Szukając potwierdzenia w przysłowiu, że tylko M, przedstawia jakąś wartość, co jest trudne, następnego dnia jeszcze wcześniej wyruszyłem w drogę. Krajobraz się nie zmienił, wydawał się tylko jeszcze bardziej suchy. Jedynym odpoczynkiem od wszechogarniającej pustki były posiłki, które spożywałem, siedząc w cieniu samochodu.

Następnego dnia zauważyłem ślady opon... Niestety, własnych, gdyż niebawem okazało się, że jeżdżę wkoło... Domyśliłem się, że należy wierzyć wskazaniom kompasu i nie ulegać chwilowym olśnieniom... Zatrzymałem pojazd, czekałem, aż puls się uspokoi, wybrałem północ i ruszyłem przed siebie. Step wypalony był przez słońce, a krajobraz wokół mnie suchy i wypalony na kość. Wkrótce znalazłem się w morzu piasku, pozostawiając widoczny ślad wiodący wśród wydm. Po godzinnej jeździe przez pustynię zatrzymałem samochód, aby mniej więcej zorientować się, gdzie jestem. Obliczyłem przejechane kilometry i doszedłem do wniosku, że muszę się już znajdować niedaleko rzeki Kazyr.

Perspektywa bliskości wody sprawiła, że natychmiast ze zdwojoną energią ruszyłem dalej. Po jakimś czasie zatrzymałem się na pagórku; obok samochodu. Zauważyłem norę wykopaną, przez jakieś zwierzę, niżej solniska po wyschłym jeziorze a

na drugim brzegu jurty i stojącą obok niej szopę na żerdziach. Z daleka było widać, że jest niezamieszкана, gdyż wiejące wiatry nawiały wkoło niej okazałą górkę piachu oblepiającego szczelnie ściany tej okrągłej budowli. Wyłączyłem silnik i pieszo udałem się w kierunku osobliwego domostwa. Dochodząc, poczułem silny odór rozkładającej się jakiejś padliny, który potęgował się w miarę zbliżania się do jeziora. Może to rozkłada się człowiek? - pomyślałem przez chwilę, ale natychmiast przywróciłem do porządku zmęczony słońcem umysł, zdając sobie sprawę, że nie znajduję się na planie filmowym jakiegoś westernu, tylko przypadkowo napotkałem niezamieszkaną chatę...

Niebawem ujrzałem również sprawcę wszechobecnego smrodu - zwierzę było wielkości psa i znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Przyglądałem się zwłokom wnikliwie, ale nie udało mi się odgadnąć gatunku denata. Obszedłem chatę dookoła i utwierdziwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, nieśmiało zajrzałem do środka. Wewnątrz jurty stał kolista niski stół, który wydawał się jeszcze niższy od naszych ław. Pod ścianami stały ławki przykryte kilimami. Panował ogólny i wszystko wyglądało tak, jakby gospodarz tylko na krótką chwilę opuścił domostwo. Nauczony przykrym doświadczeniem, przezornie objechałem wyschnięte jezioro i pędziłem dalej we wcześniej obranym kierunku, mając nadzieję, że jeszcze przed wieczorem dojadę do rzeki.

Niestety, słońce chowało się już za horyzont, a ja jeszcze znajdowałem się wśród bezkresu piasku i archipelagu wysepek utworzonych z wyschniętych łodyg roślin. Każdy kolejny pagórek był już tym ostatnim, za którym miała płynąć życiodajna rzeka, lecz na szczycie widać było tylko kolejne takie samo wzniesienie. Stałem się niespokojny i chcąc jak najszybciej wydostać się z tej piaszczystej matni, automatycznie zwiększyłem tempo jazdy. Wyciskałem z silnika, ile się dało, omijałem większe nierówności i jak szalenciec, na złamanie karku, z górki na górkę - byle do przodu. Po jakimś czasie zmęczenie wzięło górę nad emocjami i kolejne wzniesienia nie budziły już nadziei, a ja pozostałem sam, myślami skłócony ze sobą. Co robić dalej?

Zatrzymałem się na chwilę, sprawdziłem kierunek jazdy i pomimo że zapadła już ciemna noc, postanowiłem jechać dalej, mając nadzieję na wydostanie się z tego oceanu pustki. Nic na siłę. I tak się nie uda... Zaczęły się halucynacje - kępy sterczących łodyg dawały złudzenie daleko położonych wiosek, w których, jak mi się wydawało ze względu na panującą noc, nie paliło się żadne światło... Cienie, które powstawały za sprawą rozproszonego światła reflektorów, tworzyły małe jeziora wody połyskującej w świetle księżyca, do których było już całkiem niedaleko... Coraz wolniej, wolniej - samochód ledwo się toczył, głowa coraz niżej, niżej, aż wreszcie opadła na kierownicę. Korzystając z resztek sił, wyłączyłem silnik i tak zakończyłem walkę ze snem i naturą.

Gdy się przebudziłem, słońce stało już wysoko na niebie. Zlany potem wygramoliłem się z samochodu. Intensywne poranne słońce rozpaliło blachy samochodu do tego stopnia, że temperatura wewnątrz samochodu równała się temperaturze, w jakiej wytapia się stal... Dotknięcie jakiegokolwiek części groziło poparzeniem. Próbowałem coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z mojego gardła. Panująca temperatura oraz suchość kontynentalnego klimatu sprawiły, że zaschło mi w gardle. Otwierając usta, słyszałem trzeszczenie wyschniętego podniebienia, a zrogowaciały język był szorstki jak u młodego kota. Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem twarz podobną do tych, jakie się widuje na świętych obrazach, w których artysta celowo podkreślił brzydotę diabła...

Prawie tygodniowy zarost, przekrwione, wyrażające stadium obłędu oczy, strąki niemytych włosów - wszystko to sprawiało, że podobny byłem do jakiejś dzikiej kreatury... Wdrapałem się na dach samochodu, gdzie zamocowany był pięćdziesięciolitrowy zbiornik z wodą. Otwierając wieko, usłyszałem syk podobny do tego, jaki słyszy się, otwierając butelkę wody sodowej; zajrzałem do środka i oniemiałem z wrażenia. To, co kiedyś było wodą, zmieniło się w gęstą, cuchnącą, zieloną ciecz, w której zdomowiły się jakieś przezroczyste zwierzątka. Momentalnie zdałem sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

Spojrzałem na otaczający mnie teren i pomyślałem, że teraz to żarty już się skończyły. Przyszły mi na myśl ostrzeżenia, jakie słyszałem o jakiejś groźnej chorobie spowodowanej piciem nieprzegotowanej wody azjatyckiej i przez chwile tak się tym przejąłem, że niemal już stwierdziłem pierwsze jej objawy u siebie. Ale było to chwilowe i zaraz panowałem już nad sytuacją. Pomyślałem, że nie ma co robić z byle czego tragedii. Wprost przeciwnie.

Nie raz w życiu byłem w gorszych warunkach, dzięki temu jestem teraz Wystarczająco elastyczny, mogę bezproblemowo dostosować się do każdej sytuacji i wyjść z każdego kłopotliwego położenia. Wyjąłem mapę i busolę. Przeanalizowałem kierunek wczorajszej jazdy o zachodzie słońca i doszedłem do wniosku, że nawet gdybym po zmroku nieznacznie zboczył z obranego kierunku, to i tak powinienem znajdować się niedaleko licznych w tym rejonie źródeł dających początek syberyjskim rzekom płynącym stąd na północ. Nie ma chwili do stracenia - trzeba stąd szybko wiać.

Land - rover widocznie był tego samego zdania, gdyż odpalił za pierwszym obrotem rozrusznika i po chwili byłem już w drodze. Jadąc, w myślach obliczałem przejechane kilometry. W ciągu poprzedniego dnia odwaliłem półtorej setki. Tej nocy jeszcze siedemdziesiąt. Gdybym nie musiał kluczyć pomiędzy naturalnymi przeszkodami, już

byłbym nad Bajkałem...

Minęło południe, a krajobraz pozostawał niezmienny. Pragnienie sprawiło, że doszedłem już do granic wytrzymałości. Zacząłem zastanawiać się, jak długo człowiek może wytrzymać bez wody. Podobno niedługo... Co będzie, jeżeli dzisiaj nie dotrę do rzeki? Jak wygląda śmierć spowodowana pragnieniem? Czy boli? W mózgu mi się gotowało. Zdawało mi się, że kołuję wśród tych samych kęp. Straciłem poczucie czasu, minuty wydawały się godzinami. Zacząłem odbierać na innych, nieznanymi mi dotychczas falach... Ciekawe rozmyślenia ma człowiek w takiej sytuacji. Myśli, które w normalnych warunkach uznawane były za rozdziwienie jaźni, urosły do rzeczywiście ważnych problemów. Na przykład: zdałem sobie sprawę, że życie moje w tej chwili jest uzależnione od takiego sprzętu jak samochód. Pokonując niekończące się pagórki tej martwej krainy, przyglądałem się poszczególnym częściom pojazdu z dziwną miłością. Kierownica, zegary i pomrukujący silnik wydawały mi się bardziej ważne niż moje własne ręce i ja cały. Podświadomie czułem, że to żelazo mnie nie zawiedzie. Jak schizofrenik czepiający się drobnej nieistotnej przesłanki, uczepiłem się myśli, że samochód nie powinien kończyć na złomowisku, lecz rozwalić się z hukiem... Dlaczego tak myślałem, nie wiem do dziś, może wytłumaczą mi to psychiatrzy. Jak śmieszne i puste wydało mi się moje dotychczasowe życie. Pogoń? Za czym? Sam śmiałem się ze swojej głupoty. Człowiek urządza się na tym świecie jakby miał żyć wiecznie - żaden dzikus tego nie robi. Zapomina lub przez wrodzoną głupotę nie wie, czego mu naprawdę najbardziej potrzeba... Proszę mi wierzyć, to bardzo ciekawe uczucie, kiedy za szklankę wody jesteś gotów oddać wszystko, co posiadasz. Jak w północy przemieszczam się do przodu i tak jak poprzedniego dnia: każdy pagórek, wzniesienie, były tym, skąd miałem ujrzeć życiodajny krajobraz.

Po kilku godzinach zatrzymuję się i nalewam benzyny z kanistrów. Jeden pełen zostawiam na dachu. Obliczam, że wystarczy na czterysta kilometrów. To mnie pociesza i uspokaja. Na postoju nie odpoczywam, nic nie jem. Ruszam dalej. Nie czuję się już najlepiej. Mam wrażenie, że sztywnieją mi ręce, na ustach występuje dziwne mrowie, oddech mam szybki i świszczący, a przy próbie połknięcia śliny czuję piekący ból gardła. Do tego zaczynają się omamy wzrokowe - zaczynam widzieć podwójnie. Nie czuję już upału, pragnienia, głodu - czy tak lekko wygląda agonia? Na pewno nie - to dopiero początek.

Mijają następne godziny. Godziny, w których już nic nie myślałem. Po prostu automatycznie jechałem. Wtem jakby przebudzenie - ciągnie trochę wilgocią. Nawet nie zauważyłem kiedy... Pod kołami najprawdziwsza trawa! Pewno rzeka blisko. Trzeba jej poszukać. Jadę szybciej zygzakiem - szukam. Trawa coraz wyższa krzaki - zawsze rosną

blisko wody. Trzcina. Woda...

No, teraz dopiero trzeba mnie zobaczyć. Pędzę jak opętany, rzucam się w ubraniu do wody. Piję - pluskam się. Dwumetrowe trzciny. Kaczki zrywają się spod nóg. Tu już nie zginę. Całkiem inny duch we mnie wstąpił, w niepamięć poszły niedawne cierpienia. Wszystko, co było, wydawało się tylko koszmarnym snem. Wróciło życie z podwójną siłą. Teraz mogę góry przesunąć... Trawa po pas, zieleń, rzeka - bajka. Od kilku dni „mieszkalem” na pustyni, zapomniałem już co to trawa, woda, rośliny...

Siadam na brzegu, zapalam papierosa i wiem, że jestem dzisiaj najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. Wieczorem długo jeszcze wsłuchuję się w dźwięki życia. Szum wody, rechot żab i nawoływania ptaków. Teraz odpocząć, przebudzić się, jeść i spać. Nie czułem członków tak byłem wycieńczony i potłuczony. Komarów tu nie ma, więc zasypiam pod gołym niebem.

Nazajutrz budzę się jak nowo narodzony. Dzień jest słoneczny i upalny. Trawa jest gęsta i soczysta. Kto widzi ją codziennie, ten nie wie, ile to warte - paść na trawę, poczuć ją pod pierśią, zanurzyć w niej twarz. Dzisiaj nic nie robię. Kompletnie nic. Wcale mnie nie interesuje, że mam brudne, przepocone ubranie i wypadałoby zrobić przepierkę, że samochód wymaga oględzin i drobnych napraw, że należałoby zrobić porządek w kabinie i w skrzyniach na dachu - wszystko to jest nieważne. Dzisiaj tylko odpoczywam. Jediną czynnością, w którą włożyłem trochę wysiłku, było założenie nowego haczyka na żyłkę... Czynność tę, jak się później okazało, pracochłonną, wykonałem i tak niepotrzebnie, gdyż ogarnęło mnie takie lenistwo, że nawet ryb nie chciało mi się łowić.

Czasami bezczynność jest piękna. Wrodzona ciekawość sprawiła jednak, że wieczorem zacząłem zastanawiać się, nad jaką to rzekę przygnał mnie los. W domniemanym miejscu, gdzie spodziewałem się znajdować, było rzek i rzeczek do wyboru. Może to Uda, może to Urug albo Kumoj, ostatecznie i tak nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ ze zgrozą stwierdziłem, że dalsza trasa będzie musiała oprowadzić dalej przez step lub podobną do stepu krainę. Uspokajający był jednak fakt, że jadąc w kierunku północno - wschodnim prędzej czy później będę musiał dojechać Angary, która korytem swym doprowadzi mnie prosto nad Bajkał. Rozmyślając jak, nawet się nie spostrzegłem, jak zapadł zmrok.

Wkoło nastąpiła cisza i wyglądało tak, jakby cała przyroda ułożyła się do snu. Nawet wartka rzeka płynęła wolniej i ciszej. Umyłem się starannie i pachnący świeżością syberyjskiej wody poszedłem spać. Obudził mnie ptasi jazgot. Już widniało. Przygotowałem śniadanie, uzupełniłem wodę i wraz z pierwszymi promieniami słońca ruszyłem dalej.

Początkowo jechałem wzdłuż koryta rzeki, ale niebawem stare zwietrzałe skały zagroziły mi drogę, zmuszając do zmiany kierunku jazdy w przeciwną stronę.

Aby nie pędzić w nieznane, postanowiłem wjechać na widoczny w oddali pagórek, by lepiej zorientować się w okolicy. Jadąc w kierunku wzniesienia, z lekkim niepokojem dostrzegłem kończącą się pod kołami roślinność i zaczynające się piaszczyste podłoże. Taki żal było rozstawać się z zielenią! Niebawem rozglądałem się już po okolicy, która z tej wysokości wyglądała jak duże powiększenie mapy.

Wokół rozpościerał się suchy pagórkowaty teren, w który wrzynała się okolona zielenią rzeka. Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że aby utrzymać właściwy kierunek jazdy, muszę przedostać się na drugą stronę rzeki. Jednocześnie pomyślałem, że prędzej na tym pustkowiu napotkam pomnik Lenina niż most, po którym mógłbym się przeprawić. Miejsce ostatniego postoju kompletnie nie nadawało się do przejazdu na drugą stronę ze względu na głębokość wody. Nie było więc innego wyjścia, jak udać się w kierunku południowym, czyli w kierunku źródła i tam szukać dogodnego miejsca do przeprawy. Rad nie rad natychmiast udałem się w tym kierunku. Nie oddalając się zbyt od koryta rzeki, pokonywałem piaszczyste wzniesienia, z daleka bacznie obserwując szerokość płynącej wody. Wreszcie zauważyłem dogodne miejsce.

Coś w rodzaju miniaturowego wodospadu. W miejscu tym woda wydawała się płytka, ale chcąc uniknąć przykrew niespodzianki, przebyłem najpierw trasę przeprawy w bród.

Kontrola wypadła pozytywnie i po chwili ociekającym wodą land - roverem pędziłem już drugą stroną rzeki.

Z ukrytym smutkiem obserwowałem rzednącą pod kołami samochodu trawę, by po chwili znaleźć się znów w znanej krainie...

Jednodniowy odpoczynek do tego stopnia doskonale zregenerował nadwerężony wysiłkiem organizm, że kolejny dzień wielkiej niewiadomej przyprawiał mnie o miły dreszczyk emocji. Pomyślałem wówczas, że gdyby zaproponowano mi podróż bezpieczną, w której będę wiedział, co zrobię jutro i pojutrze, to wiem, że nie miałbym z niej żadnej przyjemności. A tak, ile w tym wszystkim uroku i niezapomnianych chwil. - Późnym popołudniem zauważyłem ptaki lecące w tym samym kierunku. Jak marynarz rozpoznający po ptakach bliskość lądu, tak ja upewniłem się, że na pewno jadę w dobrą stronę. Zaczyna się jakaś ziemia orna, bruzdy. Tam, gdzie grunt orny, tam i ludzie. Przybyło krzaków, a z nimi chłodu. Podjechałem do urwiska. Wylączyłem motor. W dole pluska, szmerze i dyszy ku mnie błogością rzeka. Po drugiej stronie rząd drewnianych chat.

Hurra. Wioska. Mieszkańcy nie zauważyli jeszcze mojego przybycia - bo kogóż tu można się spodziewać i do tego od tej strony. Wsluchuję się w odgłosy skupiska ludzkiego. Słyszę inwentarz domowy, pieje kogut, beczy owieczka, gdzieś słychać bawiące się dzieci. Boże, co za uczucie - na chwilę prawie się rozklejam. Ścieżką po drugiej stronie jedzie ktoś na rowerze. Jeszcze mnie nie zauważył, ale wiem, że zrobi to lada chwila. Już zauważył. Zatrzymuje się i by lepiej widzieć pod słońce, przystawia otwartą dłoń do czoła. Jest zdziwiony nie mniej niż ja. Zawraca w kierunku wsi i znika między domami. Po chwili ukazują się pojedynczy mieszkańcy. Jeden po drugim zaczynają się gromadzić, dochodząc do siebie. Ich jednakowe kufajkowe ubiory sprawiają z daleka wrażenie, jakby przynależeli do jakiegoś wojska. W lot połapali się, że tak jakby chcą do nich... Jeden z nich wskazał mi kierunek jazdy. Ruszyłem brzegiem, a oni drugą stroną i niebawem zauważyłem płytkie miejsce, gdzie po obu stronach rzeki widać było ślady kół. - Więc i oni tutaj czymś jeżdżą - powiedziałem głośno i bez wahania wjechałem do wody, szczęśliwie wyjeżdżając z drugiej strony.

- A ty skąd się tu wziąłeś? - zapytał przyjaznym głosem jeden z nich.

- Z Europy - odpowiedziałem i wytłumaczyłem pokrótce powód niespodziewanej wizyty. Ożywili się stojący dotychczas biernie mieszkańcy osady, głośno komentując zdarzenie i widać było już na pierwszy rzut oka, że jestem dla nich atrakcją nie byle jaką.

- Muzyki*, nie będziemy tu do nocy stali - odezwał się jeden z nich. - Mamy gościa, to przecież zapraszamy. - Jedziemy - odezwał się tonem rozkazującym, bez pytania usiadł na masce samochodu, wskazując ręką kierunek jazdy. Dosiadł się do niego jeszcze drugi, trzeci, dzieci natomiast słyszałem biegające po dachu, każdy się uczepił, gdzie mógł. I tak jak czołgi radzieckie w 1945 roku z żołnierzami na pancerzach wjechały zwycięsko na ulice Berlina - tak ja wjechałem triumfalnie z Rosjanami na masce samochodu do wioski.

Zatrzymaliśmy się koło jakiegoś baraku, który, jak się domyśliłem, stanowił świetlicę lub coś w tym rodzaju.

- Witamy w Arszenie - powiedział jeden z nich i przedstawił się jako sekretarz czy sołtys. Dodał też, że zrobimy tak to ogólnie, a potem przeniesiemy się do niego do domu. Nie wytłumaczył mi, co znaczy „ogólnie”, a co w ogóle „zrobimy”, ale domyśliłem się, że ludzie ci chcą coś usłyszeć o mojej wyprawie i o mnie samym.

Wiść o moim przybyciu dosyć szybko się rozniosła, gdyż sala się zapełniła.

Ludzie pytali jeden drugiego, co się stało, co to za zebranie, kto właściwie przyjechał. „Sołtys” uciszył zebranych i, niczego ludziom nie wyjaśniając, od razu dopuścił mnie do głosu. Opowiedziałem więc o swojej dotychczasowej podróży i o licznych

*Muzyk - w gwarze rosyjskiej określenie pospolitego człowieka.

przygodach, jakie miałem po drodze.

Ludzie słuchali w milczeniu, gdyż, jak sądzę, przyzwyczajeni byli do słuchania. Zorientowałem się, że nie bardzo wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, czy na polecenie władz przyjechałem specjalnie do nich, by wygłosić jakiś odczyt połączony z prelekcją, czy jestem znajomym sekretarza i przyjechałem do niego w gościnę. W sumie sam byłem tym wszystkim zaskoczony, ale rolę swą odegrałem do końca. Nastąpiły burzliwe oklaski, w czasie których jakaś dziewczynka z rumieńcami na twarzy podarowała mi coś w rodzaju barwnego kilimu. Ukłoniłem się najładniej jak umiałem i impreza została zakończona.

Ludzie wyszli z sali i poszli podziwiać land - rovera; zrobił się taki tłum, że z ledwością dostałem się do środka. Sekretarz mieszkał w domu niczym niewyróżniającym się spośród innych. Budynek charakteryzował się tylko czerwoną tablicą umieszczoną na ścianie, której treści w pośpiechu nie udało mi się odczytać. Prosto z małego przedsionka, typowego dla rosyjskich chat, weszliśmy do dużej kuchni. Gospodarz przedstawił mnie żonie i kilku obecnym mężczyznom, którzy, jak się później okazało, byli członkami rodziny. Następnie ze stojącego na szafie słoika wydobyl duży klucz i otworzył drzwi do pokoju gościnnego.

Pierwszy raz zobaczyłem zamknięte drzwi na Syberii. Z reguły wszystko stoi otworem - po prostu nie ma tu nic na tyle wartościowego, by zamykać. Po co w ogóle w tych domach zamki?

Weszliśmy do środka. Pokój był czysty i bardzo niegustownie urządzony. Meble stały sztywno pod ścianą, a każdy przedmiot miał swoje miejsce. W pomieszczeniu 'j\$. panował chłód domu bez duszy i bez serca. Usiedliśmy przy dużym prostokątnym V stole. Sekretarz dobił butelkę i nalał w kieliszki.

- To za spotkanie - wzniósł toast i wychylił do dna. Wypiłem również, bo inaczej nie wypadalo.

- Pan tu dawno mieszka? - wyrwało mi się nieopatrznie, gdyż chciałem nawiązać rozmowę i za późno połapałem się w idiotyzmie swojego pytania.

Gospodarz zlustrował mnie groźnie, nie wiedząc, czy drwię z niego, czy pytam o głupoty. Minę miał srogą i spodziewałem się, że zaraz wybuchnie. Opanował się jednak i powiedział:

- Wszyscy mamy jednakowe życiorysy typowe dla milionów ludzi żyjących na Syberii. Najpierw front, potem niemieckie obozy koncentracyjne, ucieczki z nich, karne łagry koncentracyjne, wyzwolenie pod koniec wojny - i w nagrodę za to wszystko - ojczyste więzienie i zesłanie na Syberię. Mieszkamy więc tu wszyscy dosyć długo - odparł, uśmiechając się przy tym chytrze.

- Tak właśnie myślałem - powiedziałem, bo inaczej nie wypadło.

Weszła gospodyni i wniosła dymiący garnek, który postawiła na stole. - To beszarmak*, świeżo zrobiony - wyjaśniła. Na stole znalazł się jeszcze chleb, cebula i lodygi dzikiego czosnku. Zajadałem, aż się uszy trzęsły, jedzenie było smaczne, ostre i pożywne. Gospodarz nalał jeszcze po kieliszku samogonu i butelkę schował do szafy. Wyczułem, że dzieje się coś niedobrego, gdyż to nie po rosyjsku. Coś uraziło jego rosyjską duszę, domyśliłem się, że człowiek ten mnie nie szanuje, a było to efektem popełnionej przeze mnie gafy.

Ciekawe charaktery mają ci ludzie, pomimo że w tym momencie byłem w jego oczach mniej wart niż przysłowiowe zero, to jednak nakarmił mnie i nawet zaproponował nocleg pod własnym dachem. Zrobiło mi się spieszo jak nigdy w życiu i przyznam, że nigdy się tak głupio nie czułem, gdyż naprawdę było inaczej, ale nic potrafiłem już tego temu człowiekowi wytłumaczyć. Gdy odjeżdżałem, gospodyni podała jeszcze torebkę z bursaczkami*, życząc szczęśliwej dalszej drogi. Gospodarz natomiast objaśnił dalszą drogę, ostrzegając o bagnach i nieprzejezdnych o tej porze roku traktach prowadzących do Bajkału.

Dużo do myślenia dała mi ta wizyta. Przekonałem się, że żadna pogarda nie jest tak straszna jak pogarda człowieka rosyjskiego. Nikt nic nie wie o tym kraju, o Rosjanach; wiedza o nieszczęściu jest wiedzą jałową... Jeszcze długo widziałem twarz sekretarza, twarz wyrażającą słońce i mróz jednocześnie.

Do Bajkału pozostało około czterystu kilometrów. Droga nie była już tak uciążliwa, gdyż spotykałem częściej rzeczki i jeziora. Następnego dnia około południa wjechałem na wzniesienie, z którego ujrzałem sporej wielkości miasteczko. Było to Czeremchowo, skąd według mapy prowadziła już bita droga do Irkucka.

Stoję na wzgórzu i rozkoszuję się widokiem na cywilizację... Domy, kominy, drogi... To wszystko wygląda jak bajka. Jak już od tego odwykłem. To jednak prawda, że człowiek jest istotą stadną. Wystarczyło kilkanaście dni z dala od ludzi i osiedli, by człowiek zapragnął drugiego człowieka. W tej chwili nie miało znaczenia, czy spotkam człowieka prostego, czy wykształconego profesora; liczyła się w tej chwili „sztuka” człowieka - po prostu człowiek.

Daleko poza mną pozostały zaokrąglone szczyty Sajanów, stepy i piachy pustynne.

Jestem znów wśród ludzi. Nie myślę o poniesionych ranach... Jestem po prostu szczęśliwy.

*Beszarmak - potrawa środkowoazjatycka z duszonej baraniny, jarzyn i kaszy.

*Bursaczki - słone pączki z ciasta smażonego na tłuszczu.

Po godzinie land - rover stoi już na asfalcie. Wychodzę z samochodu, tupię nogami, podziwiając twardość i równość podłoża. W obawie przed tym, by jakiś czarodziej dotknięciem różdżki nie zmienił asfaltu w błotnistą maź, czym prędzej wskakuję do samochodu i ruszam w kierunku Irkucka. Odnoszę wrażenie, że płynę... żadnych nierówności, gwałtownych podskoków, żadnych złowrogich trzeszczeń podwozia. Na drodze panuje ożywiony ruch: mijają mnie stare ciężarówki, motocykle i zdezelowane łady. Widać też samochody zagraniczne z kierownicą po prawej stronie. Domyślam się, że to import z Japonii. Którędy się tu dostały? Czy przyjechały na kołach?

Mijam Angarsk i z drogowskazu dowiaduję się, że do Irkucka pozostało czterdzieści sześć kilometrów.

Więc jeszcze dzisiaj wykąpię się w Bajkale. Wzmógłony ruch sprawił, że dopiero po godzinie zatrzymuję się przy dużym kamiennym pomnikonapisie - Irkuck. Nie chce mi się wierzyć, że aż tak daleko zajechałem. Duma i zadowolenie z siebie rozpierają nie wewnątrz... Ustawiam samochód na tle napisu i robię pamiątkową fotografię dla potomnych.

Irkuck - historia Syberii - miasto założone przez Kozaków w 1652 roku - swój rozwój zawdzięcza ówczesnemu handlowi herbatą, złotem oraz skórami zwierząt futerkowych. Za panowania cara Iwana Groźnego miasto stało się stolicą zesłańców politycznych i kryminalnych. Odległości od najbliższych siedlisk ludzkich mierzone w tysiącach kilometrów dały miastu miano „więzienia bez murów”. Nazwano je również Paryżem Syberii. W Irkucku do dziś pozostało dużo śladów polskości, gdyż po powstaniu styczniowym przywieziono tu cały kwiat polskiej inteligencji. Opowiadano mi, że pierwszym szewcem w mieście był Polak, pierwszym fryzjerem - Polak, pierwszym piekarzem - Polak, itd. Całe rzemiosło powstało dzięki Polakom, również nauka i kultura przywędrowały tu z Polski.

Wjeżdżam na ulice Irkucka. Na dworze panuje upał nie do zniesienia. Dookoła nowe osiedla, parki, skwery - wszędzie dużo zieleni. Zauważam stację benzynową i tankuję land - rovera do pełna. Samochód, podobnie jak w innych miastach, wzbudza sensację. Gromadzą się przypadkowi przechodnie, przyglądają się, pytają. Również ja pytam.

- Którędy najbliżej nad Bajkał? - Jedź do Listwianki - mówi jeden z przyglądających się ludzi. - Prowadzi tam dobra droga - wszyscy zagraniczni tam jeżdżą - dodaje. Pół godziny zajmuje mi przedostanie się ulicami rozległego Irkucka do wskazanej drogi prowadzącej nad jezioro. Wreszcie wjeżdżam na szeroką, równą, asfaltową drogę, takiej

jakości, że wręcz zastanawiam się, czy rzeczywiście jestem w Rosji... Szosa przypomina autostradę. Pnie się w górę, opada w dół, niezliczone ilości zakrętów przecinających zbocza zalesionego terenu. Co jakiś czas wjeżdżam na szczyt i wówczas drzewa odsłaniają to, co przede mną - z daleka widoczna ciemnoniebieska duża plama - to już Bajkał. Pędzę z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę - to dla mnie zawrotna prędkość. Byle prędzej do przodu, jak na finiszu. Obserwuję ochraniające drogę barierki. Dotychczas w Rosji nigdzie takich nie widziałem. Po estetyce i dokładności wykonania sądzę, że pochodzą z Zachodu. I nie mylę się. Później, gdy byłem już w Listwiance, opowiedziano mi historię powstania tej trasy.

Otóż droga ta powstanie zawdzięcza planowanej wizycie prezydenta Stanów Zjednoczonych Dwighta Davida Eisenhowera w ZSRR. W przygotowanym programie strona amerykańska wyraziła ochotę na krótki odpoczynek nad Bajkałem. Rosjanie wiedzieli, że niezagospodarowanie terenu przy jeziorze praktycznie wyklucza amerykańską zachciankę, ale ówczesne dobre stosunki dyplomatyczne sprawiły, że nie wypadało odmówić gościom takiej drobnostki. Pomimo że do wizyty pozostał tylko miesiąc, władze radzieckie (Chruszczow) zdecydowały się na natychmiastowe rozpoczęcie budowy pięćdziesięciokilometrowego odcinka drogi z Irkucka nad Bajkał oraz ekskluzywnego hotelu w malowniczo położonym miejscu koło wioski Listwianka. Ściągnięto materiały budowlane z Zachodu i opierając się na „imperialistycznej” technologii, ukończono budowę nawet przed terminem. Z materiałów budowlanych dostępnych w ZSRR użyto do budowy tylko piachu i wody... Ile to wszystko kosztowało, należy spytać samego Pana Boga, gdyż Rosjanie na pewno nie przyznają się do tego ze wstydu. Pikanterii całemu wydarzeniu dodaje fakt, że delegacja amerykańska z jakichś tam przyczyn nad Bajkał nie przybyła. Dzięki temu splotowi wydarzeń miejscowość Listwianka stała się nadbajkalskim „kurortem” ze względu na możliwość dojazdu oraz znajdujący się tam hotel. Dodam jeszcze, że miejscowość ta do dzisiaj jest jedyną miejscowością nad jeziorem o długości sześciuset trzydziestu sześciu kilometrów, gdzie można zatrzymać się w ozdobionym marmurem hotelu o nazwie „Bajkał”.

Tymczasem wjeżdżam do Listwianki. Jezioro wita mnie słońcem i chłodem zarazem. Temperatura wody pomimo że jest środek lata, jest tak niska, że kąpiel możliwa jest tylko dla śmiazków lubiących lodowatą wodę. Pierwsze, co uderza, to przezroczystość wody.

Bajkał jest największym na świecie zbiornikiem słodkiej wody, jego głębokość dochodzi do 1620 metrów, a czystość wody zawdzięcza licznym podwodnym źródłom oraz występującym tylko tutaj mikroorganizmom, które samoczynnie ją oczyszczają. Miejscowi

utrzymują, że można zauważyć kopiejkę leżącą dwadzieścia metrów pod powierzchnią wody. Bajkał zaskakuje również swą wielkością oraz malowniczym położeniem. Otoczony jest wysokimi zalesionymi zboczami, w których roi się od wszelakiej zwierzyny - niedźwiedzi, jeleni, łosi i znanych wszystkim syberyjskich soboli. Zbocza okalające jezioro słyną z bliższych naszym sercom bogactw, a mianowicie diamentów, złota i innych minerałów, które oglądać możemy na wystawach sklepów jubilerskich.

Zatrzymuję samochód w centralnym miejscu wioski, które jest połączeniem dworca autobusowego, portu i miejscowego jarmarku.

Było już późne popołudnie, więc handlarzy niewiele. Niemniej jednak każdy z nich patrzył na mnie pełnym nadziei wzrokiem. By nikomu nie zrobić przykrości uznałem, że najlepiej będzie oddalić się z tego miejsca i gdzie indziej zasięgnąć informacji.

Chciałem, by ktoś wskazał mi drogę do wioski zamieszkaanej przez stary azjatycki naród Buriatów. Pewność, że w niej się nie znajdowałem, zawdzięczam mądrym książkom, z których dowiedziałem się, że Buriaci żyją nad Bajkałem, są urody typowo azjatyckiej, trudnią się rybołówstwem i myślistwem. Notabene, nie spotkałem na trasie swojej ekspedycji narodu, który tym zajęciem by się nie parał, a odkrycie faktu, że ludzie ci mają skośne oczy, dało tytuł doktorski niejednemu etnografowi...

W Listwiance otaczały mnie twarze europejskie, więc skłonny byłem sądzić, że do Buriatów jeszcze nie dojechałem.

Skręciłem w pierwszą lepszą drogę, którą nazwano dumnie ulicą Czapajewa. Jechałem pomiędzy drewnianymi domami budowanymi jeszcze za czasów cara. Jedna zagroda koło drugiej, połączone ze sobą w jeden ciąg. Raptem wzrok mój padł na coś, co nie pasowało do wszechobecnej jednolitej architektury. Był to najzwyklejszy w świecie kontener, który pomysłowo zaadaptowano na... restaurację. W grubej bądź co bądź blasze wycięto drzwi i okna, a na dachu zrobiono oryginalny zadaszony taras, na który prowadziły strome „ruchome” schody.

Zatrzymałem się i wszedłem do środka. We wnętrzu panował półmrok: po prawej stronie na całej długości stały drewniane stoły, pod ścianą szczytową mieścił się bufet. Świeciły nastrojowe lampki.

- Czego można się napić? - zapytałem kobietę stojącą za barem.
- Mamy chiński sok z czarnej porzeczki, chińskie wino i rosyjską wódkę - oznajmiła bufetowa.
- Na jak długo przyjechałeś? - zapytała przy okazji.
- Na krótko, chcę trochę odpocząć i rozejrzeć się po okolicy.
- Masz szczęście - odpowiedziała bufetowa - jutro, najdalej pojutrze, będzie gościł u

nas sam Solżenicyn, czy wiesz, kto to jest?

- Oczywiście, wiem - odparłem zachwycony perspektywą spotkania z pisarzem.

- Przyplłynął z Ameryki do Władywostoku i teraz jedzie przez całą Syberię do Moskwy. Właśnie u nas w Listwiance ma się na kilka dni zatrzymać i nad Bajkałem trochę odpocząć - dodała. - Kilkadziesiąt metrów dalej stoi wolna chata, która należy do nas. Jak chcesz, to możesz w niej zamieszkać. Żywić możesz się tutaj - na pewno będzie ci smakowało. Mąż przygotowuje ci zaraz kąpiel, to się odświeżysz.

Nie byłem specjalnie za tym, by gościć się w chacie, gdyż piaszczyste plaże Bajkału stwarzały wręcz komfortowe warunki obozowe, ale z grzeczności przystałem na propozycję. Oczami wyobraźni widziałem też już samego Solżenicyna dedykującego mi swoją książkę...

Tymczasem zjawił się sam gospodarz, mąż bufetowej, który w zamian za wynajęcie chaty obiecał przewodnictwo po okolicy oraz przejażdżkę łodzią po Bajkale - rozwiął tym samym wszelkie wątpliwości dotyczące tego tematu.

Uważając więc dzisiejszy dzień za zakończony i by uczcić dojazd do Bajkału, zamówiłem pół litra wódki i zakąskę, tzn. rybę bajkalską. Wypiłem z gospodarzem po jednym, po czym pojechaliśmy ulokować moje rzeczy w chacie.

Dom okazał się bardzo zaniedbany. Do spania oferował żelazne wojskowe łóżka i słomiane sienniki. Mebli w środku nie było, tylko resztki stołu dziwnym Cudem trzymały się jeszcze kupy. Dużo natomiast było zdechłych much i innego rodzaju robactwa. Chciałem chatę, mam chatę - pomyślałem niezbyt zachwycony perspektywą snu pod dachem. Wyobrażałem sobie nawet noc walki z insektami tam zamieszkującymi.

Godzinę później siedziałem już czyściutki i rześki na dachu kontenera i wraz z gospodarzem dopijałem rozpoczętą wcześniej butelkę wódki. Niebawem gromadnie zrobiło się przy naszej ławie i wódka lała się już potokiem...

Gdy dowiedziano się, że pochodzę z Polski, natychmiast zrobiono listę Polaków mieszkających w Listwiance.

Po jednego zaraz posłano. - To Kazik, on jest Polak - przedstawiono go. Kazik, chłopak w wieku dwudziestu sześciu lat, szczycił się już dyplomem inżyniera budowlanego i chociaż był typowym Rosjaninem, to jednak nikt o nim inaczej nie mówił jak Polak, gdyż ojciec jego był Polakiem. Dowiedziałem się, że ojciec mieszka w Polsce, a on tu wraz z rosyjskimi dziadkami. Zaprzyjaźniliśmy się momentalnie i postanowiliśmy, że zobaczymy się jutro i w spokoju porozmawiamy.

Tymczasem biesiada trwała w najlepsze, było gwarno i przyjaźnie; każdy pił z każdym i trwało to prawie do białego rana. Byłem w wyśmienitym nastroju i żal mi było,

że tak miłe towarzystwo już się rozchodzi chwiejnym krokiem do domów. W końcu i ja doczłapałem się do stojącego samochodu i usnąłem cichutko jak dziecko.

Ranek przywitał mnie lekkim kacem i przyznam, że szumiało mi jeszcze w głowie, ale około południa byłem już „normalny” i po wczorajszym „wieczorku zapoznawczym” nie pozostało ani śladu.

Dopiero teraz zobaczyłem Bajkał w pełnej krasie. Wraz z gospodarzem pojechaliśmy na jedno z okolicznych wzniesień, skąd rozpościerał się widok na jezioro, Listwiankę i Angarę.

Angara jest jedyną rzeką wypływającą z Bajkału, do jeziora natomiast wpada trzysta trzydzieści sześć rzek. Po południu odwiedziliśmy muzeum Bajkału, gdzie przewodniczka wyrecytowała w języku angielskim o florze i faunie jeziora. Wspomniała o Benedykcie Dybowskiem i Janie Czerskim, ale słówkiem nie pisnęła, że byli polskimi zesłańcami i gdyby nie ten pierwszy, to Bajkał do dziś by uważano za martwe jezioro... Następnie z taśmy wideo dowiedzieliśmy się, że w muzeum gościł towarzysz Breżniew z małżonką oraz prezydent Jelcyn bez małżonki. Spotkaliśmy również wycieczkę z USA i dwóch indywidualnych turystów z Francji, którzy, jak z rozmowy wynikało, przylecieli samolotem do Irkucka, bawili się hucznie przez cały tydzień, a teraz nie bardzo wiedzieli, jak i za co wrócić do Francji. Ponieważ było już późne popołudnie, postanowiliśmy, że przejażdżkę po jeziorze zrobimy jutro i udaliśmy się na kolację do restauracji - konteneru. Gospodyni nie przesadzała, chwalać się swoimi umiejętnościami kulinarnymi. Podana była smażona ryba omól gromadnie występująca w wodach Bajkału. Były również pomidory i ogórki; jedząc je, wiedziałem już, że gościna ta będzie drogo kosztowała, bo kto jada takie warzywa na Syberii.

Wieczorem spotkałem się z Kazimierzem, który zaprosił mnie do swoich dziadków.

Dziadkowie mieszkali niedaleko „mojej” chałupy. Ich dom niczym się nie różnił od pozostałych we wsi. Na podwórku stary sprzęt rolniczy, mały chlewik, bania i szopa na drewno.

- Co cię tu z tak daleka przygnało? - zapytał starszy człowiek na powitanie.

Opowiedziałem pokrótce o założeniach swojej wyprawy i wręczyłem gospodarzom drobne upominki, które ze sobą zabrałem. Gospodyni podała herbatę i ciasteczka domowej roboty.

- Byłem w waszych stronach - powiedział dziadek i na potwierdzenie wyjął ze starej szafy zawiniątko, które mi podał. - Były to medale z czasów drugiej wojny światowej. Na jednym z nich odczytałem - „Za wzięcie Berlina”.

- Tak wojowaliśmy, wojowaliśmy i co nam teraz z tego - powiedział jakby sam do

siebie. - Ale co narzekać, zawsze może być gorzej. Dach nad głową jest i głodu nie znamy - powiedział, kończąc tymi słowami temat. Rozmawialiśmy o polityce, zmianach następujących na świecie i chociaż nic praktycznie ze spotkania nie wyniosłem, to przyjemnie było tych starszych ludzi poznać i posiedzieć trochę w ciepłej rosyjskiej chaty.

Nazajutrz wraz z moimi gospodarzami wypłynęliśmy na jezioro. Ponad godzinę płynęliśmy wzdłuż dzikiego piaszczystego brzegu, po czym wysiedliśmy na plaży i rozbiliśmy obóz.

- Dzisiaj na obiad będzie świeża ryba, jeszcze nie wiem jaka, ale na pewno będzie - śmiał się gospodarz, rozwijając żyłkę, do której przywiązane były liczne haczyki. Gospodyni natomiast udała się do lasu, by przynieść trochę dzikiej cebuli i dzikiego czosnku.

Rozpaliłem ogień i z daleka obserwowałem efekty połowu ryb. Nie minęło piętnaście minut od momentu, kiedy gospodarz zarzucił „sznur” i już na brzegu było około dziesięciu ryb. Natychmiast je wypatroszył i ponownie zarzucił. Teraz naocześnie stwierdziłem, jak dużo ryb jest w jeziorze. Godzinny połów sprawił, że do jedzenia mieliśmy całe wiadro. Po chwili osolone i pozbawione ości piekły się na rożnie pomysłowo zrobionym przez gospodarza. Gospodyni sporządziła sałatkę z dzikich warzyw i wszystko smakowało wybornie.

- Teraz kolej na kąpiel - powiedział gospodarz. - Jest taka tradycja, że wszyscy, którzy pierwszy raz są nad Bajkałem, muszą zażyć lodowatej kąpeli. Inaczej jezioro się pogniewa - dodał. Woda była wręcz lodowata i choć była pełnia lata, to dłuższy pobyt w jeziorze był niemożliwy.

- Nasi kąpią się nawet w zimie - powiedziała gospodyni, widząc moją wykrzywioną w grymasie bólu twarz.

- Zapewne po pijanemu, bo na trzeźwo to strach stać blisko wody - zażartowałem.

- Teraz szybko do piachu - krzyknął gospodarz i wyskoczywszy z lodowatej otchłani legł na plaży, obsypując się gorącym, czystym, żółtym piaskiem. Więc ja za nim. Ach, co za ciepło.

Odpoczywałem całą gębą wśród najczystszej chyba na świecie przyrody. Cisza, ciepło, spokój. Tylko my i dziewicza natura. Jak okiem sięgnąć nie widać śladu drugiego człowieka, woda czystsza od tej, która płynie z naszych europejskich kranów; teraz wiem, że to co widzę, czyni ten zakątek prawdziwym rajem.

Tak spędziłem cały dzień. Wracając, zobaczyliśmy baraszkujące w wodzie foki. Do dzisiaj zagadką dla geologów jest fakt występowania w Bajkale fok, które spotykane są w słonych wodach Arktyki. W muzeum Bajkału dowiedziałem się, że obszar ten zamieszkuje

ponad osiemset gatunków zwierząt, z czego większość ma charakter endemiczny, czyli właściwy danemu regionowi, niewystępujący nigdzie indziej.

Jestem tak zauroczony jeziorem, że postanawiam wyruszyć w dalszą podróż dopiero jutro.

W wiosce czeka na mnie Kazik. - Coś ci pokażę i jak możesz, to napisz o tym na Zachodzie - powiada. Wsiadliśmy do jego wysłużonego gaza i pojechaliśmy leśną drogą w głąb lasu. Po około piętnastu minutach Kazik zatrzymał samochód i powiedział, że dalej musimy udać się pieszo. Wdrapaliśmy się na niewielkie wzniesienie, skąd ujrzałem duże kamieniołomy.

- To największy cmentarz w okolicy. Leżą tu zwłoki setek japońskich jeńców wojennych, którzy pracowali tu po wojnie. Nikt się o nich nie troszczył, choć pracowali ponad ludzkie siły. Bywało tak, że gdy któryś z nich uległ wypadkowi, to za życia jeszcze przysypywano go po prostu kamieniami. Mieszkali tu opodal w prymitywnie skleconych szałasach. Czy wiesz, jakie temperatury panują u nas zimą? Jak jest minus dwadzieścia stopni, to ludzie w piecu nie palą, bo powiadają, że dzisiaj ciepło jest na dworze... Nie wiadomo też, co z nimi w końcu zrobiono. Do dzisiaj ludzie boją się mówić na ten temat. Nikt nie widział ich wyjeżdżających stąd. Prawdą jest chyba, że zasypiano ich żywcem kamieniami. Na razie nie mów nikomu, że ciebie tu przywiozłem, nigdy nic nie wiadomo, a fakt ten jest jeszcze głęboko utrzymywany w tajemnicy.

Wróciliśmy do wioski. Wieczór spędziliśmy w restauracjokontenerze, nawet sam batiuszka przyszedł do nas i napił się z nami wódki...

Następnego ranka spotkała mnie miła niespodzianka. Otrzymałem w prezencie pięćdziesiąt samowarów... A było to tak: spędzając mile wieczorny czas z mieszkańcami Listwianki napomknąłem coś o chęci nabycia oryginalnego starego rosyjskiego samowara. Zaznaczam, że tylko wspomniałem, nie biorąc sobie tego zbyt do serca. Rosjanie jednak zareagowali na moją prośbę bardziej spontanicznie, a efektem było to, że nieznanymi ludźmi od samego rana znosili mi samowary. Były różnej wielkości, zrobione z mosiądzu, brązu i nowsze, z cynku. Nie chcąc zrobić nikomu przykrości po prostu wszystkie przyjąłem, upychając je, gdzie się dało. Później, będąc już bardzo daleko od Bajkału, zostawiłem je po prostu głęboko w tajdze. Jestem pewien, że akcją zbierania samowarów zajął się osobiście Kazik. Ciekawe, co za parę tysięcy lat powiedzą archeolodzy, kiedy wyciągną z bagna tyle samowarów...

Późnym popołudniem opuściłem gościnną Listwiankę i udałem się w kierunku Irkucka.

W mieście uzupełniłem paliwo i ruszyłem w kierunku południowym, aby znaleźć się z drugiej strony jeziora. Jechałem teraz wzdłuż Bajkału szeroką, piaszczystą drogą wspinając się na kolejne zalesione wzniesienia. Od czasu do czasu drzewa odsłaniały jezioro: wielkie, niebieskie, mieniające się w kolorach popołudniowego słońca.

Takich widoków jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Chowają się przy nici szwajcarskie betonowo - trawiaste krajobrazy.

Wieczorem dojechałem do miejscowości Babuszkin. Opuściłem główną drogę i leśnym traktem udałem się w kierunku jeziora. Napotkałem bajkalsko - amurską magistralę kolejową, Ponieważ nigdzie w pobliżu nie zauważyłem przejazdu kolejowego, przejechałem przez stromy nasyp i znalazłem się znów nad jeziorem z tym, że z drugiej jego strony.

Brzeg był tu kamienisty. Wygładzone przez wodę kamienie leżały grubą warstwą co utrudniało jazdę, gdyż koła samochodu zapadały się w kamiennym błocie. Równie; chodzenie po brzegu wymagało nie lada wysiłku, gdyż pod ciężarem ciała stopy zapadały się po same kostki. Nieopodal zauważyłem mały wąwóz i tam postanowiłem rozbić obóz.

Miejsce było piękne. Przezroczysta woda, las, śliczny widok na jezioro. Tylko pobliska magistrala kolejowa zakłócała co jakiś czas ciszę tego zakątka.

Teraz dopiero wygospodarowałem czas na to, by zastanowić się nad dalszą trasą; Rozłożyłem mapy. Znajdowałem się niedaleko Ułan - Ude; z mapy wynikało, że dojadą tam jutro około południa. I co dalej?

Przyglądałem się mapie i rozważałem różne warianty dalszej podróży, wreszcie powziąłem bardzo ryzykowną decyzję.

Postanowiłem, że następnym docelowym etapem mojej podróży będzie Jakuck W linii prostej, jeśli dać wiarę skali umieszczonej na mapie, odległość do Jakuck wynosiła około tysiąca dziewięciuset kilometrów. Po drodze czekały na mnie naturalne przeszkody w postaci bezdroży tajgi, rzek, bagien i Gór Stanowych, których wysokość dochodzi do trzech tysięcy metrów n.p.m. Najgorsze jednak było to, że ten obszar na mapie był przeważnie białą plamą, co oznaczało, że jest to całkowite bezludzie i brak na tym obszarze czegokolwiek.

Tak więc w Ułan - Ude należało zaopatrzyć się we wszystko, co będzie dostępne, by przetrwać w ciężkich warunkach syberyjskiej tajgi. Przywykłem dostatecznie do spartańskich warunków, jakie towarzyszyły mi od miesiąca, tak że nie zaprzętałem sobie specjalnie głowy czekającymi mnie trudnościami.

Podświadomie czułem, że wszystko będzie dobrze. Siedziałem tej nocy długo przy ogniu, rozkoszowałem się widokiem Bajkału pogrążonego we śnie. Jezioro było spokojne,

gładkie i pełne pastelowych kolorów malowanych przez zachodzące słońce Spokojny byłem i ja.

Rano pożegnałem ostatecznie Bajkał i pojechałem starym, nieuczęszczanym już szlakiem kupieckim w kierunku Ułan - Ude.

Niedaleko miasta zatrzymałem się na krótką chwilę i przypadkowo spotkałem jadących na rowerach wędkarzy. Namawiali mnie do odwiedzenia miasta i mieszczącego się tam słynnego muzeum etnograficznego. Nie bardzo miałem ochotę na zwiedzenie tego osobliwego parku, ale coś mnie podkusiło i wjechałem do miasta.

Miasto typowe dla Syberii. Kominy, bloki mieszkalne, gdzieniegdzie fragmenty starej zabudowy. Duży ruch uliczny, nieład i upał typowy dla południa i pory roku. Skansen, do którego dotarłem, okazał się godny swego miana. Eksponowano tam budownictwo rosyjskie z różnych stron i wieków. Zobaczyć można było zabudowę typowo europejską, azjatycką oraz jurty nomadów. Przy każdej eksponowane chacie obejrzeć można było najróżniejszy sprzęt gospodarski, jaki był w danym rejonie i czasie używany. Przypaść trzeba, że zapewne warto było to zobaczyć, ale lejący się z nieba żar odbierał dosłownie chęć do życia.

Zdecydowałem o jak najszybszym wyjeździe z miasta. W ostatniej chwili z tablicy informacyjnej, która wisiała przy wejściu do muzeum, dowiedziałem się, że dwadzieścia kilometrów na południe znajduje się unikalny zespół sakralny buddyzmu. To trzeba zobaczyć - pomyślałem i pomimo że dzień z powodu panującego upału nadawał się tylko na kąpiel w pobliskiej rzece, ruszyłem na południe.

Po niespełna półgodzinnej jeździe, z daleka zobaczyłem nietypową dla okolicy budowlę. Miejsowość, gdzie znajdowała się świątynia, nosiła nazwę Iwońsk - Dacan i jak zorientowałem się na podstawie licznika, znajdowała się dokładnie dwadzieścia kilometrów od Ułan - Ude.

Jasna Góra lamaizmu w Rosji. Jeden z dwóch klasztorów pozostałych z czterdziestu sześciu na terenie Rosji, który cudem przetrwał czasy Stalina i władzy radzieckiej.

Klasztor w kształcie pagody połączony z wioską zamieszkaną przez duchownych buddyjskich prezentował się wyśmienicie w otaczającej go smutnej, pozbawionej kolorów azjatyckiej rzeczywistości.

Wszedłem do środka. W świątyni było kolorowo jak na stoisku odpustowym. Dominował czerwony. Wystrój świątyni stanowiły liczne płótna zawieszane na ścianach i suficie. Panowała harmonia pastelowych czerwieni. Typowa azjatycka symbolika sakralna

dodawała tajemniczości i powagi. Przy wejściu stały naczynia z jakimś napojem, który pili wierni wchodzący do środka. Nie pozwolono mi zrobić fotografii wnętrza: odmówiono grzecznie, ale stanowczo. Napotkany mnich również nie bardzo był rozmowny, ograniczył się tylko do wskazania domu, w którym mieszkał najważniejszy duchowny i poradził udać się tam w celu uzyskania przyzwolenia na fotografowanie wnętrza. Dom znajdował się po prawej stronie świątyni. Przed wejściem, dwa olbrzymie kamienne lwy - insygnia siły i władzy. Stojąc przed wejściem, w ostatnim momencie zaniechałem zakłócenia spokoju buddystom i zadowolilem się zrobieniem kilku fotografii stojącej przede mną świątyni. Co mnie powstrzymało, nie wiem do dziś. Dopiero w drodze pomyślałem, że nie wyniosłem stamtąd żadnej informacji i nawet nie wiem, czy wszyscy Buriaci wyznają lamaizm, czy też część przyjęła chrześcijaństwo. Przyrzekłem sobie poszukanie literatury na ten temat.

Upał, kurz, piach zgrzyta w zębach. Stepy po horyzont. Białe słońce, okrutne i obojętne, bije bezlitośnie w oczy jak lampa śledczego na przesłuchaniu. Z rzadka tylko pokraczne drzewko obłamane stepowym buranem narusza niesamowitą monotonię krajobrazu. Dobry człowieku, pluń na to wszystko, przeżegnaj się i wracaj do domu. Nic tu po tobie. Ale jednak coś goni mnie do przodu. Natura stworzyła mnie takiego, że po prostu lubię szukać guza.

Mapa Syberii jest istną mapą bólu, pełną geograficznych paradoksów i niespodzianek. Raptem step gwałtownie spada stromym urwiskiem do mętnego Hudanu i tam w drżących oparach wilgoci zamajaczyły szkielety wież wartowniczych.

Z wrażenia zatrzymałem samochód. Dziesiątki zasieków kolczastych bezlitośnie oplatających hałdy piachu, olbrzymie koparki i wynędzniałe drzewka pokryte grubą warstwą pyłu. A może to nie wartownicze wieże? Może geologiczne albo wiertnicze? Do diabła, ładna mi ropa! Wieże z reflektorami i karabinami maszynowymi. Cała masa karabinów i reflektorów. Trzeba szybko stąd zmykać, bo może się coś komuś nie spodobać. Lecz dokąd? Na wprost rzeka, wkoło wydmy piaskowe. Przypomniałem sobie, że jadąc, widziałem dróżkę biegnącą w bok od trasy, więc zawróciłem i w nią skręciłem. Po jakimś czasie droga się rozwidła. Zauważyłem niewinny drogowskaz - „Kombinat Glinno - Ziemny” Zaraz się domyśliłem, co to za kombinat. To pewnie taki, do którego były Komitet Centralny większą przywiązywał wagę niż do fabryki czołgów w Czelabińsku. Pracownicy tego kombinatu zapewne zadowoleni byli, że mięso pływa w kapuśniaku. Jeżeli natomiast któremuś zęby zaczęły wypadać lub zacząłłysieć, natychmiast go stąd zabierano. Biada też temu, kto domyślił się, co to za gliny... Nie miałem czasu ani sposobności przyjrzeć się całemu obozowi, ale i tak fakt natrafienia na taką instytucję zrobił na mnie duże wrażenie. Na własne oczy zobaczyłem coś, o czym czytałem i

wiedziałem, że istniało. To wielka różnica wiedzieć, a zobaczyć. Później, jadąc już przez Jakucję, często spotykałem najróżniejsze „kombinaty”, ale to pierwsze spotkanie ze słynnymi obozami koncentracyjnymi Syberii pozostało mi do dzisiaj głęboko w pamięci. Co do tego, że obóz w pełni funkcjonował, nie pozostaje żadnych wątpliwości, bo przecież gdyby był przeszłością, nie byłoby karabinów maszynowych na wartowniczych wieżach.

VII

Noc była chłodna i cicha, tak cicha, że słyszało się szum owadzych skrzydeł. Plejada gwiazd na czystym niebie i księżyc zalewały las odbłaskiem innych światów. Tylko w taką noc można ujrzeć tyle gwiazd rozrzuconych niczym paciorki na czarnym aksamicie. Takiej nocy wszystko zdaje się żyć inaczej, swoim życiem. Znikają pojedyncze drzewa, tworzą ciemną ścianę lasu. Trwa to długo. Dopiero później skraj nieba na wschodzie zaczyna jaśnieć, różowi się, zapłonie delikatną zorzą, aż wreszcie tryśnie pierwszym promieniem wschodzącego słońca.

Nie czuję zmęczenia, za to od naporu myśli szumi mi w głowie. Teraz kiedy zaczęło świtać, zdrowy rozsądek podpowiada mi, aby pospać parę godzin, ale cóż zrobić, kiedy sen nie nadchodzi?

Land - rover szeroką pierśią tnie świat na pół i to, co przed nami stanowiło całość, rozdwa się po bokach. Jadę prosto na północ. Z tyłu pozostały stepowe piachy i wioski z beczkami na wodę stojącymi przed domami. Migają zagajniki po prawej i po lewej stronie. Od czasu do czasu wioska - malutka osada zagubiona w lesie.

Ta nazywa się Bagdarin. Biednie tu i nędznie. Stare wałace się drewniane chaty, pochylone w agonii płoty. Nie widać krów ani łąk zielonych. Nawet kury są tu rzadkością. Dużo natomiast wynędzniałych psów z wypłowiałą postrzępioną sierścią. Pewnie bezpieczeństwa i tylko obecność ludzi je tu przyciąga. Mijam wolno wioskę, nie podejrzewając jeszcze, że nieprędko zobaczę następną...

Z daleka widoczne pierwsze wzniesienia Gór Stanowych. Objadę je zalesionymi dolinami, więc staram się zmienić kierunek na północno - wschodni. Droga, a raczej piaszczysty dukt leśny, w miarę przejechanych kilometrów coraz bardziej porasta zielenią. Oznacza to, że niebawem się skończy. Zawsze tak bywa, dopóki są wyboje i różne nierówności można być spokojnym, dokądś ta trasa prowadzi. Gdy staje się raptownie równa, oznacza to, że niebawem nie wiadomo kiedy się nagle skończy. Tak jest i teraz. Jadę zboczem, omijając naturalne przeszkody, klucząc między drzewami i skupiskami gęstych ciernistych krzewów. Prędkość jazdy wyraźnie zmalała, do wieczora zdołałem przejechać tylko sto osiemdziesiąt kilometrów.

Rozbiłem obóz na wzniesieniu. Stąd, z góry, widzę wszystko: przydymione już wieczorną mgłą lasy, ogarnięte chłodem doliny, wygasające palenisko słońca i połyskliwy strumień. Pojawiają się komary. Człowiek już zdążył zapomnieć o tych miłych stworzeniach. A tu raptem taka niespodzianka. Cóż, wypada znów się do nich przyzwyczaić... Owady mobilizują mnie do wcześniejszego zasycia się w namiocie.

Poranne promienie łamały się w żywicznych sękach i oszronionych poranną rosą

szyszkach. Las był pełen słońca. Niepieszno mi było tego poranka w drogę. Zjadłem śniadanie, zaparzyłem kawę, potem drugą. Od tego momentu nie miałem już oparcia w mapie. W miejscu, gdzie się znajdowałem, mapa pokazywała tylko nic nie mówiącą białą plamę. Co było przede mną, wiedział tylko Bóg.

Musiałem jechać na północny wschód, ale letnie ulewy, które niedawno przeszły nad tym terenem i inne naturalne przeszkody nie pozwalały kierować się prosto w wybranym kierunku. Nie było innego wyboru, jak tylko podążać szlakiem f udostępnionym przez naturę. Co czeka mnie w najbliższych dniach? Przede mną nieprzebyte lasy, rzeki i bagna. Przyznam, że pierwszy raz zrobiło mi się nieswojo. Patrzyłem na otaczający mnie bezkresny teren i chociaż bardzo chciałem, nie mogłem sobie wyobrazić wielkości tego pustkowia. Do południa przejechałem trzydzieści kilometrów. Pomimo że to niewiele, byłem zadowolony, gdyż trasa okazała się trudniejsza niż myślałem. Niesamowita liczba wiatrołomów sprawiła, że mniej więcej co pięć kilometrów musiałem zatrzymywać się i gdy nie było możliwości objazdu, za pomocą wyciągarki usuwałem na bok zwalone pnie drzew. Do tego zaczęła szwankować pompa przetaczająca paliwo ze zbiorników zapasowych do głównego. Na szczęście okazało się, że to - za sprawą brudnych filtrów, po wymianie których problem zniknął.

Stałem się niewolnikiem kompasu. Klucząc pomiędzy naturalnymi przeszkodami, po jakimś czasie niezdolny byłem określić kierunek jazdy. Zatrzymywałem się, wychodziłem z samochodu, obierałem punkt na horyzoncie, porównywałem go z kompasem i w ten sposób, wolno, ale w miarę dokładnie, jechałem we właściwym kierunku. Upływały godziny, a kilometrów nie przybywało. Do wieczora przebyłem tylko osiemdziesiąt kilometrów. Następnego dnia poprawiłem wczorajszy rekord, przejeżdżając sto trzydzieści kilometrów. Podróż stała się męcząca. Wieczne natężenie uwagi spowodowane jazdą po pełnym rozmaitych zasadzek bezdrożu sprawiło, że Czuję się wyczerpany i wieczorem nawet nie miałem ochoty na kolację. Od razu kładłem się spać.

Mijał dzień za dniem i nic nowego się nie zdarzyło. Człowiek przywykł do wszechobecnej pustki. Odzwyczaiłem się już od ciepła domowego, miękkich dywanów, wygodnego łóżka. W ogóle człowiek bardzo szybko dziczeje i powraca do świata zwierząt. Łatwo, lekko, bez oporów. Powracają uśpione zmysły. Słyszysz się lepiej, widzi się wyraźniej i rozróżnia się niespotykane wcześniej wonie. Kraj ten początkowo przerażał i odpychał. Teraz był już dla mnie całkiem normalny. Kraje Zachodu ze swoją cywilizacją wydawały mi się obojętne, nic nieznaczące i dalekie. Niczym też wydawały się problemy, z którymi spotykałem się na co dzień, żyjąc w „stadzie” miejskim. Śmieszyły mnie wręcz swą banalnością. Prymitywne pionierskie życie przynosi wiele korzyści, bowiem uczy

człowieka, które potrzeby są podstawowymi potrzebami życiowymi. Większość luksusów i tak zwanych wygód życiowych jest nie tylko zbędna, lecz stanowi niewątpliwą przeszkodę w rozwoju duchowym człowieka. Od dziesięciu lat mieszkam w Szwajcarii i zaobserwowałem tam bardzo ciekawą rzecz: Ludzie mieszkający tam rozmawiają językiem niewymagającym żadnego samodzielnego myślenia...

- Jak idzie? - Dobrze. - A tobie? - Też dobrze. To wszystko, co ci ludzie mają sobie do powiedzenia. Czy to genetyczne, czy następstwo dobrobytu?

W Szwajcarii spotkałem bardzo mało ludzi posiadających duchowe wnętrze. Osiemdziesiąt procent populacji tego bogatego (w co?) narodu to potencjalni debile niemający nawet swojego języka. Porozumiewają się między sobą dialektami wywodzącymi się z języków krajów ościennych. I to świadczy jeszcze dobitniej o braku kultury, historii i ubóstwie umysłowym. Kiedyś w Polsce widziałem słownik kaszubski - Szwajcarzy nawet tego nie mają; bywa tak, że człowiek z jednej wsi nie rozumie drugiego mieszkającego w miejscowości oddalonej o osiem kilometrów! Czy w takim wypadku można nazwać pieniądze bogactwem? Ale wracając do tematu. Najmądrzejsi ludzie zawsze prowadzili prostsze i skromniejsze życie aniżeli biedacy. Ci ludzie wiedzieli, co jest najważniejsze na tym świecie i co stanowi największą wartość...

Cisza, spokój. Z gór ciągnie chłodem, nad dolinami ściele się wieczorna mgła. Nie ma czasu na podziwianie przyrody. Do przodu - jeszcze parę kilometrów nim zapadnie zmrok. Odbijam w bok w wąską leśną przesiekę. Długo podjeżdżam pod stromą górę, a potem w dół, do górskiej kotliny. Nie korzystam z mapy. Purpurowe słońce służy mi za punkt orientacyjny. Śmiało radzę sobie już z bezdrożami. Z dnia na dzień przebywam więcej kilometrów. Land - rover pomimo przeciążenia spisuje się dobrze. Bez trudu pokonuje strome piaszczyste wniesienia, czasami tylko jęknie, wpadając w jakąś niezauważoną przeze mnie dziurę. Najprzyjemniej jednak jest wieczorami. Jakie to niesamowite uczucie, gdy po zmroku siedzi się przy ogniu, a dookoła tylko dziewicza tajga. Nie jestem tu sam. Las ma wielu mieszkańców. Często dają znać o sobie. Coś przemyka bokiem, gdzieś świecą ciekawe zwierzęce oczy. Trzaska raptownie łamana gałązka, coś złowrogo pomrukuje z daleka. Nie rozróżniam większości głosów. Przydałby się doświadczony syberyjski myśliwy do towarzystwa. Są oczywiście komary. Nikt w tej chwili mnie nie przekona, że jest jakieś miejsce na Ziemi, gdzie ich nie ma. Są zapewne też w kosmosie...

Następnego dnia stało się to, czego w głębi duszy najbardziej się obawiałem. Zjeżdżając stromym zboczem, wpadłem w dosyć głęboki dół. Samochód się zawahał, przyhamował gwałtownie, a później wyskoczył do góry jakby wypchnięty przez

niewidoczną sprężynę. Następnie poszybował parę metrów i ciężko się zwałił. Odbyło to się na tyle niefortunnie, że cały ciężar samochodu opadł na przednie koła. Dalsza jazda okazała się niemożliwa, gdyż na skutek wyłamania gniazd mocujących amortyzatory ciężar samochodu zawisł na sprężynach. Sytuację ratowały jeszcze gumy, które zamontowałem na przednim moście, w innym wypadku nadwozie nie miałoby oparcia, ale tak czy inaczej, dalsza jazda stała się niemożliwa, gdyż koła tarły o podwozie.

Zdałem sobie sprawę, że skoro dalsza jazda jest niemożliwa, to ekspedycja moja w pewnym sensie się zakończyła. Pikanterii wydarzeniu dodał fakt, że nie bardzo mogłem określić, gdzie właściwie się znajduję. Pewne było, że gdzieś za Irkuckiem na Syberii... Po dłuższych oględzinach stwierdziłem natomiast, że posiadanie spawarki uratowałoby sytuację. Było to jednak stwierdzenie podobne do tego, jakby biedny oznajmił, że posiadając pieniądze, byłby bogaty...

Dookoła, niestety, była tylko dziewicza tajga. Nie pamiętam już, czy kim złorzeczyłem całemu światu, czy też błagałem los o pomoc, wiem tylko, że byłem spokojny - tak jakby przydarzyło mi się to w środku miasta. Jestem pewien, że jakaś opatrność czuwała nad moją duszą. Nie minęło pół godziny od całego zdarzenia; kiedy uszy moje wyłowiły odgłos motocykla... Czy to nie złudzenie - powątpiewałem. To niemożliwe... w tej głuszy? Słuch mnie nie mylił. Słyszałem już wyraźnie - to był motocykl!!!

Ruszyłem jak opętany w kierunku, skąd dobiegał dźwięk. Pędziłem, nie bacząc na gałęzie rozdierające twarz, przewracałem się, wstawałem i biegałem dalej. Czy tak wygląda wyścig o życie? Dźwięk był już tuż - tuż - wreszcie ujrzałem motocykl. Zauważył mnie również jadący na nim człowiek. Zatrzymał gwałtownie swojego „rumaka” i odruchowo sięgnął po przewieszoną przez plecy strzelbę. Po chwili luf skierowana była w moim kierunku. Nie wiem, skąd mi się wzięło słowo, ale zacząłem krzyczeć - „amino, amino”. Słowo to oznacza „przyjaciela”, zdaje się w język hiszpański. Wymachiwałem przy tym rękami w najbardziej, jak mi się wydawało przyjacielski sposób. Po chwili obopólne zaskoczenie minęło i w kilku słowach wyjaśniłem przyczynę mojej tragedii. Napotkany człowiek okazał się myśliwym, który wyruszył w tajgę w celu wzbogacenia domowej spiżarni.

- Nie denerwuj się - powiedział myśliwy - coś na twoją przypadłość poradzimy.

Nie będziesz musiał tu zimować - śmiał się, połyskując złotymi zębami. - Niedaleko stąd są wojskowi i mają taki warsztat mieszczący się w samochodzie, na pewni pomocy nie odmówią. Siadaj, pojedziemy do nich.

Usadowiłem się na tylnym siodle motocykla, którego marki nie mogłem określić i ruszyliśmy znanymi myśliwemu ścieżkami. Po niedługim czasie dojechaliśmy do

prowizorycznej drogi, zrobionej z płyt betonowych. Droga była szeroka na dwa metry i bardzo nierówna, ale za to twarda i, co najważniejsze, wśród malowniczych brzoź wiodła ku mojemu wybawieniu... Po chwili zobaczyłem, że wojsko tu nie stacjonuje na stałe - było to coś w rodzaju prowizorycznej placówki, która zajmowała się budów; czegoś w okolicy. Na placu było w sumie pusto, kręciło się tylko niewielu żołnierzy' ubranych w wypłowiałe mundury wojskowe.

- My do starszyny - krzyknął myśliwy, a przechodzący żołnierz wskazał niedbale jeden z baraków.

Weszliśmy do środka. Barak okazał się komendanturą, kuchnią i magazynem różnych sprzętów. Oficerowie, a było ich kilku, zajęci byli właśnie spożywaniem śniadania składającego się z wódki i jakichś konserw. Nie wiem dlaczego, ale wejście nasze przyjęte zostało z widocznym zadowoleniem biesiadujących.

- Nareszcie i my mamy gości - odezwał się jeden z oficerów i natychmiast zaprosił nas obu do stołu. Myśliwy stanął na wysokości zadania i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyjaśnił cel naszej wizyty. Mówił tak szybko, że tylko w część go rozumiałem, nie rozumiał również słuchający nas oficer i w pewnym momencie trzasnął pięścią w stół i krzyknął: - Po kolei!!! Napełnił dwie szklanki alkoholem i gestem nieznoszącym sprzeciwu zaprosił nas do konsumpcji. Na sam widok ilości alkoholu zrobiło mi się słabo, ale cóż, nie było wyjścia - wypilem i przegryzłem kawałkiem chleba. Teraz dopiero raczono nas wysłuchać.

- To nie do wiary, że dojechałeś tak daleko, chcę natychmiast zobaczyć twój samochód - powiedział oficer.

- Stoję około pięciu kilometrów stąd i chyba nie dam rady o własnych siłach tutaj dojechać - powiedziałem, wyjaśniając dokładnie przyczynę unieruchomienia mojego pojazdu.

- To ściągniemy go tutaj - powiedział oficer, podnosząc słuchawkę polowego telefonu. Po chwili przed barakiem zatrzymał się dźwig samochodowy, na którym już siedziało kilku żołnierzy. Miałem obawy, czy trafię na powrót w miejsce postoju, więc poprosiłem myśliwego, by mi towarzyszył.

Po chwili dziwny konwój składający się z motocykla i wojskowego dźwigu przemieszczał się betonową drogą wśród zielonych brzoźek. Podobnie jak kiedyś Kazachowie, tak teraz żołnierze zajęli się wyciąganiem land - rovera, nie dopuszczając mnie do głosu. Najpierw za pomocą liny wyciągnięto pojazd na górę, następnie podczepiono liny pod przedni most i unosząc przód do góry, pozbawiono przednie koła przyczepności. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie, tak jakby żołnierze służyli w

pomocy drogowej, a nie w jakimś zapadłym batalionie budowlanym. Bez przeszkód dotarliśmy do drogi betonowej łączącej, jak się później dowiedziałem, wojskową linię kolejową z miejscem stacjonowania brygady. Na teren jednostki wjechaliśmy z wielką pompą witani przez wesołych oficerów, którzy tłumnie wylegli przed barak, by zobaczyć samochód dziwadło, który przejechał według nich już połowę świata. Land - rovera podholowano pod prowizoryczny drewniany podjazd pełniący rolę podnośnika i warsztatu samochodowego zarazem. Fachowców pojawiło się aż nadmiar. Oglądali, radzili, okraszając swe uwagi wiązkami przekleństw. Panowie oficerowie zainteresowani byli bardziej ogólnym wyglądem samochodu i silnika niż powstałą awarią, zostawiając podwozie swoim, jak to określili, najlepszym fachowcom.

- Nie traćmy cennego czasu - odezwał się jeden z nich i biorąc mnie pod pachę, ruszył w kierunku baraku oficerskiego. Po chwili wszyscy byliśmy już w komplecie, a na stole pojawiły się nowe butelki wódki i zimne mięso przyniesione przez kucharza. Po jakimś czasie nasza libacja została zakłócona przez przybycie jednego z mechaników, który coś szepnął dowódcy na ucho. - Ja ciebie zaraz zastrzelę jak psa - krzyknął dowódca, zrywając się z miejsca. Opanował się jednak i również tajemniczo coś szepnął mechanikowi na ucho. Ten ostatni miał bardzo głupią minę i nie dowierzając temu, co usłyszał, pokornie zamknął za sobą drzwi. Pozostali oficerowie zainteresowali się tematem poufnej rozmowy i po chwili wszyscy zanosili się od śmiechu. Widząc moją zdeorientowaną minę, wyjaśniono mi również, w czym rzecz. Okazało się, że w celu przywrócenia land - roverowi zdolności poruszania się, potrzebna jest spawarka, która była w posiadaniu moich gospodarzy. Nie było tylko bardzo istotnej rzeczy, a mianowicie ani jednej elektrody. Z tą właśnie intymną sprawą gościł u nas mechanik. Okazało się, że wyjście z sytuacji znalazł sam dowódca, polecił bowiem mechanikowi, by pospawał metalowe elementy podwozia, drutem kolczastym. Zawieruszyła się też moim gospodarzom maska spawalnicza - ale udowodniono, że Rosjanin jak chce, to może... Operacja spawania podobna była do wielkiego fajerwerku. W otoczeniu gęsto sypiących się iskier, bez maski, gasząc raz po raz swoje przesiąknięte smarami ubranie, spawał mechanik gniazda teleskopowe spawami grubości palców dorosłego człowieka. Do dzisiaj cudem wydaje mi się fakt, że przy operacji tej nie spłonął cały mój samochód. Korzystając z okazji, poprosiłem mechaników o ogólny przegląd, wymianę filtrów i oleju. Chciałem osobiście to zrobić, ale nie pozwolono mi się brudzić... Dałem tylko filtry i olej, a resztą zajęli się z przyjemnością fachowcy.

Po kilku godzinach naprawiony samochód został doprowadzony pod barak oficerski, a mechanik, który miał być zastrzelony, osobiście zameldował o dokonaniu

naprawy. W żadnym wypadku nie chciano przyjąć zapłaty. Nie było też mowy o tym, by zaraz opuścić gościnne progi. - Musicie zostać chociaż do jutra - poinformował mnie oficer. - I tak niewiele od ciebie wymagamy - powiada jeden. - Dwa tygodnie temu przywędrowali do nas dwaj geolodzy - tydzień z nami pili, aż trzeba ich było odwieźć zatrutych. Wzywaliśmy do nich lekarza, który dwa dni stracił, zanim do nas dotarł. Dobrze, że mamy do dyspozycji wojskową dreżynę, bo w innym wypadku pewnie by nam tu na miejscu pomarli... Tacy są ci miastowi - dodał. By przyjemniej było kontynuować rozpoczętą libację wyniesiono stoły na zewnątrz, co miało niewątpliwie tę dobrą stronę, że przy stole biesiadnym mogło się pomieścić więcej osób. Przybyli z zadowoleniem mechanicy naprawiający land - rovera oraz goście składający się z żołnierzy stacjonujących w leśnej brygadzie. Nie było już dowódców i podwładnych. Wódka zjednoczyła wszystkich i odbywało się jedno wielkie przyjęcie. Nie brakło ani jedzenia, ani picia. Nawet nie wiem, kiedy odpadłem z „zawodów”, pamiętam jeszcze tylko, że ktoś przyniósł akordeon, a myśliwy, którego spotkałem się w tajdze, tańczył na stole...

Teraz, kiedy po czasie wracam pamięcią do tamtych chwil, to ogarnia mnie wielka tęsknota za tymi dniami spędzonymi z bądź co bądź obcymi ludźmi. Fakt, że miało to miejsce gdzieś w tajdze syberyjskiej, też nie jest bez znaczenia. Biorąc pod uwagę realia europejskie, to wszystko wydaje się przyjemnym snem. Niech ktoś kiedyś spróbuje mi tłumaczyć, że Rosjanie są narodem złym. Niech ktoś spróbuje bezpłatnie naprawić sobie samochód pod jakąkolwiek szerokością geograficzną...

Ranek przyniósł z sobą „pustynię” w ustach oraz przejmujący ból głowy. Noc spędziłem w żołnierskim łóżku ustawionym koło otwartego okna. Twarz miałem pokąsaną przez komary, które podobnie jak i ja miały zapewne teraz kaca. Batalion był już dawno na nogach, a z sąsiedniej izby oficerskiej dobiegały wesole głosy. Któryś z oficerów wspominał wczorajszy miły wieczór, a reszta przy tych wspomnieniach doskonale się bawiła. Moje pojawienie się wśród żywych wywołało aplauz godny gwiazdy estrady. Okazało się bowiem, że wczoraj jeszcze grałem ślicznie... na akordeonie. Na dzień dobry otrzymałem pół szklanki alkoholu i kawał wczorajszego gotowanego mięsa. Na nic zdały się wykręty. - Jeśli szanujesz gospodarzy, to pij!!! Po „śniadaniu” udało mi się przekonać gospodarzy, że czas w drogę. Podziękowałem za wszystko i żegnany słowami „szczęśliwo wam” ruszyłem we wskazanym kierunku. Po godzinnej jeździe zatrzymałem się na odpoczynek. Wypity wczoraj alkohol sprawił, że głowę miałem ciężką, a widok górskiego potoku sprawił, że wzrosło moje pragnienie. Wtem, co to? Warkot motocykla. Zza drzew wyłania się krępa postać myśliwego. Z daleka już widać obnażone złote zęby w uśmiechu.

- Po śladach trafiłem - krzyczy z daleka - ale kawał już odjechałeś. Zeskoczył z

motoru, pogrzebał w plecaku i wyciągnął kawał dobrego mięsa. - Sarnina – wyjaśnił - trzeba tylko zaraz upiec, bo do wieczora się popsuje.

Nie czekając na odzew, zaczął zbierać drzewo na opał, a po półgodzinie cudowny zapach roznosił się wkoło ognia. Myśliwy spieszył się wyraźnie, gdyż, jak wyjaśnił, bał się o resztę mięsa, które gdzieś schował w lesie.

- Bez mięsa nie mam po co się w domu pokazywać - śmiał się „na złoto” nasz przyjaciel. - Jeszcze jedno - powiedział myśliwy. - Jeżeli chcesz dojechać do Jakucka, to musisz się bardzo spieszyć. W tajdze coraz więcej błota. Najgorsze, że nie można tego objechać, bo po prawej pasmo Gór Stanowych, a na wprost Góry Patomskie. Znam te tereny, gdyż przez wiele lat polowałem tam zimą i jestem pewien, że samochód nie ma tam żadnych szans. Jeżeli szczęście ci dopisze, to jadąc na północny wschód, trafisz na pasiołek Tokko. Tam mam znajomych myśliwych, pokierują cię na „zimniki”, a te z kolei doprowadzą cię do Ułu, a stamtąd już bita droga do samego Jakucka.

Wyjąłem zeszyt i wszystko skrętnie zapisałem. Zapytałem jeszcze, ile mniej więcej kilometrów do Tokko i gdy dowiedziałem się, że niecałe czterysta, to postanowiłem czym prędzej ruszyć w tamtym kierunku. Pożegnaliśmy się jak starzy znajomi. Żał mi tylko było, że życzliwego myśliwego, podobnie jak i innych spotkanych po drodze, więcej już nie zobaczę.

VIII

Po południu odnalazłem w tajdze ledwo widoczny zarys jakiejś drogi. Nie biegła dokładnie w pożądanym przeze mnie kierunku, ale mimo wszystko nie rozstawałem się z nią przez przeszło dwie godziny. Później złała się z otoczeniem i do dzisiaj jest dla mnie zagadką, skąd się wzięła i dokąd prowadziła. Zauważyłem, że czym bardziej aa północ, tym wieczory stają się chłodniejsze. Miało to dobrą stronę, gdyż dokuczliwe robactwo nie dawało się tak we znaki, co nie znaczy, że w ogóle zostawiało mnie w spokoju. Byłem oczywiście optymistą, ponieważ późniejsze doświadczenia pokazały, gdzie najchętniej żyją owady... Pomimo zapału, z jakim pokonywałem drogę, dziennie przejeżdżałem średnio około osiemdziesięciu kilometrów. Za sprawą stałego kluczenia między naturalnymi przeszkodami straciłem po raz kolejny orientację i nie bardzo wiedziałem, gdzie się dokładnie znajduję. Wszystko wydawało się takie samo. Rzeczki podobne jedna do drugiej, wzniesienia też niby takie same i zaczęło mi się wydawać, że jeżdżę po prostu w koło. Przyszły chwile zwątpienia. Do tego dołączyła apatia i w ogóle zaczęło być niewesoło.

Dwa dni później zauważyłem, że teren staje się coraz bardziej grząski. Początkowo sądziłem, że to za sprawą licznych tu rzeczek, ale okazało się, że to coś o wiele gorszego, bo rozmarzająca wieczna zmarzlina. Rzeczki nie stanowiły dla mnie przeszkody, gdyż były w miarę płytkie i land - rover bez trudu je pokonywał, ale sięgające po osie błoto zaczęło mnie poważnie niepokoić. Coraz częściej zaczynałem spotykać wielkie zwały zeszłorocznego śniegu i lodu, które miejscami miały parę metrów wysokości. Wnioskowałem więc, że dopiero niedawno zawitała tu wiosna. Oczywiście byłem w błędzie, gdyż trwało tu już syberyjskie lato i nazajutrz przekonałem się, co pod tą szerokością geograficzną kryje pojęcie „lato”. Po długiej i strasznej zimie, po cherlawej, niedonoszonej wiośnie - przyszło powtórne, dręczące upałami syberyjskie lato. Pot zalewał oczy, przeżerał koszulę, spływał wzdłuż całego ciała. Zima wydawała się teraz bajką. Jazda stała się praktycznie niemożliwa, wkoło błoto i bagna. Wypęzło nieznane mi dotąd robactwo, atakując mnie wściekle. Więc tak wygląda tropikalna dżungla - pomyślałem. Wilgotna, ciepła i pełna owadów. Z tego etapu podróży najgorzej wspominam miliony małych muszek atakujących bezustannie i wciskających się wszędzie. Można było dosłownie postradać zmysły. Nie było po prostu sposobu na to robactwo. Jakże miłe w tym momencie wydawały mi się same komary. Ostatnie dni były tak ciężkie, że dzienne osiągi nie przekraczały dziesięciu, piętnastu kilometrów. Te kilometry to odległość, którą przebywałem, przeciągając się wyciągarką. Wyglądało to tak: koła obracały się w błotnistej mazi, powodując każdym swym obrotem zapadanie się samochodu. Wskakiwałem więc i rozwijając linę wyciągarki, szukałem dogodnego

miejsca, by ją zaczepić. Przeważnie były to drzewa, skarłałe niewyrośnięte modrzewie. Zwijająca się lina wyciągała samochód i przemieszczała go do miejsca zaczepienia. W ten sposób podczepiając linę setki razy, przebywałem parę kilometrów. Trudno mi określić, ile w ten sposób przewróciłem drzew, ale na pewno zebrałoby się parę setek. Sam podobny byłem do jakiegoś stwora zamieszkującego bagna - nie było na mnie miejsca, gdzie nie byłoby zaschniętego błota. W chwilach załamania psychicznego traciłem już nadzieję, że kiedykolwiek stąd się wydostanę, marzeniem wręcz wydawało mi się ujrzenie twardej polnej drogi. W nocy śniły mi się uśmiechnięte twarze pracowników ambasady rosyjskiej - „Mówiliśmy panu - Syberia jest nieprzejezdna”... Każdego ranka huczało mi w głowie. Kiedy człowiek cierpi, przyszłość wydaje mu się straszna. Czasami tak straszna jak ciemny tunel, z którego nie ma wyjścia. Nie może wtedy już zdawać sobie sprawy, iż w byciu „na dnie” również drzemie siła, która kiedyś wyzwoli energię i pobudzi do działania. Cierpienie człowieka hartuje, w przyszłości pozwala bardziej docenić radość i szczęście. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Był to bodajże piąty dzień zmagania z bagnami. Opuściły mnie siły i nadzieja. Różne myśli przychodziły mi do głowy, myślałem nawet jakby tu lekko umrzeć. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Tego dnia pogrążony w tym smutnym nastroju nie przesunąłem samochodu ani metra do przodu. Siedziałem po prostu na powalonym pobliskim drzewie i świat się przede mną zawalił. Chciało mi się krzyczeć, wzywać pomocy, zmysły moje dochodziły do szaleństwa. I wówczas coś się we mnie przełamało. Jakaś wola walki, wola czynu. To przecież tylko błoto i trochę niewygód - tłumaczyłem sobie. Mogłoby być o wiele gorzej, gdybym na przykład zatopił w bagnie samochód. Rozmyślałem tak i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jeszcze dużo mogę, że jestem silny, byłem wręcz pewien, że znajduję się niedaleko Tokko czy innej miejscowości. Był już późny wieczór, więc pozostałem na miejscu, obiecując sobie kontynuowanie walki z samego rana.

Obudziłem się wraz z brzaskiem. Nie zawracając sobie głowy żadnymi innymi czynnościami, od razu uruchomiłem silnik, by się trochę podgrzał przed pierwszymi trudami. Ruszyłem pieszo do przodu, by ocenić wzrokowo miejsce przyszłej jazdy. Niedaleko zauważyłem duży brzozy zagajnik, poszedłem tam i z radością stwierdziłem, że ziemia była tam jakby twardsza. Biegiem wręcz wróciłem do samochodu, podczepiłem linę wyciągarki do najgrubszego drzewa i powoli na pierwszym biegu wypełzłem z błotnej pułapki. Opanował mnie wigor walki. Skakałem jak małpa błotna od drzewa do drzewa, podczepiałem linę i jechałem... po parę metrów, ale do przodu. Gdy słońce stanęło w zenicie i żar zalał tajgę, stałem już na niewysokim wzniesieniu, a od słonecznych promieni chroniły mnie brzozy. Teraz to już nie zginę - pomyślałem dumny ze swojej pomysłowości.

Świat zawirował przede mną całym swym pięknem. Przezornie przejechałem parę kilometrów i z radością stwierdziłem, że choć ziemia już tajała, to jednak zachowała twardość. Pomyślałem, że warto by było się posilić i zarządziłem godzinną przerwę, Darowana przez myśliwego sarnina, choć capiała dziczyzną, smakowała jak żadne inne mięso na świecie. Tego dnia wieczorem dotarłem do wielkiej polany otoczonej dookoła modrzewiowo - brzozowym lasem. Wkoło jak okiem sięgnąć sterty ubitego zeszłorocznego śniegu, który pomimo że leżał tu od miesięcy, był bielutki jakby dopiero napadał. Przyjrzałem się dokładnie i nie stwierdziłem żadnej czarnej plamki na jego powierzchni. Był po prostu „bielszy od bieli”. Jestem bardzo daleko od cywilizacji - pomyślałem. Z radością też stwierdziłem, że w miejscu tym nie było żadnego robactwa, nawet omijały je komary. Czyżbym był na innej planecie? Zostanę tu na zawsze... Na pewno jednak do rana. Rozgrzany porannym słońcem śnieg tysiącami żółtych strumyków spływa w doliny odsłaniające ziemię. Czarną i mokrą, w której koła samochodu grzęzły po osie. Dalej było widać już, jak rusza strumień - płynął szeroko po płaskich, szarych kamieniach bełkocząc monotonicznie. To była moja obecna autostrada, po której bezkolizyjnie poruszałem się do przodu. Tak chyba powstają rzeki - pomyślałem, prując wodę na boki. Powstająca rzeka płynęła w kierunku północno - wschodnim, wiedziałem więc, że jadąc jej korytem prędzej czy później dotrę do drogi wspomnianej przez myśliwego. Nastaly piękne dni. Dookoła zieleniejąca tajga, czysta przezroczysta woda. Martwiłem się tylko, czy aby głębokość rzeki utrzyma się na stałym poziomie. Dotychczas było idealnie, czasami tylko opuszczałem koryto rzeki, by ominąć jakiś naturalny wał i piętrzącą się za nim wodę. Któregoś słonecznego popołudnia urządziłem pranie. Brudne rzeczy przywiązałem sznurem i rzuciłem w nurt bystrej rzeczki. Po godzinie były czyste i pachnące jakby zostały uprane w pralce. Umyłem również gruntownie samochód. Teraz dopiero się czułem. Najedzony, czysty i bezpieczny.

Krajobraz zmienił się nie do poznania. Rzeka płynęła już kamienistym szerokim korytem, a dookoła piętrzyły się zarośnięte lasem zbocza. Przypomniało mi to do złudzenia piękne kanadyjskie krajobrazy. Jechałem już teraz właściwie kamienistym brzegiem, gdyż na środku rzeki było już miejscami bardzo głęboko. Ciekawiło mnie bardzo, gdzie się znajduję - dokąd mnie ta nieznana rzeka zaprowadzi i jak jeszcze daleko do Jakucka. Następnego dnia ujrzałem ślady obecności człowieka. Był to opuszczony szałas, wkoło którego walały się szczątki narzędzi i jakieś stare garnki. Po rozmiarach paleniska wnioskowałem, że był używany zimową porą. Jak przyjemnie zrobiło mi się na duszy. Więc tu był człowiek? Teraz dopiero rozumiałem sens słów „człowiek jest zwierzęciem stadnym”. Parę kilometrów dalej stanąłem jak wryty. Zauważyłem miejsce

przeprawy przez rzekę. Po obu jej stronach widniały świeże ślady opon samochodowych. Hurra! - krzychałem jak opętany, echo mi odpowiadało. Coś gdzieś tu jest! - wrzeszczałem na całe gardło. Tylko co i w którym kierunku? Ponieważ od momentu rozstania z myśliwym minęło około dziesięciu dni, postanowiłem nie kusić losu i tu na miejscu zaczekać, aż ktoś się pojawi. Ślady opon były świeże i różnorodne, wnioskowałem więc, że tędy przebiega jakiś trakt. Długo wsłuchiwałem się w otoczenie, ale jedynym dźwiękiem był szum potoku przewalającego się przez kamienie.

Mijały godziny za godzinami i nic się na drodze nie pojawiło. Wieczór przyniósł przepiękny zachód słońca. Wszystkie odcienie żółci i czerwieni. Nie wiedziałem jeszcze, że znajduję się już pod tą szerokością geograficzną, gdzie o tej porze roku rozpoczynają się jasne noce. Kolorowe cudowne zachody były jakby preludium przed zjawiskiem jeszcze piękniejszym, jakim później okazały się noce. Jestem pewien, że gdyby jakiś malarz wiernie odtworzył to, co widziałem, to większość ludzi uważałaby to dzieło za bardzo brzydki kicz. Następnego dnia nie przyniósł nic nowego - słychać było tylko szum drzew i wody. Zacząłem tracić już nadzieję i powoli przygotowywałem się do podjęcia jakiejś decyzji. Z posiadanych map niczego się nie dowiedziałem, gdyż nie miałem pojęcia, gdzie się w ogóle znajduję. Dręczyła mnie niepewność. Tego popołudnia siedziałem na kamieniu i zajęty byłem bez reszty łowieniem ryb, które były tak głodne, że brały nawet na pusty haczyk. Wtem usłyszałem wesołe okrzyki. Odwróciłem głowę i ujrzałem dwóch mężczyzn idących w moją stronę. Obydwaj byli uśmiechnięci i wymachiwali przyjaźnie rękami. Na pierwszy rzut oka widać było, że są ludźmi tajgi. Ubrani w kompozycje ubrań wojskowo - cywilnych, długie skórzane buty, przez ramię przerzucone chlebaki, obaj mieli przytwierdzone do pasa duże noże. Tygodniowy zarost na twarzach świadczył, że panowie ci dawno nie byli w cywilizowanym miejscu. Przywitaliśmy się jak byśmy się znali od dawna.

Igor i Kola opowiedzieli krótko, jak się tu znaleźli. Byli zawodowymi geologami, a specjalizowali się w poszukiwaniu złota dla przemysłowych celów wydobywczych. Obecnie pracowali w nowo założonej spółce rosyjsko - amerykańskiej. Kilkanaście kilometrów, więc niedaleko stąd, popsuł im się samochód i właśnie są w drodze do kopalni, która znajduje się niedaleko tego miejsca. Ten trakt właśnie tam prowadzi. Teraz z kolei ja opowiedziałem o swoich perypetiach i z rozmowy wyszło, że właściwie nam w jednym kierunku. Nie jechali co prawda do samego Jakucka, ale byli dla mnie zbawieniem, gdyż mieli dokładne mapy i znali tajgę jak własną kieszeń. Byli bardzo sympatyczni i budzili zaufanie. Postanowiliśmy, że przyciągniemy ich uszkodzonego gazika, spędzimy razem noc, a następnego dnia dotrzemy do kopalni złota. Pozostawiłem więc rozłożony obóz i w

towarzystwie Igora i Koli ruszyłem land - roverem w wilgotną tajgę. Po godzinnych zmaganiach z błotem i koleinami dojechaliśmy na miejsce. Wiadomo było, że nie zdołamy naprawić samochodu, gdyż popsuta była skrzynia biegów. Zaczepiliśmy więc nieszczęsny pojazd i ruszyliśmy w drogę powrotną. Bez przeszkód dotarliśmy do obozu. Goście rozłożyli swoje namioty i dobyli swoją żywność, która okazała się delikatesami. Były kartofle, których nie widziałem już od miesięcy, sucha kiełbasa, ogórki kiszone i oczywiście wódka. Do kolacyjnego menu doszły złowione przeze mnie ryby. Ucztowaliśmy długo i namiętnie, a później siedzieliśmy wspólnie przy ogniu i snuliśmy opowieści aż do białego rana. Do dzisiaj wspominam to spotkanie, tę otaczającą nas przyrodę, wspólne wieczory i naturalną, piękną przyjaźń, jaką może sobie człowiek zafundować tylko z dala od cywilizacji.

Nazajutrz ruszyliśmy w kierunku kopalni. Ponieważ mieliśmy niebawem wracać, pozostawiliśmy namioty rozbite, a Igor dodatkowo ku mojemu zdziwieniu zabezpieczył ogień. Droga okazała się bardzo ciężka i parę razy musiałem korzystać z wyciągarki, ale po paru godzinach dotarliśmy do celu. Była to odkrywkowa kopalnia, składająca się z jednego wielkiego urządzenia do „pożerania” ziemi. Była tak olbrzymia i żarłoczna, że przesuwając się do przodu, pobierała ziemię wraz z rosnącymi na niej drzewami. Kilkanaście taśmociągów transportowało urobek do wielkich sitokadzi, gdzie wyłukiwano złoto. Jak się później dowiedziałem, wyłukiwano przy okazji uran. Miałem okazję przekonać się, jak ciężka jest ta ruda. Pojemnik wielkości menażki wojskowej z trudem unieśliśmy wraz z Igorem na wysokość około metra.

- Technologia wydobywania jest stara i dużo złota ucieka przez stare zniszczone sita, ale kruszcu tego nie trzeba oszczędzać, bo jest go pod dostatkiem - tłumaczył Igor. - Znajdujesz się już w Jakucji, czy wiesz, że rejon ten uważany jest za najbogatszy na naszej planecie? Ostatnie szacowania, jakie sporządzono, opiewają na trzydzieści miliardów dolarów. To tylko ogólne obliczenia, gdzie wzięto pod uwagę wyłącznie złoto i diamenty - pomyśl jeszcze o innych minerałach. W Jakucji jest po prostu wszystko - dodał, dumny ze swojej wiedzy. Kopalnię obsługiwało około dziesięciu osób. Wszyscy doskonale znali Igora i Kola. Zaproszono nas do baraku na herbatę. Sprawa naprawy gazika okazała się na tyle skomplikowana, że postanowiono pozostawić w kopalni uszkodzony samochód, a Igor i Kola przeładowali swój sprzęt i przesiedli się do całkiem nowego zila. Z samochodu cysterny, który znajdował się w kopalni, zatankowaliśmy oba pojazdy do pełna i ruszyliśmy błotnistą drogą w kierunku obozu. Postanowiliśmy, że jeszcze tę noc spędzimy nad rzeką i dopiero następnego dnia udamy się w dalszą drogę. Podobnie jak wczoraj, długo siedzieliśmy przy ogniu, a Igor, choć Rosjanin z krwi i kości, opowiadał o kulcie

ognia w tych stronach i zwyczajach Jakutów oraz ludzi żyjących w tajdze.

Ogień, jak wynikało z opowiadania, ma swoje specjalne miejsce w kulturze Jakutów i nie tylko tego narodu, ale wszystkich ludzi żyjących na Syberii.

Podczas gdy opowiadał, zrozumiałem dziwne moim zdaniem zachowanie Igora, który wczoraj przed rozpoczęciem wieczery wylał do ognia pół szklanki wódki i wrzucił okazały kawał mięsa, który otrzymał ode mnie. Pomyślałem wówczas, że pewnie miał szklankę brudną, a mięso po prostu mu nie smakowało. A okazało się, że był to normalny rytuał, który przesadnie praktykują mieszkańcy tajgi.

- Z ogniem trzeba zawsze się dzielić, wtedy nigdy cię nie zawiedzie - powiedział z powagą Igor, a siedzący obok niego Kola w milczeniu skinął głową. - Ogień daje ci ciepło. Dzięki ogniovi gotujesz swoje potrawy, ogień chroni cię również przed dzikimi zwierzętami. Dlatego też żaden człowiek tajgi nie rozpocznie jedzenia, zanim się nie podzieli z ogniem. Tak było tu od wieków. Podobnie myśliwy odchodzący z miejsca postoju zawsze zabezpiecza ogień, tak aby po kilkudniowym powrocie mógł jeszcze z niego korzystać. To nieważne, że ma dużo hubki lub zapalek przy sobie. Bywa tak, że może wszystko stracić, a wracając na ostatnie miejsce postoju, wskrzesza jeszcze życiodajny płomień. Może być też, że inny myśliwy potrzebujący pomocy trafi na to miejsce i to mu uratuje życie. Mam prośbę do ciebie, bo po tym, co już dokonałeś mogę powiedzieć, że jesteś człowiekiem tajgi. Nie zapominaj od dzisiaj zawsze podzielić się z ogniem. To się mu należy... - Igor powiedział to z taką powagą, że każda moja uwaga byłaby nie na miejscu. Więc również z powagą odparłem, że od dzisiaj będzie to dla mnie jak amen w pacierzu. Rzeczywiście, od tego momentu ilekroć widzę ognisko, od razu przypominają mi się słowa Igora. Coś w tym musi być, skoro ten przesąd utrzymał się przez wieki wśród tych ludzi.

Rankiem zwinęliśmy obóz i dwoma samochodami ruszyliśmy w tajgę. Poszukiwacze złota byli pewni, że najdalej za dwa dni dotrzemy do bitej, piaszczystej drogi, która prowadzi prosto do Jakucka. Całkowicie zdałem się na ich orientację w terenie i nawet nie proponowałem wspólnego przejrzenia posiadanych przez nich map. Widać było, że teren znają jak własną kieszeń. Początkowo, dopóki było to możliwe, trzymaliśmy się błotnego traktu, dopiero gdy ził niebezpiecznie zarył się w bagnistej mazi i wyciąganie go z tej pułapki zajęło nam około godziny, przewodnicy po krótkiej naradzie zmienili kierunek jazdy na południe.

Roztaczały się przed nami niepowtarzalne krajobrazy, jakich dotychczas nie widziałem. Otaczała nas wybujała roślinność, której dalszy wzrost zatrzymała niewidzialna ręka. Zbocza gór pokrywał gęsty las mieszanych drzew. Te przepaściste turnie dopiero u podnóża ukazywały bogactwo rozmaitych gatunków drzew w szerokich

dolinach pełnych mokradeł i torfowisk. Widząc to wszystko uświadomiłem sobie, że Bóg zesłał mi tych ludzi. Bez ich znajomości terenu nie ujechałbym już. daleko. Kluczyliśmy, często zmieniając kierunek jazdy. W rezultacie przybliżaliśmy się do swojego odległego celu w tempie ślimaka. Ciemniało już, kiedy jadący przodem ził zatrzymał się nad niewielkim strumieniem. - Tu przenocujemy - stwierdzili poszukiwacze złota. Zauważyłem jednocześnie, że są lekko czymś zaniepokojeni. Rozmawiali między sobą półgębkiem, wpatrując się, jak mi się wydawało, w odległą ścianę lasu. Pewnie sami się pogubili - pomyślałem, lecz za chwilę wyjaśniło się, co było powodem niepokoju moich towarzyszy podróży. - Nadciąga deszczowa nawałnica - odezwał się po chwili Kola. - Nic dobrego to dla nas nie wróży, gdyż może padać nawet tydzień, a wówczas będziemy zmuszeni czekać do pierwszych mrozów. Wszystko będzie pod wodą - dodał. Igor natomiast był optymistą i uważał, że widoczne z daleka chmury przejdą bokiem. - Poczekamy, zobaczymy - stwierdziliśmy zgodnie i po zjedzonej ekspresowo kolacji udaliśmy się na spoczynek.

Górami, nad ciemnymi już i bezkształtnymi w tej chwili lasami, biegł wiatr i wszystko, co było między niebem a ziemią, stało się nagle szumem, przez który nie przebijał żaden głos. Tajga napełniła się ciemnością i nic już nie było widać. Między lodowatymi chmurami płynął ostry księżyc. Ziemia stężała, wiatry uniosły się nagle i pomknęły szlakami gwiazd...

Po chwili runęła z nieba ulewa. Zerwał się porywisty wiatr i miałem uzasadnione obawy, czy namiot tę nawałnicę przetrzyma. Zasnąłem jednak szybko i obudziłem się dopiero rano. Deszcz jeszcze padał. Wyszedłem na zewnątrz. Ziemia była grząska, buty tonęły w niej z tłustym chlupotem. Stałem oniemiały, patrząc na otwierającą się jak znak zapytania przepaść, którą miałem po swojej lewej ręce. Była to dolina siekana różgami deszczu. Rzadko odsłaniały ją przelatujące chmury. Nagle wydarło się zdziwione słońce i zobaczyłem wówczas swój długi cień, który spadał stąd w pustkę pełną słońca, chmur, hałasu i wody. Powietrze było wilgotne i kleiste, wiatr pachniał igliwem. Geolodzy byli już na nogach.

- A mówiłem, że przejdzie bokiem - triumfował Igor. Kola był jednak zdania, że chmury jeszcze nadejdą, więc zgodnie postanowiliśmy ruszyć czym prędzej w dalszą drogę. Po kilkugodzinnej jeździe krajobraz zmienił się nie do poznania. Po raz pierwszy jechałem tak posepnym światem w świetle dnia. Wszędzie było widać potrzaskane drzewa, kłody leżące po bokach, doły pełne błota i kamienie wyszczerzone na dnie przepaści.

- Już niedaleko - oznajmił Kola podczas krótkiego postoju - już jutro powinniśmy dotrzeć do cywilizacji.

Wiatr przygnał chmury i znów zanosilo się na deszcz. Ruszyliśmy szybko dalej. Do drogi przecież niedaleko... Znów nocujemy gdzieś nad strumieniem. Deszcz siąpi nieustannie. Igor proponuje, by ruszyć jutro, jak tylko się rozwidni.

- Szkoda każdej godziny, bo jak się rozpada, to naprawdę nie dojedziemy - ostrzega.

Wiatr rozgonił chmury, zdławił deszcz i niebo ukazało swe kamienne oblicze. Na wschodzie gasły już ostatnie gwiazdy. Z dolin ku przejaśnionej górze podnosił się świt pełen mgieł i lęku. I znów szum pod kołami, uciekają kilometry w pełen jeszcze mroku las. Po południu wyszło słońce i znów otaczający nas świat wyglądał pięknie. Błoto wypryskiwało spod kół gęstymi fontannami. Później kiedy wyjechaliśmy już z zalanej słońcem doliny, otworzyła się przede mną droga sucha i jasna, równa i bezpieczna, której koniec ginął gdzieś wśród spokojnych zielonych drzew.

Zatrzymaliśmy samochody. W jakimś szalonym entuzjazmie ściskaliśmy się wzajemnie i dumni byliśmy niesamowicie, że wygraliśmy pojedynek z nieznającą litości surową przyrodą.

- Tą drogą dojedziesz do Jakucka - powiedział Igor. - Nie powinno być więcej niż siedemset, osiemset kilometrów. Niedaleko stąd znajduje się miejscowość Małyj Nimnyr, tam się rozstaniemy. Nie pytałem, jak daleko do tej miejscowości, ale przywykłem już, że gdy Sybirak mówi niedaleko, to może być pięćset lub tysiąc pięćset kilometrów. - Zatankuj tam paliwa do pełna, bo dalej poza Aldanem nie będzie już nic, będziesz jechać przez tundrę. Nie martw się, droga tamtędy też prowadzi - śmiał się Kola, widząc moją minę i reakcję na słowo „tundra”. - No, a teraz w drogę. Jedź przodem, my wyruszymy pięć minut później - chodzi o to, byśmy sobie wzajemnie nie kurzyli. Spotykamy się przy pierwszej rzece - dodał Igor i tak się chwilowo rozstaliśmy.

Wzniesając za sobą tumany kurzu, ruszyłem do przodu. Nie da się opisać, jaki byłem szczęśliwy. Jechałem twardą piaszczystą drogą, która serpentynami wśród porośniętych modrzewiami pagórków wije się gdzieś daleko przede mną, kontrastując swym złotym kolorem z otaczającą ją bezkresną zielenią. Od dłuższego czasu krajobraz się nie zmienia. Wokół tylko olbrzymie połacie lasu i wśród nich droga, raz opadająca stromo w dół, to znów kilometrami pnąca się do góry. Gdy byłem na wzniesieniu, daleko za lasami na samym horyzoncie widoczna była złota, cienka jej nitka. Po kilkugodzinnej jeździe z utęsknieniem już wypatrywałem rzeki, przy której zamierzaliśmy wspólnie odpocząć, ale była tylko kręta piaszczysta droga przecinająca niekończące się obszary lasu. Znajdowałem się akurat na którymś z kolejnych szczytów, gdy zauważyłem daleko w dole obłoki białego dymu unoszące się pionowo ku górze.

Coś się pali - pomyślałem w pierwszej chwili. Coraz bardziej zbliżałem się do

przesłaniającego niebo obłoku i gdy znalazłem się już całkiem blisko, momentalnie wyjaśniła się przyczyna powstania rzekomego „dymu”. Z naprzeciwka podążała w moim kierunku duża ciężarówka, która szybko jadąc po piaszczystej drodze, wzniecała kurz, w bezwietrznym powietrzu ciągnący się za nią kilometrami. Odległość między nami szybko się zmniejszała. Kierowca jadący z naprzeciwka zwolnił, zjeżdżając jak tylko mógł na prawą stronę i pokiwał mi przyjaźnie. Chcąc nie chcąc zmuszony byłem się zatrzymać, gdyż tumany kurzu spowodowane przejazdem mijającego mnie urala ograniczyły widoczność do zera. We wstecznym lusterku dostrzegłem czerwone światelka, co oznaczało, że mijający mnie kierowca też nie widział drogi i zmuszony został do zatrzymania samochodu.

Minęło więcej jak pięć minut zanim piaskowa zamieć opadła, ukazując na powrót drogę. Upał doskwierał niesamowicie. Jestem pewien, że temperatura dochodziła do czterdziestki. Tempo jazdy też wyraźnie zmalało, gdyż równa na początku piaszczysta droga zmieniała się w suchą glinianą, pełną dziur i dołów. Dostrzegłem przed sobą - jeśli most, to jest też pewnie rzeka. Po chwili już zjeżdżam z drogi i zatrzymuję się obok wody płynącej szerokim wartkim strumieniem. Tak jak stoję, w ubraniu, wskakuję w jej zimny nurt i pluskam się jak kaczka w stawie. Zanurzam całą głowę i piję zimną lodowatą ciecz. Woda na pewno czystsza niż w moskiewskich kranach, orzeźwia mnie momentalnie. Cóż za ulga, jaka radość życia. Pędem zbieram drzewo na ogień. Dzisiaj należy się wszystkim prawdziwy obiad. Po jakimś czasie z daleka widzę tumany kurzu, to pewnie Igor i Kola. Tak, to oni, już zjeżdżają z nasypu - są uśmiechnięci. Zabieramy się wszyscy do dzieła. Każdy coś robi. Kola obiera kartofle, ja przyrządzam gulasz z konserw, Igor przepadł gdzieś w tajdze, by nazbierać znanych sobie dzikich warzyw. Pomimo że byliśmy już praktycznie wycieńczeni niewygodami i przebytą drogą, dni te przyniosły zachwycające i niepowtarzalne przeżycia. Nigdy nie miałem tak pięknych wakacji, to lato było na pewno najpiękniejsze.

Po parogodzinnym odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę. Dla odmiany Kola i Igor pojechali przodem, a ja w odstępie dziesięciu minut podążałem za nimi. Pod wieczór minęliśmy jakąś małą miejscowość, którą, o dziwo, odnalazłem na ogólnej dużej mapie. To właśnie paradoks byłego ZSRR. Jest na terenie Syberii multum najróżniejszych miast i miasteczek, których próżno szukać na mapie. Dla przykładu w okolicach Abakanu natrafiłem na pięciotysięczne miasto o nazwie K - 7. Teraz natomiast odnajduję na mapie miejscinę liczącą nie więcej jak dziesięć chałup.

Zaznaczam, że mapa taka znajduje się w każdym atlasie szkolnym i każdy, kto by ją z zainteresowaniem śledził, byłby pewien, że na tak wielkim obszarze zaznaczona i

miejsce to na pewno okazałoby się miastem. A to tylko dosłownie dziesięć starych wynędzniałych chałup. Kurz wdiera się przez dziesiątki szczelin do wnętrza samochodu i pokrywa wszystko równą warstwą. Najmniejszy nieskoordynowany ruch powoduje, że unosi się w powietrzu, drażniąc wszystkie zmysły. Jest wszędzie. Pod powiekami, w uszach, nosie i ustach. Natężył się ruch na drodze i średnio co godzinę mijam jakiś pojazd jadący z naprzeciwka. Jest ogólnie przyjęte, że spotykający się na drodze nigdy nie przejeżdżają obok siebie obojętnie. Zatrzymują pojazdy, dzielą się uwagami dotyczącymi przebytej trasy, a ponieważ w większości drogi nie są stałymi szlakami komunikacyjnymi informują się wzajemnie gdzie na przykład ze względu zamarznął drogę się zapadła, który most już definitywnie się zawalił, którądy objeżdżać, a jakiego odcinka się wystrzegać. Prócz tego każda przecinająca drogę rzeka i miejsce ich spotkań. Tutaj razem odpoczywają, gotują i wspólnymi siłami dokonują napraw, gdy się komuś coś popsuje. Panuje wśród nich wielka solidarność. Czasami Koją w jednym miejscu parę dni, by pomóc koledze, który jest w biedzie. Widzę idącego z przeciwnej strony olbrzymiego kraza ciągnącego na naczepie koparkę, zatrzymujemy samochody i w tumanach kurzu ledwo się widząc, informujemy się, wszystko jest w porządku.

- Przed tobą jedzie żółty - przekrzykuje ryk silnika brodaty kierowca.

- Tak, wiem, jedziemy razem - odkrzykuję poprzez ścianę nieopadającego jeszcze pyłu.

- To wszystkiego najlepszego - krzyknął i ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

Dzień dobiegał końca i pewnie szukałbym już miejsca na nocleg, ale sprawa była w rękach jadących przodem poszukiwaczy złota, którzy mimo że minęli już kilka miejsc nad wodą, nie zatrzymali się i jechali uparcie do przodu. Są blisko domu, dlatego im tak spieszo - pomyślałem. Nastąpiła ciemność i jechałem już w świetle reflektorów, a po towarzyszach podróży ani śladu. Zacząłem się już niepokoić, że nie zauważyłem stojących gdzieś z boku, ale możliwość taka wydawała mi się nierealna. Dopiero po godzinie spotkaliśmy się nad rzeką. Igor i Kola rozłożyli już swe namioty, a nad palącym się ogniem buzowała woda na herbatę.

- Zaraz widać, że ty turysta - śmiał się Igor.

- Pewnie jakieś muzeum po drodze zwiedzałeś - nie był dłużny Kola.

- Już dwie godziny na ciebie czekamy - łgali jeden przez drugiego. Docinali mi tylko mogli, ale z twarzy ich płynęła tylko serdeczność.

- My już jesteśmy praktycznie w domu i jutro będziemy spali w łóżkach - powiedział Kola. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zapraszamy na parę dni do nas - zaproponował. Podziękowałem za zaproszenie i wytłumaczyłem, że chętnie bym

skorzystał, ale skoro już jestem na głównej drodze prowadzącej do Jakucka, to zbaczanie o dwieście kilometrów z głównej drogi opóźniłoby znacznie moją podróż.

Nie oponowali, ale jeszcze raz zaznaczyli, że będę mile widziany o każdej porze dnia roku.

Dzisiejsza kolacja miała charakter pożegnalny i była serwowana przez Igora Kolę. Po zjedzeniu kartofli z konserwą rybną, Igor wyciągnął z rzeczki dobrze już schłodzoną butelkę wódki, którą musiał tam umieścić jeszcze przed moim przyjazdem, ponieważ wieczór zapowiadał się uroczyście, wydobyłem ze swoich zapasów również butelkę i umieściłem ją w chłodnym nurcie.

Siedzieliśmy i gaworzyliśmy do późnej nocy. Poszukiwacze złota opowiadali swoich rodzinach, o niecodziennej ich pracy i przygodach, jakich doświadczyli, pracując z dala od siedlisk ludzkich. Parokrotnie podkreślali, że urodzili się wychowali w tajdze i nie wyobrażają sobie, że mogliby żyć gdziekolwiek indziej.

- Nieznane nie nęci - udowadniałem im z kolei - nie pragnie się czegoś, czym się nie wie, że istnieje. - Czy nie mam racji? - pytałem. Komentowali moje owa między sobą i w sumie przyznali mi rację. Ja natomiast opowiadałem o życiu i Zachodzie i o troskach jego mieszkańców. Słuchali w skupieniu, a miny ich świadczyły o tym, że wiele rzeczy było dla nich niezrozumiałych. Przyznali, że świat ich jest „mniejszy”, ale czują się mimo wszystko szczęśliwsi od ludzi mieszkających trę tysięcy kilometrów od tego miejsca na zachód.

Rano, gdy zwijaliśmy namioty, Igor przyniósł spore zawiniątko. - To dla ciebie i drogę, my jesteśmy już w domu - oznajmił. Był to prowiant. Konserwy rybne, patroszone ryby, cukier, herbata, sól i dwie butelki alkoholu. Wymieniliśmy adresy ustanowiliśmy być w kontakcie listownym. Miejscowość Małyj Nimnyr znajdowała się jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd i tam postanowiliśmy się pożegnać.

Dzisiaj ja ruszyłem pierwszy. Po kilkugodzinnej jeździe dotarłem do pustej na pierwszy rzut oka osady, gdzie postanowiłem poczekać na Kolę i Igora. Z nieba się słoneczny żar. Po pewnym czasie pojawił się jakiś mieszkaniec, od którego wiedziałem się, że o godzinie piętnastej będzie otwarty sklep, w którym można być chleb. Wkrótce dojechali współtowarzysze podróży. Ponieważ byli już „koło mu”, nie chcieli czekać na otwarcie sklepu.

Pożegnaliśmy się wylewnie i po kilku chwilach widziałem tylko tuman kurzu oddalającym się gdzieś boczną drogą zółem. Przyznam, że jakoś dziwnie smutno się zrobiło, gdyż przez te parę dni wspólnych zmagani bardzo się z tymi ludźmi zżyłem. Miałem jakiś nieuzasadniony żal, że tak szybko zwyczajnie się rozstaliśmy. I do tego świadomość, że już na pewno nigdy się nie zobaczymy.

Punktualnie o piętnastej otworzono drzwi sklepowe. Wybór oferowanych towarów mniej niż skromny. Można było nabyć chleb, sól, wielkie słoje z marynowanymi pomidorami, wódkę, papierosy i zapleśniałą kiszoną kapustę, po której grasowały gromadnie muchy. Cena marynowanych pomidorów porównywalna była do ceny kilograma mięsa w Zurychu. W sklepie było brudno i nieestetycznie. Jednak pani sklepowa ubrana była w czysty biały fartuch, a na głowie miała czapkę podobną do tych, jakie noszą kucharze, lekarze i naukowcy... Typowa komunistyczna skrajność.

Kupiłem tylko chleb i nie chcąc tracić dnia, piaszczystą wyboistą drogą ruszyłem w kierunku rysującego się na horyzoncie lasu. Gdy dotarłem do pierwszych drzew, piaszczysta droga zamieniła się dla odmiany w błotnistą, wyboistą trasę, a otaczający mnie teren stawał się coraz bardziej dziki. Rosnące tu gęsto wysokie modrzewie broniły dostępu światłu słonecznemu. Powietrze było nasycone wilgocią. Po obu stronach pierwotnego traktu znajdował się rozmokły teren z wałącymi się gnijącymi resztkami drzew. Sceneria jak z bajki o złym czarowniku - pomyślałem. Zadziwiające skrajności i występowały pod tą szerokością geograficzną. Niedaleko stąd susza powodująca piaszkowe zamiecie, parę kilometrów dalej wilgotny teren, w którym ciężko było oddychać.

Mgliste, wilgotne powietrze powodowało, że widoczność sięgała zaledwie kilometra. Minęło już sporo czasu i nic nie wskazywało na to, że szybko się stąd wydostanę. Może jednak za kilka godzin, może dzisiaj czy też jutro dojadę do miejsca, gdzie ujrzę inny krajobraz. Co to będzie? Może góry, a może następny pas lasu.

Teraźniejszość jednak nie była wymarzona. Wokół pusta, bagnista tajga. Wóz zaczął zwalniać, a silnik mruczał niechętnie, dławiony wilgotnym powietrzem. Podniosły się już wieczorne opary, włączyłem więc biegi terenowe, a szum motoru wwiерcił się całą mocą w miękką ciszę wieczoru. Droga, jeśli umownie ją tak - nazwiemy, była wąska, śliska i kręta. Zaczęła piąć się pod górę ostrymi serpentynami. Na zakrętach nie było znaków, ani barierek ochronnych... Posuwałem się więc do przodu w żółwym tempie.

Po jakimś czasie zatrzymałem się na krótki odpoczynek. Wysiadłem z samochodu, by rozprostować kości, ale szybko do niego powróciłem. Teren okazał się gęsto zasiedlony przez komary. Dookoła rozciągały się tylko bagna, dominował skarłały drzewostan i nie do końca wyrosnięta roślinność. Była to chyba lasotundra, o której wspominali poszukiwacze złota. Siedziałem w samochodzie i obojętnym wzrokiem przypatrywałem się otaczającej mnie rzeczywistości.

Po pobliskim błocie spacerowało jakiś dziwne ptaszysko. Ani to sroka, ani żaden ze znanych mi ptaków. Duży, okrągły, niezaradny, na krótkich wykrzywionych łapach. Dziób

miał krótki i płaski. Pluskał się chwilę, podskakując idiotycznie na krótkich łapach, potem uniósł z godnością ciężki kuper i odleciał z dziwnym wrzaskiem. Sceneria ogólnie ponura, z horroru wzięta. O noclegu w tej okolicy nie mogło być mowy, więc chcąc nie chcąc ruszyłem wyboistą drogą w ciemną senną wilgoć.

Postanowiłem jechać całą noc. Po kilku godzinach wydostałem się wyżej. Zamajaczyły normalnej wielkości drzewa, jechałem jeszcze chwilę i raptem w oddali nisko na ziemi zauważyłem światło. Nie oceniałem jeszcze odległości. Dostrzegłem też ścieżkę, która wśród zarośli prowadziła w tym kierunku. Była jednak za wąska, by poruszać się nią samochodem. Wyłączyłem więc silnik i pieszo ruszyłem w kierunku tajemniczego światła. Dochodząc bliżej stwierdziłem, że był to ogień. Raz go widziałem, lecz po chwili ginął, nagle znalazłem się przy nim. Wychodził z otworu tuż przy ziemi, a była nad nim usypana ziemia, z wierzchu dymiło.

Była to ziemianka. Wewnątrz było cicho, żaden głos nie dochodził, tylko trzaskanie ognia. Drzwi wkopane w ziemię były zamknięte. Zapukałem delikatnie, lecz żaden głos nie odpowiedział. Było pewne, że gospodarz znajduje się gdzieś w pobliżu. Zacząłem nawoływać, ale odpowiadało mi tylko echo. Panujące dookoła ciemności nie pozwoliły mi dokładnie rozejrzeć się po okolicy. Ktoś sobie mieszkał w tej pustelni i widocznie nierad był z kimś dzielić swoją samotność. Działająca wyobraźnia sprawiła, że wokół zrobiło się bardzo tajemniczo. Pomimo to nawet przez chwilę się nie bałem. Jestem pewien, że to instynkt wraz z podświadomością szeptały, że nie grozi mi tu żadne niebezpieczeństwo. Stałem jeszcze chwilę, rozglądając się niezdecydowanie na boki, po czym ruszyłem ścieżką w stronę samochodu. Teraz z kolei czułem wyraźnie czyjś wzrok na sobie. Wsiadłem do samochodu i jeszcze chwilę siedziałem, nie poruszając się.

Wtem zauważyłem cień wylaniający się z pobliskich krzaków. Na dukt wyszedł człowiek i stanął w bezruchu. Ciarki mnie przeszły momentalnie i odruchowo zapaliłem reflektory. Stojący człowiek w pierwszej chwili jakby chciał uciekać, ale stanął w miejscu i tylko ręką zasłonił oczy przed rażącym światłem. Wygasilem światła z ręką na starterze i na wciśniętym sprzęgle czekałem na dalszy rozwój wypadków. Nic się nie wydarzyło. Postać stała na drodze, a ja siedziałem w kabinie. Otworzyłem okno, wychyliłem się i powiedziałem dobry wieczór, lecz odpowiedziała cisza. Człowiek stał dalej nieruchomo. Odszukałem po omacku latarkę i siląc się na spokój, wysiadłem z kabiny. Kierując światło latarki w bok, śmiało podszedłem do stojącej postaci. Przyznam, że byłem podniecony.

- Jestem obcokrajowcem i jadę do Jakucka, zauważyłem wasz ogień i chciałem tylko zapytać, czy jadę w dobrym kierunku - powiedziałem, by rozpocząć rozmowę. Spotkany człowiek stał dalej nieruchomo, ale po chwili pokiwał głową, a z gardła jego

wydobył się jakiś niezrozumiały głośny bełkot. Teraz to już nogi naprawdę się pode mną ugięły i włosy stanęły mi dęba. Przez myśl mi przeszło, że to nie człowiek, tylko jakiś człekokształtny stwór czy bestia. Już myślałem, jak dać drapaką, lecz w tym momencie stojący człowiek coś wybełkotał i wskazał ręką ścieżkę prowadzącą do ziemianki, po czym dał wyraźny znak, by iść za nim. W pierwszej chwili starałem się jeszcze wytłumaczyć mu, że właściwie sobie już pójdę, ale nieznajomy szedł, nie odwracając się za siebie, a ja po prostu jak w hipnozie podreptałem za nim. Gdy doszedłem, drzwi do ziemianki stały już otworem, a nieznajomy zaprosił mnie do środka.

Izba była obszerna, mroczna i czuć w niej było dymem i wilgocią. Stara zardzewiała lampa naftowa wisiała na środku sufitu, a mętne koło jej światła robiło wrażenie rozlanej oliwy. Gospodarz podszedł do lampy i podkręcił knot, lecz było to tylko złudzenie: mrok pozostał nieruchomy. Zdjął czapkę i watowaną dziurawą kurtkę. Czapkę powiesił na wbitym w ścianę kołku, a kurtkę zwinął w kłębek i położył na zrobionej z gałęzi pryczy. Widać było, że zastępowała mu poduszkę. Do przykrycia służyły mu niedbale wyprawione skóry z nieokreślonych przeze mnie zwierząt.

Był to człowiek z wyglądu siedemdziesięcioletni. Z twarzy jego niewiele można było wyczytać, gdyż przysłaniał ją bujny siwy zarost. Widoczne części twarzy pocięte były szerokimi wyraźnymi bruzdami. Jego oczy nie wyrażały żadnego oblędu, widać było w nich zakłopotanie. Starał się coś powiedzieć, lecz żaden ton nie wydobył się z jego ust - domyśliłem się, że jest niemową. Reagował jednak na dźwięk doskonale, podsunął mi drewniany pień, który zastępował w tym pomieszczeniu krzesło i wskazał miejsce przy czymś, co pełniło rolę stołu.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. W rogu znajdowało się duże gliniane palenisko, nad którym w suficie znajdował się otwór kominkowy. Powierzchnia paleniska była tak duża, że pozwalała na rozniecenie prawie metrowego ognia. Wiszące nad nim poprzecznie grube druty służyły do zaczepiania za nie garnków lub do wędzenia ryb i mięsa. Na ścianie wisiały różne metalowe naczynia i narzędzia. Zauważyłem też dużo różnorodnych sideł łowieckich, niektóre były imponującej wielkości.

Gospodarz starał się zachować spokój i zachowywał się, jakby mnie nie było. Dorzucił drewna do ognia i ze stojącej w rogu dużej aluminiowej kany nalał wody do okopconego dymem czajnika. Nie miałem ochoty na żadną herbatę, ale też nie próbowałem nawet oponować. Następnie człowiek uniósł blaszaną pokrywę znajdującą się w glinianej podłodze i gwałtownie znikł pod ziemią. Byłem tak tą sceną zaskoczony, że dosłownie zbaraniałem. To pewnie awaryjne wyjście - pomyślałem, ale wnet się opanowałem. Jakie wyjście? Jaka awaria? - Przywróciłem nerwy na swoje miejsce. Jak się

później okazało, była to wielka piwnica, tyle że bez schodów, spełniająca rolę lodówki. Za agregat służyła tu wieczna zmarzlina, która utrzymuje pod powierzchnią ziemi temperaturę poniżej zera. Ale tania zamrażarka - pomyślałem. Po chwili gospodarz wygramolił się spod ziemi, a w ręku dzierżył kawał pieczonego mięsa i kilka dużych ryb, które wyglądały na wędzone. Postawił przede mną blaszaną miskę, która nosiła ślady zaschniętej żywności. Mięso zręcznie zaczepił nad ogniem, a w tym czasie zaparzył jakieś zioła, które zastępowały herbatę. Po chwili gorące mięso położył bezpośrednio na stole i zaprosił gestem do jedzenia. Wyjąłem szczyryk i odkroiłem sobie kawał mięsa, a gospodarz po prostu wziął resztę i przystąpił do jedzenia. Nie powiem, by smakowało wybornie, było niedosolone i łykowate. Wiedziałem, że nie wypada odmówić, więc jadłem, kiwając od czasu do czasu głową.

Wszystko odbywało się w ciszy, gdyż szanując ułomność gospodarza, nie próbowałem nawiązywać rozmowy. Jednak po chwili przypomniałem sobie, że człowiek ten rozumiał wszystko, co mówiłem, więc zacząłem opowiadać o swojej podróży i ogólnie grzecznościowo o wszystkim. Po chwili i on się ożywił i gestykulując opowiadał o czymś. Niestety, nie wyłowiłem sensu jego wypowiedzi. Napój zastępujący herbatę okazał się gorącą cuchnącą cieczą i w smaku podobny był do torfu. Więc ograniczyłem się do przełknięcia tylko kilku łyków. Postanowiłem przynieść gospodarzowi trochę mojego prowiantu, więc powiedziałem, że idę do samochodu po parę rzeczy, które mi zbywają. Zrozumiał i nie protestował. Po paru minutach byłem już z powrotem w ziemiance i o dziwo stwierdziłem, że nie ma w niej gospodarza. Wszedł jednak po chwili i widać było, że jest zmieszany. Domyśliłem się, że mi nie ufał i po prostu poszedł za mną. Nie miałem o to do niego żalu. Najbardziej się cieszył z cukru i herbaty. Nie krył wzruszenia. Wiedząc, że sobie mogę zawsze jakoś poradzić, oddałem mu cały zapas. Były też puszki mięsne, czekolada, cukierki, zapalniczki, sól oraz wszystkiego po trochu z tego, co jeszcze miałem. Oddałem też cały zapas świeżo kupionego chleba. Sprawilo mi to wszystko wielką radość nie uważałem tego za żadną łaskę. Po prostu prawda była taka, że ten człowiek pierwszy mnie obdarował, oferując dach nad głową i jedzenie. Siedzieliśmy jeszcze chwilę i patrzeliśmy w milczeniu na siebie. Niepotrzebne były słowa, tak dobrze się rozumieliśmy...

Dziwne czasami są losy ludzkie. Całe to zdarzenie potoczyło się tak szybko, że nawet nie zdałem sobie dokładnie sprawy, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Dopiero parę dni później przemyślałem na spokojnie tę przygodę i stwierdziłem, że było to coś niesamowitego. Palila mnie ciekawość i dużo dałbym, by poznać historię życia tego człowieka, mieszkającego samotnie w tajdze, z dala od cywilizacji i ludzi. Do dzisiaj często go

wspominam i wiem, że nie był to przypadek, że go spotkałem, tak miało się stać, bo tak chciały gwiazdy i gdzieś zostało to wcześniej już zapisane...

IX

Rankiem, po nocy spędzonej za kierownicą, wyjechałem z bagnistej scenerii; pędziłem teraz piaszczystą drogą, mijając od czasu do czasu spalone, puste wsie, gdzie nikt nie mieszkał; patrzyłem, jak słońce przedziera się przez mgły i złoci czarne zgorzeliska. Sterczące niby kości kominy, szczątki ścian gdzieniegdzie jeszcze kolorowych. Potem znów wjechałem w tajgę i czułem duszącą wilgoć odtajanych drzew i słuchałem zgiełkliwego wrzasku przebudzonych ptaków. Później wjechałem w dolinę i całymi kilometrami pędziłem prosto w złotą kulę słońca znieruchomiłą nad szczytami Gór Ałdańskich. Po południu dojeżdżam do terenów, gdzie wydobywa się złoto. Na odcinku ponaddwustukilometrowym po obydwu stronach piaszczystej drogi odkrywkowe kopalnie złota. Wszystkie pracują, wypłukując drogocenny kruszec. Jak okiem sięgnąć wszędzie wielkie maszyny pożerające ziemię ze wszystkim, co się na niej znajduje. Tysiące hektarów zalanych wodą to miejsca, gdzie już wydobyto kruszec. Robi to wielkie wrażenie, nigdy bym nie pomyślał, że na aż tak dużą skalę można wydobywać złoto. Nikt nie wie, ile podobnych miejsc jest na całej Syberii.

Widzę osiedla ludzkie, gdzie mieszkają pracownicy kopalni. Są bardziej niż ubogie. Widać, że to prowizorka postawiona przed laty. Na pewno nie mieszkają tu rodziny.

Na drodze ożywiony ruch. Jeżdżą wywrotki, koparki, czasami stary wysłużony samochód osobowy.

Później wszystko znika i znów kilometrami tajga i bezludzie. Od czasu do czasu widzę kilka ciężarówek stojących nad wodą i odpoczywających przy nich ludzi. Pewnie są w drodze od tygodni.

Wieczorem i ja dołączam do kilku odpoczywających nad wodą kierowców.

Siedzą przy ogniu i gestami zapraszają do siebie. Jak się okazuje, wszyscy od kilku dni już wiedzą, że jakiś zagranicznik jedzie przez tajgę.

- U nas taki telefon, że nawet KGB takiego nie ma - powiada jeden, a reszta się śmieje.

- Dwa dni temu jak jechałem nocą, widziałem cię nad rzeczką - stał z tobą jeszcze jeden ciężarowy - powiada drugi.

- No to wszyscy się już znamy - mówię i dosiadam się do ognia.

Pytają dokąd jadę i kiwają ze zdumieniem głowami. - My tutejsi, ale nikt się nie odważy jednym samochodem ruszyć w tajgę.

- Jedziemy z Chabarowska - mówi, pokazując ręką na kolegów - już dwa tygodnie jesteśmy w drodze.

- Do Jakucka jeszcze ze dwa dni - pojedziemy razem - proponuję.

- Gdzie będziesz mieszkać w Jakucku? - pyta jeden z nich.

- Nigdzie, jadę dalej - odpowiadam.

- Dalej? Dalej o tej porze roku nie ma drogi. Są tylko zimniki, na które prędzej nie wjedziesz wcześniej niż w listopadzie.

- Jechałem już zimnikami - powiadam - przecież w przeciwnym wypadku nie siedziałbym tu z wami - mówię.

Patrzę na mnie i na land - rovera i z niedowierzaniem kiwają głowami. Faktem jednak było, że siedziałem między nimi. Teraz dopiero ożywiła się dyskusja. Część była zdania, że jest możliwość dojazdu do Chandygi, skąd prowadził już szlak do Magadanu, inni zaś stanowczo protestowali. Wreszcie stanęło na tym, że skoro już dojechałem, to może przebiję się też do Chandygi.

- Jechałem tam parę razy zimą - powiada jeden. - To strasznie dzika strona.

Powiem ci szczerze, nie pojechałbym o tej porze roku za żadne skarby ani kilometra w tamtą stronę. Tam się teraz nie jeździ. Dawniej, za komunistów, było tak, że jeżeli ktoś już musiał jechać w tamtą stronę, to się w specjalnym biurze zgłaszał, a po dotarciu na miejsce informował o szczęśliwym zakończeniu podróży. Jeżeli ktoś przez dłuższy czas nie dawał znaku, wysyłano na trasę helikoptery. Na pewno też nie było wypadku, by kogoś w pojedynkę tam puszczono.

- Na Syberii każda pora roku jest nieodpowiednia do jazdy - powiada jeden z nich. - Latem topią się ludzie w bagnach lub kończą w przepaściach, a zimą, jeden po drugim, zamarzają. A jak nie zamarznie, to go wilki zjedzą - dodaje drugi. - Taki już nasz los - biadolili.

Nieswojo mi się zrobiło po wysłuchaniu opinii ludzi jeżdżących po tym terenie, ale jakakolwiek złą wiadomość bym tu usłyszał i tak bym pojechał dalej. Bo gdzie byłby sens mojej podróży! Gdy człowiek całe życie igra z niebezpieczeństwem, to nie może się od niego uwolnić tak sobie, od razu. Zawsze szuka wyzwania, ryzyka. Jedno było pewne, że nie jest w stanie powstrzymać mnie od wyjazdu z Jakucka. Na pewno też nie będę czekał tam do zimy.

Poczułem się zmęczony. Wy tłumaczyłem, że jechałem całą noc i dzień i z tego powodu udaję się już na spoczynek. Życząc dobrej nocy, poszedłem spać. Długo nie mogłem zasnąć z powodu zmęczenia. Słyszałem jeszcze, że dojechały jakieś samochody i ktoś z obecnych o mnie opowiadał.

Upalny ranek. Miejsce koło rzeczki już puste. Wczorajsi moi rozmówcy wyjechali już w dalszą trasę. Wiedzieli dobrze, co robią, wyjeżdżając skoro świt. Przy tej temperaturze jazda nie należy do przyjemności. Postanawiam umyć się gruntownie, a

ponieważ znalazłem się znów wśród ludzi, gołę też dwutygodniowy zarost. Woda w rzece jest tak zimna, że nie ma mowy, by dłużej bosy w niej postać. Cierpiąc straszliwe męki, decyduję się jednak na kąpiel i nawet myję głowę w jej lodowatych strugach. Wracając, zauważam kartkę za wycieraczką. Z trudem odczytuję koślawe pismo: „Spotkamy się, a jak nie to, nocujemy na pięćdziesiątym kilometrze za Ułu - Sasza”.

Kąpiel w lodowatej rzece zadziałała, regenerując ciało. Pełen świeżych sił wjeżdżam w nieopadający pył, unoszący się nad drogą. Dziury, upał, kurz to sceneria, w jakiej się przemieszczam. Prędkość ze względu na stan nawierzchni rzadko przekracza czterdzieści kilometrów na godzinę. Raz jest równa, raz dziesiątkami kilometrów usiana ostrymi kamieniami. Na poboczach walają się setki starych opon, których nikt od lat nie sprząta. Zauważam też przydrożne pomniki upamiętniające śmierć kierowców. Wszystkie są wykonane według jednego wzoru. Betonowa płyta, zalana weń kierownica oraz napis informujący, komu to organizacja partyjna go wystawiła. Przed pomnikami słoiki, a w nich przeważnie zwiędłe gałązki brzozy.

W miarę przejechanych kilometrów ruch na drodze wzrasta. Ze względu na Stale utrzymującą się zawiesinę pyłową obowiązuje jazda z włączonymi światłami. Każda mijanka to dreszcze emocji powodujące, że kierowcy nie widząc dalszej drogi, zwalniają, a z reguły się zatrzymują.

Parę kilometrów dalej zauważam na drodze milicjantów kiwających, bym stanął. Kontrola - tu, w tajdze? W tym kraju jednak wszystko jest możliwe. Po chwili dopiero zauważam milicyjny gazik oparty poza poboczem o przydrożne drzewa, a pod nim kilkunastometrową przepaść.

- Pomożecie ludzie wyciągnąć - mówi jeden z nich, więc stawiam samochód w poprzek drogi i rozwijam wyciągarkę. Milicjanci zaczepiają ją i machają, bym już ciągnął. Niestety, ich gazik wisi na miejscu, a ja przesuвам się do przodu. - Sam nie dam rady - krzyczę - trzeba poczekać, aż coś większego nadjedzie. Czekamy więc. Po jakimś czasie nadjeżdża ził i wspólnymi siłami wyciągamy milicyjny pojazd. Kierowca ziła nie wydaje się tym faktem uszczęśliwiony. - Oj, widać, że bardzo kochają swoją milicję - mówię, ale nikt mnie nie słyszy.

Zachowując odstępy czasowe (by sobie nie kurzyć) ruszyliśmy wszyscy w jednym kierunku. Po południu zauważyłem znajomych z poprzedniego wieczoru odpoczywających nad jedną z rzeczek. Nie zatrzymałem się, tylko zatrąbiłem kilka razy, a oni odpowiedzieli mi machaniem ręki. Później ja odpoczywałem nad jakimś strumykiem, oni przewalili się w odstępach z wielkim łoskotem, trąbiąc o wiele dłużej niż było to wskazane. Przyznam, że nawet przyjemne to było. Nie byłem sam, z kimś jechałem i byłem pewien, że wieczorem

będą mnie wypatrywali. Było tak istotnie, I pędząc do przodu w transie jazdy w ostatnim momencie zauważyłem ich stojących , na kamienistym placu w pobliżu wody.

Przyhamowałem, mocno wzniecając tumany kurzu, które jak zasłona dymna i przesłoniły mi widok na wszystko znajdujące się dookoła. Cofnąłem i zjechałem nad samą wodę, ustawiając się między stojącymi ciężarówkami.

Za szybko jeździsz - powiadają na przywitanie. - Poprzebijasz wszystkie opony I na tych kamieniach. Zobacz, ile ich tu wkoło leży - ostrzegają.

- Moje są zachodnie i na pewno wasze drogi przetrzymają, do dzisiaj nie wymieniałem ani jednej - odpowiedziałem.

Widać było, że kierowcy stali już od jakiegoś czasu. Dzisiaj do jedzenia to, co zwykle, czyli zupa i chleb. Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy się tuszonki żarło.

- Teraz jak sobie ryb nie nałapiesz, to zdechniesz w drodze - żalił się jeden z nich.

Inni podchwycili temat i w ten sposób jedzenie i warunki pracy stały się tematem tego wieczoru.

Z rozmowy wynikało, że kierowca syberyjski pracujący na tym terenie, który wyrusza w kilkudniową trasę, zdany jest tylko na siebie i swoje umiejętności w zdobywaniu pożywienia. Ekwipunek, jaki zabiera z sobą, ogranicza się do żyłki i haczyków, soli, herbaty, cukru i chleba wystarczającego na pierwsze dni podróży. Oczywiście, w każdym pojeździe znajduje się siekiera, łopata i skromny komplet kuchenny składający się przeważnie z dużego kochera. W zimie kierowcy wożą dodatkowo wielkie brezenty, które rozpinają przy samochodzie w wypadku wymiany na przykład koła. Panujące w tym rejonie temperatury spadają do minus sześćdziesięciu stopni i przebywanie lub wykonywanie jakiejś pracy bez ochrony kończy się z reguły, w najlepszym przypadku, trwałym kalectwem (odmrożenia). Często też nie posiadają palników benzynowych i wtedy pod brezentem rozpalają zwyczajne ognisko. Pomimo tych zabezpieczeń każdej zimy dziesiątki kierowców kończy swe życie po prostu zamarzając.

Wszyscy parokrotnie byli świadkami lub sami odnajdywali skute lodem ciała kolegów po fachu. Również trasy, po których się poruszali, były, jak określili, beznadziejne i bardzo dobre. Pierwsze to całkowite bezdroża i bezludzia, gdzie nawet nie ma gdzie ryb nałapać, drugie zaś to wiodące przez osiedla ludzkie lub obfite w ryby i zwierzynę. Obecną drogę zaliczyli do średnich - to taka, gdzie jest licho, ale z głodu nie umrzesz... Nie bez znaczenia jest też towar, z jakim się jeździ. - Ja na przykład z cebulą lub kartoflami nawet kilometra nie pojedę - powiada jeden z nich. - W tych czasach jest pewne, że gdybym ruszył z takim towarem w trasę, to już mnie żona i dzieci nie zobaczą... W Jakucku kilogram kartofli kosztuje osiem do dwunastu dolarów, a cebula niewiele mniej. Teraz na

rosyjskich drogach jest tylko bezpiecznie piach wozić - kończy.

Wspominali jeszcze nie tak dawne czasy, czasy, kiedy to co dwieście kilometrów były baraki pełniące rolę stołówek, gdzie zawsze było coś ciepłego do zjedzenia, a w najgorszym przypadku gorąca herbata.

Długo jeszcze opowiadali o różnych sposobach umożliwiających przetrwanie w surowych warunkach syberyjskiej tajgi i przyznam, że wiele z nich było bardzo pomysłowych i wiele się tego wieczoru nauczyłem. Później, kiedy już jechałem przez terytorium USA i przyglądałem się pracy tamtejszych kierowców ciężarówek, ich ekskluzywnym samochodom posiadającym komfortową część mieszkalną, to uznałem, że jednak sprawiedliwości nie ma na tym świecie.

Wpadł mi wówczas do głowy szalony pomysł, polegający na tym, by kierowcy amerykańscy zamienili się chociaż na miesiąc ze swoimi rosyjskimi kolegami. Nie myślałem, by jednych i drugich samotnic puścić w nieznany im kraj, ale niechby chociaż kierowca amerykański z miesiąc pojeździł po tajdze wraz z rosyjskim kolegą. Później, co również byłoby zabawne, wysłać Rosjanina, niech zobaczy, jaka to uciążliwa jest praca kierowcy w Ameryce... Oczywiście, miałyby to sens, gdyby jednym i drugim towarzyszyła ekipa telewizyjna. Sukces przyszłego filmu murowany.

Zapadła już noc, ale nie panowały już egipskie ciemności, było szaro i w miarę widno. Za widocznym lasem żarzyła się jasna czerwona poświata, wyraźny zwiastun białych nocy. Kierowcy zabezpieczyli się przed komarami, wysmarowawszy się jakimś śmierdzącym białym płynem i poukładali się do snu pod gołym niebem, a ja z lenistwa nie rozkładałem już namiotu, tylko ułożyłem się w samochodzie.

Rano dopisywały im humory. Myli się i golili nad strumykiem, by w miarę czysti i schludni wjechać do miasta. Potem uruchomili swoje groźnie mruczące silniki i w odstępach wyjechali na zalaną porannym słońcem drogę. W ciągu dnia widzieliśmy się parokrotnie, za każdym razem serdecznie się pozdrawiając, jak byśmy dawno się nie widzieli.

Wieczorem zauważyłem ich stojących na poboczu drogi i zatrzymałem się.

- Dobrze, że nadjechałeś - powiadają. - Jesteśmy już pod Jakuckiem - my jedziemy prosto, bo jesteśmy ciężkimi wozami, ale tobie będzie bliżej, jak niedaleko stąd przeprawisz się przez Lenę. Parę kilometrów dalej zobaczysz drogę odchodzącą w lewo, skręcisz w nią i dojedziesz do miejscowości Pasoloba, tam kursuje prom kolchozu, który przewiezie cię na drugą stronę. Później dziewięćdziesiąt kilometrów asfaltówki i już Jakuck.

- Obyś dojechał cały i zdrowy do tej Ameryki - życzyli mi, gdy się rozstawaliśmy.

Bez trudu odnalazłem drogę i gdy już widziałem w oddali rzekę, usłyszałem głośny huk i jednocześnie samochód zatańczył niebezpiecznie na drodze. Stało się to, przed czym mnie kierowcy ostrzegali. Przebiłem oponę, bo za szybko jechałem po kamienistej drodze. Po chwili okazało się, że mój bardzo zachwalany lewar, na skutek mechanicznego uszkodzenia przestał funkcjonować i nie mogłem unieść samochodu. Jak na złość, nie drogą nie jechało. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do głównej drogi i poprosić kogoś o pomoc.

Tak też zrobiłem i po godzinie wraz z życzliwym kierowcą kamaza wymieniałem koło. Opona okazała się do wyrzucenia, po wewnętrznej jej stronie widniała wyszarpana dziura. Pozostało mi tylko jedno koło zapasowe oraz kilka nowych dętek. Nad rzekę dotarłem, gdy prom był gotów do przeprawy. Nie było już na nim miejsca, ale zauważywszy mnie, obsługa głośno pokrzykując na kierowców, ścieśniła stojące pojazdy na tyle, że udało mi się wcisnąć na pokład.

Ruszyliśmy w kierunku drugiego brzegu. Dopiero teraz zorientowałem się, że jest już noc. Na dworze było jednak widno. Spojrzałem na rzekę i oniemiałem z wrażenia. Tak szerokiej rzeki jeszcze nie widziałem. Jestem pewien, że w tym miejscu miała nie mniej niż dziesięć kilometrów szerokości. Zjawisko niezachodzącego słońca sprawiło, że woda mieniła się wszystkimi odcieniami błękitu i czerwieni. Nie umiem po prostu tego opisać, ale takie zjawisko widziałem pierwszy raz w życiu.

Przeprawa trwała przeszło godzinę i przez ten czas nawiązały się nowe znajomości. Dwóch Jakutów twierdziło, że od dwóch dni jechali za mną. Z rozmowy wynikało, że są braćmi i jadą z Władywostoku, gdzie kupili dostawczego ułazika. Coś świtało w głowie, że rzeczywiście ich na drodze spotkałem, ale nie byłem tego pewien. Skoro jednak twierdzili, że razem jechaliśmy, to widocznie tak było. Jakuci zaproponowali gościnę, a zrobili to z taką serdecznością, że nie wypadało odmówić. Była czwarta rano, gdy wjechaliśmy na rogatki Jakucka.

Tu znajdował się posterunek graniczny, gdzie przypomniano mi, że nie jesteśmy już w Rosji, tylko w Republice Sacha. Sprawdzono wnikliwie moje dokumenty i gdy okazało się, że nie jestem Rosjaninem, gościnnie otwarto zamknięty dotychczas szlaban.

Jakuci jechali przodem, a ja wyteżalem uwagę, by nie pogubić się w labiryncie podobnych do siebie ulic. Po chwili zajechaliśmy pod czteropiętrowy blok mieszkalny stojący na betonowych palach. Wcześniej już zauważyłem, że każdy większy budynek znajduje się w pewnym odstępnie od ziemi, opierając swą konstrukcję na podobnych betonowych słupach. Jakuci wytłumaczyli mi, że gdyby stały tu normalne jak gdzie indziej bloki, to po pewnym czasie wydzielające się z nich ciepło roztopiłoby wieczną zmarzlinę i

budowle te zapadłyby się pod ziemię.

Wynikało z tego, że Jakuck znajduje się po prostu na lodzie. Jakuci przeprosili mnie na chwilę, mówiąc, że idą obudzić śpiące żony. Oponowałem przy tym, mówiąc, że nie wypada i jestem skłonny jechać dalej, ale Jakuci przesądziли już dawno sprawę i o odwrocie nie mogło być mowy. Pół godziny później pomimo nietypowej pory siedziałem już przy bogato nakrytym, jak na rosyjskie warunki, stole. Jak się niebawem dowiedziałem, była niedziela i Jakuci obchodzili dzisiaj jakieś tradycyjne doroczne święto o dziwnej nazwie Yssyah.

Uroczystości miały się rozpocząć o dziesiątej rano na miejscowym stadionie. Święto było tylko dla Jakutów i gospodarze przez chwilę mieli wątpliwości, czy mogą mnie zabrać ze sobą, ale po chwili stwierdzili, że aż nadto wyglądam na obcokrajowca, a gości w Jakucji traktuje się z należyty szacunkiem. Dla bezpieczeństwa uzgodniliśmy, że będziemy poruszali się wszędzie razem. Nie po raz pierwszy zauważyłem, jak nie lubią Rosjan w stronach zamieszkałych przez autochtoniczną ludność. W Jakucji, jak się później dowiedziałem, wymagano od Rosjan wiz wjazdowych, które wydawano tylko w specjalnych przypadkach. Wojna była ostra i oficjalna. Po raz pierwszy od dłuższego czasu umyłem się w prawdziwej łazience, przebrałem się w czyste rzeczy i wraz z gospodarzami przed godziną dziesiątą byłem gotowy do wyjścia z domu. Za wizytówkę i bilet wstępu posłużył nam land - rover, który jak się okazało, w dowód zasług został jako jedyny pojazd wpuszczony na teren uroczystości. Organizatorzy przyjęli mnie bardzo serdecznie.

- Boże, to przecież Indianie - wyrwało mi się, gdy zauważyłem kolorowe jurty poustawiane na murawie. Również rzeźbione słupy znane mi z filmów indiańskich były gęsto poustawiane wśród namiotów. Większość uczestników święta ubrana była w najróżniejsze stroje ludowe.

Podekscytowany ruszyłem w tłum. Nie zauważyłem żadnego oficjalnego otwarcia. Punktualnie o dziesiątej naród jakucki zaczął się po prostu bawić. Nie sposób być wszędzie, ale by niczego nie pominąć, wyznaczyłem sobie prowizoryczną marszrutę.

Pogoda nie dopisała tym razem. Niebo było zachmurzone i od czasu do czasu siąpił deszcz. Najbardziej spodobał mi się ich taniec ludowy o nazwie osuochaj, przez Ewenków zwany yohar. Zbierały się trzy przypadkowe osoby, ustawiały w kręgu i biorąc się pod rękę w rytmie wyśpiewywanej melodii, poruszały się dziwnym krokiem tanecznym w koło. Co chwilę do kręgu dołączały nowe osoby i po jakimś czasie koło tańczących było już pokaźnych rozmiarów. Grupa tancerzy wybrała już swojego solistę, który śpiewał w języku jakuckim coś, co stanowiło zwrotkę, a reszta unisono mu odśpiewywała. Od gospodarza dowiedziałem się, że tematyka pieśni była spontaniczna i porównać ją można do

murzyńskiego bluesa. Przetłumaczył mi nawet pojedynczy tekst: „Jadę przez dziką stronę i muszę dzisiaj coś upolować, by dzieci mogły jeść” - w tym momencie chór tancerzy refrenował słowa: „by dzieci mogły jeść” itd. Jak już wspominałem, koło powiększało się z każdą chwilą, a jedna runda taneczna trwała ponad godzinę. Po zakończeniu tańca kobiety rozeszły się do jurt, a mężczyźni udali się do pobliskich ludowych kuchni i zjadając różne jakuckie przysmaki, raczyli się suto alkoholem. W tym czasie zaczęło się budować jakies następne taneczne koło i kto miał ochotę, wpinał się w jego łańcuch. Zauważyłem też, że kto już wszedł do tańca, to nie przestawał tańczyć, aż cały rytuał się skończył. Dlatego też starsze osoby długo przypatrywały się z boku, by dopiero w końcu tańca dołączyć do grupy. Podobnie jak w Chakasji, tak i tu do strojów ludowych poprzipinane były odznaki i orderzy z podobizną Lenina. Wyglądało na to, że miejsce w społeczeństwie jakuckim też w dużej mierze uzależnione było od liczby orderów przypiętych do piersi.

W drugim końcu stadionu odbywały się zawody zręcznościowe i sportowe. Walczyli atletyczni zapaśnicy, a trofeum ich walki była olbrzymich rozmiarów kość, którą z różnym skutkiem sobie wzajemnie zabierali; strzelano z łuków i rzucano drewnianym pniem.

Podobnie jak na południu Rosji, kulminacyjnym punktem zmagani sportowych były „skaczki”, czyli gonitwa końska. Jakuci aż wyli w trakcie jej trwania.

W godzinach popołudniowych imprezy towarzyszące świętu ustały i rozpoczęła się część poświęcona gastronomii i handlowi. Można było kupić wyroby ludowe, a wśród nich piękne sceny ludowe rzeźbione w kości mamuciej, ozdoby z rogów lub wypchane głowy reniferów. Do nabycia był też drewniany sprzęt użytkowy i wiele innych typowo jarmarcznych wyrobów.

Gastronomia również oferowała cały wachlarz łakoci. Szaszłyki, ciasta, alkohole (niektóre zrobione z mleka reniferowego), wszędzie też można było napić się herbaty prosto z dużego dymiącego samowara. Pod wieczór największym powodzeniem cieszył się już tylko alkohol. Pito ostro, wszyscy, wszystko ze wszystkimi. Pomimo że wszyscy mieli już dobrze w czubie, nie doszło do żadnego incydentu. W Polsce w trakcie takiej imprezy pełnokrwistci młodzieńcy zdążyliby już zapewne ze trzy razy solidnie się poturbować.

Po powrocie do mieszkania zastaliśmy stół przygotowany do kolacji. Był tak bogato zastawiony, że aż oniemiałem z wrażenia. Znając już realia tego kraju, domyśliłem się, że musiało to gospodarzy kosztować dosłownie majątek. To, co było na stole określe jednym zdaniem - nie zabrakło niczego. Gospodyni zachęca do jedzenia, mówiąc „Czym chata bogata”. - Oj, pewnie ta chata bardzo bogata - pomyślałem i częstując się tymi delikatesami, czułem się naprawdę zażenowany.

Przy kolacji poruszono temat mojej dalszej podróży. Aleksyj, bo tak było na imię

starszemu z braci i gospodarzowi zarazem, był podobnego zdania jak kierowcy z tajgi i twierdził, że o tej porze roku nie mam żadnych szans, by udać się w pożądanym przeze mnie kierunku.

- Tam tylko bagna i tajga. Tam nikt nie jeździ, bo nie ma po co. Tu w Jakucku kończy się już świat. Jeśli już musisz dostać się do Ameryki, to musisz zabrać się na jakiś statek płynący Leną na północ i dotrzeć do Morza Łaptiewów, dokładnie do portu Tiksi. Tamtędy prowadzi północny morski szlak i kursują statki, które mogą wysadzić cię na Alasce. Czas ku temu odpowiedni, gdyż północna Lena jest już od pierwszego sierpnia żeglowna - dowodził swoich racji gospodarz.

- Ja jednak spróbuję w stronę Chandygi - może mi się uda - powiedziałem, kończąc temat. Mówiąc to musiałem mieć bardzo upartą minę. Aleksyj widocznie to zauważył i dodał: - Spróbuję jutro jeszcze czegoś się dowiedzieć na ten temat - mój znajomy pracuje w tutejszym ministerstwie transportu - on będzie wiedział więcej od nas.

Byliśmy wszyscy zmęczeni nieprzespaną nocą i wrażeniami dnia, dlatego zgodnie przyznaliśmy, że czas udać się na odpoczynek. Ponieważ wielkość mieszkania była ograniczona, ja ułożyłem się zadowolony do snu w samochodzie.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu gospodarz zatelefonował do znajomego z ministerstwa transportu. Rozmawiali po jakucku i nie mogłem nic z rozmowy wywnioskować, lecz twarz Aleksego była jakby ekranem rozmowy. Z obrazu tego nie wynikało jednak nic dobrego dla mnie.

- Nic z tego. Możesz jedynie poczekać do zimy, to znajomy ewentualnie dołączy cię do jakiegoś transportu, jeżeli oczywiście będzie taki jechał w tamtą stronę. Doradził, żeby zapytać na lotnisku, gdyż czasami ląduje tu jakiś transportowiec z Ameryki.

To już wydawało mi się za wiele. - Transportowiec z Ameryki - powtarzałem w myślach. Cóż, będę próbował. Chcę jeszcze poczynić zakupy w mieście i ruszam w dalszą drogę.

Podziękowałem serdecznie za gościnę, wymieniliśmy adresy i wraz z gospodarzem, który miał do załatwienia jakieś sprawy, ruszyliśmy do centrum miasta. Odnaleźliśmy duży sklep, w którym było bardzo drogo, ale można tu było nabyć wszystko, czego potrzebowałem (za kilogram cukru zapłaciłem dwadzieścia dwa dolary)...

Po tych zakupach miałem słodko w ustach i czym prędzej postanowiłem opuścić miasto. W czasie przeciskania się korkami ulicznymi zauważyłem, że znacznie wzrasta temperatura wody w silniku. - Pewnie chłodnica cieknie - pomyślałem, gdyż rano sprawdzałem stan płynu i był maksymalny. Zjechałem na bok, poczekałem, aż silnik trochę ostygnie i otworzyłem korek chłodnicy. Poziom płynu okazał się maksymalny.

Sprawdzam pasek klinowy - jest w porządku. Został więc tylko termostat, który pewnie się zaciął - wnioskowałem. Wtem patrzę i oczom nie wierzę. Tam, gdzie powinien znajdować się wiatrak, jest puste miejsce, sterczą tylko krótkie kikuty. To dopiero heca, skąd ja teraz wezmę wiatrak. Miałem oczywiście części zapasowe, ale kto by brał wiatrak na rezerwę? Ponieważ godziny pracy już się skończyły, postanowiłem wyjechać za miasto, przenocować gdzieś w lesie, a rano wrócić do miasta i znaleźć jakiś warsztat, który by coś doradził. - Nie będzie tak źle - pomyślałem - jakieś śmigło się dopasuje. Podczas jazdy z normalną prędkością temperatura się normowała i trzymała w granicach dziewięćdziesięciu stopni, z chwilą gdy zwalniałem lub włączałem biegi terenowe - gwałtownie rosła. Musiałem więc za wszelką cenę usunąć tę usterkę.

Znalazłem ładne miejsce na obóz i już o godzinie siedemnastej dzień się '. dla mnie skończył. Dysponując wolnym czasem, zrobiłem krótki bilans podróży. [Za mną już jedenaście i pół tysiąca kilometrów, z tego większość po bezdrożach. Dwa miesiące w drodze. Przejechałem osiem stref czasowych i spędziłem setki 'godzin, walcząc z komarami i błotem tajgi. Gdy obecnie spisuję swoje przygody, ' korzystając z dziennika podróży, który przez cały czas skrupulatnie prowadziłem, 'wracam pamięcią do wszystkich dni spędzonych w Rosji. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że udało mi się zrobić coś, co praktycznie było niemożliwe. Wtedy siedząc nad Leną w okolicach Jakucka, tego jeszcze nie czułem. Po prostu jechałem i udawało mi się przejechać. Nie byłem świadom przygód, jakie na mnie jeszcze czekały. Nie wiedziałem nawet tego, że dnia następnego spotka mnie niecodzienne zdarzenie - spotkanie z mafią Jakucka.

Błaha, moim zdaniem, awaria samochodu okazała się dość skomplikowana, gdyż wymagała wymiany całego wiatraka chłodzącego silnik. Żadne dokręcenie czy dospawanie śmigieł nie wchodziło w rachubę, gdyż urządzenie to musiało pracować symetrycznie. Samochód marki Land - rover okazał się na tyle nietypowym pojazdem, że zdobycie takiej części jak wiatrak okazało się niemożliwe. Byłem w kilku warsztatach i u kilku mechaników „złotych rączek”, ale nigdzie nic nie wskórałem. Po całodziennych bezskutecznych poszukiwaniach stałem bezradnie na peryferiach Jakucka. Wtem zobaczyłem zbliżający się samochód niepasujący do realiów Rosji - nową toyotę land cruiser. Jadący zauważyli mnie, zawrócili i zajęchali drogę. Z toyoty wysiadło dwóch mężczyzn, ich uroda była europejska, więc wnioskowałem, iż są Rosjanami.

Sądząc po marce samochodu i wyglądzie jego właścicieli, domyśliłem się, że są to przedstawiciele miejscowej mafii.

Przybyli zapytali, czy mogą być w czymś pomocni. Wyjaśniłem przyczynę moich kłopotów, dodając, że przede mną jeszcze daleka droga i Jakuck jest ostatnim większym

skupiskiem ludzkim na mojej trasie w kierunku Ameryki. Przybyli wykazali zainteresowanie przebytą już przeze mnie trasą, stwierdzając, że nie słyszeli jeszcze, by ktoś z Europy Zachodniej dotarł tak daleko samochodem.

- Postaramy się ci pomóc - stwierdzili po chwili - a tymczasem jedź za nami.

Przyznam, że z pewnym wahaniem, ale i nadzieją ruszyłem za nowo poznanymi.

Klucząc po ulicach Jakucka, zajechaliśmy przed bramę dużego zakładu produkcyjnego, wyglądem i czystością przypominającego zachodni standard. Budowla ta kontrastowała z otaczającą ją szarością. Na widok eskortującego mnie pojazdu otworzyły się bramy silnie strzeżonego obiektu i wjechaliśmy na dziedziniec.

- Wołodia i Wiktor - tak przedstawili się gospodarze i zaprosili mnie do okazałego budynku.

Po okazywanym na każdym kroku szacunku, z jakim odnoszono się do moich znajomych, wnioskowałem, że mam do czynienia z samymi bossami. Usiedliśmy w ekskluzywnym obszernym gabinecie, gdzie zgodnie ze starorosyjskim zwyczajem poczęstowano mnie herbatą, wódką i kawiozem. Wołodia wydał kilka poleceń i po chwili zjawił się mechanik.

- Człowiek ten przyjechał z daleka, a przed nim jeszcze szmat drogi - stwierdził.

- Postaraj się, by za godzinę usunięto awarię.

Po kwadransie okazało się to, co było już wcześniej dla mnie wiadome, że sprawa jest na tyle skomplikowana, iż przeróbka nie wchodzi w rachubę i należy wymienić całe śmigło, a takie na rynku rosyjskim jest niedostępne. Jedyne, które by pasowało, znajduje się w samochodzie bossa, stwierdził mechanik.

- Proszę więc wykręcić brakującą część z mojego auta - odparł Wołodia.

Pełen niewiary w prawdziwość poleceń szefa, mechanik zabrał się do pracy i po godzinie wszystko było naprawione, a cały pojazd dodatkowo sprawdzony.

Zapanowała wręcz rodzinna atmosfera i mafiozi zaproponowali mi kilkudniowy odpoczynek w Jakucku, zapraszając jednocześnie wieczorem na bankiet, który odbędzie się w letniej rezydencji położonej nad Leną. Nie wypadało odmówić. Land - rovera wstawiono do hali fabrycznej, tymczasem ekskluzywnym samochodem odwieziono mnie do centrum miasta, gdzie ujrzałem świeżo ukończony wieżowiec stanowiący własność gospodarzy. Otrzymałem do dyspozycji świetnie urządzone mieszkanie. Wieczorem przybył po mnie kierowca, który oświadczył, że bossowie oczekują mnie już w rezydencji.

Rezydencja mafii syberyjskiej z wyglądu przypominała średniowieczny zespół zamkowy: wysoki, trzymetrowy płot, z czterema wieżyczkami wartowniczymi i kilkunastoma ludźmi ochrony osobistej. Przed bramą wjazdową ustawiono dwa czołgi z

lufami podniesionymi do góry jako symbol siły i władzy. Bezpośredni dostęp obiektu do rzeki i otaczający las stworzyły piękne miejsce do wypoczynku. Okazało się, że bankiet został wydany z okazji naszego spotkania i wszystko zostało już wcześniej przygotowane. Na stole ujrzałem potrawy i napoje, których przeciętny obywatel Rosji w życiu nie widział. Bossowie nie skrywali swojej radości, widząc moją zdumioną minę. Poznałem też trzeciego „wielkiego”, który przedstawił się jako Igor. Panowała przyjemna atmosfera, a gospodarze nie kryli już swojej profesji.

- My trzej - z dumą powiada Wiktor - „rządzimy” obszarem, który jest większy niż Europa... Jak sam widzisz, nie jesteśmy tacy straszni, jak o nas opowiadają, bo ludzie myślą nas, prawdziwych biznesmenów, z niezorganizowanymi bandamin kryminalistów. Nasza przeszłość jest podobna do przeszłości innych ludzi rządzących w tym kraju. Za czasów ZSRR byliśmy na wysokich stanowiskach państwowych, po pierestrojce jest tu rozgardiasz, a przecież ktoś musi rządzić. Nowa władza nie ma pojęcia o niczym, brak jej doświadczenia - to do niczego nie prowadzi. Majątek, jaki posiadamy, w większości dostaliśmy w prezencie od państwa, które postawiło na prywatyzację, a że jak już wspomniałem, byliśmy na „samej górze”, więc trudności nie było żadnych. Zresztą szansę były równe, bo każdy obywatel byłego ZSRR dostał „talon prywatyzacji”, na podstawie którego mógł otworzyć swój własny interes, ale i ludzie jak to ludzie, wolą żyć po staremu lub nie mają pieniędzy, więc do dzisiaj wykupujemy od nich te talony i tym samym pomnażamy majątek.

Około godziny dwudziestej drugiej, korzystając z panujących w tym rejonie „jasnych nocy”, gospodarze zaprosili mnie na przejażdżkę po Lenie. Wsiedliśmy do dwóch łodzi i popłynęliśmy w górę rzeki. Tu czekała na nas kolejna i niespodzianka: w oddalonym około trzech kilometrów, dobrze oświetlonym miejscu, zastaliśmy miniaturowy „poligon wojskowy” z różnorodnym sprzętem. Teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa zabawa. Polegała ona na strzelaniu z broni automatycznej, prowadzeniu różnych pojazdów pancernych i rzucaniu granatami.

- Tu ćwiczą czasami nasi chłopcy - powiada Igor, który, jak się okazało, był oficerem Armii Czerwonej i posiadał bogaty afgański staż...

- W tej chwili w Rosji same pieniądze już nie wystarczają, trzeba posiadać również siłę - wtedy jest spokój i równowaga. Coraz częściej spotykamy się z ludźmi z innych terenów, prowadzimy rozmowy, dochodzimy do porozumień – strzelaniny i ofiary to już przeszłość. Były ZSRR został już podzielony i nie wchodzimy sobie w drogę. Właściwie to nie wiem, dlaczego nazywają nas mafią - u was w Europie Zachodniej takich ludzi jak my nazywają biznesmenami - śmieje się Igor.

Wróciliśmy do rezydencji i gościliśmy się prawie do rana.

Ponieważ uważałem, że nie należy nadużywać gościnności zadeklarowałem chęć jak najszybszego ruszenia w dalszą drogę. Mafiozi nie oponowali, ale przed odjazdem zaprosili mnie jeszcze na pożegnalny obiad. Wynajęto na tę okazję całą restaurację, byśmy mogli czuć się swobodniej. Przy pożegnaniu Wołodia wręczył mi swoją wizytówkę i powiada:

- Gdziekolwiek znajdziesz się na terenie Rosji i będziesz potrzebował pomocy - pokaż moją wizytówkę lub skontaktuj się ze mną osobiście. Możesz zawsze liczyć na naszą pomoc. Życzymy szczęśliwej dalszej drogi.

Pilotowany przez samochód mafii wyjeżdżam na roгатki Jakucka.

Imponującej wielkości promem, który na pokładzie pomieścił kilka dużych ciężarówek, przeprowiam się ponownie przez Lenę. Znajduję się teraz sto kilometrów w dół rzeki, licząc od miejsca ostatniej przeprawy. Po przeszłopółtoragodzinnym rejsie opuszczamy pokład promu w miejscowości Niżnyj Bestiach. Według mapy przede mną jeszcze stu pięćdziesięciokilometrowy odcinek przejezdnej podobno drogi, która zaprowadzić ma mnie do wioski Czurapcza - tam według wszystkich jest koniec świata... Odnajduję stację benzynową, o której istnieniu dowiedziałem się jeszcze w Jakucku i tankuję benzynę dosłownie do każdego wolnego naczynia i z zapasem przeszłopięciusetlitrowym ruszam piaszczystą drogą - w kierunku „końca świata”.

X

Wyobrażenie ludzi mieszkających w krajach Zachodu o Rosji jest przeważnie jedno. Jest to kraj zła, a żyją w nim ludzie mający czerwone oczy, obrzmiałe od alkoholu twarze i czyniący zło, gdzie tylko mogą. Takie skojarzenie będzie długo pozostawać w ich wyobraźni, a skłonny jestem sądzić, że zostanie na zawsze. Są nieświadomi faktu, że obraz ten jest efektem wieloletniej pracy specjalistów od psychologii, pracujących na zlecenie państw bloku politycznego przeciwnego byłemu. Niemało też w tym kierunku uczynili dziennikarze i cała reszta fotoreporterów, którzy szukając sensacji i dobrych zarobków mogli wypisywać, co chcieli. Bo to, o czym pisali było daleko za żelazną kurtyną i nikt się nie kwapił, by to osobiście sprawdzić. Czasy się zmieniły i teraz można już samemu wybrać się na Wschód i zobaczyć, jak jest w rzeczywistości. Mało kto jednak decyduje się na taką podróż, bo ludzie się boją, boją się tego, co przeczytali w gazetach. A tam jest wyraźnie napisane, że napadną nas w biały dzień i flaki nam wyprują za jednego dolara. Lepiej obejrzyć to wszystko la szklanym ekranie: zbrodniczą działalność mafii rosyjskiej, kolejki przed sklepami, żebrzących ludzi i stare bezzębne baby mówiące o biedzie. Nie znalazła się jeszcze żadna ekipa filmowa, która by pojechała do Rosji i nakręciła film o tym, że i owszem, jest biednie, ale ludzie są dobrzy i jak mogą, pomagają innym ludziom.

Film taki nie powstał z prostej przyczyny - po prostu byłby niesprzedawalny. Ludzie nie chcą znać prawdy. Prawdą jest, że w Rosji jest bieda, ale wiedza o biedzie Rest wiedzą jałową. Prawdą jest też, że mafia kontroluje gospodarkę, ale co ma do tego przeciętny obywatel? Mafia to nie Rosja, podobnie jak tłumy narkomanów na ulicach Zurychu to nie Szwajcaria. Do tej pory przejechałem po terytorium Rosji przeszło jedenaście tysięcy kilometrów. Na swojej trasie spotkałem różnych ludzi, różne kategorie społeczne i zawodowe. Przedstawiciele odmiennych kultur i narodowości, przebywałem wśród nich, jadłem z nimi z jednej miski i nierzadko piłem z nimi wódkę. Dlatego, proszę mi wierzyć, zło o którym piszą gazety i które pokazują filmy, jest celowo wyolbrzymione, a ludzie niesprawiedliwie osądzeni. Wbrew ostrzeżeniom, jakie przed wyjazdem zewsząd otrzymywałem (w tym w ambasadzie rosyjskiej) nikt na mnie nie napadł i nikt mnie nie okradł. Domniemanych bandytów nie zwabił „wrogi” samochód, pełen różnych „skarbów” ani duży, rzucający się z daleka w oczy napis, informujący o celu podróży („New York”).

Okazało się więc, że wszechobecni bandyci, którzy z rozkoszą wypruwają flaki, aby zdobyć jednego dolara, pogardzili kilkoma tysiącami dolarów, które w głuszy syberyjskiej tajgi mogłyby stać się łatwym łupem. Nawet mafia, która chętnie morduje dla przyjemności, zamiast mnie zakatrupić i doszczętnie ograbić, naprawiła mi samochód, a później przez dwa dni gościła u siebie...

Powiedzenie „Gość w dom - Bóg w dom” jest na Syberii rzeczywistością. Gdyby nie to, to nie jechałbym teraz w kierunku „końca świata” - jak sami Rosjanie nazwali obszary położone na wschód od Jakucka. I choć wiem, że za paręnaście kilometrów skończy się droga, to jestem pewien, że prędzej czy później spotkam gdzieś ludzi, którzy nie odmówią mi pomocy, gdy będę jej potrzebował. Wierzę w to mocno, bo bez tej wiary nie mógłbym dalej jechać. Wierzę też, że wezmę kiedyś gazetę, w której przeczytam artykuł mówiący o tym, że Rosja jest krajem pięknym i dziewiczym, że każdy z nas może coś dla siebie tam odkryć, że ludzie żyjący tam są biedni, ale zawsze gościnnie nas podejmą i pomocy udzielą.

„Końca świata” jeszcze nie widać, za to zauważam duże jezioro pięknie położone wśród mieszanego lasu. Ponieważ zbliża się wieczorowa pora, więc postanawiam tu spędzić jasną noc, gdyż prawdopodobnie jutrzejszy dzień będzie tym, w którym rozpocznie się dla mnie kolejny ciężki etap drogi.

Rozbiłem namiot, rozpałem ogień i odpoczywałem wśród ciszy niezmaconej żadnym dźwiękiem. W chwilę później usłyszałem rzenie koni, a później zobaczyłem cały ich tabun wylaniający się z lasu. Było ich około dwustu i szły w moim kierunku. Ponieważ byłem na trasie ich zamierzonej wędrówki, zaniepokoiły się nieznacznie, najpierw ruszyły klusem, a później już przegalopowały tuż obok mojego namiotu. Kilkaset metrów dalej uspokoiły się i skubiąc trawę, przesuwały się w znanym sobie kierunku. Wypatrywałem jakiegoś pasterza pilnującego koni, ale nikogo nie było - konie pasły się same. Rano zobaczyłem je pasące się po przeciwnej stronie jeziora.

Nad wodą było tak ślicznie i przyjemnie, że świadomie odwlekałem moment wyjazdu. W rezultacie w dalszą drogę wyruszyłem dopiero koło południa. Po paru godzinach jazdy dotarłem na skraj zalesionego zbocza. Poniżej w dolinie ukazały się jakieś zabudowania. Nie były to typowe syberyjskie chaty, lecz zbudowane z pni okrągłe budowle. Rolę dachu spełniała gruba warstwa ziemi, na której rosła wysoka trawa. Gdy znalazłem się obok nich, przyjrzałem się im uważnie. Budynki te zbudowane były bardzo solidnie. Gdy je stawiano, zadbano, by były odporne na wiatr i utrzymywały ciepło. Ściany pomiędzy pniami były ocieplone dodatkowo warstwami plecionej trzciny, a wewnątrz opatrzone skórami zwierzęcymi, sierścią do ściany. W osiedlu znajdowało się kilkanaście takich domów. Na powitanie wyszli mieszkańcy - najpierw starzy mężczyźni, potem kobiety, nieśmiało i ciche stanęły z boku i oczekiwały, aż mężczyźni skończą powitanie, a obok piskliwa gromadka dobrze z wyglądu odżywionych dzieci. Mieszkańcy bardzo słabo mówili językiem rosyjskim - byli to Jakuci. Jeden z mężczyzn zaprosił mnie do środka.

Wewnątrz panowała grobowa ciemność. Poczułem ostry przenikliwy zapach zjełczałego tłuszczu. Za nami do chaty weszła gromadka ludzi. Powoli wzrok przyzwyczaił się do otoczenia, ale tylko na tyle, że mogłem odróżniać postacie ludzkie, nie widząc dokładnie ich twarze. W pierwszej chwili chciałem opuścić tę tłustą norę, gdzie kilkanaście płuc walczyło o resztki tlenu pozostałego w cuchnącym amoniakalnym powietrzu. Nie mogłem jednak tego zrobić, gdyż byłaby to śmiertelna obraza gospodarza. Jedno, co mogłem, to dać do zrozumienia, że bardzo mi spieszo w dalszą drogę. Dowiedziałem się, że to osiedle należy do jakiegoś kołchozu zajmującego się hodowlą koni. Zapytałem, czy konie widziane przeze mnie poprzedniego dnia należą do nich. Odpowiedzieli, że tak, a na pytanie dlaczego ich nikt nie pilnował, wszyscy wybuchli śmiechem. - Pilnować koni? Kto by tam pilnował koni. One mądrzejsze od ludzi i jak się najedzą do woli, to same powrócą do wioski. By jakoś w miarę szybko się stąd wydostać, opowiedziałem w skrócie o tym, jak się tu dostałem i zaproponowałem, że pokażę im swój samochód.

Wyszliśmy wszyscy w oślepiające słońce dnia i dopiero teraz zauważyłem, że w chacie byli tylko mężczyźni. Po zademonstrowaniu samochodu wytłumaczyłem, że czas mi ruszać w drogę i zapytałem, w jakim kierunku się udać, by dojechać do i Chandygi. Do Chandygi? To będzie ciężka sprawa. Codziennie ziemia bardziej taje i niedługo cała okolica będzie jednym bagnem. Nawet zimą tędy się nie jeździ, kto chce się tam dostać, to jedzie po zamarznętej rzece. - Po jakiej rzece? - zapytałem z zainteresowaniem. - Po Ałdanie - odpowiedzieli. Zapytałem, gdzie znajdują się zimniki prowadzące w tamtym kierunku, które wyraźnie były zaznaczone na mapie, odpowiedzi usłyszałem, że to można stwierdzić dopiero w zimie, gdy przejdzie pierwszy odważny i oznaczy drogę, po której pojedą następni. Dowiedziałem się jednak, że następna osada w tym kierunku znajduje się w odległości około dwustu pięćdziesięciu kilometrów i widoczny jest zarys traktu biegnącego w tamtą stronę.

Osada nosiła nazwę Borobuł. Nie spodziewałem się po drodze drogowskazów, ale nazwę zapisałem. Przestrzeżono mnie, że trakt nie jest zbyt uczęszczany ze względu na błoto. Jakuci jeszcze chwilę dyskutowali w zrozumiałym tylko dla nich języku, po czym jeden z nich zaproponował mi jedną chatę, abym mógł zaczekać do zimy. Wyznam, że rozczulili mnie tym gestem, ale pomimo ich ostrzeżeń o tym, że mogę pozostać na zawsze w tajdze, pożegnałem mieszkańców wioski i ruszyłem w parującą otchłań lasu.

Mozolnie posuwałem się teraz przez gęstą tajgę. Ogromne masy martwych gałęzi i powalonych drzew bardzo utrudniały mi jazdę. Była już noc, mimo to dookoła panowała jasność. Dotarłem teraz do trudnego do przebycia obszaru o niesamowitym, martwym

krajobrazie. Posuwałem się jednak do przodu i to było najważniejsze.

Następnego dnia parę godzin straciłem na to, by wyciągnąć samochód z błota, które okazało się nie tyle błotem, co tłustą gliną. Land - rover zassał się w niej i nie sposób było go ruszyć nawet wyciągarką. Zaczepiana lina wyciągarki po prostu łamała wątłe modrzewie, a efekt był taki, że je przyciągała do samochodu. Kilka godzin pracy łopata sprawiło, że na dłoniach pojawiły się bąble. Bąble i krew pokryły również całą twarz, gdyż podczas pracy byłem jadłodajnią dla setek głodnych komarów. Teraz też dopiero w tej głuszy przypomniałem sobie, że mam niesprawny lewar, który byłby bardzo pomocny.

Po wielkich trudach udało mi się wreszcie wyjechać, ale jak pech to pech - parę kilometrów dalej znów się zakopałem. Pomimo że teren był położony nieco wyżej, podłoże było błotniste i przemieszczałem się z trudem. Dzielne osiągi nie przekraczały nawet trzydziestu kilometrów, ale co najważniejsze - posuwałem się do przodu.

Jakucja zimą to piekło, lecz nie ogniste - to piekło zimna. Latem natomiast jest piekłem, w którym diabły ryczą: upałem, błotem i komarami. Jakuci mieli rację, twierdząc, że z dnia na dzień przybywa w tajdze błota i wody, dosłownie z każdą chwilą było gorzej.

Straciłem całkowicie orientację i często wydawało mi się, że jadę w przeciwnym kierunku. Przestałem już wierzyć kompasowi, który, jak mi się wydawało, popsuł się i wskazywał nieodpowiedni kierunek. Trakt, który zdaniem Jakutów miał być widoczny, dawno już się rozmył, początkowo pojawiał się jeszcze gdzieś, ale od kilku dni nie widziałem go już ani razu.

Nastąpiły chwile załamania. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze ujrzę drogę, a później w chwilach ciężkiej depresji myślałem, że nie wydostanę się stąd już nigdy. Czyniłem sobie wyrzuty, że chciałem być mądrzejszy od Jakutów, którzy tu się urodzili i przewidzieli wszystko, co teraz się stało. Zrozumiałem wtedy, że aby się ratować, trzeba znaleźć drogę do cywilizowanego świata i to prędko. Przez chwilę pomyślałem, że rozsądnie będzie jak wrócę po własnych śladach, ale zaraz uświadomiłem sobie, że droga jest już odcięta. Byłem w tej głuszy już około tygodnia, a panująca tropikalna temperatura sprawiła zapewne, że za sobą miałem już tylko jedno wielkie bagno. Obsesyjnie przeglądałem mapę, starając się odtworzyć marszrutę, ale nie znalazłem na niej nawet osiedla zamieszkanego przez życzliwych Jakutów. Kalkulowałem, co robić dalej i po długich rozmyślaniach - eureka!!!. Skoro zmiany klimatyczne na tym terenie są tak duże, odczuwalne po paru set kilometrach, pozostało mi pojechać tam, gdzie jest chłodniej. A chłodniej na pewno było na północy. Nadzieja wstąpiła we mnie i momentalnie powróciły siły. Szkoda każdej godziny - na północ!!! Łatwiej jest uwierzyć w szaleństwo niż rozum,

kiedy człowiek jest zmęczony i przygnębiony.

Przyroda sprawiła, że nie zawsze mogłem podążać w kierunku Gwiazdy Polarnej, ale gdy tylko warunki były sprzyjające, posuwałem się na północ. Prowadziłem teraz bardzo nieskomplikowany tryb życia, polegający na wyciąganiu samochodu z błota. Po kilku następnych dniach stałem się prawdziwym profesjonalistą. Za śmieszne już uważałem, gdy samochód osiadł na podwoziu, a koła miały błoto. Taka operacja trwała najdłużej pół godziny. Problem się rozpoczynał dopiero wtedy, gdy trzeba było oknem wychodzić, by stwierdzić, jak bardzo się pojazd zapadł. W chwilach dobrego humoru planowałem, że po powrocie otworzę prywatną firmę zajmującą się wyciąganiem samochodów z błota. Na firmowym zaś samochodzie umieszczę reklamę „wyciągam z bagna”...

To nieważne, że skóra pokryta bąblami i opuchnięta, że twarz koloru czarnego od zakrzepłej krwi - ale jadę na północ, a jak się samochód popsuje, to pójdę pieszo! Przełom w psychice już nastąpił i pogodziłem się z tym, że komary i bagna stały się nieodłącznymi składnikami życia. Bałem się tylko, by się do tego nie przyzwyczaić, bo przyzwyczajenie to koniec. Dlatego topią się przeważnie najlepsi pływacy, giną najlepsi lotnicy i spadają w przepaść najlepsi alpiniści.

Jechałem wpatrzonej w przestrzeń, kiedy nagle uciekła mi ziemia sprzed ; samochodu... Odruchowo nacisnąłem hamulec i samochód zatrzymał się gwałtownie. Rozejrzałem się dokładnie i stwierdziłem, że stanąłem na skraju niewysokiej skarpy, a przede mną rozpościerał się widok na płynącą w dole szeroką rzekę. Więc istnieje jeszcze inny świat niż błoto!

W pierwszym momencie tak się ucieszyłem, że wyskoczyłem z samochodu skakałem jak opętany. Dopiero po chwili, gdy rozejrzałem się wokół, radość moja przygasła.

Rzeka była wielka i miała co najmniej dwa kilometry szerokości. Po przeciwnej stronie tajga, na prawo - tajga, na lewo - tajga, a środkiem płynie rzeka. Zupełnie jak piosence, ale gdy pierwsze emocje opadły, nie miałem już ochoty na śpiew. Dotarło do mnie, że tym razem ekspedycja moja zakończyła się na dobre. Czy dowiem się chociaż, nad jaką rzeką zimowałem? - przemknęło mi przez myśl.

Biegiem ruszyłem po mapę. Niestety, niewiele się z niej dowiedziałem. Rzek F okolicy było kilka i nad każdą mogłem się znajdować. Mogła to być Tamma, mogła być Amga lub Aldan, a może to Lena? - wszystko było możliwe. A najpewniejsze tego było to, że długo tu zostanę... Zdałem sobie również sprawę, że choćbym się cudem przeprawił się na drugą stronę, to czeka mnie tam to, co miałem za sobą; bagna, tajga i komary.

Rozejrzałem się po najbliższym otoczeniu.

Miejsce na obóz idealne. Rzeka, w której płynęła przezroczysta woda, piaszczysty zeg i tajga. Nieopodal jakiś niewielki strumień wpadał w nurt wielkiej wody i miejsce i upodobało sobie ptactwo wodne. Nie zginę - pomyślałem. Rzeka da mi wodę i ryby, tajga budulec i opał. Pomyślałem też o posiadanych zapasach i ucieszyłem się w tym momencie, że robiąc zakupy w Jakucku, dokupiłem dwa kilogramy soli...

Nie byłbym jednak sobą, gdybym dał tak łatwo za wygraną. Uwagę moją przykuła teraz rzeka. Jest wielka, więc na pewno żeglowna, od czasu do czasu musi coś nią płynąć. Emocje nieco przygasły, kiedy przyjrzałem się brzegom. Były zbyt płytkie, by aby do nich podpłynąć jakiś statek. Może udałoby się to jakiejś płaskodennej barce, tle powstałby kolejny problem - jak dostać się na jej pokład?

Tak czy inaczej rzeka była nadzieją, co prawda wątplą, ale nadzieją.

Na Syberii wszystko się może człowiekowi przydarzyć i trzeba być zawsze przygotowanym na różne niespodzianki, które trzyma w zanadru przyroda. Pojawił się nowy nieznany mi prześladowca, o którym co prawda już wcześniej słyszałem, dotychczas go nie widziałem. Stało się to niespodziewanie.

Wykonywałem jakąś czynność, przy której się spociłem. Później dopiero odkryłem, że właśnie pot był przyczyną, że napadły mnie dziwne olbrzymie muchy, które wielkością dorównywały trzmielom. Nadleciały niespodziewanie, atakując każdej strony. Nie sposób było przed nimi się obronić. Napadły gromadnie i kęsały bardzo boleśnie. Komary okazały się przy nich niczym. Zarówno komarom, jak i tym muchom, których nazwy nie znam do dzisiaj, chodziło przede wszystkim o to, by krwią zaspokoić swój apetyt. Technika pozyskiwania pożywienia przez te owady znacznie się różniła, np. komary mają żądelko, przez które wstrzykują coś w rodzaju rozpuszczalnika, który ma za zadanie rozcieńczyć krew za gęstą dla ich otworu gębowego. To właśnie wówczas odczuwamy pieczenie i automatycznie zabijamy owada. „Rozpuszczalnik” zatem zostaje w naszym ciele, gdyż denat nie zdążył go wyssać i powstaje bąbel. Gdybyśmy natomiast pozwolili komarowi napić się do woli, a co za tym idzie, wyssać rozpuszczoną już krew, to po ukąszeniu prawie nie byłoby śladu.

Jakuckie muchy zwane przez miejscowych paut mają mniej skomplikowany sposób na to, by dostać się do słodkiej, czerwonej cieczy. By się do niej dostać po prostu wygryzają skórę.

Później, kiedy już przywykłem do obecności tych stworzeń, z nudów i ciekawości przeprowadzałem z potworami różne doświadczenia. Zauważyłem, że są do tego stopnia „inteligentne”, że wybierają najbardziej ukrwione miejsca. Mają jednak te muszyska jedną

niewątpliwie słabą stroną. Są bardzo wolne w locie. Z pojedynczym osobnikiem poradzi sobie już kilkuletnie dziecko, gdyż z daleka go widać i słyhać.

Wystarczy wówczas trzepnąć go otwartą, dłonią i zgnieść butem. Sprawa staje się jednak beznadziejna, gdy zaatakują gromadą. Są bardzo żywotne, zawzięte i nie dają łatwo za wygraną. Uderzona mucha nawet gdy spadnie na ziemię, momentalnie podrywa się do lotu i atakuje powtórnie. Parę dni później przekonałem się, jak bardzo są wytrwałe i żywotne. Zaatakowały mnie w liczbie kilkunastu. Opędzając się bezskutecznie, wymachiwałem rękoma jak opętany, a skutek był taki, że jeszcze bardziej się pocilem, a much coraz więcej przybywało. Dałem więc za wygraną salwowałem się ucieczką do wody. Na niewiele to się zdało, gdyż byłem zanurzony tylko po szyję, krwiożercze muchy o tym wiedziały i atakowały teraz moją twarz.

Wpadłem wówczas w furję i łapałem je pojedynczo, wciskając pod wodę. Okazało się jednak, że silne te owady wypływały na powierzchnię i jak gdyby nic z powierzchni wody zrywały się do lotu. Dopiero po chwili traciły zapach i wszystkie odleciały. Od tego czasu uważałem, by przy wykonywaniu jakiegokolwiek czynności po prostu się nie spocić, co nie było łatwe, gdyż w czasie dnia panowały tropikalne upały.

Minęło już ładnych parę godzin od czasu, kiedy znalazłem się nad rzeką. Dookoła cisza, tylko od czasu do czasu odzywa się kukułka. Na rzece spokój, zaczynam już wątpić, że coś w ogóle tędy pływa. Wsłuchuję się, by wyłowić jakiś dźwięk czy odgłos silnika, ale słyhać tylko szum drzew i płynącą wodę.

Rajskie więzienie - pomyślałem. Nie mogę beczynnienie siedzieć. Coś trzeba zrobić, rzeczywiście zapowiada się na to, że zostanę tu do zimy. Gdzie jestem i co to za rzeka - dręczyło mnie najbardziej. Biorąc pod uwagę kierunek północny i kierunek, jakim płynęła rzeka, wnioskowałem, że znajduję się na jej lewym brzegu, więc musiała to być Amga lub Aldan. Z kolei wydawało mi się nieprawdopodobne, by Amga mogła być tak szeroka. Ale na Syberii wszystko jest możliwe.

Żeby nie wiedzieć nawet, jaka rzeka! - wracała wciąż myśl - tego było już za dużo.

Postanowiłem działać. Pójdę pieszo. Prędzej czy później dotrę do jakiejś wsi i dowiem się przynajmniej, gdzie się znajduję. Postanowiłem wyruszyć natychmiast, bo cóż za różnica, teraz czy jutro i tak nie spodziewałem się, że odnajdę siedlisko ludzkie za pierwszym zakrętem rzeki.

Powstał teraz kolejny dylemat, w którą stronę się udać? Po krótkim namyśle zdecydowałem, że pójdę w górę rzeki. W sumie nie wiedziałem, czy prędzej dojdę i do celu idąc w tę stronę, ale wydawało mi się to rozsądniejsze, gdyż gdybym w ciągu tygodnia nigdzie nie dotarł, to łatwiej będzie mi powrócić do obozu z prądem rzeki chociażby na

jakimś pniu.

Przygotowania do wymarszu trwały dziesięć minut. Zabrałem ze sobą plecak, do którego włożyłem pałatkę wojskową mającą mi służyć za przykrycie i kawałek gazy higienicznej, która stanowić miała ochronę twarzy przed komarami. Prócz tego Umieściło się parę konserw, bochenek chleba, nóż, sól, zapalki i żyłka z haczykami. Spojrzałem na stojącego na skarpie land - rovera i powiedziałem do kupy żelastwa: Nie bój się, wrócę...

Szedłem teraz brzegiem rzeki, wdychając świeże chłodne powietrze i czułem, jak piasek ugina się pod ciężarem mojego ciała. Patrzyłem na cień biegnący samotnie przede mną. Lecz cień mój nie połączył się z innym cieniem... Byłem tylko ja sam nad rzeką podążający w milczeniu na spotkanie z innym cieniem...

Co jakiś czas oglądałem się za siebie i widziałem land - rovera stojącego jak pomnik na wzniesieniu. Z każdym przebytym kilometrem stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie się wtopił w ciemną linię brzegową.

Pierwszy raz w życiu znalazłem się sam na takim pustkowiu i szedłem po ziemi, która prawdopodobnie nie dźwigała jeszcze ciężaru człowieka. To niesamowite i uczucie. Uczucie wolności i siły. Nie jestem na tyle zdolny, by to opisać i wątpię, f by komuś to się udało. To trzeba przeżyć, inaczej nie można, gdyż każdy opis zniekształciłby tylko ten obraz. Zdawałem sobie sprawę, że jest to uczucie chwilowe i później znów powrócę na ten świat, ale w tym momencie byłbym bardzo niemile rozczarowany, gdybym spotkał na tym odludziu drugiego człowieka... Natura ludzka ma to do siebie, że człowiek nigdy do końca nie wie, czego naprawdę chce i dlatego popada w skrajności. Chyba rację mają ci, co mówią, że szczęściem jest tylko droga do sukcesu. Szczęście się kończy, kiedy dopnie się celu. Wystarczy popatrzeć na ludzi, którzy stanęli u szczytu sławy. Niewielu naprawdę z nich wie, co to szczęście. Wśród obdartych brudnych, wygłodzonych włóczęgów prędzej znajdziesz szczęśliwych niż wśród gwiazd ekranu lub ministrów. Częściej też zdarzają się samobójstwa wśród sław niż wśród śmieciarzy...

Słońce już się rozlało. Niebo i woda były tego samego koloru. Tylko tajga kontrastowała swą czernią i grubą linią przecinała wszechobecną intensywną czerwień.

Spojrzałem na zegarek, dochodziła druga w nocy. Na próżno mi dzisiaj czekać ciemności, ta już w najbliższym czasie nie zapadnie. Noce były jasne jak dni. Znalazłem nieopodal brzegu dogodne miejsce na nocleg i rezygnując ze zjedzenia kolacji, zmęczony położyłem się na trawie. Zасыpiając, słyszałem jeszcze kukulkę i ryby rzucające się co jakiś czas w wodzie.

Pomimo że twarz zakryłem gazą, to jednak podczas snu musiałem odruchowo ją zrzucić, a efektem było to, że dobrały się do mnie komary. Twarz miałem opuchniętą, a

miejsca ukąszeń bardzo mnie swędziały.

Wędrując dalej, co kilkaset metrów opłukiwałem rozpaloną twarz zimną wodą i postanowiłem, że choć będzie trwało to godzinę, to przed kolejnym noclegiem dokładniej się przed tymi wampirami zabezpieczę. Parokrotnie zaatakowały mnie jakuckie muchy, w rezultacie zwolniłem tempo marszu, by się nie pocić. Na obiad zjadłem jedną konserwę i popiłem wodą z rzeki. Później doszedłem do wniosku, że postąpiłem nierozsądnie, zjadając zawartość puszki, gdyż konserwy miały stanowić żelazny zapas żywności. Postanowiłem na następnym postoju nałapać ryb i nimi się odżywiać.

Szedłem dalej piaszczystym brzegiem tuż przy samej wodzie, czasami tylko wchodziłem w tajgę, by ominąć jakąś stromą skarpę opadającą pionowo do wody. Forsowałem strumienie wpadające do rzeki. Jeden okazał się na tyle szeroki i głęboki, że musiałem go przepłynąć. Pod wieczór zachmurzyło się i zaczął najpierw siąpić deszczyk, który po jakimś czasie przerodził się w ulewę. Rozwiesiłem między drzewami pałatkę i schroniłem się pod nią.

Po godzinie się przejaśniło i przestało padać. Zrobiło mi się zimno, ponieważ po ostatniej przeprawie przez rzeczkę ubranie nie zdążyło jeszcze na mnie wyschnąć. Nie pozostało nic innego, jak rozpalić ogień i wysuszyć odzież. Ponieważ wokół drzew znajdowało się wiele drewna na opał, zgromadziłem stos, podłożyłem suchy mech i małe gałązki i podpaliłem to zapałkami. Lekki wiatr pobudził do życia ognisko i pojawił się pierwszy dym. Stając pod wiatr, wpatrywałem się w słup dymu unoszący się między gałęziami i niknący w wierzchołkach drzew. Zmoczony deszczem drewno syczało i skwierczało w ogniu. Gałęzie paliły się powoli, a ponieważ ziemia pod nimi też zaczęła tajać, dodając swą wilgoć do ognia, więc gigantyczny słup dymu spiralnym ruchem unosił się do nieba. Podeszedłem jak tylko mogłem najbliżej i w ciepłe płomienie suszyłem ubranie. Po jakimś czasie byłem już suchy.

Ulewa sprawiła, że pozostał chłód i nawet komary się nie pojawiły. Płomienie już przygasły, ale czerwony gorący żar mógł utrzymać się jeszcze bardzo długo i perspektywa spania w przyjemnym ciepłe była ogromnie zachęcająca. Pomny jednak wczorajszej nocy i skutków pozostałych po odwiedzinach komarów, starannie przygotowałem się do jej spędzenia. Wyszukałem kilka odpowiednich gałązek, powiązałem je żyłką ze sobą i powstało coś na wzór kwadratowego szkieletu. Naciągnąłem na to podkoszulkę, a do frontowej części przymocowałem gazę. Dziwną tę konstrukcję nałożyłem na głowę i stwierdziłem, że zabezpieczenie jest gotowe.

Szyję obwiązałem rękawem od kurtki i w tym momencie stałem się niedostępny dla komarów.

Wczesnym rankiem, kiedy się obudziłem, miałem przed oczyma czarną zasłonę utworzoną przez siedzące na gazie komary. - „Dzisiaj jadalnia jest zamknięta - bardzo państwa przepraszamy...”

Śniadanie stanowiła kromka suchego chleba, którą jadłem, idąc skąpanym w porannym słońcu brzegiem. Zapomniałem na śmierć o jakuckich muchach, które pokazały naprawdę, co potrafią - przygodę tę już opisałem. Do dzisiaj je widzę, jak zrywają się do lotu dosłownie spod wody - brrr. Byłem głodny, ale postanowiłem przetrzymać głód do wieczora, gdyż wędkowanie o tej porze dnia wydawało mi się bezcelowe, było po prostu za gorąco. Maszerując, często zażywałem zbawczej chłodzącej kąpieli. Zdejmowałem tylko plecak i w ubraniu wskakiwałem do wody. Miało to dobre strony, gdyż ubranie długo chłodziło ciało.

By sobie urozmaicić czas samotnej wędrówki, śpiewałem na głos wszystkie znane mi piosenki. W chwilę później coś innego zajęło moją uwagę. Ujrzałem jakiegoś ptaka, zajętego bez reszty patrolowaniem powierzchni wody. Ptak miał pokaźne rozmiary i był podobny do jastrzębia. Raz leciał tuż nad powierzchnią wody, innym razem szybował wysoko do góry. Czasami machając intensywniej skrzydłami, zawisał w miejscu, po czym zwijał skrzydła i jak kula spadał do wody. Po chwili wrzeszcząc głośno z uciechy leciał w stronę brzegu, a w szponach za każdym razem trzymał rybę. Znikał ze swoją zdobyczą gdzieś między drzewami i po chwili pojawiał się znów i zaczynał wszystko od początku. Z takim zainteresowaniem przyglądałem się jego łowom, że nawet nie spostrzegłem, że od dłuższego czasu stoję w miejscu. Czuję jakąś dziwną sympatię do nieznanego mi ptaka, a los ryb był mi w tym momencie obojętny...

Okolo południa wyłowilem dźwięk nienależący do otoczenia. Coś płynęło po rzece. Dźwięk stawał się coraz intensywniejszy i pochodził z kierunku, w którym się udawałem. Należał do jakiejś dużej jednostki, gdyż w panującej ciszy wyraźnie już było słycać niskie dudnienie silników. Wypłynął wreszcie zza zakrętu. W oknach odbijało się słońce. Po sylwetce poznałem, że to masowiec lub tankowiec. Rósł szybko w oczach i widziałem wszystko coraz wyraźniej. Stałem i patrzyłem jak oniemiały. Pomalowany niegustownie w pstrokate intensywne kolory tworzył dysonans z otoczeniem.

Po wodzie płynęła część cywilizacji... Och, jak przytulnie musi być w kabinach...

Odruchowo wyciągnąłem z plecaka kurtkę i założyłem ją. Kurtka była czerwona i na pewno kontrastowała z otoczeniem. Stałem przy samym brzegu, aby być widoczny z daleka. Wiedziałem, że nie miałem żadnej możliwości kontaktu z płynącymi, ale chciałem przynajmniej, by mnie zauważyli. Gdy podpłynął bliżej, zauważyłem, że to statek pełnomorski przystosowany do przewozu paliw. Na pokładzie wyraźnie było już widać

gęstwinę rur i różnych zaworów. Sądząc po zanurzeniu, płynął pusty. Ze smutkiem stwierdziłem, że nawet gdyby płynął w moim kierunku i posiadał dźwig, i tak nie mógłby zabrać mnie na pokład, ponieważ między urządzeniami zajmującymi cały pokład nie było wolnego miejsca. Zauważył mnie sternik i wyszedł na mostek. Przyglądał mi się przez lornetkę. Pomachałem mu ręką. Wszedł do środka i za chwilę powietrze rozdarł przeciągły ryk syreny. Syrena istniała, a echo długo jeszcze dźwięk podtrzymywało.

Na pokładzie pojawili się ludzie. Pozdrowilem przepływających machaniem ręki, i oni do mnie też machali. Statek płynąc z prądem rzeki, oddalał się bardzo szybko, iż wreszcie zniknął za zakrętem. Widok oddalającego się statku sprawił, że zrobiło mi się bardzo smutno i wtedy dopiero tak naprawdę zatęskniłem za ludźmi. Zostałem snów sam na sam z dziką przyrodą, nie wiedząc nawet, gdzie się znajduję.

Od kiedy opuściłem obóz, otaczający mnie krajobraz pozostał właściwie jednolity. Przecinająca bezkresy lasu syberyjskiego szeroka wstęga rzeki; piaszczysty, a miejscami kamienisty lub trawiasty brzeg - to było wszystko, co widziałem. Traciłem już wiarę v sens tej wyprawy. Czy ja kiedykolwiek dokądś dotrę? - nachodziły mnie różne myśli i chwilowe wątplenia. Po czasie jednak wszystko wracało do normy i wówczas obilem sobie wyrzuty, że jestem kapryśny i rozczulam się nad sobą.

Słońce już od dawna nie zniknęło za horyzontem i można było je obserwować przez całą dobę. Teraz rozlało się czerwienią na niebie, co było dla mnie znakiem, że jest już późny wieczór. Całodzienna wędrówka sprawiła, że byłem tak zmęczony, że zasnąłbym, gdybym tylko przysiadł na kamieniu. Cały dzień nic też nie jadłem, opijając tylko wodę z rzeki. Głód wykręcał mi teraz wnętrzności i o jednym wyłącznie myślałem - by się najeść do syta. Korciło mnie bardzo, by zjeść jedną z pozostałych czterech konserw, ale z bólem wytłumaczyłem sobie, że w tej dzicy wszystko jest możliwe i może się tak zdarzyć, że znajdę się gdzieś, gdzie nie będzie możliwości zdobycia pożywienia i wówczas, kto wie, może ten zapas decydować o życiu.

Aby zaspokoić chociaż trochę głód, ułamałem sobie kawałek chleba i trzymając kęs po kęsie długo w ustach, montowałem w tym czasie prowizoryczną wędkę. ponieważ byłem już zbyt zmęczony, by biegać po tajdze i nożem wydlubywać robaki z ziemi, za przynętę służyły mi kuleczki chleba.

Łowienie ryb w wodach Syberii nie należy do przyjemności, ponieważ liczba ryb gotowych chwycić pusty haczyk jest tak duża, że pozbawia wędkarza przyjemności wpatrywania się w spławik i oczekiwania. Nikt zresztą w tych stronach nie bawi się w wędkowanie - wszędzie odławiano ryby sieciami. Od wieków było to na porządku dziennym i w każdym okresie istnienia tego państwa stanowiło podstawę wyżywienia

mieszkających na tym terenie ludzi. Istnieje jednak przepis, który nie normuje co prawda ilości odłowionych ryb, ale ogranicza długość posiadanej przez obywatela sieci do piętnastu metrów. Ma się rozumieć, że jest to tylko przepis...

Przez pół godziny nałapałem tyle ryb, że wystarczyłoby do nakarmienia drużyny harcerskiej. Nie wszystkie były mi znane i te natychmiast po wyciągnięciu odczepiałem zwracając rzece. Niektóre z nich były wręcz odrażające, aż strach było je uwalniać z haka. Czerwone z brunatnymi plamami, nie miały łuski, a w paszczy kilka rzędów ostrych jak igły zębów.

Patroszenie zajęło mi około godziny. Osoliłem całe „towarzystwo”, rozpałiłem ogień i piekłem kolejno nad żarzącym się drewnem. Gdy najadłem się do syta, pozostałe jeszcze nieupieczone ryby, nadziałem na patyki, po kilka sztuk na jeden i pozostawiłem nad dogasającym żarem ogniska, aby się same już dopiekły. Pamiętając o zabezpieczeniu przed komarami, ułożyłem się do snu. Musiałem spać twardo, gdyż po przebudzeniu stwierdziłem, że w czasie snu pomimo panujących na dworze jasności pojawił się jakiś rabuś i wykradł mi wszystkie upieczone już pewnie ryby. Nie jestem na tyle wytrawnym myśliwym, by po śladach poznać „złodzieja”, ale zwierzę musiało być bardzo sprytne, gdyż w wiadomy sobie tylko sposób zdołało ściągnąć zdobycz znad gorącego jeszcze rankiem popiołu. Bezsprzeczne jest, że kradzież ta należała do zuchwałych...

Komary uniemożliwiają mi poranne zabiegi higieniczne i fizjologiczne, więc ruszam w dalszą wędrówkę, zabiegi wykonam później w bardziej dogodnym miejscu, wolnym od owadów.

Maszeruję teraz i rozmyślam o wszystkim: o podróży, o statku, który pomknął w dół rzeki, o tajdze, o słynnych syberyjskich gułagach. Te ostatnie swego czasu były wręcz wtopione w ten cudowny krajobraz... Nasuwa się pytanie: za co ludzi skazywano? Za politykę, kradzież, bandytyzm?

Pewnego razu kierowcy napotkani w tajdze opowiadali mi o swojej pracy za czasów ZSRR. Wynikało z tego, że jeszcze przed trzema laty w kraju, w którym się obecnie znajdowałem, aby dostać się do więzienia, wystarczyło być pechowym kierowcą, któremu dwa razy pod rząd silnik zatarł się gdzieś w tajdze. Paragraf - sabotaż gospodarczy. W najszczęśliwszym dla pechowca wypadku kończyło się to trzyletnim wyrokiem. Następnym razem delikwent był już tak ostrożny, że nie zgłaszał nawet przepalonych żarówek, za którą mógł oberwać jeszcze raz tyle.

Na dalekiej Syberii bardzo trudno jest spotkać kogoś, kto nie był jeszcze skazany. Słowa: wzięto go, wsadzono, siedzi, wypuszczono padają w rozmowach na co dzień i nie robią na nikim wrażenia, a więzienie w Rosji długo jeszcze nie będzie żadnym wstydem.

Na wsi syberyjskiej nie dostrzeżesz żadnej budowli sakralnej np. cerkwi, natomiast w każdej najmniejszej osadzie odnajdziesz bez trudu komisariat i placówkę KGB. Ktoś powie - nieprawda, teraz jest już demokracja - owszem jest, ale widoczna tylko na zachód od Uralu. Zmiany, które nastąpiły po upadku ZSRR, nie dotarły jeszcze na syberyjską wieś i długo tam nie dotrą. Pokrzyżować sobie można tłumnie w Moskwie czy Sankt Petersburgu, ale niech ktoś tylko spróbuje coś głośniejsze powiedzieć w jakiejś małej zagubionej miejscowości...

Dzisiaj głodny żołądek zmusił mnie wcześniej do łowienia ryb. Gdy złapałem już tyle, by najeść się do syta, natychmiast je upiekłem i po jedzeniu powędrowałem dalej. Zatrzymywałem się jednak często, uważnie nasłuchując, ponieważ za każdym razem wydawało mi się, że coś słyszę. Nie wyławiałem jednak żadnego dźwięku i wędrowałem dalej. Za chwilę - stop! - coś słyszę - i znów nic - tylko szum drzew i wody. Oj, niedobrze już ze mną, mam halucynacje słuchowe - pomyślałem.

Po jakimś czasie ponownie przystanąłem. Teraz już wyraźnie słyszałem. Gdzieś, ale jeszcze bardzo daleko, pływała po wodzie motorówka. Po chwili jednak wszystko ucichło i nie było już nic słychać. Stałem jeszcze chwilę, łudząc się, że coś dosłyszę, ale, niestety, nic już nie zmąciło ciszy letniego wieczoru. Świadomość tego, że nie było to złudzenie, lecz naprawdę odgłos motorówki, sprawiła, że postanowiłem dojść jeszcze do odległego zakrętu w nadziei, że zobaczę coś więcej. Wnioskowałem, że jeżeli ktoś pływa motorówką, to niedaleko musi się znajdować jakaś wioska. Przecież jeżeli w rzece ryb jest wszędzie pod dostatkiem, nie trzeba wypływać daleko na połów.

Niestety, zmęczenie wzięło górę nad zamiarami i choć bardzo chciałem iść dalej, to już ledwo powłóczyłem nogami. Również widoczny zakręt rzeki okazał się o wiele dalej niż się spodziewałem. Nie miałem już nawet siły, aby znaleźć odpowiednie miejsce do leżenia i po prostu tak jak stałem, usiadłem. Resztkami wykrzesanych sił zabezpieczyłem się jeszcze przed komarami i padłem po prostu na piasek.

Nie spałem długo, może trzy godziny, niemniej poczułem się na tyle silny, by pomaszerować dalej.

Około trzeciej rano zrobiło się szaro, ale już w godzinę później czuć było ciepło promieni słonecznych.

Budził się kolejny upalny dzień. Doszedłem wreszcie do zakola, a ponieważ brzeg był w tym miejscu wysoki, więc miałem świetny widok na wijącą się wśród lasu wstęgę błyszczącej w słońcu rzeki. Blask słońca odbity od wody uniemożliwiał jednak zobaczenie czegokolwiek. Nie chcąc stracić tak dobrego punktu obserwacyjnego, postanowiłem, że odpocznę w tym miejscu i poczekam, aż słońce na niebie trochę się przesunie.

Momentalnie zrobiłem się bardzo głodny, ale na ryby nie miałem już ochoty. Trochę się wahałem, zanim wyjąłem z plecaka konserwę, ale gdy już ją otwierałem, to przekonałem sam siebie, że jeszcze pozostały trzy i ta jedna i tak w sumie nie przedłuży mi życia...

Najedzony i pełen nadziei siedziałem na urwisku, a roztaczająca się z tego miejsca śliczna panorama ładowała moje wyczerpane akumulatory. Czułem dosłownie, jak wstępują we mnie nowe siły.

Po jakimś czasie zmienił się kąt padania promieni słonecznych, woda już nie oślepiła i widać było dalszy odcinek rzeki. Lustrowałem z góry okolicę, aż wreszcie dojrzałem coś, co nie pasowało do monotonnego krajobrazu. Zerwałem się na równe nogi i długo wpatrywałem się w niewielki punkt, a po chwili rozpoznałem w nim stojący przy brzegu statek. Stał po stronie, na której się obecnie znajdowałem. Bojąc się, by przypadkiem nie odpłynął, bezzwłocznie ruszyłem w jego kierunku.

Szedłem tak szybko jak tylko mogłem, zapominając o przeklętych jakuckich muchach, które po chwili już mnie osaczyły. By pozbyć się woni potu i tym samym nie wabić wroga, bez namysłu, tak jak stałem, wskoczyłem do wody. Nurt jak na złość okazał się tutaj głęboki i prąd porwał mnie w dół rzeki. Na szczęście po chwili znów wyszedłem na piasek, tyle że byłem o dwieście metrów dalej od celu. Muchy chwilę jeszcze mnie atakowały, później jednak widząc, że nic nie wskórają, odleciały.

Złość mnie brała straszna, ponieważ musiałem iść krokiem spacerowym, a miałem ochotę biec. Stojąca przy brzegu jednostka stawała się coraz wyraźniejsza. Gdy podszedłem jeszcze bliżej, rozpoznałem, że to coś w rodzaju pływającego domu. Na metalowej platformie pontonowej ktoś pomysłowo zamontował ściany, zostawił trochę miejsca na pokład i wszystko na całej długości pokrył dachem. Konstrukcja była wymalowana na zielono i wyglądała jak domek letniskowy z krytym tarasem. Łajba stała zacumowana niedaleko brzegu i przerzucona kładka łączyła ją z lądem. Między brzegiem a pływającym dziwadłem stały przycumowane dwie wiosłowe łodzie. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że nikogo tu nie ma, gdyż okna były zabite dechami. Jednak gdy się przyjrzałem uważniej, to stwierdziłem, że nieheblowane deski zasłaniające okno to po prostu brzydko wykonane okiennice. Stojące dwie łodzie oraz zarzucone z pokładu wędki świadczyły jednak o tym, że ktoś tu gospodarzy. Wszedłem ostrożnie na pokład i zapukałem do drzwi.

Cisza. Pukam głośniejsze i po chwili słyszę zachrypnięty głos: - Kogo diabli niosą...

- później usłyszałem jeszcze jakieś niezrozumiałe przekleństwa, drzwi się otworzyły i ujrzałem starszego mężczyznę. Spojrzał na mnie groźnie, ja pokornie na niego i nastąpiło dłuższe milczenie.

- Przepraszam bardzo, jaka to rzeka? - zapytałem. - Jakie co? - zapytał groźnie, marszcząc przy tym brwi.

- Chodzi mi o tę rzekę... Jak się nazywa? - jąkałem się.

- A skąd ty się tu wziąłeś, z Księżyca spadłeś - ryknął na mnie jak kapral na szeregowca.

Teraz we mnie się zagotowało: - Nie krzycz na mnie, ty stary ramolu! - krzyknąłem, ale zaraz się opamiętałem.

Nie czekając na jego reakcję, zacząłem opowiadać, jak się tu dostałem. Słuchał mnie z uwagą, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Zaraz tak trzeba było mówić - toś ty bradziaga. Zaprosił mnie do środka. Podszedł do okna i otworzył brzydkie okiennice. - Teraz noce jasne, a ja przy świetle nie zasnę - powiedział i zaklął przy tym szpetnie.

- Pytałeś o rzekę - to Ałdan - powiedział i popatrzył na mnie z uśmiechem.

Wpadające światło dzienne odsłoniło panujący w pomieszczeniu bałagan. - Baby nie ma to i tak wygląda - wytłumaczył nieporządek, widząc, że się dyskretnie rozglądam.

Ruchem ręki zgarnął ze stołu resztki jedzenia i zaprosił mnie, bym usiadł.

Na stole postawił dwie szklanki po musztardzie i butelkę wódki. Następnie z sąsiedniego pomieszczenia przyniósł sznurek suszonych ryb i położył obok, zapraszając gestem do jedzenia. - Czym chata bogata - powiedział, nalewając do szklanek alkohol. - Dzisiaj po południu będzie „Rakieta” z Jakucka, to przywiozą trochę żarcia i moją emeryturę. - Jaka rakietka? - zapytałem. Wytłumaczył mi więc, że tak nazywa się wodolot. Dowiedziałem się też, że raz w tygodniu płynie z Jakucka do Chandygi, a po drodze rozwozi pocztę i niezbędne zaopatrzenie. Jeśli ma miejsce, to czasami zabiera ludzi. Z rozmowy wynikało też, że jest emerytowanym kapitanem żeglugi śródlądowej z pięćdziesięcioletnim stażem i że w chwili obecnej mieszka na różnych syberyjskich rzekach. Chwalił się, że jest osobistością znaną i że emeryturę dowożą mu co miesiąc, a znajomi kapitanowie, których większość uczył rzemiosła, od czasu do czasu przeciągają jego dom na inną wybraną przez niego rzekę.

Gdy wypiliśmy po całej szklance, gospodarz rozsiadł się wygodniej i kazał sobie opowiedzieć wszystko po kolei.

Gdy skończyłem opowiadanie, myślał jeszcze chwilę i powiada: - Ciężka sprawa. Musisz dostać się rzeką do Chandygi i w tym cały szkopuł. Za dawnych czasów nie byłoby problemu, teraz rzeki puste, nic nie pływa, bo i co nimi wozić. Czasami „idzie” tankowiec z benzyną i to wszystko. Barki, i owszem, też od czasu do czasu płyną, ale może być tak, że popłynie jakaś dopiero za miesiąc. A jak chcesz się na nią dostać? Tak i tak pies

pogrzebany... Po chwili jednak uderzył się pięścią w czoło i powiada. - Jest jeszcze jedna szansa. Około dziesięciu kilometrów stąd w górę rzeki jest duży kołchoz. Bułun się nazywa. Mają swoje holowniki i barki, a przecież teraz jest ich sezon. Gdzieś ze swoją produkcją pływają. Musisz pójść do nich i zapytać.

Chciałem podziękować i ruszyć w stronę kołchozu, a gdy gospodarz zauważył, że zbieram się do drogi, popatrzył na mnie z litością i popukał się w czoło: - Przecież mówiłem ci, że po południu będzie tu „Rakieta” - popłyniesz z nimi i wysadzą cię przy samym brzegu. Przy okazji dowiemy się, czy z dołu coś przypadkiem nie płynie w górę.

Umilaliśmy sobie więc czas oczekiwania na „Rakieta”, opróżniając butelkę i gaworząc o syberyjskich rzekach.

- Urodziłem się i umrę na rzece - opowiadał gospodarz. - Ojciec mój pływał, a matka z braku mieszkania razem z nim. Dopiero gdy miałem dziesięć lat pierwszy raz nocowałem na łądzie, bo dostaliśmy mieszkanie w Jakucku. Mało zresztą tam mieszkaliśmy, praktycznie tylko zimą, a jak rozpoczynał się w maju sezon, ojciec wypływał na całe miesiące, a my z nim. Razem było zawsze różnie. Lenę i Aldan znam lepiej niż siebie - śmiał się ze swojego dowcipu. - Pływanie po syberyjskich rzekach jest tym samym co pływanie po morzach. Tam występuje bezkres wody, a tu bezkres tajgi lub tundry. Bywa tak, że przez tygodnie nie widzi się śladu życia ludzkiego, tylko trudno wyobrażalne przestrzenie lasu syberyjskiego. W rejs nie zabierało się wiele do jedzenia, bo nigdy się nam nie przelewało; jadło się cały czas ryby, a w tajdze szukało dzikiej cebuli, czosnku i brusznicy. My, marynarze dokładnie wiemy, co gdzie rośnie i podpływamy pod brzeg jak do swojego sklepu. Rejsy były długie - trwały miesiącami, tylko Lena ma cztery tysiące czterysta kilometrów...

Co wy w Europie wiecie o naszych rzekach? - burzył się na wesoło kapitan. - Czy ktoś uwierzy w to, że rzeka może mieć sześćdziesiąt kilometrów szerokości?

Nikt nie uwierzy - prawda? A ma, i to Lena niedaleko za Jakuckiem - objaśnił z dumą.

Sączyliśmy wódeczkę i rozmawiało się coraz przyjemniej. Niebawem usłyszeliśmy odgłos silników na rzece i wyszliśmy na pokład.

Płynęła „Rakieta”. Potężny warkot silników narastał z każdą chwilą. Przyznam, że zaskoczony byłem prędkością, z jaką zbliżała się do nas. Silniki wodolotu musiały mieć olbrzymią moc.

Kapitan wodolotu wyraźnie już zboczył w naszym kierunku, zwolnił i bardzo ostrożnie podpłynął do burty kapitańskiego domu. Kapitanowie znali się bardzo dobrze. Podczas gdy rozmawiali ze sobą, przekrzykując pracujące cały czas silniki, dwóch

marynarzy wyladowywało przywiezione dla kapitana zaopatrzenie. Gospodarz nie przyjął przywiezionej emerytury, tylko podał kartkę z listą zakupów z prośbą o przywiezienie mu za tydzień. Następnie poprosił, aby mnie zabrano w górę rzeki i na wysokości Bułuna wysadzono gdzieś na brzegu. Pożegnałem się z kapitanem, a ten zaprosił mnie do siebie, gdy będę w drodze powrotnej. - Niestety, dowiedziałem się, że nic nie płynie w dół rzeki - powiedział ze smutkiem, ściskając mi dłoń.

Wszedłem na pokład i po chwili z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę prulem w górę rzeki. Na pokładzie znajdowało się kilkunastu pasażerów, w większości Jakutów i spore ilości różnych paczek i worków. Nie zdążyłem jeszcze dobrze się rozejrzeć, gdy zauważyłem, że wodolot wyraźnie zwalnia i kieruje się I w stronę brzegu. Płynął teraz wolno i domyśliłem się, że kapitan szukał odpowiedniego miejsca, aby mnie wysadzić. Po chwili włączył wsteczny napęd i skierował wodolot w kierunku brzegu. Jeden z marynarzy zaprowadził mnie na dziób i pomógł szczęśliwie opuścić statek. Miejsce okazało się idealnie wybrane, gdyż wylądowałem, gdzie była już płytka woda. Pomachałem w podziękowaniu, a kapitan wskazał mi kierunek, w którym powinienem się udać, by trafić do wioski. Nic było już chyba daleko, gdyż na rzece zauważyłem kilka pływających łodzi, a w oddali na brzegu ludzi zajętych wyciąganiem sieci. Wspiąłem się na stromy brzeg i po chwili... wyszedłem na bardzo szeroką, równą, piaszczystą drogę.

Stałem przez chwilę osłupiały z wrażenia, dopóki nie zauważyłem stojącego w oddali samolotu. Teraz do mnie dotarło, że stałem na pasie startowym...

Płytą lotniska okazał się normalny kamienisty żwir, wyrównany jednak starannie przez jakąś maszynę. Ruszyłem w stronę widocznych zabudowań lotniskowych. Okazały się opuszczone, w oknach były powybijane szyby. Przyjrzałem się samolotowi - rosła na nim trawa... żeby przypadkiem cała wioska tak nie wyglądała - pomyślałem i ruszyłem w jej kierunku.

Droga prowadząca z lotniska do kolchozu była to wyboista, wypalona słońcem gliniana nawierzchnia, po której ciężko było się przemieszczać nawet pieszo. Ujrzałem I pierwsze zabudowania, wyglądające jak wielkie magazyny, opodal których stały i dosłownie setki różnych uszkodzonych traktorów i maszyn. Wszystko rdzewiejące i zarośnięte zielskiem. Nowe przywożono, starych nie wywożono.

Wreszcie dotarłem do wioski, która już na pierwszy rzut oka wyglądała na bardzo okazałą. Nie była podobna do typowych wsi z chatami po obu stronach drogi. Bułun miał zabudowę na wzór miasta, ze skrzyżowaniami i placami. Zauważyłem ludzi, prawie wszyscy byli Jakutami. Przerywali swe codzienne zajęcia, widząc mnie idącego drogą.

W wiosce tętniło życie i słychać było typowe tego odgłosy. Ktoś piłował drzewo piłą

tarczową, gdzieś ktoś krzykiem zaganiał inwentarz, słycać też było jeżdzące motocykle i traktory.

Szedłem gliniastą, pełną dziur arterią, mijałem kolejne skrzyżowania i nie zauważyłem żadnego budynku, który by różnił się zasadniczo od pozostałych. Wszystkie chaty były drewniane, dachy miały pokryte eternitem, budowane były według jednego projektu. Przy każdym obejściu wielkie sterty drewna opałowego. Widząc, że sam nie odnajdę „naczalstwa” tego wielkiego kolchozu, zatrzymałem przejeżdżającego właśnie motocyklistę i zapytałem go o drogę.

- Siadajcie - rzekł młody Jakut - podwiozę was, bo to kawałek drogi.

Jechaliśmy przez niekończącą się wieś, skręcając często w różne przecznice, a każda z nich miała tabliczkę z nazwą ulicy. Droga na każdym odcinku przypominała wzburzone morze. Pomyślałem, że musi tu być bardzo uroczo wiosną lub po deszczu...

Po karkołomnej jeździe dotarliśmy wreszcie cali i zdrowi na plac, na którym stał pomnik wodza narodów, czyli Lenina. Obok wznosiła się okazała budowla, nad którą powiewała flaga Rosji i jeszcze jedna, jak się domyśliłem - Jakucji. Przed budynkiem stało kilka różnych samochodów ciężarowych i dostawczych oraz jeden posiadający zakratowane okna w części przeznaczony dla pasażerów. Napis na jego boku brzmiał „Milicja”. No to jestem w domu. Wchodząc do budynku myślałem jeszcze o tym samochodzie i zastanawiałem się, dokąd i za jakie przestępstwa wozi się nim ludzi. Więzieniem przecież było już mieszkanie w tej dziurze, zagubionej gdzieś na końcu świata.

Przeliczyłem się bardzo, myśląc, że przyjmą mnie jak zwykle z honorami i poczęstują na dodatek wódką.

W Bułunie dostanie się do pana naczelnika lub jakiejś innej kompetentnej osoby jest rzeczą bardzo trudną i wymaga wielu zabiegów. Najpierw stałem w kolejce do sekretariatu wśród towarzystwa o skośnych oczach, ubranego w jednakowe kufajkowe stroje. Prawdą było jednak, że niewiele się od nich różniłem, gdyż nieogolona twarz i strasznie brudne ubranie czyniło mnie nie do poznania. Również fakt posiadania przeze mnie prostych oczu niewiele zmienił, więc wnioskowałem, że w kolchozie znajduje się więcej takich jak ja „prostookich”. Jedyłą moją troską był fakt, że zbliżała się godzina zamknięcia urzędu i wszystko wskazywało na to, że nie będę już dzisiaj przyjęty. Nie powiodła się próba dostania bez kolejki. Stojący warknęli na mnie ostro, wycofałem się więc w popłochu i stanąłem nawet dalej niż przedtem.

Rozglądając się beznadziejnym już wzrokiem po długim brudnym korytarzu, dostrzegłem w jego końcu kratę ustawioną od podłogi aż po sufit, a w niej drzwi. Od razu się domyśliłem, że nie prowadzą one do kaplicy, tylko wiadomego urzędu, do którego

należał stojący przed budynkiem zakratowany samochód. Dodam jeszcze, że stojący przed sekretariatem tłum niechętnie nawet patrzył w tamtą stronę. Drzwi okazały się otwarte, wszedłem więc i znalazłem się na innym, ale za to pustym od petentów korytarzu. Wybrałem najokazalsze drzwi, zapukałem i wszedłem do środka.

Był to sekretariat, a siedząca tam okropnie brzydka dama w mundurze, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, kazała mi się wynosić i czekać. Usiadłem więc na drewnianej ławie stojącej w korytarzu i czekałem cierpliwie. Potwór w mundurze parokrotnie wchodził i wychodził z sekretariatu, zawsze trzymając w łapach jakieś papiery, ale na mnie nie zwracał żadnej uwagi. Na pagonach jej munduru zauważyłem gwiazdki oficerskie.

Po dłuższym oczekiwaniu usłyszałem jej obrzydliwy głos, ale nie reagowałem, bo nie rozumiałem, o co chodzi. Po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich znana kobieta - paszczur. Wyzywając mnie od głuchych i upośledzonych, raczyła wpuścić mnie do środka.

Sposób traktowania ludzi w tej instytucji bardzo mi się nie spodobał i sprawił, że zagotowało się we mnie mocno. Teraz babo ci pokażę, pomyślałem i już wszystko jedno mi było, jak dalej sprawy się potoczą. A potoczyły się tak:

- Słucham?

- Dzień dobry, chciałbym się zobaczyć z komendantem - mówię najuprzejmiej jak umiem.

- A w jakiej sprawie? - spytała jakby sympatyczniej, zorientowawszy się, że jestem nietutejszy.

- Przecież jasno się wyraziłem, że mam sprawę do komendanta, a nie do jego sekretarki - odpowiedziałem bezczelnie, lecz spokojnie.

Obrzydliwa kobieta zlustrowała mnie teraz dokładniej i widać było, że jest zbita z tropu, dopiero w chwilę później, gdy spojrzała na moje ubranie, odzyskała lekko rezon i postanowiła zagrać na zwłokę.

- Pan komendant jest dzisiaj bardzo zajęty, proszę więc przyjść jutro rano o dziewiątej, tak?

- Tak... Dobrze... - powiedziałem, celowo przeciągając sylaby. - Jeśli jutro, to będzie pani łaskawa zarezerwować mi hotel i zamówić taksówkę, nie widzę bowiem w pobliżu żadnej budki telefonicznej. Zaczekam na korytarzu - dodałem, cedząc już pogardliwie słowa, gdyż wreszcie dotarło do mnie, że jestem tylko w Bułunie...

Wychodząc, zadbałem oczywiście o efekty akustyczne, głośno zamykając za sobą drzwi. Skutek był piorunujący. Pan komendant nie dawał na siebie długo czekać i nawet

wstał zza biurka, kiedy wprowadzono mnie do jego gabinetu.

Kobieta oficer - szczur podsunęła mi krzesło, a komendant gestem ręki i uśmiechem zachęcił mnie, bym usiadł. Komendant wyglądał na dobrze odżywionego i widać było, że ma się bardzo dobrze. Był jednak zmieszany i lekko podenerwowany. Wiedziałem już, że teraz ja gram pierwsze skrzypce i moja solówka musi wypaść bezbłędnie, bo w przeciwnym wypadku mogę zamiast skrzypiec otrzymać łopatę...

- W czym mogę pomóc? - zapytał komendant, odsłaniając w uśmiechu srebrno - złote dla odmiany uzębienie.

- Jestem kierownikiem międzynarodowej ekspedycji, która ze Szwajcarii przez całe terytorium Rosji udaje się do Nowego Jorku. Ekspedycja nosi nazwę „Podróż dla Pokoju” i jest pod bezpośrednim patronatem ONZ... - wypaliłem bez zastanowienia.

- Ze strony rosyjskiej patronuje temu przedsięwzięciu sama moskiewska firma Pilgrim, a co to za firma i czym się naprawdę zajmuje, to chyba pan komendant słyszał?

Komendant skinął w tym momencie głową, że słyszał, a ja wiedziałem, że kłamię, bo cóż mógł wiedzieć o firmie oddalonej o tysiące kilometrów stąd. Upoważniało mnie to do bardziej zuchwałego mieszania prawdy z kłamstwem.

- Posiadam listy rządowe - kontynuowałem, ale ma się rozumieć, znajdują się w samochodzie. Przy sobie natomiast miałem paszport i wizę wystawioną przez ambasadę Rosji w Bernie, na której była wypisana cała trasa, a dodatkowo informacja, że podróż kończy się w Nowym Jorku.

Szperając dalej w plecaku znalazłem też jakiś świstek z Pilgrimu z adresem moskiewskim, opatrzony wielkimi okrągłymi pieczęciami, na którym kwitowałem swego czasu pobranie map Sztabu Generalnego Armii ZSRR. Szczerze mówiąc, do dzisiaj nie wiem, jakim cudem się tam znalazł.

Położyłem wszystkie posiadane dokumenty przed komendantem, wziął je ostrożnie do ręki, widać było, że z wrażenia cały dygotał. By nadać powagi całej sprawie, rozpędziłem się w oszustwie i dodałem jeszcze, że obecnie na terenie Rosji znajduje się kilka takich międzynarodowych załóg. Każda podąża do celu, oczywiście inną drogą. Aby równowaga na szali prawdy i kłamstwa była równa, powiedziałem, że martwię się moją obecną sytuacją, wyjawilem przy tym, jaki mam problem i zapytałem, czy komendant mógłby mi w jakiś sposób pomóc.

Dla komendanta wszystko, co opowiedziałem, było jednym wielkim szokiem. Długo nie mógł zebrać myśli. Takiej sprawy jeszcze nie miał. Międzynarodowa ekspedycja na jego terenie, organizowała to ONZ i jakiś tajemniczy Pilgrim z Moskwy, o którym nie miał zielonego pojęcia. Do tego jeszcze rząd Rosji, który temu w jakiś sposób patronował. Tego

wszystkiego za dużo się nabierało jak na jeden raz. Wiedział biedny, spocony już komendant, który był panem i władcą mającym więcej od Boga do powiedzenia w tej mieścinie, że na tym można zarobić albo wszystko stracić.

Dlaczego ta ekspedycja akurat tutaj utknęła?... - rozmyślał po cichu. W każdym bądź razie milsze komendantowi było pierwsze rozwiązanie, bo w mig zrozumiał, że trzeba natychmiast zabrać się do roboty, bo może się zdarzyć, że ktoś z czasu będzie rozliczał. Komendant wezwał ropuchooficera i wydał różne dyspozycje, między innymi, by kierowca ściągnął natychmiast cały zarząd kolchozu.

- Tak! Teraz! - w tej chwili - miotał jeszcze za sekretarką próbującą czegoś więcej dowiedzieć się. Następnie z sąsiedniego pomieszczenia przyniósł mapę, rozłożył ją nerwowo na stole i kazał sobie pokazać miejsce, gdzie utknęła ekspedycja.

Pokazałem mu przypuszczalne miejsce, wyjaśniając przy tym, że jestem bardzo dobrze widoczny od strony rzeki. Dopiero po dłuższej chwili, gdy jego zdziesiątkowane alkoholem szare komórki wszystko zakodowały, zapytał, dokąd właściwie chcę jechać. - Muszę za wszelką cenę dostać się do Chandygi - odpowiedziałem. Komendantowi zrobiło się jeszcze bardziej gorąco, rozpiął więc koszulę i zdjął krawat.

- Kiedy musisz się tam zameldować? - zapytał, myśląc z tego wszystkiego, że to jakieś zawody.

- Czas już nie jest taki istotny, chociaż jak najprędzej - odpowiedziałem.

Odpowiedź ta wyraźnie trochę go uspokoiła.

Tymczasem w kilkutyśięcznym kolchozie zawrzało, jakby alarm ogłoszono. Samochody zabierały z domów członków zarządu i wszystkich innych, co mieli wiosce coś do powiedzenia. Niemal wszystkim już mieszkańcom było wiadomo, że coś ważnego się wydarzyło.

Na korytarzu było już tak tłoczno, że trudno było przejść, wreszcie umieszczono wszystkich przybyłych w wielkiej sali zebrań. Myślałem, że będę musiał sprawę ponownie upiększać, opowiadając wszystko od nowa przed zebraniem zarząd, ale Stało się inaczej.

Komendant nie tracił czasu. Przyprowadził dwóch Jakutów i oznajmił, że zawiozą mnie łodzią z powrotem do obozu. Jakuci mieli też opiekować się mną rano czasu, kiedy nie zostanie zorganizowana pomoc.

- Proszę się nie fatygować - powiedziałem - będę bardzo zadowolony, jak mnie tylko odwiozą, ale opieka - to już przesada.

Stanęło więc na tym, że Jakuci mnie tylko odwiozą i powrócą do kolchozu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział przy rozstaniu komendant - zaraz coś poradzimy i wam pomożemy.

Wraz z Jakutami wsiadłem do oczekującego już na nas zakratowanego samochodu, którego kierowcą był młody milicjant, też Jakut. Po dłuższej jeździe licami Bułunu zatrzymaliśmy się wreszcie przy szerokim kanale, który łączył rzekę wsią. Jakuci wraz z młodym milicjantem przeładowali do łodzi jakieś worki, które okazały się żywnością podarowaną ekspedycji przez kolchoz.

Ale namieszałem - pomyślałem sobie, gdy odbijaliśmy od prowizorycznej przystani. Przez moment miałem nawet obawy, że komendant wraz z zarządem może i owo sprawdzić i wyjdzie na jaw, że ekspedycji patronuje tylko Pan Bóg, a nie, jak deklarowałem, rząd Rosji i ONZ, ale po przeanalizowaniu faktów doszedłem do wniosku, że jest to niemożliwe, ponieważ komendant z wrażenia nie robił żadnych statek. Było też pewne, że marzył tylko o tym, abym jak najprędzej znikł z jego terenu i pojechał sobie dalej.

Niebawem okazało się, że moi opiekunowie to ojciec i syn. Początkowo nie wierzyłem, gdyż wyglądali prawie na rówieśników, ale okazało się, że tak było naprawdę.

Wypłynęliśmy na rzekę. Łódź była solidna i posiadała silnik, który musiał pożerać sporo paliwa, gdyż umieszczony na środku łodzi zbiornik był pokaźnych rozmiarów. Podczas gdy już płynęliśmy, między ojcem a synem wywiązała się ożywiona dyskusja. Po chwili jednak widać było, że doszli do wspólnego porozumienia, wykonali skręt o sto osiemdziesiąt stopni, w wyniku czego płynęliśmy ponownie w górę rzeki. Nie ingerowałem w to, myśląc, że po prostu czegoś zapomnieli. Nie dopłynęliśmy jednak z powrotem do wsi, tylko po chwili dobiliśmy do porośniętego jakimś krzakami brzegu. Widząc, że się zaniepokoiłem tym obrotem sprawy, starszy z nich mrugnął porozumiewawczo do mnie skośnym okiem, oświadczając, że syn jeszcze skoczy szybko do wsi i kupi parę butelek wódki.

- No, to mów od razu, o co chodzi - powiedziałem, wręczając młodszemu pieniądze i poleciłem, by kupił jeszcze dodatkowo dwie...

Kwadrans później płynęliśmy ponownie w dół rzeki, a twarze Jakutów wyrażały już szczęście i zadowolenie. Była już noc, kiedy przepływaliśmy koło pływającego domu kapitana. Nie spał jeszcze i kiedy usłyszał odgłos silnika, wyszedł na pokład zobaczyć, kto zakłóca ciszę.

- Podpłynęmy na chwilę - krzyknąłem do siedzącego przy sterze, wskazując jednocześnie palcem kierunek. Zboczyliśmy z głównego nurtu, a po chwili kapitan cumował już naszą łódkę.

Piliśmy prawie do rana i mieliśmy już wszyscy dobrze w czubie, ale nie zostaliśmy i kapitana, gdyż było prawie pewne, że komendant o tym się dowie. Byliśmy po prostu za blisko wsi. Ponieważ Jakutom, jak mi się wydawało „wyprostowały się oczy” sterowałem

już dalszą drogę, a łódź co prawda zygzakiem, ale płynęła do celu...

Prędkość, z jaką się teraz przemieszczaliśmy, pozwalała dotrzeć do obozu w parę godzin, ale jednogłośnie zdecydowaliśmy, że podpłyniemy do brzegu i nieco odpoczniemy. Jakuci dali mi jakiś biały płyn, każąc się nim obficie wysmarować, zaklinając się przy tym, że to najlepszy na świecie środek przeciw komarom. Białe mazidło śmierdziało okrutnie, drażniło spojówki, ale rzeczywiście było długi czas skuteczne.

Rano popłynęliśmy dalej. Podróż już nie była tak wesoła jak poprzedniej nocy, a chwilę któryś z nas wychylał się za burtę i popijał wodę z rzeki.

Po południu zobaczyliśmy płynącą w dół „Rakietę”. Zbliżała się do nas, aż wreszcie nas wyprzedziła. Wyrziliem głośno obawę, czy aby na pokładzie nie było komendanta.

- Skąd - oburzyli się Jakuci - oni by go na pokład nie zabrali, od dawna mają z nami na pieńku. Kiedyś komendant pisał na nich cały czas skargi, czasy się zmieniły, to mu się teraz odwdzięczają. Przez niego teraz wszyscy cierpimy, bo wodolot od dłuższego czasu w ogóle nie zatrzymuje się w Bułunie.

Wreszcie w oddali zauważyłem stojącego land - rovera. Po chwili sprawnie dobiliśmy do brzegu i wyładowaliśmy worki z darowanym prowiantem. Odwiązałem jeden, by zobaczyć co jest w środku. Wkładam rękę i wyciągam... pół litra wódki. Parsknęliśmy śmiechem, a Jakuci aż podskoczyli ze szczęścia. Ostudziłem jednak ich radość, mówiąc, że to dar od społeczeństwa kolchozu dla biednej międzynarodowej ekspedycji... Nie dali jednak za wygraną, twierdząc, że skoro wieźli mnie łodzią, to też automatycznie wchodzi w skład wyprawy. Licząc wiadomo na co, poczuli się raptem bardzo zmęczeni i oświadczyli, że do wsi wyruszą dopiero jutro...

Rozpaliliśmy ogień i rozpoczęliśmy opróżniać worki, układając wszystkie dary obok siebie na ziemi. Było tego dużo. Widać, że osoba przygotowująca zaopatrzenie wiedziała, co jest niezbędne, by przetrwać w surowych warunkach syberyjskiej tajgi. Były konserwy z tuszonką, suchary, wędzony boczek, herbata, cukier, skondensowane mleko, wódka, kostki metylowego paliwa, butelki zawierające biały płyn przeciw komarom i wiele innych pożytecznych rzeczy. Wszystko było w takich ilościach, że prawdopodobnie wystarczyłoby na jeszcze jedno okrążenie kuli ziemskiej... Jakuci przyglądali się „skarbowi” i tylko kiwali głowami ze zdumienia, zastanawiając się jednocześnie, skąd to wszystko komendant wytrzasnął. W skrzyniach land - rovera znajdował się jeszcze spory zapas żywności i w sumie dar od komendanta poza płynem na komary był zbędny, ale nie wypadało przecież go zwrócić. Początkowo miałem zamiar wszystko podarować Jakutom, ale obawiałem się, że sprawa wcześniej czy później dojdzie do komendanta. Na pewno przykro by mu nie było, bo i tak nie ze swojego dawał, ale byłby to wielki nietakt w stosunku do ludzi

klepiących biedę w kołchozie.

Jedyne, co mogłem moim opiekunom ofiarować, to dwie butelki wódki. Kiedy je dostali, próbowali mnie zachęcić do wypicia, ale nie chciałem, więc „z przykrością” przystąpili sami do konsumpcji. Wypytywałem, czy wiedzą może, co komendant postanowił, ale Jakuci nie mieli najmniejszego pojęcia, w jaki sposób komendant chce pomóc wyprawie. Z rozmowy wynikało, że obecnie w kołchozie nie ma ani jednej barki, ponieważ wszystkie zostały już oddelegowane do innego kołchozu, położonego setki kilometrów za Jakuckiem.

Wiadomość ta zmartwiła mnie trochę, ponieważ po cichu liczyłem na to, że przyplyną po nas po prostu barką.

Po wypiciu butelki na głowę Jakutom minęło zmęczenie i powróciły siły. Postanowili więc, że jednak odpłyną jeszcze dzisiaj. Żegnając się przesadnie wylewnie, wyludzili jeszcze jedną butelkę, motywując tym, że pod prąd będą musieli długo płynąć. Chciałem dać im trochę konserw na drogę, ale jednogłośnie stwierdzili, że do tak małej ilości nie zakaszają. Podczas uruchamiania silnika młodszemu z nich wysliznęła się z ręki linka sterująca motor i ku wielkiej ucieście ojca wpadł do wody.

Wygramolił się z powrotem na łódkę, klnąc przy tym siarczyście w języku jakuckim. Wsiedli wreszcie i odpłynęli, a wesołe ich głosy jeszcze długo niosły się po wodzie.

Nastała kolorowa noc i żaden dźwięk nie mącił już panującej wkoło ciszy. Odbijające się od wody światło niezachodzącego słońca nadało wodzie kolory malarskiej palety. Ostro zarysowały się brzegi, a rzeka tej bezwietrznej nocy sprawiała wrażenie, jakby stała w miejscu. Krajobraz wycięty z książkowej bajki.

Siedząc przy ognisku, analizowałem dobre i złe strony mojego wystąpienia w kołchozie. Zastanawiałem się, jakie rozwiązanie znajdzie komendant, co z tego wyniknie. Teraz musiałem tylko czekać.

Dzisiaj rano na rzece pojawił się kolejny statek. Niestety, płynął w dół. Pewnie bym ten niecodzienny i doniosły moment przespał, ale sternik, chyba dla kawału, włączył syrenę, podrywając mnie na nogi.

Spojrzałem na zegarek. Była w pół do siódmej rano. Zanim oprzytomniałem po parugodzinnym śnie, widać już była tylko jego rufę.

Widok statku znów napełnił mnie optymizmem. Skoro statki pływają w dół rzeki, to przecież nie dostarczono ich tam samolotem... Kiedyś muszą popłynąć w górę, a może w Chandydze jest stocznia?

Nuda. Wałęsam się po brzegu. Wspominam mój niełatwy dotychczasowy szlak

widzę teraz sporo zdarzeń, z których warto się pośmiać. Jak mnie straszono mafią, jak milicja, czyli ukochany GAI, sprawdzając, dostał do ręki stare bilety z promu uwierzył, że to prawo jazdy... Odgrywam sobie te sceny. Ryczę ze śmiechu...

Dzień jest słoneczny i ciepły, powietrze czyste, pełno zieleni. Odpoczywam w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Od czasu do czasu z utęsknieniem i nadzieją patrzę w górę rzeki. Może komendant płynie już z odsieczą? Niestety, jedno co widać, to latające tuż nad wodą ptaki. Cóż pozostało - cały dzień grzeję się na słoneczku.

Mam wszystko: ogień, mięso, ryby, kartofle, tylko chleba nie ma, brak go bardzo, ale i tak nie ma co narzekać. Następuje wieczór i znów słońce zmienia ę w malarza. Następnego dnia nic ważnego się nie wydarzyło, pomijając parokrotną napaść much jakuckich. Wieczorem z nudów zacząłem grać w „trzy kamyczki”, oszukując sam siebie, ile wlezie, parę razy wygrywam... Później zaproponowałem sobie grę w dupniaka, po czym stwierdziłem, że już kompletnie mi odbiło i najlepiej będzie, jak pójdę spać.

Ranek sprawił, że poszły w zapomnienie wczorajsze durne zabawy, ponieważ co nowego odwróciło moją uwagę.

W dół rzeki płynął ogromny pływający dźwig. Dopiero gdy się nieco zbliżył, zauważyłem przycumowany do jego boku mały holownik, który wyglądał przy tym losie jak doczepiona szalupa. Konwój znajdował się już całkiem blisko, lecz cały as płynął środkiem rzeki. Zważyłem więc już, że płynie do mnie. Lecz po chwili rozległ się piskliwy głos syreny i olbrzym skierował się pod ostrym kątem do brzegu.

Skąd komendant wytrzasnął to cudo? Ile to będzie wszystko kosztowało? ONZ jest bogata, a i Rosja na pewno chce na tym zarobić... - zakotłowało mi się w głowie.

Po chwili zaczęło się już cumowanie. Z tyłu dźwigu wyrzucono dwie duże kotwice, które przytrzymały kolosa i sprawiły, że nie dryfował już z prądem rzeki. Ponieważ dźwig miał duże zanurzenie, nie mógł podpłynąć pod sam brzeg. Spuszczono więc szalupę, na którą załadowano inną kotwicę i przewieziono ją na ląd. Powtórzono tę czynność z przodu urządzenia, napięto liny i już stał zacumowany przy brzegu.

- Niech kierownik ekspedycji pokwituje - krzyknął jeden z ludzi stojących na pokładzie dźwigu. Wsiadłem do łodzi i po chwili stałem już wśród marynarzy holownika.

- To jest dźwigowy - powiedział kapitan. - Zostanie z wami tak długo, dopóki nie załaduje was na jakąś jednostkę płynącą w górę rzeki. My musimy natychmiast wracać z powrotem.

- Proszę tu pokwitować przybycie dźwigu - powiedział, podsuwając mi jakiś dokument przełożony kilka razy kalką.

Jedna kopia dla ONZ - pomyślałem i drżącą ręką podpisałem fakturę. Stojący zeszli na pokład holownika, który niezwłocznie odbił i popłynął z powrotem w górę rzeki.

Na pokładzie zostaliśmy we dwóch, czyli dźwigowy i ja.

- Siergiej - przedstawił się operator tego kolosa. Był rodowitym Jakutem i z wyglądu liczył sobie grubo ponad pięćdziesiątkę. Widać było, że jest pogodnym człowiekiem, gdyż cały czas chodził uśmiechnięty. Ubrany był w stare ubranie wojskowe, a nogi jego zdobiły podwinęte gumowce. Siergiej mówił dobrze po rosyjsku, co nie było jednak dowodem, że był wykształcony, świadczyło jednak, że dotychczasowe życie spędził nie tylko w Bułunie, ale i bywał w „dalekim świecie”.

- Chodź, pokażę ci to cacko - zaproponował i zaczął objaśniać funkcje poszczególnych urządzeń na pokładzie.

Zauważyłem, że dźwig jest nowy, gdyż wszystko pokryte było jeszcze świeżą farbą, a różne przekładnie dodatkowo grubą warstwą konserwującego smaru. Zeszliśmy pod pokład. Znajdowała się tam maszynownia, mała kuchnia, pomieszczenia dla załogi i była nawet toaleta. Wszystko pachniało jeszcze nowością. Po ogólnych oględzinach wsiedliśmy do szalupy, którą przepłynęliśmy dziesięciometrowy odcinek pomiędzy dźwigiem a lądem. Poczęstowałem gościa herbatą i w skrócie opowiedziałem podróż i niektóre przygody, omijając oczywiście prawdokłamstwa, które „sprzedałem” komendantowi. Dźwigowy natomiast barwnie opisał akcję przeprowadzoną przez zarząd kołchozu, nadmieniając, że milicja przyjechała po niego w nocy i miał już najgorsze przeczucia... Później rozgadał się na dobre i w końcu tylko on mówił. Zasypywał mnie informacjami, których słuchałem obojętnie, później jednak z uwagą, a następnie już z obawami.

Okazało się bowiem, że owszem, on jest dźwigowym, ale dotychczas obsługiwał tylko dźwigi samochodowe. O takich dźwigach jak ten stojący na wodzie, uczył się na kursie w Jakucku przed dwoma laty. Sporo zapomniał. To, co stoi na wodzie przed nami, to najnowszy nabytek kołchozu - jest dopiero od miesiąca.

Nie, nie próbował go nawet, ponieważ dźwigu nie było w Bułunie. Stał zacumowany gdzieś w zatoczce znajdującej się w górnym biegu rzeki. Owszem, wie jak go uruchomić, ale nie podniósł tego typu urządzeniem nawet jednej cegły. Egzaminy zaliczył jak najbardziej, bo miał do zrobienia nim tylko obrót o 360 stopni. Kursantów było tak dużo, że nie było czasu na to, by któryś mógł cokolwiek podnosić. Na koniec z dumą dodał, że teraz będzie jego prawdziwy egzamin...

Spojrzałem odruchowo na długi wysięgnik dźwigowy i już wiedziałem, że jak samochód spadnie z tej wysokości, to niewiele z niego zostanie.

Zaproponowałem dźwigowemu, aby trochę na sucho poćwiczyć, to znaczy bez

obciążenia tego urządzenia. Przystał na to chętnie, więc natychmiast przeprawiliśmy się łodzią na dźwig. Zeszliśmy do maszynowni, gdzie Siergiej najpierw uruchomił niewielki silnik benzynowy, a gdy ten osiągnął już odpowiednie parametry, użył jego mocy do uruchomienia głównego silnika, który swymi rozmiarami i hałasem przypominał silnik okrętowy.

Kolos ożył i na każdej jego części czuć było miarowe drganie. Jak na początek to wcale nieźle - pomyślałem. Po drabinie dostaliśmy się następnie do kabiny operatora, która znajdowała się wysoko nad pokładem. Pulpit sterowniczy wydawał się w miarę nowoczesny i na dodatek robił wrażenie nieskomplikowanego. Najpierw należało opuścić nieco zblocze, aby odczepić liny mocujące ramię. Siergiej próbował każdej dźwigni po kolei, ale jedyny efekt, jaki osiągnął, to drżenie całej konstrukcji dźwigu. Coś nie grało... Wreszcie znalazł odpowiednią przekładnię i lina zaczęła się rozwijać. Zszedłem więc na pokład, by odczepić mocowania. Gdy tylko to uczyniłem, przesunął jakąś dźwignię i wprowadził w ruch obrotowy całe ramię, a tym samym siebie siedzącego w kabine. Domyśliłem się, że zapamiętał to z egzaminu...

Kręcił się teraz w koło jak na karuzeli, a na jego twarzy widać było uśmiech. Kręcił się jednak i kręcił, i końca nie było. Wreszcie zauważyłem z dołu, że wymachuje bezradnie rękami. Trwało to jeszcze dobrą chwilę, zanim udało mu się, zapewne przez przypadek, zatrzymać to całe urządzenie.

Oj, wesoło by było, gdyby na linii znajdował się teraz land - rover, a jeszcze weselej, gdybym znajdował się w środku - pomyślałem, śmiejąc się w duchu.

Siergiej wyszedł z kabiny cały spocony, ale też się uśmiechał. Wynikało więc z tego, że on ma po prostu już taki wyraz twarzy, bo do śmiechu to wcale nie było. Zapytałem, czy jest na dźwigu instrukcja obsługi. - Owszem ale nie mam okularów...

- Dawaj, będziemy razem czytali - powiedziałem.

- Z książki to się jeszcze nikt niczego nie nauczył, na żywo trzeba - odpowiedział. Weszliśmy więc ponownie do kabiny operatora i po godzinnym wspólnym wysiłku ustaliliśmy już wszystkie możliwe funkcje dźwigu. Siergiejowi tak się spodobało, że jeszcze długo „podnosił, przesuwał, opuszczał lub wykonywał parę czynności jednocześnie”. Krzychałem, że marnuje paliwo i gdy podpłynie statek, to dźwig będzie unieruchomiony. Nic z tego, zawziął się i nie przestał do czasu, kiedy sam już tym kręceniem w koło się zmęczył. Przyznać trzeba było, że chociaż „na sucho”, ale już mu dobrze wszystko wychodziło. Jakut promieniał cały ze szczęścia i zaproponował, byśmy dla próby podnieśli samochód. Ciarki mnie przeszły, ale, niestety... było to nieuniknione. Odwlekałem jednak ten moment i obiecałem, że jutro to zrobimy. Ze smutkiem, ale się zgodził.

Wieczorem zauważyliśmy płynącą z prądem rzeki łódź wiosłową. Po chwili okazało się, że to syn dźwigowego przybywa z wizytą do ojca. Wyglądał na dwunastoletniego, ale nie byłem pewien, gdyż wiedziałem, że jest bardzo trudno ustalić datę urodzenia Jakutów. Oni jakoś dla mnie tak zawsze jednakowo wyglądają...

Początkowo nieufnie patrzył w moją stronę, ale szybko się oswoił z nową twarzą i od tej pory miał już tysiące pytań.

- We wsi mówią, że zna pan prezydenta Jelcyna, czy to prawda?

- Oczywiście, że go znam - odpowiedziałem zgodnie z prawdą... Nie dodałem tylko faktu, że znam go, ale nie osobiście. Młodzieniec był dumny ze mnie i od tego czasu faworyzował mnie już oficjalnie. Początkowo był tak przejęty spotkaniem z „innym człowiekiem”, że zapomniał o chlebie, który w prezencie przesłała nam bułuńska piekarnia. Gdy sobie jednak przypomniał, pobiegł do łodzi i go przyniósł. Było tego z dziesięć bochnów. Okazało się niebawem dlaczego, gdy byłem we wsi, nikt mi go nie zaoferował. Otóż w kolchozie piecze się chleb tylko raz w tygodniu i zawsze taką samą ilość. Każda rodzina w zależności od liczebności otrzymuje ileś tam bochenków tygodniowo. W ten prosty sposób piekarnia wie, ile upiec i nic się nie marnuje.

Smak chleba poznaje się dopiero wtedy, gdy długo się go nie je. Miałem teraz tak dużo żywności jak nigdy dotychczas i chociaż moja spiżarnia zaopatrzona była w rozmaite delikatesy, to jednak tego wieczoru jadłem sam chleb i nie przyszło mi nawet do głowy, by popsuć jego smak smarując go czymkolwiek. Tylko Siergiej z synem głośno mlaskali, zjadając samą tuszonkę, ale u nich akurat występowała sytuacja odwrotna...

Zarządziłem, że począwszy od dzisiejszej nocy będziemy trzymali dyżury na zmiany. Obawiałem się bowiem, że może zaistnieć sytuacja, że prześpimy płynący w górę rzeki statek. Ponieważ Jakuci spali na oddalonym od brzegu dźwigu, wymyśliłem nieskomplikowany sposób, by ich w razie czego obudzić. Wystarczyło znaleźć odpowiedni duży kamień, a następnie z całej siły rzucić nim w dźwig. Efekt murowany. Metalowy kadłub funkcjonuje w tym momencie jak uderzony dzwon i było mało prawdopodobne, by dźwięk ten kogoś nie obudził.

Drogą losowania wytypowałem kolejność czterogodzinnych dyżurów. Wypadło, że ja będę czuwał pierwszy. Noc minęła jednak spokojnie.

Rano obudził mnie odgłos pracującego już dźwigu. Coś płynie - przemknęło mi przez myśl i szybko zerwałem się na równe nogi. Wybiegam, patrzę na rzekę - ale nic nie widać prócz płynącej majestatycznie wody. Za to w kabinie widać uśmiechniętego Jakuta. Nie mógł biedak z wrażenia dospać i już od rana powtarzał to, czego się wczoraj nauczył. -

Boże, on naprawdę zmarnuje całe paliwo - pomyślałem. Nie mogłem dostać się do niego, ponieważ szalupa stała przy dźwigu. Wrzeszczę więc na całe gardło, a szelma skośnooka tylko gestem pokazuje, że nic nie słyszy i dalej robi swoje. Dopiero po jakimś czasie nacieszył się, zszedł na dół i wyłączył urządzenie.

- Sprawdź paliwo i zostaw ten dźwig w spokoju, bo go jeszcze popsujesz - krzyczę do niego.

Jakut pokiwał głową i uśmiechając się, zniknął pod pokładem. Po chwili wraz z synem pojawili się na brzegu. Dźwigowy nie chciał herbaty, którą mu zaproponowałem, lecz łapczywym wzrokiem patrzył już na land - rovera.

- Siergiej - tłumaczę - bądź cierpliwy, podniesiemy go po południu. Najpierw trzeba pomyśleć, za co go zaczepić. Ale pamiętaj, że jak już uda ci się oderwać go od ziemi, to żeby ci przypadkiem nie wpadło do głowy pół godziny wywijać nim w powietrzu - ostrzegłem. Nic nie odpowiedział i jak zwykle się uśmiechał.

Wtedy pomyślałem, że on chyba w ogóle czytać nie potrafi, ponieważ z takim stałym uśmiechem malującym się na jego twarzy mało prawdopodobne było, aby ukończył jakąś szkołę... Młody Jakut tymczasem nie mając nic innego do roboty, postanowił wybrać się w tajgę i nazbierać trochę „warzyw i owoców”. Do swojej starej płóciennej torby wrzucił bochenek chleba, dwie konserwy, nóż i jeszcze parę drobiazgów. Wymienił kilka zdań z ojcem w ich języku, po czym zarzucił tobolek na ramię i po chwili zniknął już w tajdze. Sądząc po przygotowaniach widać było, że zamierza trochę dłużej powłóczyć się po lesie.

Siergiej natomiast chodził już koło samochodu. Widząc, że chłop już strasznie tym się męczy, zgodziłem się na wcześniejszą generalną próbę. Parciane szerokie pasy, które Siergiej przywiózł ze sobą, zamocowałem z przodu do zderzaka, a z tyłu na całej szerokości samochodu do układu jezdnego. Teraz wystarczyło do obu końcówek doczepić zblocze dźwigu i już można było wehikuł unieść do góry.

Powstał teraz kolejny problem. Land - rover stał na skarpie i był za bardzo oddalony od brzegu. Wysięgnik dźwigu chociaż bardzo długi, niestety, nie sięgał już dotąd. Nie pozostało nic innego, jak zjechać po piachu ze stromego zbocza i ustawić pojazd tuż przy samej wodzie. Wydawało się, że nic prostszego. A jednak skarpa pochyłona była pod bardzo ostrym kątem, a podłoże jej było piaszczyste, co powodowało, że koła samochodu zapadały się w nim po osie. Wiedziałem, że ze zjazdem nie będzie najmniejszego problemu, ale prawdziwy kłopot zacznie się, jeżeli z jakichś powodów samochód nie zostanie stamtąd podniesiony na statek. Tego typu odcinek prowadzący pod stromą górę będzie już nawet dla land - rovera nie do pokonania. Nie było wyjścia,

trzeba było wierzyć, że coś popłynie i będzie jeszcze dodatkowo na tyle przychylne, że zechce mnie zabrać na swój pokład.

Podwinąłem pasy zamocowane już do samochodu, uruchomiłem silnik i po chwili stałem na dole ustawiony równolegle do kadłuba dźwigu.

- Pamiętaj, Siergiej, to twój egzamin - jak coś sknocisz, to poskarżę się samemu Jelcynowi... - krzyknąłem do dźwigowego, zakładając zblocze na parciane pasy. Przytrzymałem chwilę, aby naciągnął liny i gdy te już się naprężyły, zeskoczyłem sekundzie samochodu. W sekundzie później land - rover oderwał się od ziemi, pokołysał się trochę i powędrował do góry. Siergiej imitując załadunek, obrócił wysięgnikami samochód znalazł się po przeciwnej stronie, huśtając się miarowo nad wodą.

Z niepokojem patrzyłem na tę scenę, bojąc się o wytrzymałość pasów, ale nic się nie wydarzyło i land - rover po chwili wylądował z powrotem na ziemi.

- Hurr! Hurr! - darł się Jakut wniebogłosy. Ja również się cieszyłem i po chwili ściskaliśmy się wzajemnie już na brzegu.

- Zaraz to uczymy - powiedział Siergiej, po czym udał się na pokład dźwigu, skąd przyniósł butelkę wódki. Czy można w takiej doniosłej chwili odmówić? Zaraz odpowiem na to pytanie - można, ale nie na terenie Rosji, bo odmową zrobi się z siebie całkowitego idiotę...

Do końca dnia godziny upłynęły nam w szczęściu i zadowoleniu. Siergiej był do tego stopnia „szczęśliwy”, że nie zaryzykował dostania się na pokład dźwigu i po prostu spał ze mną w namiocie.

Następnego dnia rozważaliśmy możliwość dowiedzenia się z jakichś źródeł, czy z dołu rzeki coś płynie. Obliczyliśmy dni i okazało się, że za trzy dni będzie koło nas przepływała „Rakieta”. Siergiej był zdania, że nie podpłyną do dźwigu, bo wiedzą, że należy do kołchozu. Nie pytałem dlaczego, ponieważ sprawa była mi już znana. Zaproponowałem wówczas, ażeby w chwili, kiedy „Rakieta” pojawi się na horyzoncie, wypłynąć łodzią na środek rzeki i machając czymś widocznym, zmusić ich do zatrzymania. Następnie wyjawić całą sprawę i dowiedzieć się w ten sposób, jak wygląda sytuacja w dole rzeki. Jakut też był zdania, że będzie to najlepsze wyjście z sytuacji i tak już pozostało. Siergiej po chwili zadumy miał jednak pewną uwagę. Uważał, że lepiej będzie, jak ja wypłynę, gdyż twierdził, że jeżeli zobaczą jego głowę przez lornetkę, to pomyślą, że jest pijany i ominą go szerokim kołem...

- Dobra, niech będzie - zgodziłem się.

- Och - westchnął dźwigowy - gdybym znał się na radiu, to nie byłoby potrzebne całe to przedstawienie.

- Jakim radiu? - zapytałem.

- No, takim jakie są na statkach - odparł. - Jest jedno takie na dźwigu, ale leży jeszcze w skrzyni - dodał.

- Siergiej - mówię - nie wynaleziono jeszcze pocisków przeciwpancernych zdolnych do przebicia takich zakutych łbów jak twój. Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałaś?

- Bo nie pytałeś, a po drugie - jest jeszcze wiele innych rzeczy na dźwigu, na przykład rakieta - powiedział z przekąsem.

Tego już było za wiele - udawałem, że się wściekam, a w duszy się radowałem. Siergieja bardzo polubiłem, ale tak bardzo jak go lubiłem, tak bardzo miałem ochotę mu dokuczać.

Popłynęliśmy do dźwigu i wydostaliśmy na pokład skrzynię z radiostacją. Po otwarciu wieka okazało się, że urządzenie jest opakowane jeszcze w folię. Była też instrukcja. Automatycznie wziąłem ją do ręki i zacząłem czytać. Po chwili jednak dotarło do mnie, że jest w języku niemieckim... Okazało się, że została wydrukowana w Rostocku jeszcze za czasów NRD. Radiostacja była kompletna, brakowało tylko anteny. Siergiej przypomniał sobie jednak, że pod pokładem jest jeszcze jedno długie opakowanie i po chwili przyniósł je na pokład. Okazało się, że to antena oraz stojak do jej montowania. Wszystkie kable i wtyczki były już zamocowane. Z instrukcji wynikało, że urządzenie mogło być zasilane na 12 V lub 24 V i nawet oznaczony był do tego stosowny przełącznik. Ostro wzięliśmy się za montaż i po jakimś czasie wszystko było już na swoim miejscu. Na końcu wymontowałem z land - rovera jeden z dwóch posiadanych akumulatorów i po chwili słychać już było w głośnikach jednostajny szum.

Oznaczało to, że radiostacja pracuje. Teraz gruntownie i z uwagą przestudiowałem instrukcję nadawania i odbioru. Pojąłem wszystko i do uwieńczenia sukcesu była mi potrzebna tylko częstotliwość, na jakiej pracują radiostacje jednostek pływających po rzekach Syberii. Siergieja wysiałem ponownie pod pokład i kazałem przynieść sobie wszystkie dokumenty, jakie tam znajdzie. Miałem bowiem nadzieję, że może i ta informacja znajduje się w zasięgu ręki. Sam w tym czasie wolno przełączałem kanały, ale wszędzie panowała cisza.

Po chwili pojawił się z różnymi dokumentami, ale, niestety, wszystkie dotyczyły obsługi dźwigu i silników. Nie dałem za wygraną i dalej kręciłem przełącznikiem kanałów, ale na każdym był tylko szum. Miałem szczerą wątpliwość, czy dobrze wszystko zamontowałem. Sprawdziłem jeszcze raz, ale wszystko się zgadzało. Nie było innego wyjścia, tylko czekać i gdy coś na rzece się pojawi, przełączać z kanału na kanał i wołać. Przydałby się teraz znajomy stary kapitan, ale jego pływający dom stał zbyt daleko.

Znów losowanie dyżurów nocnych. Myśl o radiostacji sprawiła, że poszedłem spać niepocieszony.

Następnego dnia od samego rana tkwiłem już na pokładzie dźwigu, obracając co chwilę przełącznikami kanałów. Siergiej nie mając nic innego do roboty, siedział ze mną. Zapytałem go, czy nie martwi się o syna, który przepadł bez śladu w lesie. Azjata spojrział na mnie z wyrzutem. - On urodzony w tajdze i zna ją lepiej ode mnie. W tym stwierdzeniu było zawarte wszystko, więc więcej nie pytałem.

Około południa dostrzegliśmy dużą łódź motorową płynącą szybko w naszą stronę. Płynęła w dół rzeki. Wziąłem lornetkę do ręki, chcąc zobaczyć, kogo niebiosa zsyłają, ale Siergiej powstrzymał mnie ręką, mówiąc: - To komendant - poznaję po silniku. Spojrzałem, i rzeczywiście, na łodzi znajdował się komendant z całą świtą. Tego jeszcze brakowało...

Jadą obejrzyć listy uwierzytelniające i polecające od rządu Rosji i samego Jelcyna - pomyślałem. Mogło być jeszcze gorzej. Może coś sprawdzili i połapali się, że zostali zrobieni w konia.

Gorąco mi się zrobiło, ale wnet się opamiętałem. Widząc, że Jakut bacznie obserwuje moje zachowanie, głośno wyraziłem pogląd, że strasznie nie lubię mundurów, a milicyjnych szczególnie.

Siergiej ucieszył się bardzo, słysząc te słowa i mrużąc porozumiewawczo oko, podał mi swą chropowatą rękę. Mam sprzymierzeńca - pomyślałem. Po chwili goście byli już na brzegu. Razem przybyło pięć osób. Komendant, baba szczurooficer, jakiś facet w garniturze, który okazał się przewodniczącym kolchozu : dwie osoby stanowiące chyba załogę motorówki. Stroje tych ostatnich były podobne ubioru, jaki nosił Siergiej i swym brudem bardzo kontrastowały z lśniącej nowością mundurami. Wyszedłem naprzeciw, by przywitać gości i jednocześnie podziękować w imieniu ekspedycji za okazaną pomoc.

- Ależ to drobnostka - odparł komendant - u nas gość zawsze może liczyć na naszą życzliwość. Doświadczyłem już tego - pomyślałem spoglądając wymownie na szczura - oficera. Bystre oczy komendanta zauważyły to, a oślizły stwór nie miał nawet odwagi spojrzeć w moją stronę, tylko z poznawczym zainteresowaniem oglądał przybrzeżny piasek. Komendant przedstawił przybyłe osoby i nadmienił, że troska nas nie pozwoliła mu spokojnie urzędować, musiał więc przy płynąć i osobiście zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

Teraz przyszła kolej na mnie i ja zachwalałem ich organizację pracy, fachowość, życzliwość i poświęcenie. Zaznaczyłem też, iż nie omieszkać o tym wszystkim powiedzieć, gdzie trzeba...

Po wymianie grzeczności zrobiła się luźniejsza atmosfera i komendant pozwolił sobie na zdjęcie czapki i poluzowanie krawata. Skinął na ludzi stojących koło łodzi i wyniesiono na brzeg kosze, jak się domyśliłem, z żarciem i chlaniem. Nie zapomniano nawet o kocach, bo przecież komendanta kuper nie był zwyczajny siadać Ina ziemi. - Może coś przekąsimy - zaproponował komendant, zapraszając wszystkich na piknik.

Komendant wraz ze świtą przywiózł z sobą to, co jada na co dzień mieszkańiec Bułunu... Kawior, suche kielbasy, konfitury oraz wiele innych łakoci. Znalazła się butelka gruzińskiego koniaku. Zastawa różniła się też zasadniczo od widywanych rosyjskich domach. Nie jakieś musztardówki czy słoiki po marmoladzie, lecz prawdziwe szklanki. Ohydny, szpecący krajobraz wybryk natury, czyli kobieta oficer pełniła rolę gospodyniokelnerki.

Komendant zaproponował po koniaczku. - A może tak po naszymu - wódeczkę lepiej? - zaproponowałem. - No... widzę, że pan to swój chłop - cieszył się komendant, klepiąc mnie poufale po plecach. Było och i ach... No to „na zdrowie” po jednym, po drugim, po piątym... i już wszyscy byli rozluźnieni.

Siergiej oraz panowie z obsługi motorówki okazali się abstynentami nieznającymi smaku alkoholu i gdy komendant wznosił toast, to na znak solidarności z pijącymi popijali wodę z rzeki...

Komendant opowiadał, że ostatnio jest tak zapracowany, że śpi tylko cztery godziny na dobę. Wierzyłem mu, ponieważ w Bułunie jest cała rzesza złodziei i niebezpiecznych bandytów: złodzieje w nocy włamują się do licznych w tej miejscowości ekskluzywnych sklepów i bogatych willi z basenami. Bandyci natomiast napadają na banki, sklepy jubilerskie, a po drodze, by nie robić pustych przebiegów, wytrząsają przechodniom z kieszeni duże sumy pieniędzy, które każdy mieszkaniec kołchozu w pokaźnych ilościach nosi przy sobie... Biedny komendant, ten się napracuje...

Po jakimś czasie poszedłem za potrzebą w pobliskie krzaki. Komendant tylko na to czekał i natychmiast dołączy! do mnie. Po zakończeniu czynności związanych z nagłą potrzebą fizjologiczną, poprosił mnie na słówko na bok.

- Tak właśnie - powiada, on przybył tu, by w imieniu żony przeprosić za incydent, który miał miejsce na korytarzu.

A więc rodzinnie sprawuje się władzę - pomyślałem.

- Żona jak to baba - ciągnął komendant - głupia nie poznała, że pan „od samej góry”. Ot, głupie babsko i tyle. Prosił, abym zapomniał i wybaczył jak człowiek człowiekowi.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałem - ja rozumiem, macie tyle pracy, to i

nerwy czasami zawiodą...

- Tak, to wszystko przez nawal pracy - przyznał komendant. - Proszę, niech pan chociaż do niej się uśmiechnie, ona z przejęcia parę nocy nie spała.

Też bym nie spał, mając w perspektywie zamianę munduru na kufajkę, a co za tym idzie, długopisu na widły. Och, jaka szkoda, że nie znam naprawdę Jelcyna...

Wróciliśmy do „stołu”. Teraz dopiero mogłem sobie pozwalać, znając przyczynę odwiedzin życzliwej władzy.

- Ładną ma pani sukienkę - zacząłem - gdzie pani ją szyła?

- To z przydziału - odpowiedziała, uśmiechając się, a uśmiech jej był podobny do uśmiechów, które można zobaczyć najczęściej w prosektorium i kostnicy.

Później zapytałem, czy pracowała kiedyś w obyczajówce. Nie bardzo wiedziała, o co chodzi, więc zapytałem czy w Bułunie ma kłopoty z prostytutkami. Niestety, mysli jej mózg nie znał tego określenia. Więc nazwałem sprawę po imieniu i wtedy dopiero otrzymałem wyczerpującą odpowiedź.

- Tak, były takie. Wymieniła parę nazwisk i okoliczności z tym związanych.

Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że los okazał się dla mej bardziej okrutny niż dla innych. Bozia nie tylko pokarała ją urodą, ale poskąpiła również rozumu.

Dałem jej już spokój. Komendantowi widzącemu rozmawiających nas ze sobą, spadł kamień ostatecznie z serca i zaczął nawet podśpiewywać cicho. Obawiałem się, że komendant ze świtą zechce pozostać do jutra i wtedy mogłaby zrobić się niezręczna sytuacja. Przepływający „Rakieta” mogliby zobaczyć nas razem. Nie zatrzymaliby się na pewno, a dodatkowo wiadomość ta mogłaby pójść w eter, powodując, że solidarna syberyjskich marynarzy pozdrawiałaby nas tylko syreną... Dałem więc do zrozumienia, że czeka mnie jeszcze dzisiaj dużo pracy, gdyż muszę uzupełnić bardzo ważną zaniedbaną dokumentację podróży. Towarzystwo zrozumiało, o dziwo, aluzję, i zbierało się do domu. Odezwał się jeszcze milczący dotychczas przewodniczący kołchozu, który tłumaczył, że gdyby ich wcześniej o moim przyjeździe powiadomiono, nie wysyłaliby wszystkich barek w dół rzeki, tylko zostawili jeden skład pływający kołchozie i teraz nie byłoby takiej niezręcznej sytuacji. Komendant wyczałował wszystkich na pożegnanie, a mnie zapraszał o każdej porze dnia i nocy do siebie. Na końcu poprosił mnie jeszcze na bok i wręczył mi karteczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem, prosząc, jeśli będę gdzieś pisał... to żebym umieścił tam jego nazwisko. Obiecałem mu to, więc spełniam jego życzenie. Komendant nazywał się Betoszkin Anatolij Nikołajewicz.

Smakosze wody źródlanej uruchomili potężny silnik i delegacja władz Bułunu spełnieniu obowiązku względem drugiego człowieka popłynęła na zasłużony odpoczynek

do domu...

Popatrzyłem za komendantem i jego świtą i pomyślałem, że pierwszy raz na terenie Rosji spotkałem takie ludzkie kanalie. Jak już poprzednio wspomniałem, czas dyktatury i złe pojętego komunizmu na dalekiej Syberii nie zmieniły się od lat trzydziestych. Taki komendant w tej zapadłej mieścinie pełniąc swą funkcję był dla jej mieszkańców dalej panem życia i śmierci.

W kraju tym w nie tak dawnej przeszłości wszystko, co żyło, to żyło dlatego było tolerowane, a nie dlatego, że miało prawo do życia. W setkach, a nawet tysiącach syberyjskich „Bułunów” jest tak, niestety, do dzisiaj. Mieszkańcy to przecież większości byli skazańcy, którzy z braku innej możliwości po prostu osiedlili się miejscu, gdzie odbywali karę. Oni dobrze zakodowali wygląd munduru i mają związek z nim odpowiednie skojarzenia.

Komendant jednak bądź co bądź mi pomógł, dlaczego więc jestem taki niewdzięczny? Ponieważ odróżniam pomoc od pomocy. Zdaję sobie sprawę, że bez szczerzej, bezinteresownej życzliwości ludzi zamieszkujących Syberię nie dojechałbym do Ałdanu. Ale ludzie, którzy mi udzielali pomocy, nie przyjęli ode mnie pieniędzy, chociaż chciałem im je dać, nie prosili o mój adres, również nie wręczali swojego, prosząc, bym po powrocie na Zachód nie zapomniał o nich...

W wypadku pana komendanta było inaczej. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności powstał nieprzyjemny incydent, który swą „miłością do bliźniego” spowodowała sekretarka komendanta, będąca również jego żoną. Jej zbyt mało rozwinięte zwoje mózgowo zbyte późno zarejestrowały fakt, że nie jestem mieszkańcem jej „królestwa”. Ponieważ mózg mężczyzny jest większy od mózgu kobiety, a co za tym idzie - bardziej rozwinięty, komendant szybciej ocenił sytuację. Ktoś obcy znajdował się w jego „państwie”, a to niczego dobrego nie wróżyła. Żona była z mężem na tyle szczerą, że opowiedziała mu cały incydent z detalami. Rozmowa, jaką przeprowadził ze mną w swoim biurze, tylko utwierdziła go w złym przeczuciu. Plama była na całego! Zorganizowana naprędce pomoc miała załagodzić powstałą sytuację. Komendant był na tyle przezorny, że nie dopuścił mnie przed forum zarządu kolchozu, ponieważ mógł znaleźć się ktoś mądry w tym gronie i postawić „veto”, bo cóż ma kolchoz do ekspedycji. A taki obrót sprawy, w jego mniemaniu, mógł kosztować go posadę. Komendant zadziałał więc jak stary taktyk, czyli przez zaskoczenie. Rozpuścił wiadomość, że jestem dobrym znajomym samego Jelcyna, eliminując w ten sposób wszelkie domniemane sprzeciwy. Dopiął swego, organizując nam dźwig, ale mogło to nie wystarczyć. To on, a nie żona, nie spał po nocach. Dlatego w parę dni później zjawił się u mnie, by się upewnić, że nic mu z mojej strony już nie grozi. W

związku z tym nie nazywam tej całej akcji pomocą. Komendant po prostu bronił swojej skóry. Kto wobec tego pomógł? Ludzie z kolchozu? To już sprawa dłuższej polemiki, a w chwili obecnej przyjmijmy, że pomogła po prostu Opatrzność Boska.

Wieczorem powrócił z lasu syn dźwigowego. Przyniósł dziki czosnek i cebulę oraz całą torbę brusznicy, owocu podobnego do żurawiny. Przyniósł również jakieś dwa nieduże zwierzaki, już obrane ze skóry i wypatroszone. Powiedział, jak się nazywają, ale nazwa była jakucka, nie mi nie mówiła, więc zostałem nieświadomy co do gatunku denatów. Dowiedziałem się tylko, że żyją w ziemi i złapał je we własnoręcznie zrobione wnyki. Obrął ze skóry i osolił, aby się mięso nie popsulo. Zwierzę było za małe na królika, a na wiewiórkę za duże...

Po upieczeniu próbowali mnie tym poczęstować, ale uprzejmie podziękowałem, a Jakuci widać byli mi za to wdzięczni. Późnym wieczorem jeszcze przed pójściem na spoczynek przesłuchałem wszystkie kanały radiostacji, ale wszędzie słychać było tylko jednostajny szum.

Następnego dnia od rana siedzieliśmy z Siergiejem na pokładzie dźwigu, wsłuchując się w ciszę. Lada chwila mogła płynąć „Rakieta”. Na wszelki wypadek łódź wiosłową zacumowaliśmy przy burcie, aby w każdej chwili móc zastosować uzgodniony wcześniej drugi wariant. Moja czerwona kurtka zataczająca kręgi nad głową miała spowodować zatrzymanie wodolotu. Jednak w wypadku, gdyby wodolot nie zamierzał się zatrzymać, Siergiej miał wystrzelić czerwoną raketę. Plan więc był gotowy i dopracowany, czekaliśmy tylko na realizację. Siedzieliśmy więc i dyskutowaliśmy praktycznie o wszystkim, czyli o niczym.

Raptem Siergiej przerwał w pół zdania i powiedział: - Płynie. Cały zamieniłem się w słuch, ale niczego prócz szmeru wody nie usłyszałem. - Wydawało ci się - mówię. Popatrzył na mnie jak na upośledzonego i bardzo się zdziwił, że nic nie słyszę. Dopiero po dłuższej chwili ucho moje wyłowiło obcy w tym otoczeniu dźwięk. Wodolot jednak znajdował się jeszcze bardzo daleko. Dосkoczyłem do radiostacji i wolno przekręcając przełącznikiem kanałów, powtarzałem: „Halo «Rakieta», halo «Rakieta»...” Starłem się robić to bardzo wolno, by dać sternikowi czas na dojście do radia i odebranie wołania. Powtarzałem to na każdym kanale, ale, niestety, nikt nie odpowiadał - panowała cisza. Ponieważ „Rakieta” była niewidoczna i znajdowała się jeszcze w znacznej odległości, ponowiłem całą czynność, ale entuzjazm mnie opuścił. Wtem zaskrzypiał głośnik: - ... Kto mnie woła? - Ja wołam!!! - krzyczę. Zdaję sobie jednak w tej chwili sprawę, że nie znam obowiązujących procedur radiowych i obawiam się, że sternik z „Rakiety” po prostu potraktuje to jak głupi kawał i wyłączy radiostację. - Halo „Rakieta”... - potrzebuję waszej

pomocy, jeszcze was nie widzę, ale już dobrze słyszę - krzyczę do mikrofonu. - Dobrze, ale nie wrzeszcz tak, bo mi głośnik rozwali - odzywa się już sympatycznym głosem. - Gdzie jeste i co się dzieje? - Stoję samochodem na skarpie i ... - Wiem, wiem, kolega mi o was powiadał - przerwał mi w pół zdania. - W czym wam pomóc? - zapytał. - Mamy dźwig i chcieliśmy się dowiedzieć, czy w górę rzeki coś płynie - zapytałem i w tym momencie zauważyłem wodolot wyłaniający się zza zakrętu. - Podpłynę do was - powiedział głos i łączność się przerwała.

Po chwili „Rakieta” wolno już dopływała do burty dźwigu, a ja z Siergiejem staliśmy w pogotowiu, by przyjąć cumy.

- Gdzie was tu przygnało? - powiedział uśmiechnięty kapitan, witając się z nami. Krótko opowiedziałem, skąd jadę i dokąd chcę. - Macie szczęście, z dołu płynie słownik z dwiema barkami, na jednej stoją już jakieś samochody, ale druga jest pusta - powiedział kapitan. - Jak daleko są? - zapytałem, promieniejąc nadzieją. Nawet niedaleko, ale szybko do was nie dopłyną, bo dzisiaj jest Dzień Marynarza śródlądowego i pewnie dobiją gdzieś do brzegu i będą pili. Nie wiadomo tylko jak długo... Jak ich wyprzedzałem, to już mnie przez radio zapraszali na szklaneczkę tej okazji, ale ja sobie to święto urządzę w Chandydze - śmiał się kapitan. - Czy można się z nimi porozumieć przez radio? Ruchu na rzece nie ma, szkoda więc akumulatora - dodał. - Spróbować możecie - wołajcie „Czaroit” - tak się nazywa holownik. Widząc, że ma zamiar już odpływać, poprosiłem go jeszcze, by zaczekał jedną minutkę. Dostałem się szybko łodzią na brzeg i dobrałem się do skrzyni zaopatrzeniem. Do pierwszej siatki, która była pod ręką włożyłem dwie butelki wódki i kilka konserw. Trzecią butelkę schowałem za pazuchę i po chwili byłem znów na dźwigu.

W dniu marynarza składamy najserdeczniejsze życzenia... - wyrecytowałem Poręczając kapitanowi butelkę wódki „Moskiewskiej” (tej od komendanta). - Mam leszcze jedną prośbę, wiem, że zawitacie do starego kapitana, dajcie mu tę siateczkę od nas na dzień marynarza... - poprosiłem. - Załatwione - powiedział kapitan i się pożegnaliśmy. Wodolot odpłynął, a powstałe za nim fale rozhuśtały cały dźwig. Miałem ochotę natychmiast udać się łodzią w dół rzeki na spotkanie płynącej lub stojącej przy brzegu barki. Przemyślałem jednak sprawę i doszedłem do wniosku, że mogę sprawę przedobrzyć. Nie byłem pewien, jak przyjmą mnie ludzie na barce, może podobnie jak kobieta oficer? Nie dowiedziałem się też, ile mniej więcej kilometrów znajdują się od tego miejsca.

Jak już wspomniałem „niedaleko” na Syberii może oznaczać pięćdziesiąt, pięćset lub tysiąc pięćset kilometrów... Najważniejsze jednak było, że coś płynie w naszym kierunku. Od tej chwili już patrzyliśmy tylko w jedną stronę - w dół rzeki.

Tego wieczoru Siergiej wyciągnął spod pokładu sieć i oznajmił, że dzisiaj na kolację będą ryby. Był pewien, że najlepszy efekt połowu osiągniemy, zarzucając sieć w pobliżu ujścia małej rzeczki do Aldanu. Wsiadliśmy więc do łodzi i tam podpłynęliśmy. Siergiej jeden koniec sieci pozostawił na brzegu, tam gdzie staliśmy, a resztę ułożył starannie na rufie łódki. Młody Jakut chwycił za wiosła i ile sił w ramionach popłynął w kierunku przeciwległego brzegu. Podczas gdy przeprowiał się na drugą stronę, ułożona na łodzi sieć systematycznie opadała do wody, grodząc w ten sposób rzeczkę. Następnie idąc brzegiem podciągnął łódkę „pod prąd”, wskoczył do niej i korzystając z nurtu rzeki powrócił na brzeg, a wraz z nim druga końcówka sieci. Chciałem już ciągnąć, ale Siergiej powstrzymał mnie ruchem ręki, oświadczając, że jest dzisiaj wyjątkowo głodny i potrzebuje więcej ryb.

- Na długość papierosa - powiedział, częstując mnie mocnym bezfiltrowym papierosem.

Wreszcie zaciągnęliśmy sieć. Początkowo szło nawet lekko, później nieco ciężiej, a następnie zapieraliśmy się już nogami, pochylając ciała na zasadzie przeciwwagi. - Przez tydzień tego nie zjemy - krzychałem, widząc efekt połowu wynurzający się powoli z wody. Wreszcie zdobycz była na brzegu. Ryby rzucały się jak oszalałe i trudno było je złapać w rękę. Prawie połowa gatunków była mi nieznana. Ze znanych rozróżniłem szczupaki, okonie, karasie i sielawy. Były też dwa jesiotry i dopiero teraz miałem okazję przyjrzeć się im z bliska. Siergiej widząc, że mnie zaciekawili, powiedział, że u nich mówią na to ryba - garnek, ponieważ piecze się ją we własnej skorupie. Dotknąłem i ryba ta posiadała rzeczywiście pancierz twardy jak drewno.

Część ryb Jakuci wrzucili z powrotem do rzeki, oświadczając, że są niesmaczne. Wśród nich zauważyłem złowioną przeze mnie przed kilkoma dniami czerwoną rybę. Gdy spytałem o nią, Siergiej odpowiedział, że jej to nawet najbardziej wygłodniały pies we wsi nie zje...

Powróciliśmy do obozu. Jakuci zajęli się patroszeniem ryb, ja tymczasem dołożyłem do ognia sporo drewna, które po spaleniu miało zapewnić dużo ciepła. Gdy ryby zostały oczyszczone, część przeznaczyli do natychmiastowego zjedzenia, a pozostałą do suszenia. Te ponawlekali na druty i przesadnie mocno osolili. Tak przygotowane „sznurki” rozwieszono w przewiewnym słonecznym miejscu. Jutrzejsze słońce miało dokończyć dzieła. - Dobrze suszona ryba jest dobra do zjedzenia przez parę lat, a właściwie to już nigdy się nie popsuje - powiedział Siergiej:

- Czy wszystkie gatunki można suszyć? - zapytałem.

- Zasuszyć można wszystko, nawet ciebie można zasuszyć. To tylko kwestia, gdzie powiesić. Ciebie na przykład powiesiłbym tam u góry - powiedział, wskazując ręką najwyżej znajdującą się część dźwigu - bo tam jest przewiewnie.

Widzę, że twarz mu promienieje, a jego docinki mają bardzo przyjazny charakter. - Oj, bo powiem komendantowi... - powiadam, grożąc mu palcem.

- Wielka mi ekspedycja - ciągnie Siergiej - gdybym ryb nie nałapał, to byś z głodu umarł - przekomarzał się.

- Ciebie Siergiej koniecznie muszę przemycić na Zachód - mówię. - Zarobię na tobie kupę pieniędzy. Zbuduję klatkę na przyczepie samochodowej, wsadzę cię do niej i będę jeździł od miasta do miasta i ludziom pokazywał. Ty wiesz, jaka będzie sensacja - mówię. - Na klatce będzie wisiała tablica „To jest Jakut...”, będzie też mapka, ażeby ludzie wiedzieli, jakie tereny zamieszkujesz. Obok niej zawieszę drugą, a wiesz co będzie tam napisane? Siergiej kiwnął głową, że nic wie. - „Karmienie Jakuta surowo wzbronione”. Nie dlatego, że ci żałuję, tylko dla twojego dobra. Na Zachodzie są takie rzeczy do jedzenia, że twój żołądek przyzwyczajony tylko do ryb doznałby szoku. Później twój stan jeszcze bardziej by się pogorszył i dostałbyś skrętu kiszek...

- Ma się rozumieć - ciągnąłem dalej, że nie głodziłbym cię, ale karmiłbym tylko rybami...

Przekomarzaliśmy się jeszcze dobrą chwilę, zrywając przy tym boki ze śmiechu. Na kolację oczywiście zjadaliśmy ryby. Ponieważ było ich pod dostatkiem, każdy przyrządzał je na wymyślony przez siebie sposób. Były: z różną, pieczone, smażone, kopcone, zasypane w popiele, a Siergiej zapomniawszy o moim dowcipie, zjadł jedną na surowo. Tarzaliśmy się wszyscy ze śmiechu, a ja ze łzami w oczach powiedziałem mu, ażeby nie brał mojej propozycji wystawienniczej tak bardzo na serio... Zdecydowanie tematem tego wieczoru były ryby. Siergiej przekonywał, że gdyby nie było ryb pod dostatkiem, to połowa ludności zamieszkującej Syberię umarłaby po prostu z głodu. Przyznał się też, że kłusuje w tajdze, bo od czasu do czasu ma ochotę na coś innego niż ryba. Na końcu wywodu wyznał, że „oficjalne” mięso ostatni raz jadł chyba przed dziesięcioma laty. Wiedziałem, że w tym co mówił nie było ani krzty przesady. Po wesołej kolacji spróbowałem jeszcze nawiązać kontakt radiowy z „Czaroitem”, ale bezskutecznie. Kapitan wodolotu miał rację. Mieli radio wyłączone i pewnie używali go tylko wtedy, jeśli mijali jakiś statek lub znajdowali się blisko portu. Siergiej przypomniał, że dzisiaj jest dzień „Reczftotu” i był pewien, że żaden szanujący się rosyjski marynarz nie pływa po wodach syberyjskich rzek. Był też zdania, że wszystkie pływające jednostki dobiły gdzieś do brzegu, a ich załogi świętują...

- Siergiej, czy ty przypadkiem, pracując na pływającym dźwigu, nie zaliczasz się do marynarzy? - zapytałem.

Skośnooka szelma pojęła w lot, o co chodzi. - Dobra, przywiążę sznurkiem i wrzucę do wody, niech się chłodzi - powiada.

Tej nocy z wiadomych względów spałem na dźwigu, uważałem bowiem, że próba przedostania na ląd mogłaby zakończyć się tragicznie...

Ranek okazał się chłodny i deszczowy. Spodziewaliśmy się lada chwila barki z dołu rzeki. Zbędny sprzęt został już spakowany do samochodu. Byliśmy w pogotowiu i dosłownie w pięć minut mogliśmy być gotowi do załadunku na statek. Wszystkie „prezenty” od komendanta podarowałem Siergiejowi, ostrzegając go jednak, że będzie z nim krucho, jak dowie się o tym władza kolchozu. Radziłem mu nawet, gdzie ma to pochować na dźwigu. Siergiej nie podzielał jednak mojego zdania, uważając, że do czasu, kiedy znajdzie się z powrotem we wsi, zdąży już wszystko zjeść. Uznał bowiem, że jeszcze po naszym odpłynięciu pozostanie tu przynajmniej dwa tygodnie, ponieważ - jak twierdził - nikt z kolchozu się nie ruszy prędzej po dźwig, nim nie minę Bułunu. Tylko samą podróż dźwigiem z powrotem w górę rzeki określił na minimum pięć dni. - Dźwig szeroki, a holownik za słaby - tłumaczył. Przyznałem mu rację, upominając jednak, by dla swojego dobra pamiętał o przestrodze.

Dzień dłużył się niesamowicie. Kręciłem się już niespokojnie i co chwilę nasłuchiwałem. - Niestety, spędzę tu jeszcze jedną, noc - stwierdziłem, i aby to była tylko jedna...

Pomyślałem o biednym Siergieju, który będzie musiał jeszcze spędzić tu tyle dni i zaproponowałem mu, aby popłynął ze mną barką do Bułunu. - Przecież twoja obecność nie jest potrzebna w czasie holowania - motywowałem. - Siergiej aż dostał gęziej skórki. - Ty naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś. Tu w Rosji można robić dużo różnych rzeczy, których na przykład u was nie można, ale o wiele więcej rzeczy tu nie można robić. Za taki numer nie wyszedłbym z pierdła do końca życia. Czy ty wiesz, ile by się znalazło na to paragrafów? Nie będę pomagał komendantowi wykonywać planu - odparł.

Zauważyłem, że pierwszy raz się nie uśmiecha. Miał rację. Czas na Syberii dawno się już zatrzymał i nawet pierestrojka nie zdołała go ruszyć.

Podobnie jak poprzednich wieczorów drogą losowania ustaliliśmy kolejność pełnienia dyżurów.

O czwartej nad ranem obudził mnie młody Jakut i mówi: - Płyną. Wygramoliłem się z namiotu, patrzę i oczom nie wierzę. Płynie w naszym kierunku barka! Boże, żeby tylko mnie zabrali - pomyślałem i ruszyłem do łodzi. Następnie przedostałem się do radiostacji i zacząłem wołać „Halo «Czaroit», halo «Czaroit»...” - Niestety, cisza. Wróciłem więc pospiesznie na brzeg, uruchomiłem land - rovera, włączyłem wszystkie światła i dodatkowo pomarańczowego „koguta”. Na dworze było szaro, więc na pewno zauważą światła - rozumowałem. Barka jednak dalej płynęła swoim kursem i nie odpowiedział nam

żaden sygnał. Była jeszcze co prawda daleko, ale już zacząłem się zastanawiać, co zrobić, aby ją zatrzymać. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Wziąłem lornetkę i zacząłem się przyglądać. Zauważyłem, że jest to skład pływający złożony z dwóch równolegle połączonych ze sobą barek. Całość pchał niewielki holownik. Na jednej z barek zauważam stojące samochody, druga zaś płynęła całkiem pusta. Widzę też sternika. Przygląda się nam przez lornetkę. Pozdrowiłem go kiwnięciem ręki, a on to zauważył i w ten sam sposób mi odpowiedział. Widząc, że nas obserwuje, pomachałem jeszcze raz i wskazałem ręką land - rovera. W tym momencie sternik zaczął kręcić kołem w prawo i skierował cały skład w naszym kierunku. - Hurra! hurra! - rozległo się wielogłosowym echem po tajdze. Siergiej chciał już biec i uruchamiać silnik dźwigu, ale go powstrzymałem, tłumacząc, że wypada najpierw zapytać.

Barka bardzo wolno płynęła i minęło jeszcze sporo czasu, zanim zbliżyła się do dźwigu. Na pokładzie znajdowały się cztery osoby i dwa samochody. Rzucono cumy i po chwili dźwig stanowił już jedność z barką. Przeskoczyłem przez burty i pobiegłem do sterówki. W chwilę później stałem przed kapitanem. Nie zdążyłem jeszcze się odezwać, a ten już wyciągnął rękę na powitanie i od razu zapytał: - Dokąd chcecie? - Do Chandygi - odpowiadam, a w duchu się boję, czy mnie tak daleko zabierze. - Dobra, ładujemy - powiada - później będzie mnóstwo czasu, to zdążymy się nagadać.

Siergiej siedział już w kabinie operatora. Zdążył uruchomić silnik, kiedy jeszcze znajdowałem się w drodze do kapitana. Obraca już ramieniem dźwigu. Gdzie się tak spieszy, cholerny Azjata - pomyślałem, przeprawiając się na brzeg. Wskakuję na samochód i zaczepiam zblocze. Chcę jeszcze wszystko sprawdzić, ale land - rover już oderwał się od ziemi. Ledwo udało mi się zeskoczyć. W euforii Siergiej podniósł go za wysoko, ale poprawił błąd, opuszczając zaraz niżej. Następnie wysięgnikiem skrzył w niewłaściwą stronę i o mało nie zawadziłby land - roverem o holownik. Cudem jednak koła samochodu przeszły tuż nad masztami.

Jakucki horror trwał jednak dalej. Teraz bowiem opuszczał samochód dokładnie na dachy pojazdów stojących na pokładzie. Dzięki Bogu miał dobry słuch i w porę dosłyszał gwizdanie z dołu. Zatrzymał urządzenie, przyjrzał się uważniej i dopiero teraz pochylił wysięgnik, a samochód szczęśliwie osiadł na podwoziu. - Uff - wszyscy odetchnęli z ulgą. Siergiej natomiast wyszedł z kabiny i pyta, czy jest dobrze, a może go trochę dalej przestawić? - Neeeeee! Wszystko jest w porządku - krzyczę i pospiesznie odczepiam linę. Teraz dopiero odetchnąłem. - Zdałeś egzamin na piątkę - mówię do zbliżającego się Siergieja. Ucieszył się bardzo z mojej pochwały, bo w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wydarzyło. Siergiej po prostu nie umiał właściwie ocenić odległości z wysoko

położonej kabiny.

Pożegnałem Siergieja tak jak się żegna starego przyjaciela. Chciałem mu dać pewną sumę pieniędzy, które zawczasu przygotowałem dla niego, ale tak się oburzył, że aż było widać złość na jego twarzy. Znów ogarnęło mnie to cholerne uczucie mówiące, że już nie zobaczę tego człowieka. Dla mnie świat ponownie stanął otworem, jego natomiast stał ciągle w tym samym miejscu. Polubiłem bardzo tego upartego Jakuta i naprawdę niemiłe było to pożegnanie. W ostatnim momencie przyniósł jeszcze zapomniany przeze mnie akumulator. Później długo stał przy ringu i machał mi na pożegnanie.

Gdybym mógł, to zabrałbym cię ze sobą na ten Zachód - pomyślałem.

Odcumowaliśmy i ruszyliśmy w górę rzeki. Natychmiast przedostałem się do kapitana. - Chciałbym jeszcze raz podziękować, że pan mnie zabrał ze sobą, proszę powiedzieć, ile się należy, to zaraz ureguluję - mówię, stojąc obok niego w sterówce. - Niech się pan tak nie spieszy z zapłatą, przed nami jeszcze parę dni drogi. Przyjdzie na wszystko czas. Będziemy na miejscu, to porozmawiamy na ten temat - odpowiedział. - A w ogóle nazywam się Wiktor Łarinorow - mów do mnie po prostu Witia, nie będziemy przecież sobie „panowali”. Przedstawiłem się również i od tej chwili rozmawialiśmy ze sobą per ty. Kapitan był pięćdziesięciolatkiem w pełni sił, wyglądał młodo i reprezentował okaz czysto rosyjskiej urody. Widać było, że cieszy się dobrym zdrowiem.

- Jak daleko jest do Chandygi? - zapytałem. Zastanowił się chwilę, po czym odpowiedział, że nie wie dokładnie, ale będzie około dwustu pięćdziesięciu do trzystu kilometrów. - Kiedy spodziewasz się, że tam dopłyniemy? - Niestety dopiero za cztery lub pięć dni, a to dlatego, że bardzo wolno płyniemy. Nasza prędkość nie przekracza dwóch kilometrów na godzinę. Szybkość rzeki w tym miejscu wynosi trzynaście kilometrów na godzinę - stąd ta powolność. Tutaj - wskazał miejsce na mapie - prąd rzeki jest o wiele słabszy, więc ustawię barkę za barką i będę ciągnął. Popłyniemy wówczas szybciej. - Dobrze Wiktor, nie chcę ci przeszkadzać, pójdę rozejrzeć się trochę po pokładzie i wpadnę później. Jeszcze raz dzięki, że mnie zabrałeś - powiedziałem i zszedłem na pokład.

Przywitałem się z pozostałymi, jak sądziłem, członkami załogi. Okazało się, że tylko jeden z tej czwórki należy do załogi, a pozostałych trzech jest tak jak ja pasażerami.

- Pietia jestem - przedstawił się słusznej budowy siwy mężczyzna. - My się już znamy - powiada, a widząc, że nie kojarzę znajomości wyjaśnił, że płynęliśmy jednym promem przez Lenę pod Jakuckiem. Przywitałem się też z pozostałymi znajdującymi się na pokładzie. - Sasza i Kola - przedstawili się. Okazało się, że wszyscy płyną do Chandygi.

Kiedy dowiedzieli się, że jadę do Magadanu, ucieszyli się jeszcze bardziej. Z rozmowy wynikało, że ich docelowe miejsce podróży znajduje się około tysiąca dwustu

kilometrów za Chandygą, właśnie w kierunku Magadanu.

Tak czy inaczej, wiadomo było, że od tej chwili będziemy już przez dłuższy czas razem podróżowali. Dowiedziałem się, że trudnią się handlem i transportem samochodów i właśnie są w drodze do klienta. Tłumaczyli, że w Rosji jeżeli na przykład mieszkaniec Jakucka dostał przydział lub chce zakupić nowy samochód, to musi po niego jechać do Moskwy, gdyż tylko tam się je sprzedaje. Później jeszcze musi go zabrać sobie do domu... Nie każdy jest w stanie to zrobić, więc stało się to profesją tej trójki. Przemieszczają się po całej Rosji. Podróżują w różny sposób: na kołach, pociągami, statkami, mieli również takie sytuacje, że przewozili samochody samolotami.

- Z nieba nam spadłeś - powiada Pietia i nie czekając na pytanie dlaczego, zaraz wyjaśnia. Okazało się, że z Chandygi do Magadanu jest jakaś stara droga wybudowana swego czasu przez więźniów zwana szlakiem kołymskim. Wiadomo, że nieutwardzona i pełna dołów, ale jest i przynajmniej człowiek się nie zgubi. Problem polega na tym, że na trasie znajdują się setki rzek i rzeczek, przez które nie prowadzą żadne mosty. A jeżeli jeszcze jakieś się znajdują, to są tak stare, że strach po nich pieszo chodzić... Ich szczęście, jak określił Pietia, polegało na tym, że posiadałem dobry samochód terenowy. - Jeżeli tobie się uda przejechać - powiada Pietia - to poprzeciągasz nas na drugą stronę. Wtedy mamy szansę dojechać. Zastanawialiśmy się już od kilku dni, jak ten problem rozwiązać, a tu nagle Bozia nam cię zsyła.

My natomiast w rewanżu od tej chwili będziemy robili za ciebie wszystko. Stoi? - zapytał, wyciągając rękę. - Stoi - powiedziałem i odwzajemniłem uścisk.

Petia należał do wesołków jakich mało. Od pierwszej chwili było widać, że z niejednego pieca jadł chleb. Rosję znał praktycznie całą. Jak się później dowiedziałem, wykonywał już masę zawodów. Był marynarzem, przemysłowikiem ? chodzącym przez zieloną granicę do Iranu, brał też udział w kilku ekspedycjach polarnych. Był to typowy awanturnik z powieści Londona, który nigdy nigdzie nie zagrzał miejsca. Zapytał, jak mam na nazwisko i już od tej chwili zaczął mnie po swojemu nazywać. Zaraz też zwrócił się do swoich towarzyszy podróży:

- Saszka, Kolka, co tak stoicie jak gamonie, „pan Koperski” jest głodny - dalej przygotowywać śniadanie.

Do końca już mnie nie nazywał inaczej tylko „pan Koperski”. Chciałem dorzucić do wspólnej kuchni moje zaopatrzenie, ale Pietia ostro zaprotestował.

- Jak długo jesteś z nami, my ciebie żywimy i o wszystko dbamy.

- Pietia, z jakiej okazji - protestowałem. - A z takiej, że masz land - rovera...

Sasza również nie wyglądał na takiego, co często chodzi do kościoła. Był krępej

budowy ciała i posiadał końską siłę. Należał do typu facetów twardzieli, żadne trudy czy niewygody mu nie przeszkadzały.

Podczas wspólnej podróży bardzo zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Kola natomiast nie pasował do tej ekipy. Robił wrażenie spokojnego i nieśmiałego. Rzadko zabierał głos i był bardzo oszczędny w piciu alkoholu. Posiadał jednak coś, czego pozostali nie mieli. Był prawdziwą złotą rączką i jak się później przekonałem, nie było w tym żadnej przesady. Potrafił wszystko naprawić, nawet nie posiadając specjalnych narzędzi. Sasza i Kola zabrali się za przygotowywanie śniadania. Kola stał z wędką przy burcie i wyciągał rybę za rybą. Sasza natomiast pozbawiał je życia, patroszył i wrzucał do dużego gara z wrzącą soloną wodą. Następnie obrał kartofle, dorzucił do ryb i już po chwili zupa ucha była gotowa.

Nakryto do stołu - każdy otrzymał talerz gorącej zupy i jedną cebulę. Nie zabrakło też dzikiego czosnku przypominającego wyrosnięty szczypior. Pokrojono chleb na pajdki i położono na środku stołu. Tymczasem Pietia przed każdym z biesiadników postawił blaszany kubek i już jego mina mówiła, że nie będzie do nich nalewał herbaty... Śniadanie było gotowe, więc poproszono kapitana do stołu. W tym czasie marynarz o dziwnym zdrobniałym imieniu Boria zastąpił go przy sterze. Pietia dobył parę butelek wódki, zębami pozrywał kapsle i nalał każdemu po połowie półlitrowego kubka.

- Kto nie wypije tego, za burtę wyrzucę - powiedział groźnym głosem. - Pierwszy toast do dna, później można już nie pić, ale biada, jak ktoś spróbuje za spotkanie nie wypić - dodał.

„Na zdrowie” rozległo się i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wszyscy jak jeden przełknęli posłusznie wódeczkę. Nie bacząc na kulturę zachowania się przy stole, głośno mlaskając zjedzono uchę i zagryziono ją chlebem. Po śniadaniu uprzątnięto talerze, a na stole pozostały tylko metalowe kubki i butelki z wódką.

Zapowiadało się porządne pijaństwo. Płynęliśmy teraz środkiem rzeki, po obu stronach rozciągała się nieprzerwana ściana lasu. Wkoło żywego ducha, tylko tajga i rzeka. Na powrót to piękne uczucie wolności, uczucie mówiące, że to wszystko należy do ciebie, a ty nie jesteś ograniczony żadnymi zakazami i możesz robić wszystko, co ci się podoba... Dzień okazał się chłodny i pochmurny, ubraliśmy się więc ciepło i siedzieliśmy na pokładzie. Pietia od czasu do czasu wznosił toast i tak nam mijały w szczęściu pierwsze godziny na barce. Po którejś z kolei flaszcze Pietia powiada: - Zuch jesteś, pan Koperski. Syberia, to nie Ameryka i aby włączyć się po tym kraju, trzeba się tutaj urodzić albo być wariatem i mieć dużo szczęścia. Wiesz, dlaczego tu dojechałeś? Bo jesteś wariatem, który ma coś jeszcze więcej niż szczęście. Szanuj to. Normalny człowiek ma kłopoty z dojazdem

do Omska...

- Zobacz - ciągnął Pietia - parę lat się już razem włóczymy. Byliśmy już w każdej części tego kraju, a wiesz, ile razy chcieliśmy sobie wzajemnie gardła poprzegryzać? - setki razy. Przyczyna zawsze była jedna - po prostu nawet dla nas, tu urodzonych, często w głuszy było za ciężko. Dziwny z ciebie facet, pan Koperski...

Po południu zauważyliśmy płynącą w dół rzeki „Rakietę”. Na nasz widok dała kilkakrotny sygnał syreną, zwolniła i opływając nas od tyłu, podpłynęła blisko, tak że płynęliśmy teraz burta w burtę. Kapitan wodolotu wyszedł na zewnątrz i przekrzykując szum motorów oznajmił, że ma dla mnie paczkę od starego kapitana. Przerzucił przez burtę i Pietia ją złapał. Życzył wszystkiego najlepszego i popłynął dalej.

- Pan Koperski, ciebie wszyscy znają - powiedział Pietia, wręczając mi przesyłkę.

Otworzyłem zawiniątko i wyjąłem z niego niewielki święty obrazek oraz dwie małe rzeźby wykonane z kości. - To podróżna ikona - wyjaśnił Pietia. - Dawniej jak ludzie gdzieś jechali, to zabierali takie obrazki ze sobą. Ale to było dawno temu - dodał. Rzeźby okazały się wykonane z kości mamuta i przedstawiały postacie ludowe, a konkretnie Jakutów.

- Za dwa dni dopłyniemy do miejsca, gdzie jest cała góra tych gnatów - powiedział kapitan, który też z ciekawości przyszedł obejrzeć zawartość paczki. - Podpłynę do brzegu, to sobie na pamiątkę ich nazbieracie.

W samej Jakucji znajduje się mnóstwo takich miejsc, w których można znaleźć kości mamutów, szczególnie na północy. Jakuci rzeźbią w tym i gdzieś dalej w świat sprzedają. W niektórych rejonach całe wsie z tego żyją - wyjaśnił kapitan.

Nie omieszkało zapytać mnie, skąd znam starego kapitana. Opowiedziałem więc całą przygodę, włącznie z osobą pana komendanta. Wszyscy bez wyjątku tarzali się ze śmiechu po pokładzie, a Pietia z tej okazji wyciągnął kolejne butelki...

- Czy znasz historię tego człowieka, który przesłał ci podarki? - zapytał Wiktor.

- Wiem tylko, że całe życie spędził na wodach Syberii i jest w waszych kręgach osobą znaną - odpowiedziałem.

- To fakt, że jest znany i chyba nie ma marynarza w Rosji, który by nie słyszał o jego tragicznej przygodzie.

Z opowiadania wynikało, że kapitan Szalamow, tak bowiem się nazywał, w pierwszym okresie swojej kariery pływał nie po rzekach, lecz po morzach. Konkretnie zaś wahadłowo po szlaku północnej drogi morskiej. Pewnego razu statek, którym dowodził, zderzył się z górą lodową czy większą krą, a efekt był taki, że łajba w bardzo krótkim czasie zatonięła. Załoga składająca się z siedmiu osób znalazła się na szalupie ratunkowej. W szalupach takich były już wtedy skrzynie z ciepłą odzieżą, konserwami i innymi rzeczami

potrzebnymi do przetrwania. Pech jednak chciał, że tę szalupę ktoś okradł, kiedy stali w porcie. Oczywiście, nikt o tym nie wiedział. Złodziej nie ukradł jednak wszystkiego, tylko część wyposażenia i zapasów. Gdy rozbitkowie znaleźli się na szalupie, okazało się, że mają do dyspozycji tylko same konserwy. Brakowało jednak najistotniejszej rzeczy. Czegokolwiek, by je otworzyć. - Dawniej - tłumaczył Wiktor - nie było takich walcowni, jakie są teraz, i blacha, z której były wykonane puszki, była tak gruba, że nie podchodzi bez młotka i przecinaka. Wnet okazało się, że nikt z załogi nie miał przy sobie żadnego ostrego narzędzia. Szalupa była drewniana i nawet uchwyty do wiosł były wykonane z drewna. Temperatura panująca na zewnątrz przesądziła o reszcie. Jak ich po czasie odnaleziono, sądzono, że wszyscy nie żyją. Jeden jednak jeszcze żył - był nim Szałamow. Do dzisiaj na pamiątkę tego zdarzenia przechowuje powyginane ludzkimi rękoma konserwy. Opowiadał później, że próbowali wszystkich możliwych sposobów. Puszka o puszkę, zębami, nogami lub waląc konserwą o dziób łodzi. Niestety, nie udało się otworzyć ani jednej. Zabrakło głupiego scyzoryka czy nawet gwoźdźca. Umierali z zimna, głodu i pragnienia.

- To jeszcze nie koniec - powiedział Wiktor, widząc, że chce coś powiedzieć.

W tym czasie, kiedy on dogorywał na Morzu Karskim, spalił się jego dom, a razem z nim żona i dwoje dzieci. Od tego czasu przysiął sobie, że nigdy już się nie ożeni, nie wypłynie w morze i nie będzie mieszkał w domu.

Przysięgi dochował. Pływał tylko po rzekach i mieszkał na statku, a jego obecny „dom” widziałeś. Nawet władza radziecka respektowała to, że nie miał stałego zameldowania. Znam go osobiście, a zresztą, kto go nie zna... Wszyscy wiedzą, że jest dziwakiem - zakończył opowieść kapitan.

Wiktor szedł teraz zmienić Borię przy sterze, więc poszedłem z nim, aby w ten sposób opuścić kolejkę serwowanego przez Pietię napoju.

- Dokąd teraz płyniecie? - zapytałem. - Niedaleko za Chandygę, do miejscowości Ochotskij Perewoz. Zabieram jakieś koparki i wracam do Jakucka. To nie rejs, to przejażdżka.

- A rejs? - zapytałem. - Przeważnie płynam na szlaku Alensk - Kisiur. Będzie jakieś dwa i pół tysiąca kilometrów. Na spokojnej Lenie podróż taka trwa od trzydziestu do trzydziestu pięciu dni. Sezon jest krótki, bo tylko od maja do października, ale pracuje się wtedy na okrągło. Dni wolne od pracy nie są przewidziane.

- Nigdy bym nie pomyślał, że sezon jest aż tak krótki - powiadam.

- Od Jakucka w dół jest jeszcze krótszy, a Lena w całości żeglowna jest tylko trzy miesiące w roku.

- Szkoda, że przez tak krótki okres pomaga człowiekowi w transporcie.

- Skądże - uśmiecha się Wiktor. - W czasie zimy rzeki nasze zamarzają prawie do samego dna, a wtedy służą jako autostrady dla ciężkiego transportu samochodowego. Wyobrażasz sobie autostradę, która ma w niektórych miejscach sześć kilometrów szerokości?

- To dopiero frajda dla kierowców - mówię.

- Nie taka znowu frajda - pamiętaj, że Jakuck jest najzimniejszym miejscem na naszej planecie. Temperatury często spadają do minus sześćdziesięciu stopni, a to już mniej zabawne, prawda?

Przyznałem mu rację, w temperaturze minus sześćdziesięciu stopni nie może być zabawnie...

- Ale żyć można - powiedział, uśmiechając się.

Rozmawialiśmy jeszcze godzinę i na końcu umówiliśmy się, że jutro pogramy w sterówce w karty.

- Pan Koperski, gdzie pan się podziewa - powiedział Pietia, kiedy zjawilem się ponownie na pokładzie. - Byłem w kinie, a teraz zrobiłem się głodny i szukam restauracji, czy orientuje się pan, na którym pokładzie się znajduje?

- Pójdzie pan prosto i za basenem kąpielowym skręci pan na lewo. Tam już na pana czekają... Co prawda jest tu też restauracja, ale tylko gorzałę podają - może jednak pan z nami zostanie? - Bardzo chętnie - odpowiadam i przysiadam się do wesołego już towarzystwa. Najpierw pół kubka „karniaka”, później pół kubka za spotkanie i już mam pół litra gorzały w żołądku...

Spożywanie alkoholu w Rosji jest sprawą naprawdę niekłopotliwą i nie wymagającą wielkiego zachodu. Trzeba tylko posiadać zdrowie i chęci, a okazja, żeby się napić, znajdzie się zawsze i wszędzie. Dziś wojowaliśmy do późna.

Zapadł wieczór i towarzystwo poukładało się do snu. Sasza spał na jakiejś drewnianej palecie, którą znalazł na dziobie. Kołderkę zastąpiła mu kufajka. Pietia ułożył swe wielkie ciało w samochodzie, a ja poszedłem spać do land - rovera. Na posterunku pozostali Wiktor i Boria, którzy sterowali na zmianę.

Obudził mnie wesoły gwar na pokładzie. Wszyscy byli już na nogach. Sasza z Kola tak jak poprzedniego dnia przygotowywali śniadanie. Kola łowił ryby, Sasza je patroszył i wrzucał do gara. Pietia chodził po pokładzie z metalowymi kubkami.

Zarybię się tutaj i zapiję na śmierć - pomyślałem. Pietia był innego zdania, uważał bowiem, że z wódką jest tak jak ze sportem, w którym tylko systematyczny trening przynosi rezultaty. Nie nadmienił jednak, jakie rezultaty.

Dzień składał się z dwóch zasadniczych części. Pierwsza rozpoczęła się wcześniej

rano i trwała do godzin południowych. Polegała ona na spożywaniu alkoholu w dużych ilościach. Następnie była przerwa na słodki sen, w który się pogrążyli wszyscy uczestnicy biesiady. Druga część rozpoczęła się w godzinach wieczornych i była kontynuacją tego, co robiono w pierwszej części. Obu częściom towarzyszyła przyjazna, niezmacona żadnym incydentem, szczerza zabawa. Na pokładzie trzeźwy był tylko kapitan, ponieważ Boria, korzystając z okazji przebywania na pokładzie pasażerów, oddawał się wraz z nimi wszelkim uciechom...

W końcu kapitan się zdenerwował, podpłynął pod brzeg, zacumował jednostkę, dołączył do towarzystwa i spił się jak świnia razem z nami. Takich chwil nie przeżyjesz z żadnym biurem podróży...

Następnego dnia wypłynęliśmy dopiero po południu. Spędzony w szczęściu i beztrójce czas sprawił, że wszyscy chorowaliśmy i największą popularnością cieszyła się teraz woda z rzeki... Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do sterówki i grałem z kapitanem w karty. Co jakiś czas przerywaliśmy na chwilę grę, kapitan korygował kurs, po czym wracaliśmy do zajęcia. Gra tak nas wciągnęła, że nie spostrzegaliśmy się, jak zapadł zmierzch. Pochmurne niebo sprawiło, że było ciemniej niż zazwyczaj, ale nie na tyle, by przerwać żeglugę.

Na pokładzie panowała grobowa cisza. Wszyscy gdzieś się pochowali i zapewne dogorywali. Też ledwo żyłem i szczęśliwy byłem, że dzisiaj nie odbywały się na pokładzie żadne alkoholowe imprezy. Czym prędzej zaszyłem się w land - roverze, uważając, tak jak wszyscy, że najlepiej jest przespać nieprzyjemnego kaca.

Kolejny dzień spędziliśmy właściwie w samochodach, ponieważ padał siarczysty deszcz. By umilić sobie czas, odwiedzaliśmy się wzajemnie, biegiem przeskakując z samochodu do samochodu. Pod wieczór mijaliśmy pływający „dom” kapitana. Wiktor włączył syrenę i kapitan wyszedł na swój ganek. Kiwał, że nas zaprasza, ale Wiktor uruchamiając zewnętrzny megafon, przeprosił go, mówiąc, że jesteśmy już bardzo spóźnieni. Kapitan pewnie niewiele z tego zrozumiał, ponieważ megafon strasznie charczał, ale domyślił się intencji i pokiwał nam na pożegnanie. Później Wiktor wyznał, że praktycznie nigdzie się nie spieszy, ale dał mi do zrozumienia, że wie, czym się kończą takie wizyty...

Bułun minęliśmy parę godzin później, ale panujący półmrok oraz padający deszcz sprawiły, że niewiele można było zobaczyć. Pomyślałem o Siergieju i obawiałem się, że nikt nas przepływających nie zauważył i Siergiej będzie jeszcze miesiąc gnął w tajdze. Poprosiłem Wiktora o kilkakrotne włączenie syreny, by w ten sposób dać znać o sobie. W panującej nocnej ciszy słyszano nas zapewne w każdej chacie. Dobrej nocy, panie

komendancie - pomyślałem i udałem się na spoczynek.

Następnego dnia po południu podpłynęliśmy do brzegu. W tym miejscu był bardzo wysoki, a ściany jego opadały prawie pionowo do wody.

- Tu znajduje się cmentarzysko mamutów - powiedział Wiktor. - Chodźcie, pokażę wam coś ciekawego - powiedział i ruszył po kładce na ląd. Poszliśmy za nim. Wiktor doszedł do wznoszącej się przy brzegu góry, chwilę pogrzebał butem w żółtym piachu i po chwili wyciągnął sporych rozmiarów kość mamucią. - To jeden z magazynów jakuckich rzeźbiarzy - powiedział. - Weźcie sobie po gnacie na pamiątkę.

Wolałem nie ryzykować i nie zabrałem ze sobą żadnego. Obawiałem się bowiem, że na granicy z USA może ktoś mnie posądzić, że wwożę kość słoniową, a w Ameryce jest to surowo karane. Oczywiście badania by wykazały, że należy ona do mamuta, ale zanim by się to okazało, odsiedziałybym swoje w pierdłu.

Niebawem popłynęliśmy dalej. Pogoda poprawiła się i było trochę cieplej. Pojawiły się komary. Początkowo niewiele, ale później były już plagą. Na pokładzie znajdowały się specjalne piecyki, które zostały tak wymyślnie skonstruowane, że nie wytwarzały ognia, lecz sam dym. Jak się dowiedziałem, dym dymowi nie jest równy. W tajdze rosły jakieś rośliny, które ulegając reakcji egzotermicznej, czyli spalaniu, wytwarzały dym, szczególnie dla komarów nieprzyjemny. Rosjanie doskonale znali tę roślinę i teraz podpłynęliśmy do brzegu i wszyscy udali się, by nazbierać jej zapas. Rozpalono wreszcie piecyki, ustawiono je po stronie wietrznej i już owady przestały być dokuczliwe. Kola tłumaczył, że dym pochodzący z innych roślin niewiele pomaga, ale ta jest dla ich organizmów trująca, dlatego omijają ją z daleka. Owady te wyczuwają podobno zapach z odległości sześciu kilometrów.

Dziś wieczorem kapitan sprowokował wszystkich do picia. Siedzieliśmy grzecznie na pokładzie i zajęci byliśmy grą w pokera. Walutę stanowiły papierosy. Właśnie po długo trwającym sporze doszliśmy do porozumienia, że od tej chwili moje zachodnie papierosy będą liczone do rosyjskich jeden do dwóch. Gra zapowiadała się bardzo interesująco, ale wtem pojawił się kapitan.

- Co dzisiaj tak tutaj smutno? - zapytał niewinnie. - Może byśmy tak po jednym?

- Jeśli po jednym litrze, to możemy zacząć - odparł Pietia, wpatrzony w karty.

- Niech będzie po litrze - powiedział Wiktor.

Petia bez słowa złożył karty i polecił Saszy, by przyniósł słoninę z samochodu. Dobył metalowe kubki i obmył je w wiadrze stojącym przy burcie. Policzył wszystkich obecnych, podszedł do samochodu i po chwili postawił dziesięć butelek wódki na stole. Następnie rozejrzał się po wszystkich i powiada: - Zaczynamy.

Procedura spożywania alkoholu była z góry ustalona. Pół kubka gorzały, powąchanie chleba, kęs słoniny i zagryzienie chlebem. Nie jest to skomplikowane i po kilku kolejkach czynności już się nie mylą. W ten sposób rozpoczęło się kolejne wielkie pijaństwo. Nikt już nie liczył butelek, ale jest pewne, że Pietia jeszcze kilkakrotnie chodził do samochodu...

Budzę się późno i bardzo zmarnowany. Wychodzę z samochodu, rozglądam się i własnym oczom nie wierzę.

Jestem sam z land - roverem na barce... Nie ma drugiej barki z samochodami i nie ma holownika. Przyglądam się uważniej i wokół widzę tylko drzewa. Woda jest spokojna jak w jeziorze, więc wnioskuję, że znalazłem się w jakiejś zatoczce lub odnodze rzeki. Boże święty, co się wydarzyło wczorajszego wieczoru? Staram się cokolwiek sobie przypomnieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Myślę gorączkowo - co robić, gdzie szukać? Barka stoi w odległości dwudziestu metrów od brzegu. Przepłynąć nie problem, ale jak ład okaże się wyspą, jakich jest wiele na rzece? Czy dam radę wspiąć się z powrotem po wysokich burtach, by powrócić na pokład? Setki pytań, lecz żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Patrzę na zegarek. Dochodzi południe. Wokół grobowa cisza, tylko od czasu do czasu, gdy wietrzyk powieje, to słychać szumiące drzewa. Postanawiam parę godzin zaczekać. Wnioskuję, że jeśli barka moja w jakiś sposób sama się odczepiła od składu, to towarzystwo do tego czasu już wytrzeźwiało i zapewne połapało się, że mnie brakuje. Pewnie już mnie szukają - pocieszałem się. Schroniłem się do samochodu, ponieważ w miejscu, gdzie byłem uwięziony, pojawiło się mnóstwo komarów. Rozłożyłem się na siedzeniach i nawet nie wiem, jak zasnąłem. Przerażliwy ryk syreny poderwał mnie na równe nogi. Patrzę, podpływa holownik. Na dziobie stoi Pietia i gęba mu się śmieje. Dostrzegam kapitana w sterówce, też uśmiechnięty od ucha do ucha. Dzięki Bogu nic się nie stało - pomyślałem - w innym wypadku by się przecież nie śmiali.

- Ale wczoraj narozrabiałeś - krzyczy Pietia, podając mi cumę.

- Co narozrabiałem? - pytam wystraszony.

- Sam widzisz co - odpowiada z chytrym uśmiechem. - Zaraz ci wszystko opowiem.

- Upiłeś się jak świnia, później wyzwaleś nas od czerwonych komunistów i stwierdziłeś, że z takim chamstwem jak my dalej płynąć nie będziesz. Odczepiłeś swoją barcę, no i widzisz, jak daleko dopłynąłeś.

W pierwszej chwili zdębiałem, ale widzę ich ubawionych, więc wnioskuję, że robią mnie w konia. Wiem jednak, że po wódce nie jestem agresywny i tu mi się coś nie zgadza. Ciągną mnie już w kierunku rzeki. Pietia przeszedł teraz na rufę i jeszcze palcem mi odgraża. Po chwili jednak widzi, że mam nietęgą minę i krzyczy, że to był głupi żart, jaki

wymyślili z kapitanem. Teraz z kolei nie wiedziałem, czy żartem było to, że mnie odczepiono, czy historia, że sam się odczepiłem. Pietia zwinął jeszcze dłonie w trąbkę i krzyknął, że później mi wszystko opowie.

Los jednak sprawił, że to nie Pietia, lecz Kola opowiedział mi całe zdarzenie.

Dotarliśmy do głównego koryta rzeki. Holownik ciągnąc teraz tylko jedną barcę, bez trudu pokonywał przeciwny prąd i w rezultacie przemieszczaliśmy się w dosyć szybkim tempie. W chwilę później zauważyłem już drugą barcę stojącą niedaleko na kotwicy. Minęliśmy ją, po czym kapitan wykonał zakręt o sto osiemdziesiąt stopni i dryfując z prądem rzeki, skierował barcę, na której się, znajdowałem w kierunku brzegu. Niebawem osadził ją na przybrzeżnym piasku i polecił, bym uwolnił linę. Następnie podpłynął do stojącej nieopodal platformy i burząc wodę za rufą, próbował ruszyć ją z miejsca. Domyśliłem się, że barka nie stoi na kotwicy, lecz jest osadzona na mieliźnie. Holownik długo miał wodę za rufą, ale bezskutecznie. Platforma wraz z samochodami nie przesunęła się ani o centymetr. Próbował jeszcze około dwudziestu minut, po czym dał za wygraną, odczepił się i podpłynął do mnie. - Spinamy razem - krzyknął do mnie Pietia, podając linę. Po chwili obie barki były złączone, z tym że nie jak uprzednio równolegle, lecz jedna za drugą. Wiktor podpłynął holownikiem ponownie do całego składu i krzyknął, że jeszcze raz spróbujemy, może teraz się ruszy. Zaczepiłem podaną linę i holownik ponownie wyrzucając fontanny wody za rufą, próbował ściągnąć barki z mielizny. Okazało się to jednak nieskuteczne.

- Spróbujemy jeszcze „na zryw” - komenderował kapitan, polecając jednocześnie, by wszyscy odsunęli się jak najdalej od liny. Cofał teraz bardzo powoli, a gdy znalazł się już blisko, włączył „całą naprzód”, rozpędzając się gwałtownie. Wybierał linę coraz szybciej, szybciej, aż wtem wszystko drgnęło - „trach...” zerwała się gruba parczana lina. Holownik gnany rozpędem parł teraz szybko do przodu i raptem gwałtownie się zatrzymał. Dało się słyszeć głośne przekleństwa i niebawem okazało się, że... też siedzi na mieliźnie. Ponad godzinę miał śrubą, próbując się wypłukać, ale nic nie wskórał. Wiktor wyłączył więc silnik, gdyż okazało się, że jest na resztkę paliwa, rezerwa natomiast znajdowała się na uwięzionej barce. Kapitan włączył skrzeczący megafon i poinformował nas, że musimy teraz czekać, aż będzie płynął jakiś statek. Miał przy tym nadzieję, że powstałe po nim fale spowodują uwolnienie nas z pułapki.

Po chwili „szczekaczka” jeszcze raz się odezwała i kapitan oświadczył, że szukał kontaktu radiowego, ale nikt się nie zgłosił. Życzył na koniec miłego i przyjemnego wypoczynku...

Byliśmy teraz rozdzieleni. Na holowniku znajdowali się: kapitan, Boria i Pietia, a na

barce Sasza, Kola i ja.

Mieliśmy teraz mnóstwo czasu, więc Kola zdał mi relację z wydarzeń, jakie miały miejsce poprzedniej nocy, a właściwie wcześniej rano.

Zaczął od mojej osoby. - Nie wytrzymałeś tempa - powiada. - W pewnym momencie zakomunikowałeś, że masz już dosyć i życząc wszystkim udanej dalszej zabawy, kłaniając się nisko, poszedłeś po prostu spać. Dziwiliśmy się nawet chwilę, bo nie wyglądałeś źle, dzisiaj na przykład wyglądasz o wiele gorzej. Libacja trwała jeszcze długo po twoim zniknięciu. Następnie kapitan oświadczył, że nie czuje się na siłach, by zmienić Borię za sterem i zaproponował dobiec gdzieś do brzegu i należyty wypoczynek. W tym celu poszedł wraz Pietią do sterówki, ale niebawem wrócili i oświadczyli, że Boria czuje się dobrze i będzie sterował aż do rana. Wyciągnięto więc jeszcze jedną butelkę, ale już nie zdążono jej nawet otworzyć. Boria jak się okazało, bardziej zajęty był obserwacją tego, co dzieje się na pokładzie niż czytaniem mapy i obserwacją terenu. Po pewnym czasie stracił orientację i nie wiedział, w którym dokładnie miejscu rzeki się znajduje. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Prawa barka, więc ta, na której odbywała się popijawa, weszła niespodziewanie na mieliznę. Momentalnie obróciło całym składem, a wstrząs był tak mocny, że pospadały butelki ze stołu. Dla wszystkich było jasne, co się wydarzyło. Kapitan z Pietią natychmiast pobiegli na holownik. Pierwsza próba zejścia z lachy nie powiodła się, więc kapitan zdecydował, by jednostki ustawić jedna za drugą. Wysłał więc Borię z poleceniem odczepienia barki, na której się właśnie znajdowałeś. Boria wykonał szybko polecenie, zapominając w nerwach o zaczepieniu liny o holownik. Ponieważ barka stała na głębokiej wodzie ruszyła więc momentalnie z prądem w dół rzeki. Krzyczeliśmy nawet, byś się obudził, ale, niestety, spałeś już twardo. Kapitan widząc, co się święci, postanowił odzłupić platformę stojącą już na mieliznie i ruszyć w pogoń za tobą. Niestety, zrobił to zbyt chaotycznie i sam podobnie jak teraz władował się na mieliznę. Barka z land-roverem i tobą na pokładzie oddalała się już coraz bardziej, aż po jakimś czasie znikła za zakrętem rzeki. Całe towarzystwo natychmiast wytrzeźwiało, ale cóż z tego - byli bezradni. Parę godzin minęło, zanim statek zdołał się wyplątać z tej pułapki. Niezwłocznie też ruszył na poszukiwanie zguby. Ałdan w tym miejscu porozdzierany jest wieloma wyspami i wysepkami, które tworzą dosyć skomplikowany labirynt wodny, minęło więc sporo czasu, zanim ciebie odnaleźli. - A tu teraz masz babo placek, znów jesteśmy w punkcie wyjścia, ale za to widzimy się wzajemnie... - dodał optymistycznie Kola.

Znając częstotliwość ruchu statków na rzece, wiedziałem, że zapowiadają się dłuższe ferie na wodzie. Pod wieczór zakomunikowano nam z holownika, że cały zapas żywności oraz sprzęt do jej pozyskania znajduje się na barce i że grozi im rychła śmierć

głodowa... Oznajmiono nam również, że w dniu dzisiejszym nikt z obecnych nie posiada dostatecznej siły, by przedostać się do nas szalupą znajdującą się na statku. Odpowiedzieliśmy, że jest nam z tego powodu bardzo przykro, ale nic na to nie poradzimy. Poprosiliśmy jeszcze uprzejmie, ażeby już nie przeszkadzano nam dzisiaj, ponieważ chcemy w spokoju zjeść kolację i wypić po jednym... Po tym oświadczeniu usłyszeliśmy dobiegające ze statku klątwy. Wiązanka była długa, melodyjna i wydobywała się z przepitego gardła Pietii. Tego było za dużo!!! Z holownika spuszczone natychmiast na wodę szalupę i po chwili ujrzeliśmy rzecz praktycznie niemożliwą.

Jedna osoba wiosłowała łodzią pod bystry w tym miejscu prąd rzeki. Nietrudno odgadnąć, kto był tym śmiałym wioslarzem - był nim Pietia. Chociaż odległość barek od holownika nie była większa niż dwieście metrów, to jednak pokonanie tej odległości zajęło zuchowi przeszło pół godziny. Wreszcie stanął na pokładzie, spocony i zdyszany, i oto pierwsze słowa, jakie powiedział: - Beze mnie chcieliście, k..., wypić? Na nic zdały się tłumaczenia, że był to żart i nikt nie ma dzisiaj ochoty i zdrowia na alkohol.

- Takie żarty to nie ze mną, teraz będziecie ze mną pili albo was za burtę powyrzucam - oświadczył Pietia. - Czy myślicie, że na darmo wiosłowałem jak idiota, o nie, trzeba było nie żartować.

Pozostała jeszcze jedna sprawa do załatwienia, a mianowicie zaopatrzenia holownika w prowiant. Pietia i na to znalazł szybkie rozwiązanie. - Popłynię z tym Kola, on i tak żaden towarzysz do kielicha...

- Na pokładzie zjawił się diabeł - skomentował Sasza przybycie Pietii. - Więc będziesz dzisiaj z diabłem pił, smarkaczu - odpowiedział Pietia, wyciągając dwie butelki z samochodu. Żałowałem w tym dniu bardzo, że statek nie stał parę kilometrów dalej. Kto wie, może by nie dopłynął?...

Następne dwa dni nie przyniosły żadnej zmiany. Staliśmy uwięzieni, a miejsce naszego odosobnienia było tak oddalone od siedlisk ludzkich, że nawet żadna „jakucka” motorówka nie zmąciła ciszy. Nie był to jednak stan beznadziejny, bo wszystkim było wiadomo, że niebawem będzie przepływała tędy „Rakieta”.

Około południa usłyszeliśmy wrzawę na holowniku. Po chwili wiedzieliśmy, że kapitan ma już kontakt z „Rakieta”. - Będzie tu już za godzinę - krzyczeli z holownika. Ciężkie dudnienie mocnych silników było coraz bardziej słyszalne. Już wypływa zza zakrętu, zauważyli nas, słysząc syrenę. Wodolot zmniejszył znacznie prędkość, podpływając do nas na bezpieczną odległość. Kapitanowie porozumieli się przez radio i uzgodnili taktykę działania. „Rakieta” nabierając prędkości, popłynęła w górę rzeki. W dosyć znacznej odległości od nas zawróciła i całą mocą swych ogromnych silników pędziła

teraz w dół, a powstałe za nią fale dochodziły do metra wysokości. Już nas minęła w szaleńczym tempie, jeszcze chwila i poczuliśmy lekkie kołysanie, a za chwilę słyszeliśmy rozbijające się o nasze burty fale. Kołysało całym składem tak mocno, że z trudnością można było utrzymać się na wodzie. Nurt rzeki dokonał reszty.

- Hurra! jesteśmy wolni - krzyčeliśmy, widząc przesuający się nieruchomy dotąd brzeg. Oglądam się na holownik, on już też o własnych siłach rozdziera dziobem wodę.

Teraz musimy się tylko razem złapać. Jeszcze chwila, liny zarzucone na pachołki, powoli, powoli napinają się i już... Już nas ciągnie.

Płyniemy dalej! Syreny obu jednostek potwierdzają światu powodzenie akcji. W chwilę później wyprzedza nas wodolot, trzeba uszy zatykać, tak głośno wyje jego syrena. Widać uśmiechnięte twarze załogi. Powstałe po nim fale długo jeszcze rozbryzgują się o dziób holownika i burty barek.

- Jutro wieczorem będziemy w Chandydze - oznajmia Pietia, przekrzykując silnik pracujący na dużej mocy.

Och, co za ulga, płyniemy wreszcie dalej. Boria z racji swojego stanowiska nalewa węzłem paliwo ze zbiornika na barce do kanistrów i ustawia ich cały rząd na dziobie. Zaraz pewnie odbędzie się tankowanie holownika. Pietia chodzi niespokojnie i co: mruczy, że takie ogromne zwycięstwo nad rzeką trzeba uczcić. Swoje stanowisko w te sprawie tłumaczy jeszcze tym, że jutro już będziemy wszyscy siedzieli za kierownicami pojazdów, a wtedy nie będzie wolno pić. Niestety, dzisiaj sromotnie przegrywa swoją batalię, nikt bowiem nie ma już po prostu zdrowia, bardzo ostrożnie podpływamy do brzegu i pomagamy wszyscy zalać zbiorniki statku.

Po godzinie płyniemy dalej. Noc jest księżycowa. Wiktor i Boria razem sterują. Żadnemu z nich jakoś spać się nie chce...

Ranek jest dżdżysty i pochmurny, więc wszyscy wysypiamy się prawie do południa - Do Chandygi już niedaleko i najpóźniej dopłyniemy tam wieczorem - melduje Boria.

Mijamy jakieś większe osiedla. Przy jednym z nich widzimy pirs i zacumowany przy nim średniej wielkości tankowiec. Na rzece często już widać płynącą motorówkę czy jakąś inną jednostkę. Mijający zawsze pozdrawiają się skinieniem ręki lub głosem syreny. Im bliżej Chandygi, która jest w tym rejonie największą miejscowością, tym ruch na rzece większy.

Wreszcie dopływamy. Widoczne są już duże magazyny, różne urządzenia portowe i rzędy jednakowych drewnianych chat.

- W porcie nie ma miejsca, muszę was wysadzić gdzieś na brzegu - krzyczy Wiktor. Przejeżdżam land - roverem z barki na barcę, ponieważ jedną z nich Wiktor decyduje się

osadzić przy brzegu, aby nie stwarzała problemów w czasie naszego wyładunku. Po niedługim czasie kapitan znajduje odpowiednie miejsce i holownik już dopycha platformę bokiem do brzegu. Wyskakujemy na brzeg i biegniemy do pobliskich zabudowań, by przynieść jakieś dechy, drewniane kłocę i inne rzeczy pomocne w wydostaniu się pojazdów na brzeg. Ściągamy najróżniejsze belki i szyny, budujemy z nich prowizoryczny zjazd i pojedynczo szczęśliwie opuszczamy barcę.

Witaj, Chandygo!

Idę do kapitana. - Wiktor, ile winien jestem za wszystko? - pytam. - Nie wiem, czy masz tyle pieniędzy - uśmiecha się. - Jesteś winien jednego dolara. W sumie jesteś gościem i powinienem darmo ciebie przewieźć, ale ja darmo nic nie robię, więc płac dolara albo zawołam milicję...

Chcę mu wręczyć banknot studolarowy.

- Tyś oszalał - mówi. - Powiedziałem wyraźnie: dolara albo milicja.

- Nie mam banknotu dolarowego - powiadam.

Wobec tego nic nie płacisz teraz, ale pamiętaj, jesteś mi winien dolara... Pamiętaj, kiedykolwiek zechcesz, zawsze przyjeżdżaj, może jeszcze kiedyś będziesz robił nową ekspedycję - dodał.

- Obiecuję ci, że się jeszcze zobaczymy, jestem przecież winien dolara - opowiadam. Stoimy jeszcze chwilę na brzegu i obserwujemy, jak Boria spina ze sobą dwie platformy. Po chwili „Czarait” żegna nas swoją syreną.

XI

Ruszamy w kierunku wsi i już teraz okazuje się, że samochody Pietii są bezsilne w zalegającym tu błocie. Wyciągam więc je pojedynczo aż do głównej wiejskiej drogi. Nie wiem, czy Chandyga jest wsią czy miastem, dlatego też piszę umownie wieś w tych wypadkach, kiedy zabudowę danej miejscowości stanowią drewniane chaty. Chandyga jest na pewno większa obszarem od niejednego średniej wielkości miasta w Polsce.

Jedziemy gliniastą, pełną wybojów ulicą i szukamy stacji benzynowej. Z rozmowy z miejscowymi dowiedzieliśmy się, że następna stacja w kierunku, dokąd się wybieramy, jest dopiero za tysiąc pięćset kilometrów. Rozmówca dodał jednak, że „może jest”, a droga, którą jedziemy; prowadzi donikąd... Trzeba było za wszelką cenę zatankować w Chandydze. Wreszcie w labiryncie jednakowych ulic i domów odnaleźliśmy stację paliw. Okazała się jednak zamknięta, a z umieszczonego napisu dowiedzieliśmy się, że będzie czynna dopiero pojutrze od ósmej do dziesiątej rano.

Pietia zaklął jak szewc, bez słowa wsiadł do swojego uazika i ruszył w głąb wioski. Domyśliłem się, że pojechał szukać obsługi benzynowni. Po godzinie wrócił z kierownikiem, który osobiście nalewał nam benzynę do zbiorników, kanistrów i innych wszystkich wolnych naczyń.

- Pan Koperski napisze o was w gazecie - zagadywał Pietia kierownika stacji w czasie, gdy tamten nalewał paliwo. - Będziecie sławni na całym Zachodzie, a do Moskwy też to zapewne dotrze.

Kierownik był tak miło połączony, że wziął tylko zapłatę za sto litrów paliwa, tłumacząc, że resztę jakoś rozpisze. Za tę setkę musi wziąć, tłumaczył, bo ludzie widzieli, że w nocy wydawał benzynę. To, że „resztę” stanowiło osiemset litrów, nie robiło na nim żadnego wrażenia.

Postanowiliśmy, że jeszcze tej nocy dojedziemy do osady Tiepłyj Klucz i dopiero w okolicy gdzieś zanocujemy, bowiem następnego dnia Pietia chciał kupić kartofle we wsi. Oświadczył, że bez kartofli nie pojedzie ani kilometra dalej. Ruszyliśmy przez śpiącą już Chandygę i klucząc między domami, szukaliśmy wyjazdu z wioski. Na jednym ze skrzyżowań zauważyłem napis „ul. Magadańska”, dałem sygnał pozostałym i tym zbiegiem okoliczności wyprowadziłem cały konwój na trasę.

Do Magadanu było już tylko około dwóch tysięcy pięciuset kilometrów, z czego prawie półtora tysiąca mieliśmy jeszcze jechać razem. Po trzech godzinach jazdy gliniastym szlakiem dojechaliśmy do osady Tiepłyj Klucz. Ponieważ była głęboka noc i wieś była pogrążona we śnie, obóz rozłożyliśmy w lesie. Ognisko, posiłek i spać.

Rano z Pietia zajechaliśmy land - roverem do wsi. Pytamy o kartofle pierwszego

napotkanego mężczyznę. - Kartofle? - Wyście chyba z nieba spadli. Tu nikt od lat nie widział kartofla, a wy mówicie, że macie ochotę go zjeść. - Cha, cha - bawił się jeszcze chwilę zapytany Jakut. - Oni chcą kupić kartofle, cha, cha. - Chłopy - powiada wreszcie - nie wiem, skąd przybywacie i nie obchodzi mnie to, ale jak byliście w jakiejś stronie, gdzie były kartofle, to zaraz tam wracajcie. Tu jest wielkie zero, ale dalej, tam dokąd się wybieracie, naprawdę już nic ma. Tam nawet ptaki nie latają, bo by z głodu pozdychały.

Wróciliśmy więc do pozostałych z niczym. - Dobrze, że mam chociaż spirytus - oznajmił Pietia i wtedy dopiero wyszło na jaw, że w Jakucku kupił od kogoś cały kanister. Wyraziłem wątpliwość co do użyteczności tej cieczy, ale Pietia oświadczył, że wypróbował już go na Jakutach i był pewien, że na drugi dzień byli zdrowi, a ich wzrok jeszcze bardziej się wyostrzył...

Zwinęliśmy obóz i pojechaliśmy dalej. W chwilę później widocznie najechałem na jakiś ostry kamień i „wystrzeliła” mi opona. Wymieniłem koło, ale zostałem już bez zapasowego, ponieważ opona, tak jak poprzednia, miała dziurę wielkości pięści i nadawała się tylko do wyrzucenia. Na tak krótkim odcinku dwie „gumy” - tego nie mogłem przeboleć. Jechaliśmy w odstępach mniej więcej dwukilometrowych, co postój zmieniając kolejność w kolumnie. W wypadku jakiejś przeszkody drogowej, której nie mogli sami pokonać, czekali na mnie, ja ich wyciągałem i znów jechaliśmy dalej. W przypadku, gdy ja jechałem pierwszy, to po prostu oceniałem, czy dadzą sobie radę; jeżeli nie, to czekałem na nich i im pomagałem. Dziś jechałem od rana jako ostatni. Po południu dojechałem do rozwidlenia ledwo widocznej drogi. Jeden szlak prowadził na północ, a drugi na południe. Bez namysłu skręciłem na północ. Jadąc dalej, bacznie obserwowałem, czy natrafię na jakiś konkretny ślad potwierdzający ich przejazd. Bliskość pasiołka Tiepłyj Klucz sprawiła, że od czasu do czasu były widoczne ślady różnych opon, ale było ciężko odróżnić, do jakich pojazdów należały. Jadąc w niepewności dalej, kłamię w duchu, że przeoczyliśmy w naszych uzgodnieniach tak ważny aspekt jak skrzyżowanie dróg. Faktem jednak jest, że nie spodziewaliśmy się na całej trasie drogi, a co dopiero skrzyżowania.

A jednak... Po kilkunastu kilometrach dojechałem do jakiejś rzeczki. Była bystra, szeroka, ale płytka. Po jednej i drugiej stronie widniały ślady kół. Wydawały się nawet świeże, więc trochę mnie to uspokoiło.

W chwilę później zaskoczony i zdziwiony znalazłem się wśród jakuckich jurty. Stały wzdłuż brzegu znajdującego się tu niewielkiego jeziora. Było to osiedle wędrownych pasterzy. Ich jurty były większe niż sobie kiedykolwiek mogłem wyobrazić. Wysokość jurty przekraczała cztery metry. Zanim się spostrzegłem, byłem już otoczony przez mieszkańców tej osoblwej wioski. Nie spodziewali się takiej wizyty i widać było, że byli

zaskoczeni.

Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to były ich ubiory. W większości składały się ze skór zwierząt futerkowych. Pomimo że temperatura powietrza była bardzo wysoka, ubrani byli od stóp do głów. Zauważyłem, że kobiety nosiły nawet coś w rodzaju pończoch ze skór. Ogólnie to wszystko było dla mnie wielkim szokiem, ponieważ niespodziewanie znalazłem się w innym świecie... Jakuci byli jednak uśmiechnięci, więc wnioskowałem, że nic mi tu nie grozi.

Pasterze zaprosili mnie do dużego ogniska, które paliło się w centralnym punkcie obozu. Po chwili okazało się, że nie są, jak sądziłem, Jakutami, lecz Tunguzami i po części jak tłumaczyli, Lamutami, czyli Ewenami i Ewenkami. Zajmują się myślistwem i hodowlą reniferów. Tych ostatnich nie widziałem we wiosce, ale dowiedziałem się, że kilkaset z nich pasie się gdzieś opodal. Oni natomiast wraz z namiotami podążają w ślad za zwierzętami, które jak oświadczyli, lepiej wiedzą, gdzie znaleźć dużo dobrego pożywienia. Tego lata zaszli tak wyjątkowo daleko na południe. Będą koczowali tutaj jeszcze tydzień, a później, jak wynikało z zachowania zwierząt, przemieszczą się wraz z nimi na północ.

Również w bardzo wielkim skrócie opowiedziałem o swojej ekspedycji, a na Tunguzach zrobiło to wielkie wrażenie.

Jeden z pasterzy przyniósł coś, co z wyglądu przypominało kanę do mleka. Postawił ją koło mnie i otworzył wieko. Zobaczyłem mlecznobrunatny gęsty płyn i doleciał do mnie zapach słodkiej stęchlizny, który spowodował odruch wymiotny. Na szczęście w porę przełknąłem ślinę i wszystko pozostało w żołądku. Gospodarz wziął metalowy kubek, brudną ręką odgarnął potopione w płynie muchy i zaczerpnął go. Oślizłymi palcami usunął jeszcze muchy, które nabrały się wraz z cieczą i podał mi do picia. Nie znając tradycji i obyczajów tego ludu, na wszelki wypadek postanowiłem wbrew wszystkim prawom natury wypić podany poczęstunek. Gdy to uczyniłem, jeszcze długą chwilę walczyłem ze swoimi wnętrznościami, by utrzymać płyn w żołądku. Poczulem niebawem, że był to dosyć silny alkohol. Uradowany gospodarz poklepał mnie po plecach i coś zawołał w nieznanym mi języku w kierunku pobliskiej jurty. Z namiotu wyszła uśmiechnięta kobieta, na oko lat około pięćdziesięciu, podeszła do nas i przedstawiła się. Z bełkotu jej bezzębnych ust zrozumiałem, że jest żoną pasterza, który mnie podejmuje. Pani ta wytwarzała niepokojący zapach. Przedstawiłem się również uprzejmie i kobieta wróciła do swoich zajęć. Bardzo uprzejmi ludzie - pomyślałem. W tym czasie dowiedziałem się, jaka jest receptura tego śmierdzącego bimbru, którego cały kubek musiałem wypić. Podstawowym składnikiem tego „rajskiego” napitku jest skwaszone mleko renifera i mleko suki... Muchy nie stanowiły już dodatku, same po prostu się upiły i

potopiły.

Dowiedziałem się jeszcze o kilku innych potrawach posiadanych w ich jadłospisie, ale z powodu wrodzonej estetyki smaku nie będę ich tu przytaczał.

Z rozmów zorientowałem się, że Tunguzi byli przekonani, że przyjechałem do nich w odwiedziny na kilka dni. Żywo dyskutowali między sobą, jak i gdzie będą mnie podejmować. Od czasu do czasu tłumaczyli mi to po rosyjsku. Zrozumiałem, że wszelkie kłamstwa, jakie wymyślę tutaj, nic nie pomogą i będę musiał między nimi jakiś czas zostać. Jediną szansą uwolnienia się od tego uprzejmego ludu była ucieczka.

Już właśnie układałem plan, jak to uczynić, kiedy nagle wybawienie nadjechało samochodem. Pietia i Sasza, zorientowawszy się, że pojechałem nie tą drogą, zawrócili i właśnie mnie poszukiwali. Kola czekał na nas na drodze. Wyszedłem im naprzeciw i już przy przywitaniu szepnąłem Pietii: - Ratuń i nie próbuj tu nic jeść ani pić. Stąd normalnie nie odjedziesz, trzeba wiać... - dodałem. Pietia znał już pewnie z autopsji takie gościny i teraz widząc mnie w opałach, bawił się moim kosztem doskonale. Nie zostawił jednak mnie w biedzie, tłumacząc autochtonom, że przybył po mnie, gdyż ich samochód osiadł w błocie. Wyjaśnił przy tym, że nie potrwa to długo, a na pewno będę z powrotem przed wieczorem. Tunguzi chcieli poczęstować napojem przybyłych, ale Pietia się wzbraniał, mówiąc, że jest abstynentem, a poza tym prowadzi samochód... Na koniec bardzo ubolewał, że teraz nie może zostać, ale może kiedyś jeszcze się spotkają. Pasterze spytali, czy mogą w czymś pomóc i już nawet kilku wyraziło chęć jechania z nami, ale Pietia jakimś kolejnym kłamstwem ostudził ich szczere chęci.

Gdy wracaliśmy, zatrzymaliśmy się na moment przy pobliskiej rzeczce, gdyż w uaziku wskaźnik temperatury wody wskazywał niedostateczną ilość płynu w chłodnicy.

Pietia zapytał, czy przedstawiano mi jakąś kobietę. Odparłem, że przedstawiła mi się żona pasterza, który mnie gościł. - Cha, cha, szkoda, że nie przyjechaliśmy jutro po ciebie - powiedział Pietia, zrywając boki ze śmiechu. - Nie musiałbym już tobie nic wyjaśniać, sam mógłbyś innym opowiadać - cha, cha, cha. - Co takiego opowiadać? - zainteresowałem się. - Zaraz ci trochę opowiem o tych skośnookich. Nie tylko o tych, u których byłeś, ale ogólnie o nich wszystkich: Jakutach, Koriakach, Czukczach, Ewenach, Ewenkach i diabli jeszcze wiedzą, jakich innych. Panuje u nich odwieczny zwyczaj, który prawie przerodził się w ich religię, a mianowicie traktowania gościa prawie jak boga. Polega on na tym, że odwiedzającemu nie odmawia się niczego, a wręcz wszystko daje. Rodzina podejmująca gościa odpowiada głową za jego bezpieczeństwo. Na przykład, gdyby się tobie coś złego w ich wiosce przytrafiło, to odpowiedzialny byłby za to goszczący cię pasterz. To jest jak amen w pacierzu - swoi rozliczyliby go za wszystko. Podejmujący

ciebie wyraża to również na swój sposób, oddając do twojej dyspozycji swoją żonę... Naprawdę byłoby to niewybaczalną obrazą dla gospodarza i całej wioski, gdybyś w nocy nie skorzystał z tego prezentu...

A w wypadku, gdybyś chciał się z tego jakoś wykręcić, potraktowano by to jako jawną wrogość i nie wiadomo, jak by się to mogło zakończyć. W sumie nie słyszałem jeszcze o przypadku, że ktoś gdzieś odmówił! - dodał, robiąc przy tym lisią minę. - Uważaj - ostrzegaliśmy jeszcze Pietia - od Magadanu do Czukotki będziesz miał już do czynienia tylko z podobnymi mieszkańcami. Mieszkających tam Rosjan możesz spotkać tylko w dużych miejscowościach, a tych już wiele na swojej trasie nie spotkasz... Udaliśmy się w dalszą drogę.

Zapadał wieczór, kiedy dojechaliśmy do pozostałych. Ponieważ wszyscy byliśmy w miarę wypoczęci, postanowiliśmy kontynuować jazdę nocą. Ze względu na to, że strasznie się kurzyło, uzgodniliśmy dziesięciominutowe odstępy między pojazdami. Gdyby zaistniała taka sytuacja, że jadący pierwszy dojedzie do jakiegoś rozwidlenia lub skrzyżowania, to czeka na pozostałych. W wypadku, gdy nie będzie takiej możliwości, drogę, którą obierze, oznacza ułożonymi w poprzek gałęziami lub kamieniami. Ruszyłem pierwszy, za mną po dziesięciu minutach Sasza, a następnie Pietia z Kolą. Postanowiliśmy przejechać tej nocy pięćset kilometrów!!!

Tajga napełniała się powoli ciemnością. Nad ledwo widocznym zarysem nieuczęszczanej od lat drogi wiły się popielate pasemka wieczornej mgły. Jak dobrze było siedzieć znów za kierownicą i pochłaniać jeden za drugim kilometry brakujące do celu. Zerknąłem na prawo, lecz trwała tam niewzruszona ściana karłowatych modrzewi. Wychyliłem się na lewo i zobaczyłem leśną błotnistą ścieżkę prowadzącą w ciemną przestrzeń. Ciekawe, kto i kiedy chodził po tej ścieżce. Wyszedł księżyc i swym bladym światłem oświetlał nitkę prowadzącej „donikąd” drogi. Nie powiem, aby była to dodająca sił sceneria. Z jednej strony jestem zadowolony, że nieopuszczające mnie dotąd szczęście sprawiło, że mogę dalej kontynuować podróż, z drugiej zaś czuję się fatalnie, po prostu źle.

Nigdy nie przytrafiło mi się coś podobnego, aby z minuty na minutę popaść w taka chandrę. Wiem, że narzekają tylko słabeusze. To oni wymyślili sobie choroby i głęboko przejmują się migrenami czy bólem brzucha. W rzeczywistości niczego takiego nie ma, wszystko to choroby z urojenia.

Nie uważam siebie za supermana. Jestem normalny, nawet lekarze się tak wyrazili, a człowiek normalny nie miewa bólów głowy, ataków serca, rozstrojów nerwowych. Nigdy nie chorowałem, nigdy nie stękałem i nie prosiłem nikogo o pomoc. Ale teraz jadąc przez

tę głuszę, nie mogę w myślach znaleźć dla siebie miejsca. Cholerna, pieprzona chandra... Przypomniał mi się ten stary łagrownik spod Swierdłowska, który na wieść o moim zamiarze przejechania Syberii w porze letniej tak mi doradził: „Zielonkawę płynne błoto tajgi powinno w twoich żyłach zająć miejsce gorącej krwi - tylko wtedy z tym sobie poradzisz...” Właśnie myślałem, co ma teraz zająć miejsce krwi w żyłach? Nic, niestety, nie przychodziło mi do głowy, więc na końcu pomyślałem, że chyba spirytus, który wiezie ze sobą Pietia. Rozbawiło mnie to i humor trochę mi się poprawił.

Teren stawał się coraz bardziej pagórkowaty. Wyjechałem na otwartą przestrzeń. Nagle w blasku księżyca zobaczyłem tajemnicze martwe miasto, skupisko domów z samanu*. To pamiątka z lat komunizmu. Spalono to, co dało się spalić, poburzono, czego nie spalono. Turystów tu pewnie nie przywożą...

Parę kilometrów dalej drogę przecinała rzeka. Była szeroka, kamienista, ale za to bardzo płytka. Przejeżdżając na drugą stronę, wychyliłem głowę, sprawdzając jej głębokość na każdym metrze. Nie sięgała nawet po osie, więc nie czekałem na pozostałych i jechałem dalej. Jechałem cały czas przez otwartą przestrzeń.

Zaczęło świtać. Bardzo daleko przede mną zauważyłem pasmo wysokich gór i intensywną ciemnoczerwoną poświatę informującą, że słońce przygotowuje się do wyjścia zza szczytów.

Zatrzymałem się i sfotografowałem to piękne zjawisko. Otworzyłem niezawodny atlas szkolny i dowiedziałem się, że góry widoczne przede mną, to Suntar - Chajata, a wyróżniający się w tym paśmie szczyt nosi nazwę Mus - Chaja i ma 2959 metrów wysokości. Spojrzałem na licznik. Tej nocy przejechałem już trzysta dziesięć kilometrów. Jak tak dalej pójdzie, za kilka dni będę już w Magadanie - pomyślałem.

Stopniowo, wraz ze świtem, ogarniał mnie optymizm. I chyba tego poranka pierwszy raz dotarło do mnie, że naprawdę mi się uda i rzeczywiście pokonam Syberię!!! Ludzie mówią, że koniecznie trzeba wierzyć w to, co się robi, a wtedy wszystko się udaje. Kompletna bzdura. Może odnosi się to do innych ludzi, ale w moim przypadku jest całkowicie na odwrót. Już parę kilometrów za Moskwą zdałem sobie sprawę, że rzuciłem się z motyką na słońce i już wtedy byłem pewien, że nie dojadę... Tylko poczucie wstydu kazało mi jeszcze każdego dnia pokonać chociaż sto kilometrów, ale do przodu. Aby wstyd był mniejszy. Ażebym nie powiedziano, że jeszcze nie dojechał do Uralu, a już wrócił do domu. Nie chcę w tym momencie powiedzieć, że przyczyną moich takich, a nie innych myśli, był wysiłek fizyczny. Nie. Tylko wtedy już zauważyłem, że tutaj naprawdę nie ma dróg, mostów i w ogóle możliwości poruszania się pojazdem. Wiedziałem, że przede mną

*Saman - glina i trociny bez wypalania.

tysiące kilometrów bezdroży poprzez suche stepy i gęstwinę tajgi z bagnami. Byłbym kompletnym idiotą, myśląc wówczas, że trudności są chwilowe, a dalej będzie już dobrze. Inaczej wygląda wszystko przy biurku i rozłożonej na nim mapie, a inaczej, gdy jest się już w tych miejscach oglądanych przedtem tylko na papierze. Gdybym w tamtych pierwszych dniach ekspedycji codziennie myślał, ile kilometrów jeszcze mi zostało, to w tej chwili na pewno nie byłbym tutaj, gdzie się znajduję. A tak, jeszcze jutro chociaż sto kilometrów, jeszcze chociaż do Nowosybirska, Irkucka itd... Jednak w tej chwili u podnóża Suntar - Chajata już wiem, że muszę dojechać! A jeżeli coś się stanie, że jazda będzie niemożliwa, zostawię wszystko i pójdę dalej pieszo. Syberio, błagam, nie rób mi już kawałów, tak mało przecież już ciebie zostało...

Było wpół do szóstej rano, kiedy dojechałem do następnej rzeczki. Postanowiłem tutaj poczekać na jadących za mną.

Dzień zapowiadał się piekielnie upalny. Uważałem, że korzystając z porannego chłodu, należało przespać się jeszcze parę godzin, gdyż w czasie dnia będzie to niemożliwe ze względu na temperaturę, która sprawi, że jak każdego dnia będziemy przeklinali tę opuszczoną przez Boga i wszystkich ziemię.

Rozpaliłem ogień i wstawiłem wodę na herbatę. Niebawem nadjechał Sasza, dosłownie parę minut później Pietia i Kola. Wszyscy byli zadowoleni, ponieważ prawie odwaliliśmy założoną normę. Po szybkim posiłku Pietia gromkim głosem poprosił o ciszę. Następnie z całą powagą oznajmił, że ma dzisiaj urodziny i wieczorem zaprasza wszystkich na jedzenie i picie, które odbędzie się w „leśnej restauracji”.

- Pietia - mówię - nie wymyślaj urodzin, tylko po prostu powiedz jak chłop, że masz ochotę się dzisiaj napić. - My to przecież rozumiemy.

Pietia zastanowił się chwilę i powiada: - Pan Koperski, jeżeli okaże się zaraz, że mam dzisiaj naprawdę urodziny, to pan Koperski, aby zadośćuczynić obrazie, jakiej się w stosunku do mnie dopuścił, wypije podwójnie moje zdrowie - czyli kubek spirytusu na raz! W wypadku, kiedy okaże się, że kłamałem, to w tej chwili wyleję zawartość kanistra do płynącej tu rzeczki. Słowo się rzekło, a teraz pan Koperski, pokaż, żeś prawdziwy chłop i przyjmij zakład na podanych warunkach.

Zwątpiłem przez moment, ale zakład przyjąłem, ponieważ jeszcze się łudziłem, że Pietia blefuje. Sasza, patrząc na mnie z politowaniem, przeciął podane ręce. Pietia, podśpiewując, udał się do samochodu, skąd przyniósł swój wyświechtany paszport. Otworzył go na odpowiedniej stronie i podał mi do wglądu.

Pietia miał rzeczywiście dzisiaj urodziny. - Cholerna sowiecka mordó -

powiedziałem i jako pierwszy złożyłem mu życzenia. Ściskaliśmy się, rycząc ze śmiechu, po czym Pietia na palcach policzył godziny dzielące do wieczora i na końcu oznajmił, że czternaście godzin jeszcze wytrzyma. Ponieważ całą noc jechaliśmy, postanowiliśmy pospać parę godzin, w tym celu ustawiliśmy samochody w cieniu drzew i wygodnie rozparliśmy się w fotelach.

Obudził mnie żar lejący się z nieba. W takiej temperaturze po prostu nie dało się spać. Do tego dokuczliwe owady bezustannie brzęczące nad uchem, wszystko to nie sprzyjało wypoczynkowi. Jediną radą było wzięcie zimnej kąpieli, którą zaproponowałem obecnym i, o dziwo, wszyscy z niej skorzystali.

Zimna kąpiel ponownie postawiła mnie na nogi. Dopiero gdy zbieraliśmy się do drogi zauważyłem, że w obozie brakuje Pietii. Byłem pewny, że „stary niedźwiedź” dosypia jeszcze w samochodzie. Gdy zapytałem, co się z nim dzieje, dowiedziałem się od Saszy, że Pietia później do nas dojedzie. Ponieważ Sasza nie kwapił się, by mi to szerzej wyjaśnić, nie pytałem o nic więcej, tylko ruszyłem w drogę. Sasza z Kolą wsiedli do jednego samochodu i niebawem ruszyli za mną. Na brzegu został samotnie uazik, którym miał dojechać Pietia. Co oni kombinują? - nie dawało mi to spokoju.

Zima zamienia Syberię w lodową pustynię, która teraz nabiera wprost gigantycznej mocy życia. Każda roślinka wyraźnie się spieszy, by zdążyć zazielenić się, wyrosnąć, zakwitnąć i zostawić po sobie „potomstwo”. Wokół pełno różnorodnych kwiatów. Wyraźnie czuć ich zapach. Nie znam się na kwiatach, ale te wydawały mi się jakies nienaturalne, za bardzo kolorowe.

Drogę przecina coraz więcej strumieni. Topniejące gdzieś bardzo daleko lody, zasilają je bezustannie w nowe porcje wody, powodując, że niektóre z nich teraz zamieniają się w szerokie, trudne do przebycia kanały wodne. Napotykając częściej na takie przeszkody, przekonałem się, że nie warto tracić czasu na szukanie dogodnego miejsca na przejazd i forsowałem je przeważnie z marszu. Gdzieniedzie napotykałem stare drewniane mosty, ale w takim stanie, że strach było piechotą po nich przejść. Rzeki stanowiły również miejsce naszych spotkań. Gdy sforsowałem którąś z nich, czekałem po przeciwnej stronie na pozostałe pojazdy i obserwowałem ich zmagania z bystro płynącą wodą. W wypadkach, kiedy woda była dla ich samochodów za głęboka, przeciągałem ich na drugą stronę wyciągarką, a jak lina okazywała się za krótka, po prostu wracałem i brałem ich pojedynczo na hol.

Teraz właśnie oczekiwałem na Saszę i Kolę przy jednym ze strumieni, który okazał się na tyle głęboki, że woda dosłownie wlewała mi się do kabiny. Rzeczka nie była szeroka, więc rozwinąłem już linę od wyciągarki. Po jakimś czasie nadjechali i przepравиłem ich

bez problemu na drugą stronę. Stwierdziliśmy, że nie możemy jechać dalej, ponieważ byliśmy zdania, że samotnie jadący za nami Pietia może utknąć w tym miejscu. Kola zaproponował, by rozbić tutaj obóz, ponieważ nie spodziewał się, by Pietia nadjechał niebawem.

Nie wytrzymałem i łaskawie prosiłem, aby w miarę możliwości wytłumaczyli mi zagadkowe pozostanie Pietii. Ociągali się z odpowiedzią, twierdząc, że to miała być niespodzianka. Poza tym nie byli pewni, czy ta niespodzianka rzeczywiście się spełni, dlatego ta tajemniczość. Dopiero gdy im zagroziłem, że zaraz podcępię ich samochód i z powrotem przeciągnę na drugą stronę i tak zakończy się ich przygoda z „pan Koperski”, Kola, wstrzymywany jeszcze przez Saszę, powiedział wreszcie, o co chodzi.

Pietia chce wyprawić dzisiaj swoje urodziny, spirytusu ma cały kanister, nie ma tylko zagrychy. Wziął więc swój obrzynek, który zawsze wozi ze sobą i udał się do lasu na polowanie. Ale prosił, by nic nie mówić, ponieważ nie był pewien, czy coś upoluje. Twierdził, że nie ta pora dnia i roku, ale mimo wszystko wierzył w swój myśliwski instynkt. Przy okazji wyszło na jaw, że Pietia w młodości był zawodowym myśliwym i kilka ładnych lat polował gdzieś na Północy. Czego ten człowiek już nie robił? pomyślałem.

Dopiero pod wieczór zauważyliśmy samochód jadący w tle zachodzącego słońca.

Był to Pietia. Dojechał wreszcie do brzegu, wysiadł i pyta, czy głęboko. - Głęboko odpowiadam - poczekaj, zaraz przeciągnę linę.

- Jak ty przejechałeś, to ja też przejadę - odparł.

- Jak jesteś taki mądry, to jedź - odpowiedziałem. Nagle myśl błysła mi w głowie.

- Poczekaj Pietia. Jak jesteś taki pewien, że przejedziesz, to się załóż. Bądź chłop i przyjmij zakład. Ja jestem pewien, że się rozłożysz na środku rzeki. Więc o co się zakładamy? - pytam.

- Założę się o wszystko, ale spirytusu do rzeki nie będę wylewał, bo by się mój dziadek w grobie przewrócił - powiada.

- Nie musisz wylewać, ale jak nie przejedziesz, to ja nie muszę wypić dzisiaj kubka spirytusu na raz, zgoda? - zapytałem.

- Zgoda - powiedział i wsiadł do samochodu. Włączył biegi terenowe i powoli wjechał do wody. Coraz głębiej, głębiej i wreszcie woda doszła już do instalacji zapłonowej, silnik lekko się zdławił i w tym momencie kochany Pietia okazał się kierowcą do kitu. Zamiast utrzymywać stałe tempo jazdy, tworząc przed samochodem naturalną falę, która w rezultacie powoduje obniżenie się lustra wody na wysokości silnika, Pietia nerwowo dodał gazu, by szybciej się z wody wydostać, przelał powstały menisk i woda definitywnie zalała silnik, który już nawet nie kichnął, tylko po prostu stanął.

- Brawo, Pietia, zuch jesteś, szkoda, że nie założyłeś się o spirytus! - krzychałem.

Pietia klął, ale również dobrze się bawił. Po chwili jego uazik stał już wyciągnięty na brzegu.

Postanowiłem nie dać mu spokoju. - Pietia - mówię - taką kałużę to w Polsce każdy początkujący kierowca przejedzie, a ty, stary Sybirak i na takiej płytkiej wodzie stajesz. - Tak? - zapytał zaczepnie. - Dobrze - powiada - siadaj i jedź, ale jak nie przejedziesz, to litr spirytusu wtłoczę w ciebie.

- Dobrze - mówię, ale jak przejadę, to ty wylewasz spirytus do rzeki. Zastanawia się szelma i po chwili mówi.

- Jestem graczem i zagram z tobą, ale nie o całą stawkę. Wyleję dziesięć litrów, jak przejedziesz. - OK?

- Zgoda - mówię, ale też mam w tym wypadku swoje warunki. Jak mi się nie uda, to wypijam tylko pół litra.

Pietia wyciąga rękę i Sasza przecina. - Wyciągnij tylko to, co masz w samochodzie, bo nie lubię z „trupami” jeździć - powiadam, wcale nie wiedząc, czy coś upolował. Pietia spojrzał groźnie na kompanów i mrużąc pod nosem, że później się z nimi porachuje, wyciągnął z samochodu dorodną sarenkę.

Wsiadam do uazika, uruchamiam silnik, który zdążył już wyschnąć i wolno podjeżdżam do wody. Stosując to, czego nie stosował Pietia, bez problemu wyjeżdżam po drugiej stronie. Wsiadam i krzyczę, że wracam za drugie dziesięć litrów, ale Pietia tylko wygraża mi swoją dużą pięścią. Po chwili również bez problemu wracam tą samą trasą. Teraz Pietia robi lisią minę i proponuje, by iść na ugodę. On nie wylewa spirytusu, a ja nie muszę duszkiem wypijać przegranej porcji, a ten pozostały raz, co jeszcze wygrałem, daję mu w prezencie na urodziny. Kalkulacja godna dobrego ekonomisty.

- Zgoda, ty syberyjska mordo - mówię i ściskamy sobie ręce.

Zabieramy się teraz wszyscy za przygotowywanie uroczystości. Pietia oprawia sarnę, Kola przygotowuje prowizoryczny stół i siedzenia, Sasza rozpala ogień i gotuje wodę, ja natomiast jestem obecny wszędzie i każdemu po trochu pomagam. Pietia w dole strumienia rozwiesił „nieboszczkę” między gałęziami drzew i zabrał się do pracy. Sprawienie sarenki sprawiło mu taką samą trudność jak pięcioletniemu dziecku odwinięcie cukierka z papierka. Naprawdę nie trwało to dłużej niż parę minut. Już płukał poszczególne tusze w wodzie. Przyniósł to wszystko i polecił Koli część przygotować na ruszt, a pozostałe duże ilości mięsa rzucił na prowizoryczny stół. Rozdzielał je teraz potężnymi uderzeniami błyszczącego noża, mięso mlaskało, stół jęczał. W kotle stojącym na ogniu szumiała już przyjacielsko woda i kiedy poczęły wyskakiwać bąbelki, Pietia

wrzucił całą torbę kaszy i miskę starannie obranych ziemniaków. (Nie dowiedziałem się, gdzie je zdobył). Na końcu wrzucił przygotowane mięso, usiadł zmęczony na pniu i przypatrywał się swemu dziełu z miną zwycięzcy.

Chwilę zastanawiał się, twarz jego stężała, potem nagle klepnął się w czoło i pobiegł do wozu. Wrócił po chwili, trzymając kanister ze spirytusem...

... Śni mi się, że jest pożar i jestem cały w ogniu... Powoli otwieram oczy - jeszcze nie wierzę - z trudem poruszam nogą - więc jednak żyję - to był tylko upiorny sen. Prawa strona twarzy piecze, jakby ktoś żelazkiem przypalał. Rozglądam się i widzę wszystkich leżących na ziemi. Dopiero teraz patrzę na zegarek - jest godzina dwunasta w południe. Biegnę do wody i zanurzam piekącą stronę twarzy. Uff. Co za ulga. Wracam do samochodu i przeglądam się w lusterku. Cała prawa strona twarzy spieczona od słońca. Budzę pozostałych, każdy ma minę, jakby nie wiedział, co się w ogóle dzieje. Po chwili widzę ich leżących z głowami w wodzie. Ich twarzyczki są również czerwone. Przeglądają się w lustrach samochodów, nikt nic nie mówi, panuje solidarna cisza. - Proponuję dzisiaj dobrać się parami - mówię, z trudem wydobywając głos ze spieczonego gardła. Próbują się uśmiechać, ale wychodzą z tego tylko grymasy twarzy. Patrzę i oczom nie wierzę. Pietia stoi nad rzeczką i wylewa pozostały spirytus do wody. Starannie płucze kanister, jakby trucizną był skażony, po czym nabiera do niego czystej zimnej wody. Wszystko odbywa się w milczeniu.

Czas ruszać w drogę. Ponieważ Pietia ma spieczoną lewą stronę twarzy, stanowimy dobraną parę. Twarze Saszy i Koli również się spasowały, więc skład załóg ustalony - odjeżdżamy.

Porośnięte skarłałym modrzewiem zbocza gór, wyboista zeschnięta droga, kurz i lejący się z nieba żar. To chyba po części kara za wczorajszy dzień. Przeżywając straszliwe męki, pokonujemy kilometr za kilometrem. Jak na złość od kilku już godzin nie przejeżdżamy żadnej rzeczki. Gardła mamy tak suche, że mówienie sprawia nam trudność, dlatego przeważnie milczymy. Pietia wali się pięścią w czoło - dlaczego wszystko wylał do wody? Mógł chociaż trochę na lekarstwo zostawić. Oj, jaki ja głupi... - lamentuje jeszcze dłuższą chwilę.

Późnym popołudniem dojeżdżamy do jakiejś wioski. Widać ją po lewej stronie drogi. Jest nawet tablica „Kujdusun”. To jedna z wielu osad, gdzie nie ma ogródków ani płotów. Po obejściu nie kręci się żaden inwentarz. Nawet psa tu nie uświadczy. Drewniane chaty i wokół wypalona słońcem ziemia. - Kiedyś kopano tu złoto - odzywa się milczący dotąd Pietia.

Jedziemy dalej w milczeniu. Niedaleko za wsią szeroki górski strumień.

Zatrzymujemy się tutaj, moczymy bużki w wodzie i czekamy na jadących za nami. Wreszcie dojeżdżają, moczą twarze w wodzie i ruszamy dalej.

Dopiero wieczór przynosi jako taką ulgę. Wiemy jednak, że jeszcze trochę potrwa, zanim się całkiem dobrze poczujemy.

Jest już noc, kiedy dojeżdżamy do następnej rzeki. Jesteśmy wykończeni pijemy tylko herbatę i układamy się do snu. W nocy słyszę, że przyjechała jakaś ciężarówka, ale nie mam nawet ochoty wyrzeć, kogo tu licho przyniosło...

- Do Magadanu? - aż zagwizdał kierowca, który dojechał do nas poprzedniej nocy. - Przed wami jeszcze tysiąc kilometrów, licząc od tego miejsca, ponad dwadzieścia rzek i tylko jeden most nadający się do przejazdu. Koło miejscowości Dębin rzeka głęboka i chyba nie dacie rady, a most w rozsypce, nawet nie próbujcie wjeżdżać. Tam pewnie na dobre się zatrzymacie. Nikt tam nie jeździ, bo wszyscy o tym wiedzą. Poza tym całkowite bezludzie i zapewne do listopada nikogo tam nie spotkacie.

- Dlaczego do listopada? - zapytałem. - Bo wtedy już rzeka zamarza - odparł.

- Nie zapomnijcie w Susumanie zatankować paliwa, jest nowa dostawa, jakimś cudem po Kolicy zimą je tam dowieźli - dodał. Dopiero teraz spojrzałem na jego ciężarówkę i z wrażenia aż mnie zatkało.

Zobaczyłem bowiem załadowane na krazie oznaczone pojemniki do przewozu materiałów radioaktywnych...

Wyczułem moment, drapnąłem Pietię na osobności i podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami.

- A co ty wozisz, przyjacielu? - zapytał Pietia bez ogródek.

- No... no... - zmieszał się przybyły kierowca - wiecie, płacą podwójnie, żona, dzieciaki w domu, co mam z głodu zdechnąć? To lepiej jak tak zdechnę, nie?

- Tak lepiej - odparł Pietia. - A dokąd wozisz to ścierwo?

- Nie mogę powiedzieć, bo mnie do pierdła wsadzą, podpisywałem stosowne zobowiązanie - powiedział, a wszyscy obecni wiedzieli, że mówi prawdę.

- Dlaczego zatrzymałeś się koło nas z tym gównem? - nie dawał za wygraną Pietia.

- A skąd ja mogłem wiedzieć, że wy tu będziecie - jest lato, więc nikt tędy nie jeździ, nie miałem już siły dalej jechać, a do następnej wody przeszło sto kilometrów - usprawiedliwił się. - Dobra, zaraz odjeżdżam - powiedział, widząc nasze nietęgę miny. Pożegnał się na odległość, jakby był zarażony tyfusem, przejechał przez wodę i powiózł dalej to świństwo w znanym sobie kierunku. - Biedny chłop - przyznali wszyscy.

- Głupi - odezwał się Pietia. - Ale świat byłby nieciekawym, gdyby byli na nim sami mądrzy - dodał.

XII

Nie mam nigdy tylko samego pecha. Nie mam też nigdy samego szczęścia. Jakoś tak mnie Stwórca zaprogramował, że pech u mnie występuje w parze ze szczęściem i odwrotnie. Dlatego też znajomi mówią o mnie, że zawsze spadam na cztery łapy. I chyba tylko w tej sprawie przyznaję wszystkim moim znajomym rację, bo innych racji nie mają. Po prostu ludzie interesują inne sprawy i dzielą różne doświadczenia. Bo cóż żaba ze studni może wiedzieć o oceanie... Właśnie w tej chwili nawiedził mnie pech, wystrzeliła mi bowiem tylna opona. Nie jest to powód, by nazywać to pechem, jod warunkiem jednak, że ma się oponę zapasową - ja akurat takowej nie posiadałem, i dodatkowo nie znajdowałem się na ruchliwej trasie przelotowej. Tak samo jak opony poprzedniczki, ta również nadawała się tylko, by zaśmiecić nią syberyjską ziemię. spoważniał nawet zawsze wesoły Pietia. Zdaliśmy sobie wszyscy sprawę, że powstał nie lada problem, bowiem takiego rozmiaru próżno szukać na terenie całej Rosji. Miejsce „tragedii” przez samego diabła zostało wybrane... Nasłonecznione i pełne godnych komarów. Do najbliższego strumienia, gdyby wierzyć mapie, siedemdziesiąt kilometrów. Więc nie bagna i góry, tylko głupia opona... - pomyślałem. Nie, to nie mogło mi się w głowie pomieścić. Staliśmy w milczeniu przy samochodzie opędzaliśmy się od komarów.

- Nic nie wymyślimy - mówię. Po prostu wielka dupa... - Jedźcie dalej Pietia, tu nic po was - mówię. Nastąpiła cisza i nikt się nie odzywał przez dłuższą chwilę.

- Pan Koperski, panu słońce już zaszkoziło - u nas nawet wroga nie zostawia się w tajdze - odezwał się Pietia. Milczymy, bo myślimy, co by tu poradzić. - Saszka, zdejmijcie to i wrzucicie do uazika - powiedział Pietia, wskazując na pustą felgę zaczepioną na masce land - rovera. - Pan Koperski, ruszamy i prędzej nie wrócimy, niż zdobędziemy oponę. - Z piekła, ale ją dostaniemy - dodał.

Ruszyliśmy na poszukiwanie „szczęścia”. To ostatnie dało o sobie znać już parę kilometrów dalej... Zatrzymaliśmy się, by dokładnie przyjrzeć się mapie. I nagle słyszymy blisko warkot motocykla. Gdzieś z boku. To znaczy, że jakaś droga tuż - tuż. Pietia włączył sygnał i tak długo go trzymał, aż ten zaczął „rzęcholić” i wreszcie sam się uciszył. Usłyszał go jednak motocyklista i po chwili wyłonił się zza zarośli, Pietia krótko objaśnił motocykliście o co chodzi. - Potrzebna opona numer szesnaście. Motocyklista wzruszył jednak ramionami i polecił, by w tej sprawie zapytać w kopalni. Tak! - jest taka i to całkiem niedaleko. Mają tam nivy, może będą też mieli jakieś pony. Motocyklista objaśnił jeszcze, jak tam trafić i pojechał w swoją stronę.

Po dwudziestu minutach staliśmy już wśród prowizorycznych baraków. Kopalnia wydobywała złoto i była jedną z nielicznych pracujących jeszcze na tym terenie.

- Kto tu szef? - zapytał Pietia ludzi siedzących w cieniu baraku. Bez słowa wskazali na jeden z baraków, obok którego stał samochód „Niva”. Dochodzimy i na oponie odczytujemy numer 16!!! Niestety, kolejny wytłoczony numer określający wysokość opony jest inny, ale Pietia twierdził, że najważniejsze, że na felgę będzie pasowało...

Kierownika zrywamy z popołudniowej drzemki. Jest młody i nie liczy sobie więcej niż trzydzieści lat. Tak, ma dwie nowe zapasowe, ale nie da, bo sam potrzebuje. Gdyby je odstąpił, musiałby sprowadzać, a on nawet nie wie skąd. Prawdopodobnie z Jakucka. Owszem, jest mu przykro, ale nic na to nie poradzi. Nie pomogły żadne perswazje, że ekspedycja, obcokrajowcy itd. On naprawdę nic na to nie poradzi... Uparł się i koniec. Poradził natomiast Pietia. Odbyło się to tak szybko i zdecydowanie, że nawet nie zauważyłem ciosu spadającego na szczękę kierownika. Ciało jego oderwało się od ziemi i poszybowało w górę, spadając z rumorem między jakieś miski czy garnki. Pietia jednak uznał lądowanie za nieudane i ponownie wprowadził ciało kierownika w lot szybowcowy. Tym razem przyziemienie odbyło się na drewnianej pryczy, która tego nie wytrzymała, rozlatując się z trzaskiem. Pietia stwierdził, że od tej chwili mają już z kierownikiem wspólną płaszczyznę do dalszej rozmowy i przerwał naukę latania... Teraz spokojnym głosem oświadczył, że rozpieprzy cały ten cholerny kram, a sprzeciwiającym się temu zamiarowi zafunduje bezpłatny bilet w zaświaty. I pies z kulawą nogą nie będzie o tym wiedział. Następnie, by pobudzić odrętwiałą po ciosach wyobraźnię kierownika, opowiedział o pewnym milicjancie ochraniającym Koleje Państwowe Sowietckiego Sojuza, któremu wydawało się, że on Pietia kradnie... benzynę ze stojącej na bocznicie cysterny. Z opowiadania wynikało, że milicjant w stanie zakonserwowanym do dzisiaj jeździ w cysternie po wszystkich szlakach kolejowych Rosji... Potem powiedział jeszcze, że wytnie nożem kierownikowi to, co nosi między nogami, bo nie godzi się, by taki człowiek jak on płodził dzieci... Kierownik słuchał opowieści w osłupieniu i widać, że wszystko do niego dotarło, gdyż oświadczył, że idzie po opony. - Po opony zawsze jeszcze zdążysz, i tak bez nich nie odjedziemy - powiada Pietia. - Najpierw wystaw kwity. - Jakie kwity? - zdumiał się kierownik.

- A takie, że nam je sprzedałeś za dwieście dolarów. - Ale ja nie sprzedaję... - jękał się kierownik. - Ty naprawdę chcesz się nauczyć latać... - powiedział Pietia, unosząc się z miejsca. - Już, już piszę - odparł kierownik i drżącą ręką wypisywał pod dyktando kwit sprzedaży. - No, a teraz biegiem po opony i nie próbuj zrobić jakiegoś numeru, bo wiesz, ile możesz dostać do odsiadki za sprzedawanie mienia państwowego i do tego za dolary. Świadek jest - powiedział, wskazując na mnie, a ja przytaknąłem głową. Kierownik kopalni złota przypatrywał się teraz naszym jednostronnie spalonym twarzom myśląc

zapewne, że ma do czynienia z jakimiś stworami z kosmosu... Po chwili jednak ocknął się i przyniósł z sąsiedniego baraku dwie nowe opony.

- Inaczej z takimi nie można - powiedział Pietia, kiedy wracaliśmy do swoich.

- A co z tym milicjantem? - zapytałem.

- To było dawno i nie było innego wyjścia. Albo on, albo ja... Kanalia była i tyle.

Pamiętaj, pan Koperski, człowiek powinien być dobry tylko do określonej granicy. Potem albo będziesz gryzł, albo inni cię zagryzą. Naprawdę, pan Koperski, takie jest życie...

Wróciliśmy jak wojownicy po wygranej bitwie. Dumni, pyszni i oczekujący pochwał. Naturalnie, nie do końca opowiedzieliśmy, w jaki sposób zdobyliśmy gumy. Nawet grosza nie wziął... taki dobry człowiek - powtarzał często Pietia. Sasza i Kola wybierali się do pracy i po niespełna półgodzinie land - rover stał już gotowy do drogi. tylko nieco pochylony do przodu. Zdobyte opony były niższe od oryginalnych, c Kola słusznie zdecydował, aby dwie nowe umieścić na przedzie. Taka rozsądna liana sprawiła, że zyskałem jeszcze jeden zapas.

Ruszyliśmy dalej. Na pozór wszystko się zgadzało i nawet nie odczuwałem specjalnej różnicy wynikającej z różnicy rozmiarów. Dopiero, gdy przejeżdżając przez jedną rzeczkę dla pewności włączyłem biegi terenowe i blokadę, okazało się, że coś nie gra. Land - rover posiada taki układ napędowy, że zawsze „ciągnie” na cztery koła. W tym wypadku różnica wynikająca z wielkości opon nie odgrywała żadnej roli. Dopiero włączenie blokady kół powodowało, że w związku z różną wielkością opon inaczej rozkładały się siły na mechanizm różnicowy. Dawało to silne wibracje przedniego napędu i cały samochód drgał, jakby nie posiadał w ogóle zawieszenia. To mogło doprowadzić do awarii mechanizmu różnicowego, tym bardziej, że drgania ustawały dopiero po przejechaniu kilkunastu kilometrów... Dlatego też starałem się jak najrzadziej używać blokady. Niestety, nie zawsze jednak samochód zdołał pokonać przeszkodę na biegach szosowych. Najważniejsze jednak, że jechałem dalej.

Rozmyślałem teraz nad zadziwiającymi zbiegami okoliczności, jakie towarzyszyły wyprawie od samego początku. Zawsze, ale to zawsze, w krytycznych sytuacjach pomoc nadchodziła wręcz natychmiastowo. Bóg chyba mi w ten sposób wynagradzał ogrom pracy i wszystkie szykany, jakich doznałem, organizując tę wyprawę. Czy można to wszystko nazwać tylko zbiegami okoliczności? Kto chce, niech tak to nazywa. Ja natomiast głęboko wierzę, że mam Anioła Stróża. Wiem też, że bardzo mnie lubi, ponieważ nie daję mu takiej możliwości, aby chociaż przez chwilę się nudził. A on z kolei jest pracuś i dlatego mnie lubi...

Wieczorem zatrzymaliśmy się w przeuroczym miejscu. Dookoła wysokie, skaliste

las otaczający płynącą malowniczo rzekę. Sceneria nadająca się do filmu. Nie mam po prostu tego opisać, zbyt mało mam pisarskiej rutyny, aby przelać to na papier. Nawet Rosjanie, którzy raczej do romantyków nie należeli i niejeden krajobraz widzieli, rozglądali się teraz z podziwem. Obrazy ze szwajcarskimi brzoźami można by z pokoi przewiesić teraz do toalety... Wyglądało na to, że z ostatni wspólny obóz, ponieważ spodziewaliśmy się, że jutro dotrzemy do manny, a tam Pietia z towarzyszymi odstawiali samochody. - Pan Koperski, nie martw się, my się jeszcze szybciej spotkamy niż myślisz - :dział Pietia, kiedy powiedziałem, że wielka szkoda, że drogi nasze się rozchodzą, chcesz, to możemy się założyć - powiada. - Oj, Pietia, ty przez te zakłady to życie stracisz - mówię.

Po kolacji siedzieliśmy wszyscy dłużej przy ognisku i jakoś nikomu spać się nie chciało.

Dniało już, kiedy bardziej z rozsądku niż ze zmęczenia udaliśmy się na spoczynek.

Po trwającej parę godzin drzemce spakowaliśmy manele i udaliśmy się w dalszą drogę. Do Susumanu był jeszcze ładny kawałek drogi z odcinkiem zaznaczonym na mapie jako zimnik. Dziwiłem się temu oznaczeniu, ponieważ teren był górzysty i nic nie wskazywało na to, że mogły tu występować bagna lub błota. Trasę, jaką się teraz poruszaliśmy, umownie nazwałem drogą. W rezultacie zaś była to wyboista, zeschnięta nawierzchnia gliniana, tak nierówna, że chodzenie po niej mogło zakończyć się skręceniem nogi. Tempo poruszania się nie przekraczało dwudziestu kilometrów na godzinę. Panujący na dworze ukrop sprawił, że jazda stała się jedną wielką męczarnią. Byłem pewien, że na Syberii już nic mnie nie zaskoczy, a jednak. Walcząc z nierównościami, w pewnym momencie poczułem, że tył samochodu gwałtownie się zapada! W ostatnim dosłownie momencie dodałem gazu i ledwo co wydostałem się na powierzchnię. Zatrzymałem się, aby zobaczyć, co się stało. Patrząc i oczom nie wierzę. Z tyłu za mną na całej szerokości zapadła się droga. Po chwili dopiero przyjrzałem się przekrojowi drogi. Pół metra gliny, a pozostała część stanowi po prostu lód. Spływająca z góry woda żłobi w nim liczne kanały, a niektóre z nich miały kilkumetrową szerokość, tworząc podziemne strumienie. Powstałe w ten sposób niektóre „mosty” nie wytrzymały ciężaru samochodu. Teraz dopiero zrozumiałem, że oznaczone na mapie zimniki dotyczą nie tylko bagien i błota. Zaczekałem na jadących z tyłu, ponieważ rozpadlina była tak duża, że nie było szans przedostania się ich samochodom. Zawczasu obróciłem samochód o sto osiemdziesiąt stopni, odczepiłem z bagażnika płozy i rozwinąłem linę od wyciągarki. Po chwili nadjechali i niezwłocznie zabraliśmy się do pracy. Przedostanie na drugą stronę dwóch samochodów zajęło nam przeszło godzinę.

Jechałem teraz o wiele ostrożniej, ale i tak od czasu do czasu zostawałem uwięziony w rozpadlinie. Dzięki Bogu teren był zalesiony, więc w cięższych przypadkach ścinałiśmy drzewa, budując prowizoryczne mosty. Wolno, ale przemieszczaliśmy się do przodu. Jak na złość trafił się nam również zawalidroga. Samochód ciężarowy „MAZ”, który od tygodnia sterczał uwięziony w rozpadlinie. Nie sposób było go objechać, ponieważ po prawej znajdował się głęboki jar, po lewej zaś wznosiła się stroma góra. Na szczęście był kierowca, który już na wszelki wypadek zdążył sobie pobudować prowizoryczny szałas. Znów siekiery w ruch i po godzinie „trak” stał już na twardym gruncie. Wymusiliśmy, ma się rozumieć, na kierowcy ciężarówki, by jechał za nami z tyłu. Parę godzin później dotarliśmy do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi osiedla. Składało się ono z kilkunastu baraków, które ustawione były w czworokącie. Na wielkim placu bawiły się dzieci. Aż się wierzyć nie chciało, że tu żyją ludzie. Rozglądam się wkoło, lecz nie zauważam śladu bytności inwentarza domowego. Jedyne zwierze, jakie dostrzegam, to wychudzony, świecący żebrami pies. Pietia sądzi, że był tu łagier.

- Dlaczego więc nie ma śladu ogrodzenia? - pytam. - A dokąd stąd byś uciekł? - spytał Pietia.

Od mieszkańców dowiedzieliśmy się, że trasa, którą jedziemy za sześćdziesiąt kilometrów łączy się z drogą prowadzącą z Ust - Nera do Susumanu. Powiedziano lam jeszcze, że trasa ta jest szeroka i równa jak autostrada. Nie zatrzymując się dłużej w osadzie, ruszyliśmy dalej.

Po przeszło dwóch godzinach dojechaliśmy do miejscowości Aras i ku wielkiemu naszemu zdziwieniu stwierdziłiśmy, że rzeczywiście znaleźliśmy się na autostradzie”...

Droga była tak szeroka, że z powodzeniem mogły się mijać na niej cztery samochody na raz. Pomimo że nawierzchnia była żwirowa, to rzeczywiście była równa jak stół. Teraz gęby promieniały wszystkim ze szczęścia. Skakaliśmy po „autostradzie” jak mały, tupaliśmy nogami, sprawdzając, czy aby jest należycie twarda... Och, jakie wielkie panowało ożywienie. Spójrz teraz, wiecznie niezadowolony człowieku cywilizowany”, jakie błahostki mogą być powodem szczęścia. Coś mi strzeliło do głowy i mówię: - Pietia, załóż się z tobą o wiadro spirytusu, że pierwszy dojadę do usumanu. Patrzę, a on już biegnie z rozradowaną twarzą i wyciąga rękę do zakładu. Sasza przecinaj. Uwaga! Gotowi! Start!

Ruszyłem, za nami pozostała tylko ściana żółtego pyłu. łazik nieco mnie wyprzedził na starcie, ale mając pod maską ośmiocylindrowy silnik, natychmiast a dogoniłem i pędziliśmy teraz łeb w łeb z prędkością stu dwudziestu kilometrów a godzinę.

Droga była pusta, więc jechaliśmy cały czas obok siebie. W niespełna pół godziny dojeżdżaliśmy już do rogatek miasta. Oczywiście, zadbałem o to, by wynik był remisowy.

Zatrzymaliśmy się teraz, aby poczekać na resztę. Pietia przesiadł się do nie i zza pazuchy wyciągnął jakiś wygnieciony notes. - Dam ci parę adresów, które przydadzą się w dalszej drodze - powiada. - Znam wszędzie trochę wpływowych ludzi, takich, do których można zawitać o każdej porze dnia i nocy. Prędzej nie dawałem ci tych adresów, bo nie wiedziałem coś ty za jeden, ale teraz jesteś dla mnie k brat, więc nie ma sprawy. Pierwszy zapisz z Magadanu, a drugi z Anadyru - może uda ci się tam dojechać... Wystarczy, że powiesz, że przysłał cię Peter Osow. Pod tym nazwiskiem znają mnie w tych stronach. Pamiętaj, to moi bardzo dobrzy starzy przyjaciele, z nimi jak ze mną... Co będą mogli, to tobie pomogą - dodał. No, to ja już mogę się z tobą pożegnać - mówi. - Życzę ci, żebyś cały i zdrowy jechał, a tak w ogóle to wielka szkoda, że ty nie ruski. Moglibyśmy się razem dotoczyć po tym ciekawym kraju - dodał. - Szkoda - odpowiedziałem. Dojechali pozostali i skierowaliśmy się w kierunku centrum miasta. Susuman jest najbrzydliwszym miejscem na ziemi, jakie kiedykolwiek widziałem. Przejechałem już prawie całą Rosję i widziałem wszystko: bogactwo, biedę i ubóstwo jej mieszkańców. Jednak to, co zobaczyłem tutaj, nie mieściło się w żadnym z tych przedziałów. Na wypalanej słońcem czarnej ziemi stało kilkadziesiąt ruin czteropiętrowych bloków mieszkalnych. Pomiędzy nimi gdzieś ustawione sanitariaty. Osiedle nie posiadało widać miejsca na składowanie odpadów. Wyrzucano je prosto z okien. Gruby ich kobierzec zalegał między blokami, widoczne były tylko wydeptane ścieżki prowadzące na ulice i do cuchnących pełnych robactwa „przybytków”. Pełno było tu potłuczonych butelek, puszek od konserw i wszelkich innych śmieci. Pod blokami na drewnianych skrzynkach siedzieli jacyś panowie o wyglądzie łachudrów. Ich wyniszczone gorzałą młode twarze kontrastowały w sposób przerażający z wychudłymi ciałami o mięśniach w stanie atrofii. Brudu ich nie da się opisać. Pito tego - to właśnie codzienność tego miasta.

Odnaleźliśmy stację paliw składającą się z dużego zbiornika i ręcznej pompy. Zdrowo się wszyscy namachaliśmy, zanim zbiorniki land - rovera zostały zatankowane. W takiej to odrażającej scenerii zegnałem się z Pietią, Saszą i Kolą, ludźmi, z którymi złączyła mnie szczerą, bezinteresowną przyjaźń. I po raz kolejny, to samo wstrętne uczucie - szkoda, że was już nigdy nie zobaczę. - Nie bądź smutny, pan Koperski - mówi Pietia - tacy jak my prędzej czy później się spotykają...

Rozjechaliśmy się w przeciwne strony. Słońce już zbiegło poza domy, rzucając fioletowe długie cienie. Wszędzie rozsypane po ziemi stłuczone butelki i puszki od konserw lśniły teraz jak diamenty...

Do Magadanu pozostało nie więcej niż osiemset kilometrów. Postanowiłem jechać tak długo, ja długo wystarczy mi sił. Ponieważ „autostrada” skończyła się w Susumanie,

nie przemieszczałem się w tempie takim jak uprzednio, niemniej jednak droga była twarda i mogę ją zaliczyć do jednych z lepszych, po jakich poruszałem się w ostatnim miesiącu.

Była już noc, kiedy dojechałem do zagradzającej drogę rzeki. Ocenilem ją na niezbyt głęboką i jak zwykle wjechałem do niej „z marszu”. Tu wydarzył się dosłownie cud! Woda okazała się głębsza niż przypuszczałem i nim się zorientowałem, reflektory świeciły już pod wodą. W chwilę później załało maskę i zauważyłem lustro wody na przedniej szybie. Woda pod ciśnieniem wdzierała się już przez liczne szpary do samochodu. Po chwili samochód na moment stracił przyczepność i prąd rzeki uniósł go nieznacznie w bok. Koła jednak chwyciły podłoże i land - rover ponownie ruszył w stronę przeciwnego brzegu. W tym momencie silnik lekko się zdławił, ale w ułamku sekundy odzyskał obroty. Po chwili wyjechałem na przeciwny brzeg. Gdy otworzyłem drzwi z samochodu wylały się potoki wody. Cały pojazd parował teraz jak lokomotywa. Oczekałem chwilę, by pracujący silnik osuszył instalację i nie wychodząc z podziwu, ruszyłem w dalszą drogę.

Czy może mi ktoś wytłumaczyć, jakim prawem pracuje silnik gaźnikowy zatopiony w wodzie? Do dzisiaj nie tylko dla mnie jest to zagadką.

Dalsza trasa prowadziła już wzdłuż koryta rzeki.

Dotarłem do wioski Jagodnoje. Droga wiodła przez jej środek i jechałem wśród nędznych starych drewnianych chat.

Wieś ze względu na porę pogrążona była we śnie. Gdziekolwiek w oknach widoczne były jarzące się światelka. Panowała grobowa cisza i zdziwiło mnie bardzo, że nie zaszczekał nawet jeden pies. Czyżby takiego zwierzęcia tutaj nie znano? Około trzeciej nad ranem minąłem pasiołek Dębin, a parę kilometrów dalej stanąłem przed mostem, który w świetle reflektorów wyglądał na jedną wielką ruinę. Acha, przypomniało mi się, że znajduję się w miejscu, o którym wspominał kierowca ciężarówki wożący materiały radioaktywne. Panujące wokół ciemności nie pozwoliły ocenić sytuacji, nie było więc innego wyjścia jak poczekać do rana. Byłem bardzo zmęczony, więc zasnąłem, oparłszy tylko głowę o kierownicę.

Rano okazało się, że napotkany kierowca miał rację. Z mostu pozostał właściwie tylko dwustumetrowy niekompletny szkielet. Przeszedłem po dźwigarach na drugą stronę i stwierdziłem, że nawet pod ciężarem człowieka tracił stabilność i cały się ruszał. Most był wysoki, a w dole błyszczało lustro wartkiej rzeki.

O przejeździe samochodem nie mogło być mowy. Również przeprawa po dnie nie wchodziła w rachubę, ponieważ woda była na to za głęboka. Z mapy dowiedziałem się niewiele, tylko tyle, że rzeka nazywa się Kołyma. Postanowiłem cofnąć się do wioski, która

była niedaleko i zapytać o inną możliwość przeprawy.

- Do Magadanu? - spotkany starszy człowiek tylko pokiwał przecząco głową. - Trzeba czekać, aż rzeka zamarźnie, innej rady nie ma. Latem tędy się nie jeździ - dodał.

Wróciłem więc z niczym. Rozpaliłem ognisko i ze spokojem zjadłem śniadanie. Następnie siadłem na skarpie i popijając herbatę, przypatrywałem się poszczególnym elementom mostu. Zaświtała mi myśl - może spróbować? Nie, nie da rady... A może jednak? Biłem się z myślami. Poszedłem znów na most i teraz bacznie mu się przyglądając metr po metrze przeszedłem na drugą stronę. Wydawało mi się, że można go przejechać, tylko w niektórych miejscach należało ułożyć płozy, które wisiały u boku bagażnika.

Pełen nadziei wróciłem na brzeg. Wyciąłem długi kij, po czym oznaczyłem na nim szerokość rozstawu kół oraz długość posiadanych płóz. Z tak przygotowaną miarą udałem się powtórnie na most. Po niespełna godzinie trasa przejazdu została wytyczona, a miejsca najbardziej niebezpieczne oznaczone zielonymi gałązkami. Zdawałem sobie sprawę, że istotną rzeczą jest ciężar samochodu, dlatego postanowiłem wszystko o zbędne z niego wyładować. Liczył się dosłownie każdy kilogram. Zdjąłem kanistry paliwem, opróżniłem wszystkie skrzynie i nawet wyjąłem siedzenia. Wahałem się jeszcze i kilkakrotnie przemierzałem most tam i z powrotem. Wreszcie wsiadłem do samochodu, włączyłem biegi terenowe, by móc jak najwolniej posuwać się do przodu wjechałem na ozebrowanie składające się ze starych drewnianych dźwigarów.

Koła ledwo co się obracały, wolno, wolno samochód przesuwał się do przodu, byłem cały czas wychylony i dosłownie centymetr po centymetrze śledziłem miejsca najazdu kół. Teraz dojechałem do miejsca, gdzie leżały płozy najazdowe. Czy się nie ześlizną? Już przednie koła przejechały, teraz muszą się przetoczyć tylne. Uff, udało się. Zatrzymuję się, ostrożnie wychodzę i delikatnie stąpając, przenoszę najazdówki w następne miejsce. Ruszam i znów centymetr po centymetrze. Daleko w dole widzę bystry nurt rzeki. Zatrzymuję się, wychodzę i sprawdzam położenie prawych kół. W samą porę to uczyniłem - połowa prawego koła wisi nad przepaścią. Odbijam delikatnie kierownicą i wyrównuję tak, aby obydwie opony całą swą powierzchnią znajdowały się na moście. Kolejny najazd, wolno, wolno - udało się! Znów przenoszę najazdówki. Minuty wydają się godzinami, jeszcze nie jestem w połowie drogi. Raptem stop!.. Most wolno, leniwie pochyła się na lewą stronę. - To już koniec - pomyślałem, jednocześnie przesuając się cały na prawą stronę. Myślę już o momencie upadku. Wcale się nie boję, nie ma na to czasu, rozważam tylko, w jakiej pozycji będzie samochód, gdy wpadnie do wody. Zapieram się w kabinie i usztywniam ciało. Lecz upadek nie następuje. Land - rover stoi jak stał, tylko most jest lekko odchyłony. Nie wiem, jak długo tkwiłem w bezruchu.

Następnie powoli przesuwam się na lewą stronę, ostrożnie nogę na sprzęgło, pierwszy bieg i delikatnie ruszam do przodu. Cały czas bezwiednie odchylam się w prawo i nie mam możliwości sprawdzenia, w jakim położeniu znajdują się koła. Most się powoli prostuje albo mi się tak wydaje. Zatrzymuję samochód i czuję lekkie huśtanie w prawo i lewo. Po chwili to ustaje. Pierwszy bieg i do przodu. Do końca jeszcze pięćdziesiąt metrów. Stop, znów przestawiam płozy, stąпам przy tym jak baletnica - na paluszkach. Jeszcze trochę .. .Błagam, wytrzymaj, moście... Wreszcie przednie koła najeżdżają na piasek, mam ochotę wcisnąć gaz do dechy, ale się opanowuję. Po chwili wychodzę z samochodu i nogi się pode mną wręcz uginają. Chcę uciec z tego miejsca jak najdalej i przechodzą mnie ciarki na myśl, że jeszcze kilkakrotnie muszę przemierzyć tę ruinę, przenosząc sprzęt pozostawiony na drugim brzegu. Sporo czasu straciłem jeszcze na noszenie i ładowanie go, ale więcej zapewne straciłbym, czekając, aż rzeka zamarźnie. I najważniejsze było jeszcze to, że po raz kolejny spadłem na cztery łapy.

Dziękuję ci, Aniele Stróżu... Wielokrotnie pytano mnie, co wtedy czułem i czy się bałem. Owszem, bałem się, ale nie był to paniczny strach. Naprawdę w takich momentach człowiek nie ma czasu na „banie się”. Wielokrotnie określano mnie jako ryzykanta i uświadamiano mi, że w czasie tej całej ekspedycji kilkakrotnie narażony byłem na utratę życia. I co z tego, kochani? Wyścig ze śmiercią zaczyna się już w dniu narodzin. Niektórzy przegrywają w nim już po kilku minutach, inni po dziesiątkach lat. Można odpaść z tego wyścigu w drodze do pracy, w domu, niekiedy także w czasie na przykład ekspedycji. Śmierć to taka rzecz, że może się przytrafić zawsze i każdemu. Ale w większości ludzie tego nie pojmują i urządzają się na tym świecie tak, jakby mogli żyć wiecznie. Do tego każdy jest nieszczęśliwy, bo wszyscy mają za mało...

Droga przecinała teraz rozległą otwartą przestrzeń. W oddali widoczny był jakiś łańcuch górski. Coraz częściej też napotykałem różnej wielkości grupy budynków stojących samotnie na rozległej płaszczynie. Osiedla te były bardzo zaniedbane wręcz w stanie ruiny, ale jak ze zdziwieniem zauważyłem, były zamieszkane. Będąc w Magadanie, dowiedziałem się, że los mieszkających tam ludzi został już dawno przesądzony. Ludzie ci bowiem byli skazani zostali na zagładę. Ktoś się oburzy - to niemożliwe! W czasach demokracji... Właśnie te czasy postawiły kropkę nad „i” Pomiędzy Chandygą a Magadanem rozciągają się tereny, gdzie znajdują się bogate pokłady złota i innych szlachetnych minerałów. Powstały tu setki miejsc wydobywania tych kruszców, a co za tym idzie, setki mniejszych lub większych osiedli. Za czasów ZSRR ludzie stamtąd mieli pracę, a w wiejskich sklepach na zasadzie wypiski można było nabyć podstawowe artykuły żywnościowe. W ostatnich latach (demokracji) wydobywanie przestało być opłacalne,

ponieważ ceny złota na rynku światowym spadły drastycznie. Zamknięto więc nierentowne przedsiębiorstwa wydobywcze i w ten sposób tysiące ludzi pozostało bez stałego dochodu. Żywność oraz inne artykuły dostarczano tu swego czasu drogą lotniczą. Ponieważ rejon przestał być dochodowy, zaniechano zaopatrywania tych osiedli, któż bowiem będzie za to płacił? Żywić darmozjadów? Odłączono również energię elektryczną, bo nikt za nią nie płacił. Nikt też nie pomyślał, że zima w tym rejonie trwa osiem miesięcy, a temperatury dochodzą do minus pięćdziesięciu stopni. Biedne chałupiny ogrzewane były prądem, bo drzewostan w tym rejonie nie istnieje, więc opalanie drewnem nie wchodzi w rachubę. Już pierwszej zimy doszło do tragicznych zgonów. Diagnoza: głód i zimno. Próbowano jeszcze ratować się, paląc meble, później całe domy, ale w rezultacie odwlekało to tylko i tak mającą nastąpić tragedię. Na domiar złego górzysto - stepowy teren oraz klimat wykluczyły możliwość uprawy lub hodowli czegokolwiek. Czy można w takim miejscu żyć? I pomyśleć, że dzieje się to w kraju, który szczyli się osiągnięciami w dziedzinie nauki i lotów w kosmos. Nasuwa się pytanie, dlaczego ci ludzie nie przeniosą się w inne miejsce. Dlatego, ponieważ nie posiadają pieniędzy i nigdy ich nie posiadali, bo nawet swoje wynagrodzenie odbierali w postaci towaru. Zresztą niech osoba pytająca spróbuje tylko miesiąc pomieszkać bez pracy i pieniędzy w dowolnym kraju, gdzie jedno jajko kosztuje dwa dolary, a kilogram cukru dwanaście dolarów... Nawet jak delikwent będzie miał pracę, to za miesięczne wynagrodzenie otrzyma cztery kilogramy cukru i może jeszcze na jedno jajko mu wystarczy. Przeciętny obywatel Rosji zawsze miał „przegwizdane”. Za czasów komunistycznych jednostka ludzka żyła nie dlatego, że miała do tego prawo, lecz istniała dlatego, że była tolerowana. Teraz za demokracji ma do tego prawo, cóż, kiedy została tak jak w opisanych przypadkach skazana na zagładę. Jest pewne, że ludzie żyjący w innych częściach Syberii, tam gdzie rośnie tajga i płyną rzeki, zawsze dadzą sobie radę, tak jak robili to dotychczas. Las dostarczy pożywienia i drewna na opał, rzeki czystej wody i ryb. Również ludność mieszkająca w miastach mniej odczuje zachodzące przemiany, bo życie w dużych skupiskach ludzkich stwarza inne możliwości przetrwania. Ale co mają zrobić ci ludzie? Czy opisany tu przypadek jest jedyny?

Pod wieczór zatrzymuję się w pobliżu miejscowości Mjakit i jestem już pewien, że jutro dojadę do Magadanu. To tylko trzysta kilometrów. Ciekawi mnie też bardzo, jak wygląda asfalt...

Dzień dzisiejszy był dla mnie dniem bardzo doniosłym. Aby w pełni to zrozumieć należy spojrzeć na mapę świata, znaleźć Szwajcarię i Zurych, a następnie Magadan. Jest wczesny ranek. Siedzę na masce land - rovera, a na kolanach moich spoczywa I atlas świata. Nie dociera to jeszcze do mnie. Śledzę wzrokiem całą trasę od Zurychu do

Magadanu i wierzyć mi się nie chce, że udało mi się ją pokonać. Prawdą jednak jest, że człowiek może dokonać cudów. Może chodzić po rozżarzonych węglach, zjeść I naraz sto pięćdziesiąt pączków lub dojechać z Europy cło Magadanu... Wszystko jest I w zasięgu jego możliwości. Po prostu chcieć to móc. Najważniejsze chcieć - reszta to Uprawa szczęścia. Powiadają, że pogoń za szczęściem jest przeważnie bezcelowa, ale warto dla niej poświęcić życie. Dzisiejszego ranka wiem, że ci, co tak mówią, mają rację.

Jazda więc - do Magadanu! Piaszczysty szlak wiję się serpentynami wśród nagich, I rzadko porośniętych zboczy gór. Żar leje się z nieba, a mijane coraz częściej pojazdy I wzniesają taką falę kurzu, że jazda odbywa się praktycznie po omacku. Jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Za parę godzin będę już baraszkował w falach Morza it Ochockiego... Mijam miejscowość Atka. Wieś wygląda, jakby przeszedł przez nią huragan. Jedna wielka ruina. Nie zaprzętam jednak sobie tym głowy, bo przecież... z niedaleko asfalt.

Mija jednak jeszcze godzina, nim wyjeżdżam na szeroką twardą drogę. Niestety, i jest to beton, a nie asfalt. Byłem dosłownie wzruszony. Zatrzymałem samochód, wysiadłem z niego i usiadłem na środku drogi. Siedziałbym nie wiadomo jak długo, gdyby nie samochód osobowy, który nadjechał od strony Magadanu. Czyściutka biała toyota camry, a w niej chłopak i dziewczyna. Dojechali do mnie, zawrócili i pozdrawiając mnie, z piskiem opon ruszyli w drogę powrotną do miasta. Zrozumiałem, że dla nich była to wycieczka...

Miasto Magadan posiadało, niestety, tylko tę jedną dojazdową drogę... Pozostały stukilometrowy odcinek przedłużył się nieco w czasie, ponieważ beton niebawem się skończył i zaczął się bardzo pofałdowany asfalt. Musiałem więc jechać wolno, gdyż przy próbie szybszej jazdy land - rover szybował w powietrzu, z trzaskiem spadając na koła. Jak marynarz wypatruje lądu, tak ja wypatrywałem miasta. Po prawej stronie zauważyłem duże lotnisko. Jeden koło drugiego stały ustawione wielkie samoloty pasażerskie. Kilkanaście kilometrów dalej zauważam drugie lotnisko, stojące na nim helikoptery i znane wszystkim „antki”. Wreszcie wyjeżdżam na wzniesienie, a w dole widzę szeroką, błękitną wstęgę morza oraz miasto - to Magadan!

Mijam posterunek GAI i widzę zdziwione twarze stojących przy nim milicjantów. Wtopiony już w ruch uliczny, prostą, równą arterią dojeżdżam do centrum. Szerokie ulice, zielone skwerki, wszędzie czysto i schludnie. Pierwsze wrażenie - to miasto podobne jest do Gdyni... Na ulicach młode twarze, wszyscy gustownie „po zachodniemu” ubrani. Na ulicach dużo japońskich samochodów, panuje ogólny zgiełk. Miasto tętni życiem... Land - rover wzbudza zasłużoną sensację. Takiego samochodu jeszcze w mieście nikt nie widział.

Parkuję koło dużego gmachu poczty, nowoczesnej architektury. Po chwili podjeżdża do nas samochód milicyjny.

Już się zaczyna... - pomyślałem. Młody milicjant wyskakuje z niego, zatrzymuje się przy land - roverze i cedząc sylaby, odczytuje napis umieszczony na tablicy.

- „Zurich - Syberia - Alaska - Canada - New York”. Wraca do swojego gazika i coś melduje przez krótkofalówkę. Po chwili wraca i składa mi gratulacje. Stoi jeszcze chwilę, nie wiedząc co ze sobą zrobić, po czym odpina od swojego munduru jakiś znaczek i przypina mi do bluzy. - Jeszcze się zobaczymy - mówi na odchodnym i odjeżdża. Lepiej nie - pomyślałem.

Nieopodal zauważam stojące taksówki. - Proszę mnie „podholować” pod ten adres - zwracam się do kierowcy, podając mu nazwę ulicy. Po chwili wjeżdżamy na duże osiedle mieszkaniowe i zatrzymujemy się przed wskazanym numerem domu.

- Ile płacę? - pytam taksówkarza. Ten jednak się uśmiecha i mówi, że od takich niecodziennych gości to pieniędzy nie przyjmuje. Kiwa na pożegnanie ręką i odjeżdża.

- A, pan od Pietii? Proszę bardzo do środka - wita mnie kobieta w średnim wieku. - Męża nie ma w domu, jest w biurze, ale za parę godzin się zjawi - powiada. Pietia wczoraj do nas dzwonił i uprzedził o pana przyjeździe.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu - mówię - chodzi mi tylko o trochę informacji.

- Jakiego kłopotu, już przygotowaliśmy dla ciebie mieszkanie. Chodźmy tam zaraz, trochę się umyjesz, a wieczorem zapraszamy do nas na kolację - powiedziała i ruszyła przodem. Mieszkanie znajdowało się parę bloków dalej. Kobieta zostawiła mnie samego i obiecała, że przyjdzie po mnie, gdy wszystko będzie gotowe.

Mieszkanie było dwupokojowe i nie było w nim specjalnego komfortu, ale za to była wanna i gorąca woda!!! Trochę obawiałem się o samochód - ustawiłem go pod blokiem tak, by był widoczny z okien. Wokół samochodu zebrał się tłumek dzieci, więc poleciłem im, aby wybrały spośród siebie pierwszego sekretarza czy tam komendanta - jak wolą - i zajęły się pilnowaniem samochodu. Dodałem też, że w pojeździe znajdują się bardzo tajne rzeczy. Dzieci miały zabawę, a ja byłem spokojny o zawartość pojazdu. Brudu wrośniętego w ciało nie dało się usunąć za pierwszym razem, wielokrotnie więc zmieniałem wodę w wannie i dopiero po którymś z kolejnych zabiegów mogłem stwierdzić, że jestem czysty.

Wieczorem przyszedł po mnie gospodarz. - Nikołaj Iwanowicz - przedstawił się. Był średniego wzrostu i na pierwszy rzut oka widać było, że też z niego kawał zawadiaki. Miał niesamowite poczucie humoru i gęba śmiała mu się cały czas... Nikołaj Iwanowicz zaproponował, aby samochód odstawić na parking strzeżony. Obawiał się przy tym nie tyle o samochód, co o jego zawartość. - Samochodem z Magadanu i tak nigdzie nie

ucieknie, no chyba, że takim... - poprawił się zaraz, widząc, że chce zaprotestować. Odstawiliśmy land - rovera na parking, po czym udaliśmy się do domu. Weszliśmy do mieszkania i oczom moim ukazał się zastawiony „weselnie” stół. Różnorodność potraw na pewno przewyższała menu, jakie oferował: nam jakucy mafiozi. Mieszkanie było urządzone wręcz komfortowo, a na centralnym miejscu dominował zachodni sprzęt elektroniczny w postaci wieży z kolumnami i wielkiego telewizora „Sony”. Gospodarz zaproponował, aby od razu przejść na „ty” i rozlał szampana: - To za twój sukces i za miłe spotkanie.

Katia, bo tak miała na imię żona gospodarza, zaprosiła wszystkich do stołu.

- Pietia dzwonił do nas wczoraj wieczorem - powiedział gospodarz między kęsami.

- Chwalił cię i powiedział, że bardzo mu w drodze pomogłeś.

- Przesadzał - odparłem.

- Pietia jest dla nas więcej niż rodzina i skoro on mówi, że pomogłeś, to tak musiało być. Kazał cię ugościć jak siebie samego, więc w czym będziemy mogli być pomocni, to proszę śmiało mówić. A teraz na zdrowie - wznosił toast Nikołaj Iwanowicz. Dziwny smak ma wódka pita z kieliszków... Również jedzenie ze stołu ma swój urok...

Z rozmowy wynikało, że Nikołaj Iwanowicz jest przedsiębiorcą całą gębą. Praktycznie trzymał w rękę okoliczny handel rybami, kawiozem i najróżniejszymi innymi rzeczami. Posiadał swoją firmę, wielkie magazyny i miał szerokie znajomości. Jako pierwszy mieszkaniec Magadanu postanowił wybudować sobie willę, ma już plany, a na drugi rok ruszy budowa. Od razu zaznaczył, że z Magadanu nie wypuści mnie prędzej... jak za tydzień.

- Samochód do przeglądu, Katia zrobi ci pranie, a ty masz tylko odpoczywać. Wszystkie koszty związane z twoim pobytem w mieście biorę na siebie.

- Ani mru - mru - dodał, gdy chciałem zaprotestować. - Poza tym - ciągnął gospodarz - trzeba opracować twoją dalszą marszrutę, a to łatwe nie będzie, bo drogą lądową nikt się nie porusza w tym kierunku. Ale na wszystko przyjdzie czas. Teraz o niczym nie myślę, tylko wypoczywać. - dodał na zakończenie.

Odwiedziny zakończyły się późną nocą, a rozstając się, ściskaliśmy się już jak bracia. Następnego dnia poszedłem po coś do samochodu i za wycieraczką znalazłem kartkę, z której dowiedziałem się, że zaprasza mnie do siebie telewizja magadańska. Było nazwisko redaktora i numer telefonu. Pomyślałem, że mam inne ważniejsze sprawy na głowie niż występy w magadańskiej telewizji, ale kartkę schowałem do kieszeni.

Cały dzień kręciłem się po mieście i przyglądałem się życiu jego mieszkańców. W każdym zaułku kwitł handel uliczny. Towary głównie pochodzenia chińskiego i

japońskiego. Żadnej różnorodności, jest tylko parę artykułów i wszyscy handlują tym samym. Przypominam sobie moje zdziwienie, kiedy zawędrowałem na jakieś duże osiedle mieszkaniowe i zobaczyłem, jak wygląda w Magadanie dziecięcy plac zabaw. Nie, nie było tam karuzel i huśtawek. Były tam prawdziwe czołgi, armaty, samoloty odrzutowe i wieloraki inny sprzęt wojskowy. Broń była „pod parą”, gdyż bawiące się tam dzieci z łatwością obracały wieżami czołgów i całymi działami. Przyjrzałem się dokładniej i zauważyłem, że do tych „zabawek” podłączony był prąd elektryczny i dlatego wszystko tak sprawnie funkcjonowało. Całe osiedle przypominało dobrze wyposażone koszary.

Powiedziano mi później, że takie place zabaw istnieją na terenie wszystkich większych miast, chodzi o to by, dzieci dorastały wśród tego rodzaju urządzeń. Huśtawki i karuzele to wymysł „durnych kapitalistów ze zgniłego Zachodu”.

Wieczorem, zgodnie z umową, spotkałem się z Nikołajem Iwanowiczem, który przedstawił mnie swoim znajomym. Był wśród nich prezes Komercyjnej Telewizji Magadańskiej i w ten sposób sprawa wywiadu ze mną przed kamerami została przesądzona. Miałem wystąpić nazajutrz, zaraz po wieczornych wiadomościach. Przed południem natomiast ekipa miała sfilmować land - rovera. Najbardziej cieszył się z tego Nikołaj Iwanowicz, ponieważ, jak, powiadał nagra mnie na wideo i będzie mógł pokazać Pietii, jak ten się kiedyś pojawi. Wśród znajomych gospodarza większość stanowili prominenci tego stutysięcznego miasta z komendantem milicji na czele. Oczywiście z wszystkimi wypilem „brudzia”, a komendant szepnął mi czule na ucho, że mogę jeździć samochodem po pijanemu...

Następnego dnia przed południem poszedłem na spotkanie z ekipą filmową telewizji magadańskiej. Scenariusz miał być podobny do tego, jaki był w Nowosybirsku. Proponowano, abym wjechał do miasta i znów udawał idiotę, ale nie zgodziłem się, tłumacząc, że jestem na to za czysty i za ładnie ubrany. Nikt w to ujęcie i tak by nie uwierzył. Przyznano mi rację i skończyło się na sfilmowaniu land - rovera.

Wieczorem przysłano samochód, który zawiózł mnie do siedziby telewizji. W studiu zdziwiono się trochę moim wyglądem, ponieważ sądzono, że wystąpię przynajmniej w garniturze, ja natomiast ubrany byłem w czerwoną kurtkę i dżinsowe spodnie. Były to jedyne moje rzeczy, które zachowały się jeszcze w całości oraz były w miarę czyste.

- Wczoraj przybył do Magadanu niecodzienny gość... - zaczął spiker i przedstawił moją osobę. Później przez piętnaście minut zadawał różne pytania, na które ja odpowiadałem. Na końcu dwie ładne panie wręczyły mi kwiaty i życzyły w imieniu wszystkich mieszkańców szczęśliwego dojazdu do Nowego Jorku.

Po programie podarowałem wręczone mi kwiaty dokładnie tym samym paniom,

które mi je na wizji wręczały i udałem się do domu.

Nazajutrz zająłem się land - roverem, który ze strzeżonego parkingu przeprowadziłem do przedsiębiorstwa mojego gospodarza. Wymieniłem olej, świece i sprawdziłem wszystkie śruby i mocowania. Poprosiłem również jednego z pracowników, aby dowiedział się, gdzie mogę nabyć nowe „nivoskie” opony. Gdy już się z wszystkim uporałem, umyłem się i z braku zajęcia pomaszerowałem w miasto.

W Magadanie jest bardzo trudno pobrać. W centralnym punkcie miasta znajduje się duże rondo, a na nim stoi wielki maszt anteny telewizyjnej, doskonale widoczny z każdego punktu miasta. Dzięki temu zawsze można dokładnie określić swoją pozycję względem centrum. Postanowiłem jeszcze dwa dni pozostać w mieście, gdyż nowo poznani obiecali zorientować się w kwestii mojej dalszej marszruty. Dzięki swojemu wystąpieniu telewizyjnemu stałem się postacią znaną w Magadanie. Byłem nią, niestety, tylko wtedy, gdy miałem na sobie czerwoną kurtkę, która była jedyną tego koloru w mieście. Ludzie pozdrawiali mnie na ulicy. Fryzjer nie wziął pieniędzy za strzyżenie. Taksówkarze wozili mnie za darmo. Tylko raz w parku miejskim mnie nie poznano i o mało nie dostałbym po pysku... Ludzie ci na pewno nie mieli telewizorów - pomyślałem.

Pewnego wieczoru zaczepił mnie na ulicy jakiś nieznajomy. Był w średnim wieku, postawnej budowy i posiadał urodę typowego Azjaty.

- To ty jesteś ten facet z telewizji - spytał, twierdząc raczej. - Dobrze, że cię spotkałem, bo właśnie staraliśmy się do ciebie dotrzeć - powiedział. - Wiktor Żurin - przedstawił się, podając mi rękę. - Mamy w Magadanie taki swój klub skupiający ludzi niesamowitych ludzi, którzy już coś podobnego jak ty dokonali. Będzie nam miło jak zaszczytis swą obecnością nasze spotkanie.

- Z chęcią - odpowiedziałem. - Kiedy i o której godzinie?

- Spotkajmy się jutro o dziewiętnastej tutaj pod „antenką” - odpowiedział poznany i wskazał ręką na wielką antenę telewizyjną stojącą na rondzie.

Nazajutrz o określonej porze stawilem się na miejscu spotkania. Wiktor przyszedł jeszcze z jednym facetem, który przedstawił się jako Wołodia. Ponieważ ich klub znajdował się niedaleko, udaliśmy się tam pieszo. Klub mieścił się w jednej z sal budynku kinoteatru. Na miejscu zastałem paręnaście osób oraz stół zastawiony do libacji. Poznawałem wszystkich kolejno: Jurij Kiratow, pilot samolotowy znany w całej Rosji, powodem którego dumy był fakt, że samotnie kilkukrotnie przeleciał dookoła świata małym sportowym samolotem. Obecnie planuje lot z Nowej Ziemi do Kanady przez biegun północny. Pietrow starszy brodaty pan, który jako jedyny przybył na uroczystość w garniturze. Do klubu zgłoszony i przyjęty, ponieważ przeżył zimę w tajdze, nie posiadając

przy sobie nawet scyzoryka. Pietrow pracował w tajdze wraz z grupą geologów. Pewnego dnia zespół przemieścił się helikopterem w inne miejsce i nie doliczono się, że brakuje jednego pracownika. Pietrow feralnego dnia oddalił się po prostu na dłuższy spacer. Całe zaopatrzenie i sprzęt „odfrunęło” wraz z grupą, a on pozostał w tajdze tak jak stał, a była już późna jesień. Po czterech miesiącach błądzenia dotarł do jakiejś wioski. Dostał już od partii pośmiertne odznaczenie... Było jeszcze wielu innych, a każdy z nich dokonał czegoś specjalnego. Jedni schodzili w głąb wulkanów, inni w najbardziej ekstremalnych warunkach zdobywali szczyty nie do zdobycia. Na biegunie byli już prawie wszyscy, a jeden dojechał tam nawet na rowerze...

Jednak niekoronowanym królem całego tego bractwa był „Dziad”. Tak się przedstawił i tak go wszyscy nazywali. Starszy, brodaty człowiek, który liczył grubo ponad sześćdziesiątkę. Historia jego życia to materiał na grubą powieść o losach człowieka. Jednym z epizodów był dziesięcioletni pobyt w celi śmierci. Wyrok taki otrzymał, bo jak sam przyznał, znalazł kiedyś w państwowej kopalni za duży kawałek złota... Dopiero śmierć Stalina przyniosła mu ulaskawienie i zamianę wyroku.

„Dziad” był wyrocznią dotyczącą wszystkiego, a w szczególności tajgi, którą znał jak żaden inny myśliwy. Było widać, że wszyscy go bardzo szanowali. Jednogłośnie przegłosowano sprawę przyjęcia mnie do klubu i po oficjalnej ceremonii zaczęła się prawdziwa męska libacja. Każdy opowiadał swoje przygody i przeżycia, a historie te były tak fascynujące i niesamowite, że należało je tylko spisać i powstałaby piękna powieść o zmaganiach człowieka z losem i przyrodą. Początkowo nie wszystko wydawało mi się prawdopodobne i podejrzewałem nawet, że wypity alkohol podziałał skutecznie na wyobraźnię opowiadających, ale później z zupełnie innych źródeł dowiedziałem się, że wszystko co tego wieczoru usłyszałem, było szczerą prawdą. Świat o tych ludziach nic nie wie i na pewno się nie dowie, a tylko dlatego, że są Rosjanami i nie mają pieniędzy i możliwości, aby światu to powiedzieć. Świat dowiaduje się o bogatych prominentach, którzy w obstawie tubylców i asyście dziesięcioosobowej ekipy filmowej popływali motorówką po rzekach dżungli amazońskiej... Obiady dowożono im oczywiście helikopterami. W większości oni udzielają później wywiadów przed kamerami telewizyjnymi, a wszyscy mianują ich podróżnikami... Zagadką jeszcze zostało czego dokonali Wiktor i Wołodia, którzy mnie tutaj zaprosili, ale o tym dowiedziałem się później i to przez przypadek. Tymczasem „zebranie” przeciągnęło się i nikt się nie spostrzegł, jak na dworze zaczęło już świtać. Około czwartej nad ranem Wiktor oświadczył, że razem z Wołodią są pilotami i przepraszają bardzo, ale teraz muszą się godzinkę zdrzemnąć, ponieważ o szóstej rano startują. Dodał jeszcze, że bardzo się na mnie pogniewają, jeżeli

dzisiaj z nimi nie polecę. Obiecał przy tym, że przeżyję wielką przygodę...

Sądziłem, że to dowcip, więc na proponowaną przygodę ochoczo się zgodziłem. Niestety, już w godzinę później wiedziałem, że to nie dowcip i niebawem startujemy... Witia ocknął się pierwszy i obudził Wołodę. Obaj byli nieprzytomni i wyglądali o wiele gorzej niż przed godziną. Aby dojść do siebie wypili po pół szklanki wódki i zamówili samochód z lotniska.

Pół godziny później byliśmy już przy samolocie. Był to dwupłatowiec „AN - 2”. Okazało się, że samolot jest już załadowany i można startować. Wołodia wyjął z kieszeni półmetrowej długości przewód gumowy, otworzył jakieś klapki pod silnikiem i zamontował go w odpowiednim miejscu. Dowiedziałem się, że to wężyk od paliwa, który zawsze zabierają z sobą, aby nikt nie ukradł. Nie wiem, czy chodziło o wężyk, czy samolot. Wiem tylko, że założono szlauch bez żadnego zabezpieczenia i to mnie najbardziej w tej chwili niepokoiło.

Włosy dęba mi stanęły, kiedy znalazłem się w środku samolotu: Zauważyłem bowiem, że cięgła prowadzące do usterzenia, które przebiegały pod sufitem, są zabezpieczone powyginanymi, zardzewiałymi gwoździami. Gdy się dokładniej przyjrzałem, zobaczyłem również łączenia, gdzie miejsce śrub zastępował skręcony drut... Samolot pełnił rolę transportowca dostarczającego żywność i inne artykuły do miejscowości, gdzie nie było dojazdu drogą wodną lub lądową. Ponieważ siedzenia dla pasażerów były zdemonstrowane, usiadłem więc na stercie kartonów i skrzynek... z wódką.

Na dzisiaj przewidywano osiem godzin lotu z pięcioma lądowaniami. Ponieważ oczekiwaliśmy jeszcze samochodu z pocztą, Wołodia opowiedział mi trochę więcej o tej instytucji lotniczej. Z rozmowy wynikało, że w związku z ogólną prywatyzacją samoloty nie należą już do „Aeroflotu”, tylko do nowo powstałej spółki, w której on jest wiceprezesem. Sprzęt otrzymali oczywiście za jakąś tam symboliczną spłatę. Witia dalej pracuje w „Aeroflocie”, a u nich w spółce po prostu dorabia. Na co dzień jest dowódcą „AN - 12”, wielkiego transportowca, który obecnie stoi na tym drugim, większym lotnisku. Obaj rozpoczęli naukę latania i doszli do dyplomów kapitańskich. - Który z nas pierwszy siądzie z lewej strony, ten w danym dniu dowodzi - dodał Wołodia. Odruchowo spojrziałem na lewą stronę i zobaczyłem Witę śpiącego z głową opartą na wolancie. Może być i taki kapitan - pomyślałem.

Wreszcie dowieziono pocztę. Witia się obudził i uruchomiono silnik. Dopiero hałas pracującego silnika uświadomił mi w pełni, gdzie się znajduję i co ma niebawem nastąpić...

Wytrzeźwiałem momentalnie i już szykowałem się do ucieczki, ale samolot

rozpoczął kołowanie. Obserwowałem teraz moich zuchów, operujących przełącznikami i kręcących jakimiś zaworami. Wyjrzałem przez okrągłe okienko i zobaczyłem, że w prawym kole nie ma w ogóle powietrza. Wahałem się chwilę, czy ich o tym poinformować, ale przyjąłem postawę bierną, godząc się już ze śmiercią...

Zaczął się rozbieg. Wszystko się trzęsło, a poustawiane niedbale kartony przewróciły się i po podłodze posypały się konserwy, zagradzając drogę do wyjścia. Po chwili samolot się wyprostował, a następnie wzniósł w powietrze. Na ten moment czekał tylko Wołodia. Zdjął z uszu słuchawki i wyszedł z kabiny. Zaprosił mnie na prawy fotel, a sam zrobił sobie posłanie na kartonach. Gdy po chwili się obejrzałem, chrapał już smacznie. Witia gestami zaprosił mnie do pilotowania samolotu, lecz grzecznie podziękowałem za zaproszenie. Siedziałem teraz jak na igłach i patrzyłem na oddalającą się ziemię i dyskretnie na kondycję fizyczną pilotującego Wiktora.

Samolot wykonał niezbyt głęboki zakręt i Witia oznajmił, że jesteśmy już na kursie. Trasy są stałe i zna je na pamięć, dlatego nie potrzebuje mapy - powiedział, gdy zapytałem, czy wie, dokąd lecimy... W porannym słońcu z wysokości roztaczały się przepiękne widoki. Lecieliśmy teraz nad górami, a drogowskazem naszym była jakaś rzeka płynąca w dole. W oszklonej kabine zrobiło się przyjemnie ciepło. Witia jednak uchylił okienko i do środka wleciało zimne, rześkie powietrze. Nie na wiele jednak się zdało, gdyż Wiktorowi coraz częściej zaczynały opadać powieki. Starłem się bawić go rozmową, ale ogarnęła go śpiączka i nie kontynuował zaczętych tematów. Ocknął się za którymś razem wyraźnie już zdenerwowany i polecił mi, bym przeszedł na tył samolotu i przyniósł butelkę z wódką. - Jak nie kropnę jednego, to zaraz zasnę - oznajmił. Zawahałem się, ale widząc, że nie ma innego wyjścia, przeciskam się między konserwami i przynoszę wódkę. Po drodze starałem się obudzić Wołodię, to ten tylko coś mruknął i przewrócił się na drugi bok.

To już naprawdę koniec - pomyślałem. Witia kropnął pół szklany i natychmiast się ożywił. Wracają mu kolory twarzy i po chwili wygląda jakby dopiero co wstał łóżka po dobrze przespanej nocy. Rozgląda się teraz po terenie, koryguje nieznacznie kurs i wydaje się zadowolony. Poleca wreszcie, bym obudził Wołodię. Zaraz będziemy lądowali, a ponieważ na pokładzie jest pasażer, przepisy tego wymagają, aby stery trzymało dwóch pilotów. Wołodia na hasło „lądujemy” natychmiast zjawia się w kabine. Po chwili „siadamy” na żwirowym pasie. Samolot jest już tu oczekiwany. Kilka osób zajęło się rozładunkiem części towaru, a pilotów i mnie zaproszono do bliskiej chaty. O zgrozo! - na stole pojawiła się wódka... Chyba pozostanę w tej wsi pomyślałem. Alkohol podziałał jednak leczniczo, bo obaj piloci poczuli się rześko lawet sobie podśpiewywali. Po niespełna godzinie byliśmy

znów w powietrzu.

Kolejna wioska, wylądunek, pół litra z mieszkańcami i dalej w przestworza. Parę minut po osiemnastej wylądowaliśmy szczęśliwie z powrotem w Magadanie. Oczywiście mowy nie było, abym poszedł w swoją stronę. Jestem zaproszony do Wiktora do domu i sprawa nie podlega dyskusji. Wołodia mieszka w tej samej klatce, w ogóle cały blok przy ulicy Gagarina zamieszkany jest przez pilotów. Zadzwoiłem Nikołaja Iwanowicza, by się nie denerwował moją nieobecnością i poinformowałem gdzie się obecnie znajduję. Okazało się, że zna wszystkich doskonale. Powiedział jeszcze, że mu przykro, ale nie może zdobyć żadnych informacji co do dalszej mojej trasy, ponieważ nikt nigdy nie wypuszczał się tam samochodem. Są góry, tylko tyle wie i radzi porozmawiać na ten temat z pilotami. Uzgodniliśmy, że skontaktujemy ze sobą jutro.

Wieczorem u Wiktora zebrało się spore grono pilotów. Głównym tematem stała moja dalsza trasa. Zdania były bardzo podzielone i właściwie nic z rozmowy wynikło. Dopiero Wiktor zaproponował, abym jutro poleciał z załogą lecącą tamtym kierunkiem i sam zobaczył z góry, jak to wygląda. Wszyscy zgodzili się, że jest to najrozsądniejsze rozwiązanie. Piloci obiecali też, że dostarczą mi mapy „dwusetki”. Prosilili jednak, abym nie chwalił się nimi, a przed wjazdem do USA prostu je spalił. - Mapy w Rosji to bardzo śliska sprawa - tłumaczył Witia. Obiecałem więc, że mapy zniszczę. Następnie oświadczone uroczyście, że na świecie jest tylko jeden jedyny pilot, który nie pije, a jest nim „automatyczny pilot”. Teraz całe grono „podniebnych rycerzy” ochoczo zebrało się za opróżnianie butelek... Spotkanie więc zakończyło się późno w nocy.

Nazajutrz około siódmej rano byliśmy już na lotnisku, ale okazało się, że dzisiaj żaden samolot w tamtym kierunku nie leci. Witia jeszcze gdzieś telefonował i pytał, ale nic z tego nie wynikło. Wreszcie uzgodnili z Wołodia, że polecą specjalnie ze mną. Tłumaczyłem, że nie ma takiej potrzeby, ale się uparli i lecą... W tym czasie studiowałem kilkanaście arkuszy map, które przedstawiały teren aż po samą Cieśninę Beringa. Wołodia pokazał mi, jak oznaczone są tereny zakazane, gdzie im nie wolno latać, a mi tym bardziej poruszać się samochodem. Zauważyłem, że czym bliżej USA, terenów tych jest coraz więcej, a sam Przylądek Dieżniewa jest już praktycznie całkowicie zakazany. Wiadomo było, że są to tereny wojskowe.

Ponieważ z Magadanu do miejscowości Omsukczan prowadziła jeszcze droga, więc penetrację terenu postanowiliśmy rozpocząć właśnie od niej. Witia ustalił na mapie kurs, zrobił obliczenia, ustawił żyrokompas i wystartowaliśmy.

Była dziesiąta rano. Po dwóch godzinach i pięciu minutach lotu znajdowaliśmy się już nad łańcuchem Gór Omsukczańskich, które z lotu ptaka wydawały się bardzo

zaokrąglone, zielonkawe, jakby porośnięte drobną roślinnością. Dosłownie parę minut później zobaczyliśmy wioskę Omsukczan. Tutaj kończył się piaszczysty trakt prowadzący z Magadanu. Wiktor skierował teraz samolot na kierunek wschodni i dosłownie po paru minutach dolecieliśmy do rzeki Sugoj. Teraz obaj piloci zaczęli się popisywać umiejętnościami pilotażu. Robili „górkę” i głębokie zakręty, a na deser zafundowali mi lot koszący tuż nad samą wodą. Przy prędkości ponad dwustu kilometrów na godzinę wszystko uciekało mi sprzed oczu i trudno było się zorientować co do podłoża mojej przyszłej trasy. Poprosiłem, aby zawrócili i nieco wyżej jeszcze raz przelecieli nad tym odcinkiem. Wykonali więc brawurowy zwrot i mieli przy tym radochy co niemiara, widząc, jak straciłem równowagę i szorowałem tyłkiem podłogę. Uspokoił się jednak po chwili i lecieliśmy teraz nieco wyżej, dokładnie obserwując teren. Z radości stwierdziłem, że dla land - rovera będzie to tylko „przejażdżka”.

Niebawem dolecieliśmy nad jakiś płaskowyż. Rzeka stawała się coraz cieńszą nitką, aż wreszcie znikła, dolecieliśmy do jej źródła. Nie zmieniając kursu, lecieliśmy dalej.

Po chwili dotarliśmy do innej „cienkiej” niebieskiej niteczki, która się coraz bardziej rozszerzała. Był to początek rzeki Omołon. Lecieliśmy znów tuż nad wodą, a z góry dokładnie było widać, że rzeka jest bardzo płytka, a dodatkowo ma jeszcze piaszczyste brzegi. Promieniowałem szczęściem, ponieważ miałem już jasność co do początku mojej dalszej trasy. Wiedziałem, że rzeka ta doprowadzi mnie do Wyżyny Jukagirskiej. Następnie należało dokładnie po linii koła polarnego jechać aż do Wyżyny Anadyrskiej.

Co będzie dalej już mnie w tej chwili nie interesowało. Jest rzeczą oczywistą, że nie mogłem prosić, aby przeleciało ze mną całą trasę, bo odległość tę szacowałem na dwa tysiące pięćset - trzy tysiące kilometrów, ale i tak byłem bardzo wdzięczny, że Wiktor z Wołodią wyświadczili mi tak wielką przysługę i pokazali z góry teren, po którym rozpocznę dalszą jazdę samochodem. Było mi dosyć głupio, bo nie miałem zielonego pojęcia, jak się mogę odwdziaczyć tym ludziom.

W tym czasie wylądowaliśmy w miejscowości Łabaznaja. Oczywiście znano tutaj dobrze moich bohaterów.

Piloci uzupełnili paliwo, a ja oznaczałem na mapie swoją przyszłą trasę. Później zaproszono nas do jakiejś chaty, gdzie gościliśmy parę godzin. Przy pożegnaniu musiałem przysiąc, że zawitam ponownie u gospodarzy, kiedy znów będę przejeżdżał tędy land - roverem.

Wystartowaliśmy w drogę powrotną do Magadanu. Piloci stwierdzili, że przy okazji pokażą mi z lotu ptaka uroczy Zalew Selichowa, więc powracaliśmy innym kursem.

Pomiędzy wioską Łabaznaja a zalewem znajduje się pasiołek Kameszki. Tam rozpoczyna się pewna anomalia tego górzystego terenu, a mianowicie stukilometrowej długości szeroki pas tundry, który ciągnie się aż do samego morza. Właśnie przelatywaliśmy nad tundrą, która pozbawiona wysokiej roślinności wyglądała z góry jak ocean o zielonym kolorze wody. Lecieliśmy na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów.

Nagle Wołodia zauważył łosia idącego samotnie tundrą. Obaj piloci spojrzeli na siebie znacząco, po czym dodając gazu, wykonali głęboki zakręt i lotem nurkowym skierowali samolot na idące jeszcze spokojnie zwierzę. Łoś zauważywszy, co się święci, rzucił się w panice do ucieczki. Pikujący samolot był już coraz bliżej celu. Gdy zwierzę było już w odległości kilku metrów, Witia ściągnął wolant na siebie, a koła samolotu przelatywały w tym momencie tuż nad głową uciekającego w popłochu łosia. Po chwili piloci wykonali następny dowrót i ponownie „celowali” na uciekającą ofiarę. Uciechy mieli wszyscy co niemiara, ale jak to w przysłowiu mówiącym, że „wszystko co dobre szybko się kończy” tak i teraz skończyło się szybko to niekonwencjonalne „polowanie”. Tak jak położenie tundry w tym rejonie było wybrykiem natury, tak sama tundra też miała swój element niecodzienności.

Rosło na niej właśnie jedno, jedyne drzewo. Właśnie tego drzewa najmniej spodziewali się tutaj piloci. Podczas kolejnej próby przestraszenia zwierzęcia, Wołodia zbyt późno je zauważył. Ściągnął natychmiast wolant na siebie: samolot ustawił się prawie w pionie, ale, niestety, nie zdołał się już wznieść wystarczająco wysoko i zawadził podwoziem o wierzchołek drzewa. Szarpnęło maszyną niesamowicie, a ja odniosłem wrażenie, że podwozie zostało na czubku modrzewia.

Lecieliśmy jednak dalej. Wołodia wyszedł z kabiny, otworzył drzwi i przeprowadził oględziny. Na szczęście wszystko było w porządku i ciągnęliśmy tylko za sobą gałęzie pozaczepiane za koła. Zdarzenie to dostatecznie ostudziło krew obydwu „myśliwym” i teraz już grzecznie wracaliśmy do domu.

W chwilę później nadlecieliśmy nad zalew. Chylące się ku zachodowi słońce dawało pozbawione fioletu światło, co sprawiło, że wszystko miało bardzo żywe i naturalne kolory. Po drodze wylądowaliśmy jeszcze na jakimś półwyspie, gdzie mieściła się duża baza rybacka. Piloci mieli tutaj swoich znajomych i do samolotu wrzucono kilkadziesiąt kilogramów różnych ryb. Witia drogą radiową przekazał na lotnisko, że za piętnaście minut będzie rozdawał ryby, zaznaczając, że ostatnia biorąca osoba będzie sprzątała samolot.

Wieczorem poszliśmy jeszcze z Witią do „Dziada”, który zaprosił mnie jutro na wycieczkę w tajgę.

- Musisz zobaczyć nasze niedźwiedzie - powiada. Program wycieczki był już ustalony, a skład czteroosobowy: Pietrow, Alosza, „Dziad” i ja.

O godzinie szóstej rano mieliśmy spotkać się na lotnisku, skąd helikopterem przedostać się w górę rzeki Jany, a następnie jej prądem spłynąć pontonami w pobliże Magadanu, gdzie o dwudziestej drugiej Witia miał nas oczekiwać samochodem. Nie bardzo mi to odpowiadało, ponieważ chciałem już ruszać w dalszą drogę, ale okazało się, że „Dziad” specjalnie dla mnie zorganizował tę eskapadę, więc nie wypadało odmówić. - Jutro i tak nic nie załatwisz, bo jest święto.

- Miasto obchodzi swoje pięćdziesięciolecie - dodał.

- To Magadan ma tylko pięćdziesiąt pięć lat? - zdziwiłem się. - Ma o wiele mniej, tylko pięćdziesiąt pięć lat temu na tej ziemi postawił nogę pierwszy więzień i stąd wziął się ten jubileusz. Magadan jest nie bez racji nazwany stolicą Gułagu. Tu miał siedzibę słynny „Dalstroj”, organizacja zarządzająca gułagami na Kołymie.

To miasto zbudowane jest na kościach. Na kościach japońskich jeńców wojennych i naszych stalinowskich więźniów. Tutaj spędziłem całą swoją młodość...

Nazajutrz śmigłowiec „Mi - 17” wysadził nas na piaszczystym brzegu rzeki. Napompowaliśmy pontony i parami ruszyliśmy w dół rzeki.

Ja płynąłem z „Dziadem”. Rzeka nie była zbyt głęboka i miejscami trzeba było manewrować, aby nie rozpruć gumowego pontonu o kamienie. - W tym rejonie żyje bardzo dużo niedźwiedzi - powiedział „Dziad”. - Teraz mają młode i trzeba uważać, bo mogą być agresywne. W dole rzeki jest ich trochę więcej i na pewno je zobaczymy. Zaraz ci pokażę, jak o tej porze roku można łowić tutaj ryby - powiedział „Dziad” i skierował gumowe czółno w kierunku brzegu. Alosza i Pietrow płynęli za nami i też skierowali się do brzegu. Wyciągnęliśmy pontony na brzeg, a „Dziad” polecił Aloszy, by rozpałił ogień. Skinął na mnie, bym poszedł za nim. Szliśmy chwilę wzdłuż brzegu, po czym „Dziad” zatrzymał mnie ruchem ręki, sam wszedł do wody i zamaszystym ruchem nogi „wykopał” potężną rybę z wody. - Widziałeś kiedyś coś takiego? - śmiał się. - Nie, nie widziałem - odparłem zaskoczony. - To łosoś pacyficzny - jest ich pełna rzeka, bo idą na tarło - wyjaśnił. Chwycił umiejętnie żywą jeszcze rybę za skrzela i wróciliśmy do pozostałych. Pietrow zajął się rybą, a myśmy usiedli przy ognisku.

- Ludzie o tym świecie nie wiedzą prawie nic - filozofował „Dziad”.

- Wiedza ludzka ogranicza się do tego, co można zobaczyć pod mikroskopem, co można zauważyć lub obliczyć. Weź na przykład tę rybę - powiedział, wskazując ręką na poćwiartowanego już łososia. Dlaczego ta ryba składa ikrę akurat w tej rzeczce, w której się urodziła? Skąd wie, że to akurat ta, a nie inna rzeka? Dlaczego tak jest, że tam gdzie się

urodziła, tam ginie? Po części znamy już odpowiedź na te pytania, ale w sumie nic nie wiemy - ciągnął. - Swoją rzeczkę łosose poznają za pomocą węchu. Najmniejszy ciek wodny, choćby leżący blisko jeden drugiego, ma nieco odmienny zespół flory i fauny, dzięki czemu i inny jest zapach wody. Młode łosose kodują ten zapach już w dniu urodzin, podrastają trochę w rzece, a następnie płyną wraz z jej prądem do oceanu. Dorastają tam, prowadząc koczowniczy tryb życia. W wieku czterech, pięciu lat skupiają się wczesną wiosną w północnych rejonach Pacyfiku w duże ławice i ruszają na tarło, rozpoczynając tym samym swoją „trasę śmierci”, która wynosi czasami nawet sześć tysięcy kilometrów. Od tego momentu bez przerwy są narażone na niebezpieczeństwo, ponieważ za ławicą cały czas płynie „ogon” wielkich drapieżców. Na przykład orki, mordercy z zamiłowania, ciągną za nimi aż do rzeczek. Zabijają łosose już nie po to, by się nasycić, ale dla samej pasji niszczenia.

A człowiek? Łosoś posiada cenne mięso i ikrę, więc na całej trasie jego wędrówki jest masowo odławiany. Tutaj - wskazał ręką na rzeczkę - dopływają już tylko tysiące z milionów. Jeżeli człowiek zdołał się osiedlić i przetrwać na Dalekim Wschodzie, w tundrze Syberii, zawdzięcza to przede wszystkim regularnym wędrówkom łososia. Do dzisiaj łosose stanowią podstawę jako takiego dobrobytu w tym rejonie.

Ale nie tylko człowiek im zagraża. Na wędrujące, pozbawione instynktu ostrożności ryby, polują niedźwiedzie, lisy, norki, jastrzębie i cała plejada różnorodnych drapieżców. Żywe prą jednak bezustannie w górę rzeki. Jest ich tu około sześciu gatunków. Ten na przykład nazywa się keta. Wszystkie gatunki łososia odprawiają „wesele” jeden jedyny raz w życiu. Gody wieńczy śmierć... Proces rozrodu tak wyczerpuje resztki sił łososi, że większość z nich ginie po kilku dniach na tarlisku. Pozostałe unoszone prądem rzeki usypiają po drodze. Szanuję te ryby bardzo za ich wysiłek.

Łosoś dopiekał się w ognisku. Gdy się wreszcie dopiekł, zjedliśmy z apetytem jego smaczne mięso i popłynęliśmy dalej. „Dziad” przez całą drogę opowiadał o zwyczajach najróżniejszych zwierząt, a ja wsłuchany byłem w te opowieści, podziwiając jego biedę na ten temat. Czy mógłby się tego wszystkiego wyuczyć z książki? Na pewno nie. Czego „Dziada” mogliby nauczyć profesorowie...

Wreszcie ujrzelśmy niedźwiedzia. Siedział na brzegu rzeki i łapą wyrzucał : niej ryby. Opodal hasały dwa małe niedźwiadki. Płynący z tyłu Pietrow coś krzyknął w kierunku misia, ale ten był zajęty tylko połowem i nie zwracał na las najmniejszej uwagi. „Dziad” powiedział, że niedźwiedzi w tym rejonie jest zatręśnienie” i rzeczywiście tego dnia jeszcze parokrotnie je widziałem.

Płynęliśmy dalej w dół Jany, a ja podziwiałem otaczającą mnie przyrodę

delektowałem się kojącą ciszą, która panowała wokół.

Podczas kolejnego posiłku Pietrow opowiedział przygodę, jaką miał „Dziad” z niedźwiedziem. - Pewnego razu łowiliśmy ryby. „Dziad” po jednej stronie rzeki, a my po drugiej. Patrzę - mówi Pietrow - a do „Dziada” zbliża się niedźwiedź. Zatrzymał się jednak przy jego plecaku i zaczął wyjadać cukier. Wtedy dopiero „Dziad” go usłyszał. Podszedł więc do niedźwiedzia i zaczął go okładać wędką po głowie. Niedźwiedź jedną łapą się zasłaniał, ale drugą w dalszym ciągu wyjadał cukier. Po chwili dopiero poczuł „smak bata” i salwował się ucieczką.

Myślałem, że to kawał, ale później Witia, który był przy tym również obecny, potwierdził całe zdarzenie.

Pod wieczór dopłynęliśmy do rybaków łowiących łososie, mogłem więc z bliska przyjrzeć się połowowi.

Ciągną sieci, co raz się jedna rwie, gdyż nawet najmocniejsze ustępują pod ciężarem zagarniętej masy. Ludzie tłuką kijami tłum kotłujących się królewskich ryb. Ogłuszone wrzucają czerpakami lub rękoma bezpośrednio na ciężarówkę stojącą na brzegu. Przyglądam się z bliska załadunkowi ryb. Ze zdziwieniem stwierdzam, że tylko mniejsza część całego zaciągu trafia na samochód - pozostała wyrzucana jest między drzewa tajgi. - Potrzebne są tylko samice - tłumaczy „Dziad” - gdyż to one posiadają drogocenną ikrę, reszta nie stanowi dla łowiących wartości: wyrzucają, bo nie mają zamrażarek ani zaplecza przetwórstwa. Tutaj mięso świeżego łososia jest bezużytecznym odpadem produkcyjnym przy produkcji kawioru. Pomyśl tylko jeden producent wyrzuca dziennie około dwudziestu ton świeżej ryby, a w rejonie Magadanu producentów będzie ze czterdziestu. Okręg jest przesycony takim towarem jak ryba, więc o jakiegokolwiek sprzedaży nie ma mowy. Brak dróg oraz odpowiedniego transportu wyklucza możliwość sprzedaży tej ryby w innym rejonie kraju.

Zapytałem, czy wie o tym, że pod Susumanem ludzie umierają z zimna i głodu. - Nie tylko pod Susumanem - odpowiedział „Dziad”. - W tym kraju było tak zawsze. Same skrajności. W jednym miejscu ludzie umierają z głodu, a w innym żywność się po prostu wyrzuca.

Był już wieczór, kiedy dopłynęliśmy do ujścia rzeki, gdzie oczekiwał nas Witia.

Ponieważ był to prawdopodobnie mój ostatni wieczór w Magadanie, członkowie klubu „niesamowitych” zorganizowali pożegnanie, na które zaproszono również Nikolaja Iwanowicza z małżonką oraz niektórych przedstawicieli prominencji magadańskiej.

Miasto akurat dzisiaj obchodziło swój jubileusz, więc impreza nabrała bardzo uroczystego charakteru.

Spotkanie zostało zorganizowane w jednej z sal miejscowego hotelu. Byłem pełen podziwu, jak starannie wszystko zostało przygotowane. Do dzisiaj jest dla mnie zagadką, dlaczego mnie tak goszczono w tym mieście, ponieważ robiono to naprawdę bezinteresownie. Również w tym wypadku nikt nie namawiał mnie na wspólne interesy, nie prosił o zaproszenie na Zachód i nie wciskał mi karteczki ze swoim adresem, prosząc o przysłowiową widokówkę. Gościli mnie po prostu ze szczerego serca. Dosłownie wszyscy, których spotkałem na terenie Syberii, mieli osobowość i nie udawali nikogo. Jak było do przewidzenia, przyjęcie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych. „Gwoździem” całej imprezy był mój koncert na fortepianie, który akurat przez przypadek stał na tej sali. Fortepian był jeszcze przedwojenny, a napis umieszczony na nim informował, że wyprodukowano go w Berlinie. Zapewne stanowił zdobycz wojenną i jakimś zbiegiem okoliczności dostał się do Magadanu. Był jednak nastrojony i ogólnie był w dobrym stanie. Rosjanie nie mogli się nadziwić, skąd znam ich piosenki ludowe. Pytano mnie, czy aby nie urodziłem się w Rosji...

Musiałem im wytłumaczyć, że jestem z zawodu muzykiem, naukę gry na instrumencie rozpocząłem w piątym roku życia, a ponieważ pochodzę z rodziny o wieloletnich tradycjach muzycznych, melodie rosyjskie są mi znane już od wczesnych lat dzieciństwa.

Wszyscy szczerze ubolewali, że już jutro wyjeżdżam. Otrzymałem liczne upominki, a właściciel telewizji komercyjnej wręczył mi oficjalnie podziękowanie za udział w programie wraz z poświadczeniem, że byłem land - roverem w tym mieście. - Zachowaj to, bo i tak nikt ci nie uwierzy, że aż tutaj dojechałeś - mówi, wręczając to oficjalne pismo. Podczas gdy żegnałem się z każdym z osobna, podszedł do mnie pewien pan i oświadczył, że jest lekarzem w tutejszym szpitalu i jego rodzina pochodzi z Polski. Dodał, że jest mu bardzo przyjemnie zobaczyć Polskę w mojej osobie... Był to chyba najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem.

Nazajutrz w towarzystwie Witii przygotowywałem się do wyjazdu. Poczyniłem jeszcze niezbędne zakupy, sprawdziłem stan techniczny samochodu, zatankowałem paliwo i około południa byłem już gotowy do drogi.

Przyjechał się pożegnać Nikołaj Iwanowicz. - Tu masz list polecający do moich bardzo dobrych znajomych w Anadyrze - powiedział, podając mi kopertę, na której napisany był adres. - Jak będziesz potrzebował czegokolwiek, to możesz na tych ludzi liczyć - dodał. Później zobaczyłem, że jest to ten sam adres, jaki otrzymałem od Pietii. Jeszcze raz podziękowałem wszystkim za ich serce i mówiąc „do zobaczenia” wsiałem do samochodu.

Nigdy i nigdzie nie było mi tak żal odjeżdżać jak dzisiaj z Magadanu. Przysiągłem sobie, że jeszcze tu przyjadę.

Dokładnie o godzinie czternastej zegnany przez grupę nowych przyjaciół opuściłem Magadan. Jechałem tą samą drogą, którą przyjechałem. Minąłem znane lotnisko, później to drugie pasażerskie i cały czas myślałem jeszcze o tych wszystkich, z którymi w ostatnich dniach los mnie zetknął. Tego dnia świat wydawał mi się piękny, ponieważ miałem świadomość, że wszędzie można jeszcze spotkać prawdziwych ludzi.

Z godziny na godzinę byłem coraz dalej od cywilizacji. Asphalt dawno już się skończył, ale tempo jazdy było zadowalające, ponieważ żwirowa droga, po której jechałem, była w miarę równa.

Późnym wieczorem zauważyłem rozwidlenie dróg oraz porzewiały drogowskaz z ledwo czytelnym napisem „Omsukczan - 240 km”.

Po godzinnej jeździe dotarłem do wałącego się mostu na rzece Bujundzie i nieopodal, nad samą wodą, postanowiłem spędzić noc. Znalazłem się ponownie na bezludziu, gdzie tylko płynąca rzeka mąciła ciszę nocy. Byłem zmęczony intensywnym życiem, jakie ostatnio pędziłem w Magadanie, dlatego powrót na łono natury przyjąłem z zadowoleniem, a perspektywa snu dodatkowo wprawiła mnie w spokojny i miły nastrój. Zasnąłem więc szybko.

Niestety, rano dobry nastrój pękł jak bańka mydlana. Przypomniałem sobie bowiem, że w tym rozgardiaszu panującym przed odjazdem zapomniałem na śmierć o najważniejszym. O tak ważnym, że nic ważniejszego w tym momencie być nie mogło. Zapomniałem bowiem zabrać zamówione opony. Nie mogłem sobie darować roztargnienia, wyzywałem sam siebie od idiotów. Bo tylko kompletny idiota może wybrać się samochodem w przestrzeń bezkresnej pustki bez zapasowego koła. To właśnie jest to, o czym już pisałem - przyzwyczajenie.

Nigdy nie wolno się do niczego przyzwyczajać. Przyzwyczajenie to koniec. Ja już też się przyzwyczałem do roli „zdobywcy”, któremu jakoś zawsze wszystko się udaje, lecz teraz sam przyznałem, że przesadziłem.

Zastanawiałem się, co robić. Do Magadanu z powrotem było niecałe czterysta kilometrów i to „po drodze”. Rozsądny człowiek oczywiście by zawrócił, ja, niestety, należę do tej drugiej grupy nierozsądnych ryzykantów, więc postanowiłem, że wracać nie będę. Trudno, niech się dzieje, co chce - jadę bez zapasu. Jestem specjalistą w komplikowaniu sobie spraw i chyba nie mógłbym żyć bez tego. O ile piękniejsza i spokojniejsza byłaby podróż, gdybym posiadał zapasowe opony, lecz ich nie miałem i jechałem w paskudnym nastroju. Przemieszczałem się teraz jak najostrożniej, omijając wszelkie leżące na drodze

kamienie, później jednak zapomniałem o tym i znów pędziłem śmiało. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Minąłem jakąś zapomnianą przez wszystkich osadę i trzy godziny później dojechałem do Omsukeczanu.

Tutaj rozstawałem się z drogą już na zawsze... W wiosce znajdowała się stacja benzynowa, więc dolałem paliwa do pełna. Wydający paliwo zapytał, do kogo przyjechałem. - Jestem po drodze - jadę do Ameryki - odpowiedziałem. Starszy człowiek popatrzył na mnie i popukał znacząco palcem w czoło. - Widzę, że zna się pan na ludziach - powiedziałem i ruszyłem w drogę.

Jechałem teraz środkiem smutnej dogorywającej wsi, z pochylonymi ze starości drewnianymi chatami, które zamieszkane przez ludzi odwlekały w ten sposób jeszcze moment swojej ostatecznej śmierci.

Skierowałem się teraz dokładnie na wschód. Posiadając mapy otrzymane od pilotów, byłem panem sytuacji. Były bardzo dokładne, a największym ich walorem było to, że pokazywały dokładnie wysokość terenu. Mogłem więc wnioskować, gdzie przypuszczalnie napotkam bagna i błota, a gdzie powinien znajdować się suchy przejezdny teren.

Niebawem dojechałem do rzeki Sugoj. Ponieważ jej głębokość nie przekraczała nawet pół metra, a dno było kamieniste, jechałem jej korytem prawie aż do źródła. Później wąwozem między dwoma wysokimi szczytami bez problemu przedostałem się do źródła Omołonu. Wcześniejszy lotniczy zwiad sprawił, że miałem komfort jazdy „na pewniaka”.

Przemieszczałem się teraz szeroką, „rzeczną” autostradą, która wiała się pomiędzy szczytami zaokrąglonych, porośniętych drobną zielenią gór. Rzeka była tak płytka, że z ledwością zakrywała drobne okrągłe kamienie, stanowiące jej dno. Z samolotu odnosiło się wrażenie, że jest o wiele głębsza. Gdzieniegdzie kamienie tworzyły duże podłużne wyspy, pełne różnego rodzaju gałęzi naniesionych tu przez wodę. Ogólnie sceneria podobna do oglądanych na westernach. Bacznie rozglądałem się w nadziei, że ujrzę niedźwiedzie, ale nie spotkałem ani jednego. Może odgłos silnika je płoszył, a może ten teren nie był dla nich zbyt atrakcyjny.

Rzeka Omołon nie jest połączona bezpośrednio z morzem, więc na pewno nie było tu łososi. Zależność tę tłumaczył mi już „Dziad”, mówiąc, że „tam gdzie łoś, tam niedźwiedź”.

W ciągu tych dwóch tygodni ani razu nie padał deszcz. Noce jednak stawały się już bardzo chłodne.

Nazajutrz przed południem, kiedy spokojnie jechałem korytem rzeki, usłyszałem

nagle narastający gwałtownie przerażający hałas. Zgłupiałem, nie wiedząc, co się dzieje, automatycznie zdjąłem nogę z gazu i wtedy najpierw zobaczyłem cień gwałtownie ogarniający wszystko, a później usłyszałem tuż nad głową przerażający ryk silnika. Byłem tak zaskoczony, że minęła dobra chwila, zanim zorientowałem się, że był to bardzo nisko przelatujący samolot.

Domyśliłem się natychmiast, kto lubi tak nisko fruwać... Naturalnie byli to Wołodia i Witia. Samolot wykonał zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, zniżył lot, po czym na tak bardzo małej wysokości, że kołami dotykał prawie wody, leciał prosto na mnie. Widząc, co się święci, odruchowo otworzyłem drzwi i wyskoczyłem, padając płasko w wodę. Samolot jeszcze dobrą chwilę utrzymywał wysokość, po czym tuż przed samochodem wzbił się gwałtownie w górę. Zauważyłem w kabinie uśmiechniętą twarz Wołodii. Stałem mokry po kolana w wodzie i cóż miałem robić - też się śmiałem. Nadlecieli ponownie, tylko że znacznie wyżej. Raptem coś się oderwało z samolotu i parę metrów dalej spadło do wody. Podleciałem, patrzę, a to opona. Drugi dowrót samolotu - druga opona i tak dalej. Po czwartym razie posiadałem już wszystkie opony zapomniane przeze mnie w Magadanie.

Obserwowałem jeszcze, jak piloci szukają dogodnego miejsca do lądowania. Niestety, teren był nieodpowiedni, ponieważ akurat znajdowałem się w wąwozie, a piaszczyste szerokie brzegi rzeki nastroszone były dużymi głazami. Wykonali więc jeszcze jeden krąg, pomachali skrzydłami i odlecieli. Jaka szkoda, że nie wylądowali - pomyślałem. Odwiedziny Wiktora i Wołodii miały jeszcze jeden ważny dla mnie aspekt, a mianowicie dały mi poczucie bezpieczeństwa. Pomimo że byłem oddalony setki kilometrów od cywilizowanego świata, ktoś jednak myślał o mnie i wiedział, gdzie przypuszczalnie się znajduję.

XIII

Z przykrością stwierdziłem, że rzeka staje się coraz głębsza i kończy się komfort bezpiecznej, beztroskiej jazdy. Poruszałem się teraz już nie środkiem, lecz po samym brzegu. Niebawem i tam zrobiło się głębiej i jechałem teraz na przemian to kamienistym, to piaszczystym brzegiem.

Pod wieczór dojechałem do wioski Łabaznaja, gdzie miałem „znajomego”, u którego gościłem się z Wołodią i Witią. Bez trudu odnalazłem dom mieszczący się niedaleko lądowiska.

Łabaznaja to jedna z wielu miejscowości, które są przez cały rok odcięte od świata. Praktycznie życie tych ludzi w dużej mierze uzależnione jest od transportu lotniczego. Gospodarz bardzo się ucieszył na mój widok, a ponieważ wiedział wcześniej o moim celu podróży, przygotował dla mnie prowizoryczny schemat dalszej drogi. Porównaliśmy teraz wszystko z mapami lotniczymi i już następnych trzysta kilometrów miałem zaplanowane. Okazało się, że wcześniej przygotowana marszruta musi zostać zmieniona i, niestety, muszę pożegnać się z rzeką. Wersja przedstawiona mi przez gospodarza była bardziej optymalna, poza tym bezsprzecznie znał on teren lepiej ode mnie.

Chciałem jeszcze tego samego wieczoru opuścić wieś, ale żona gospodarza przygotowała już kolację, więc nie wypadało gościny odmawiać. Do przewidzenia było, że uczta przedłuży się do późnych godzin nocnych. Nie wiadomo, kiedy chata zapełniła się jeszcze innymi gośćmi, śpiewano, tańczono i grano na harmoszce.

Nazajutrz jak zwykle po takich „kolacjach” bolała mnie głowa. Dopiero dzisiaj wiem, że Rosję można rozumieć także poprzez śpiew. Kłamią ich nędzne książki i głupie gazety, ale melodie i teksty ich piosenek są prawdziwe.

Jechałem teraz przez rozległe nagie płaskowyże, pokryte gdzieniegdzie siwym mchem. Wszystko wokół podobne do siebie. Właściwie na całym terenie nie było żadnych widocznych punktów rozpoznawczych. Tylko pofalowany krajobraz bez wyróżniających się szczegółów. Życie dzikich zwierząt w tym terenie prawie nie istniało. Nawet ptaki były bardzo rzadko widoczne. Krajobraz księżycowy.

Następnego dnia przejechałem przez jakąś przełęcz i zjechałem w dolinę. Ukazał mi się widok wręcz wiktoriański. Rzeka, pola, trawa, krowy i życie...

Wioska zamieszkała była przez skoónookich, chyba Ewenów. Nie była duża, ale wyglądała na dobrze zagospodarowaną. Zdziwiłem się bardzo, widząc koło domostw warzywne rabaty. Dookoła „księżyc”, a tu raptem ogródki i warzywa. Czyżby istniał tu jakiś mikroklimat? Nie zauważyłem również żadnych urządzeń wydobywczych lub czegoś w tym rodzaju, co mogłoby świadczyć o głównym zajęciu mieszkańców. Wynikało z tego,

że zapomniani przez wszystkich żyli sobie po prostu w „raju”. Oj, chyba nie wiedział o waszym istnieniu towarzysz Stalin...

Moje pojawienie się we wsi wywołało nie lada zamieszanie. Najpierw jak zwykle pojawiły się dzieci, a dopiero później dorośli. Zapytałem o drogę. Tłumaczono mi długo i tak skomplikowanie, że w sumie nic z tych informacji nie wyniosłem. Dowiedziałem się tylko, że gdzieś jest głęboka rzeka i wspomniano coś o jakimś wodospadzie.

Nie zatrzymując się tu dłużej, opuściłem tę zieloną krainę. Szczęśliwi ludzie - pomyślałem. Nie znają żadnych chorób, żyją spokojnie, odmierzają czas położeniem słońca w stosunku do otaczających dolinę gór. Porównując życie innych mieszkańców ego kraju to ci skośnoocy żyli w prawdziwym raju. Później już w Anadyrze dowiedziałem się, że ludzie ci stanowili jakąś formację religijną czy coś w tym rodzaju.

Następnie kilka dni trasa moja wiodła przez niezliczoną ilość wąwozów przełęczy. Nie zawsze podłoże było takie, jakiego bym sobie życzył. Były błota, kamienie i duże stromizny, których nie pokonałbym, gdybym nie posiadał wyciągarki. Niektórych przygód celowo nie opisuję ze względu na powtarzanie się sytuacji, które zdarzyły się już poprzednio. Nie decyduję się tutaj na opisywanie tego, ponieważ książka powiększyłaby się o ileś tam stron, a czytelnikowi i tak by nic nowego nie wniosła. Mijały kolejne dni. Dzięki Opatrzności Bożej oraz mapom lotniczym otarłem do miejscowości Wakarewo.

Wieś ta położona jest na wielkiej równinie okolonej najprawdziwszym lasem. Zdążyłem już tak przywyknąć do skarłałych drzew lasotundry, że widok wysokich drzew zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Ale nie tylko ten widok przykuł moją wagę. Po raz pierwszy od momentu, kiedy znajdowałem się nad Bajkałem, patrzyłem a poletka uprawne i warzywne rabaty. Poczułem się jak bym był w Europie, a nie a Dalekim Wschodzie.

Wieś zamieszkiwali Czukcze i Rosjanie. W pasiołku dowiedziałem się o przeprawie promowej na rzece Belaja oraz o czymś, co przyprawiło mnie o ścisk serca, mianowicie, że do Anadyru prowadzi już droga!!! Wytłumaczono mi, że nie jest drogą w dosłownym tego znaczeniu, ale jeżdżą po niej traktory... Skoro traktory, to i ja przejadę - sam sobie odpowiedziałem.

Droga do Anadyru wiodła przez gołą, niekończącą się równinę. Szlak był błotnisty, pełny głębokich kolein, ale „zmęczony” land - rover wykrzesał z siebie jeszcze tyle sił, aby w dwa dni później stanąć we wsi Wielikaja nad Zatoką Anadyrską.

Do Ameryki pozostało już tylko siedemset kilometrów!!! Było popołudnie i od miejscowych dowiedziałem się, że jutro o dziesiątej rano do Anadyru popłynie prom.

Wyjechałem więc parę kilometrów za wioskę i nad zalewem rozbiłem obóz. W pośpiechu przygotowałem posiłek, dbając, aby był jak najbardziej urozmaicony i smaczny, Staralem się, jak mogłem, aby ten wieczór był uroczysty, ponieważ dotarcie do Anadyru uważałem za wielki osobisty sukces. Po kolacji otworzyłem atlas szkolny. Długo przypatrywałem się całej przejechanej trasie. Przypominałem sobie zdarzenia i przygody i wydawało mi się tego dnia, że wszystko było to dawno temu...

Wielka płaskodenna barka spełniająca rolę promu odpłynęła z godzinnym opóźnieniem. Na pokładzie znajdowały się różne pojazdy: ciężarówki, motocykle i traktory. Land - rover oczywiście cieszył się największym „uznaniem”, ludzie z zaciekawieniem oglądali go, ale nie bardzo rozumieli, skąd przybyłem, wiedzieli tylko, że udają się na Alaskę i nikogo specjalnie aż tak bardzo ten fakt nie dziwił...

Po parogodzinnym rejsie dopłynęliśmy do prowizorycznej przystani w pobliżu Anadyru. Do miasta z tego miejsca było jeszcze około dwudziestu kilometrów, ale prowadziła tam już piaszczysta w miarę równa droga.

Wreszcie wjechałem na przedmieścia betonowego miasta. Tutaj zapytałem przechodniów i dowiedziałem się, że posiadany przeze mnie adres jest adresem bazy rybackiej. Pół godziny później siedziałem w biurze rybaków, a w ręku trzymałem szklanke napelnioną wódką... Naprzeciw mnie za biurkiem siedział Borys, właściciel bazy rybackiej i, jak się okazało, krewny Nikołaja Iwanowicza z Magadanu.

- Za twoje zwycięstwo - powiedział Borys i wypił do dna, zakąszając czerwonym kawiozem. Borys wyglądał na bandziora, który dopiero całkiem niedawno wszedł na uczciwą drogę... Nie wiem, jakie pokrewieństwo łączyło go z Nikołajem Iwanowiczem, ale musiało ono być odległe. - Tydzień temu telefonował Kola i uprzedził mnie o twoim przyjeździe - powiedział Borys, nalewając wódkę.

- A w ogóle to już dawno o tobie słyzałem - powiedział, robiąc tajemniczą minę.

- KGB działa - żartował. - Masz moją rękę, za to żeś taki, a nie inny - powiedział i podał swoją szeroką jak szpadel dłoń. - Zaraz coś dla ciebie zorganizujemy. Mamy w mieście kilka kwater, więc problemu nie ma, pojedziemy teraz tam, rozlokujesz się i doprowadzisz do porządku. Spotkamy się później u mnie w domu, przyjadę po ciebie wieczorem - dodał.

Uzgodniłem z Borysem, że land - rovera zostawię w bazie, więc zabrałem ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy i razem z właścicielem pojechaliśmy do centrum.

Nie wiem, jakimi kryteriami się kierowano, nadając Anadyrowi prawa miejskie. Spotkałem wiele większych miejscowości nieróżniących się zasadniczo od Anadyru, ale

pozostały one do dzisiaj wioskami. Miasto posiada w większości starą, typową dla dalekiej Syberii zabudowę drewnianą, a nieliczne powstałe tu bloki mieszkalne zeszpeciły do reszty otoczenie. Może pobliskie kopalnie węgla brunatnego, a może port sprawił jednak, że ta dziesięciotysięczna miejscina nazwana została miastem.

Nie zdążyłem się jeszcze dokładnie rozgościć, kiedy znów pojawił się Borys.

- Chodź, jedziemy, czeka cię nie lada niespodzianka - powiada. Pytam, o co chodzi, lecz to niespodzianka i dowiem się w swoim czasie. Zajechaliśmy z powrotem do bazy rybackiej. Borys zaparkował samochód koło biura i polecił, bym udał się za nim.

Zeszliśmy schodkami, które prowadziły do przystani i zatrzymaliśmy się na nabrzeżu. Przy kei stały zacumowane dwa kutry rybackie. Weszliśmy na jeden z nich. Borys posadził mnie w mesie, w której siedzieli skośnoocy rybacy, a sam poszedł do sterówki i słychać było, że rozmawia z kimś przez radio. Wrócił po chwili i mówi, że musimy na „niespodziankę” chwile zaczekać. Później spojrzał groźnie na siedzących Azjatów i zarzucił im, że nie mają za grosz kultury i że jemu wstyd jest za nich...

- Gość z daleka na pokładzie, a oni siedzą jak durnie - kontynuował. Jeden z Czukczów natychmiast zareagował na wymówki szefa, poszedł do sąsiedniej kajuty i przyniósł dwie butelki wódki. - No, teraz lepiej - skwitował Borys. Wypiliśmy po jednym, Borys skinął na mnie i wyszliśmy na nabrzeże. - Twoja niespodzianka już płynie - powiedział, wskazując na zbliżający się duży kuter. Co za niespodzianka? myślałem, ale nic mi do głowy nie przychodziło. Może złapali dla mnie fokę? Dopiero, gdy kuter zaczął cumować, patrzę, a ze sterówki wychodzi uśmiechnięty Pietia.

- Witaj, pan Koperski - wrzeszczy na całe gardło i wyskakuje na nabrzeże. Ściskamy się i całujemy. Wtem spod pokładu wyłania się Sasza, a za nim Kola. Radości co niemiara, ściskamy się wszyscy hałaśliwie, a skośnoocy rybacy ze zdziwieniem przyglądają się całemu zajściu, nie wiedząc, o co chodzi. Udaliśmy się natychmiast na kuter, gdzie za wspólną pomyślność wypiliśmy po szklance...

Pietia nie chciał powiedzieć, jak się tu znalazł, żądając, abym pierwszy opowiedział swoje przygody. Opowiedziałem o Magadanie i dalszej podróży. Pietia słuchał z przejęciem i sam przyznał, że żałuje, że nie był przy tym obecny.

Oto dusza włóczęgi - pomyślałem. Teraz dopiero powiedział, że już w Susumanie siedział, że po odstawieniu samochodów udadzą się do Anadyru. Na pytanie, dlaczego mi wtedy tego nie powiedział, odparł, że dla mojego dobra, ponieważ uważał, że wówczas chciałbym za wszelką cenę dojechać do Anadyru. - A jak ktoś coś chce za wszelką cenę, to nigdy się to nie udaje - skwitował. Dziwny miał sposób rozumowania, jak wynikało z opowiadania, z Susumanu samolotami pocztowymi dostali się najpierw a północ do

Czerski, a później do Anadyru. Teraz pomagają rodzinie w „żniwach” kawiorowych. Okazało się bowiem, że Borys i Pietia są braćmi, a Nikołaj Iwanowicz ich kuzynem. Ten ostatni też wiedział, że Pietia jest w Anadyrze, ale dotrzymał słowa i nawet słówkiem o tym fakcie nie wspomniał. Cholerna mafia kawiorowa... - myślałem.

Wieczorem wszyscy gościliśmy u Borysa w domu. Gospodarze należeli do klasy bardzo zamożnej i, podobnie jak w Magadanie, w czasie kolacji miałem wrażenie, że przejadam co najmniej samochód... Przy stole poruszyłem temat mojej dalszej podróży i jak się zaraz przekonałem, przyjaciele już się w tej sprawie orientowali. Jednogłośnie byli zdania, abym na Alaskę przedostał się z Anadyru. Moje zamiary wyjazdu na Przylądek Dieżniewa uważali za zły pomysł z kilku względów. Nie kwestionowali tego, że tam dojadę, ale tylko sens tej podróży. Po pierwsze, Cieśnina Beringa pokryta była krą i wiadomo, że po lodzie na Alaskę się nie przedostanę. Po drugie - miejscowość Uelen na Przylądku Dieżniewa to nie teren dla cywili... Po trzecie: gdybym zamierzał przepłynąć się z portu w miejscowości Prowidenija, mogę tam czekać w nieskończoność, ponieważ statki z Alaski pojawiają się tam z częstotliwością może... jednego w roku. Po czwarte: niebawem spodziewają się w porcie amerykańskiego statku, który rozwozi ziemniaki wzdłuż wschodniego wybrzeża Rosji. Wyłynął już z Pietropawłowska Kamczackiego i za parę dni spodziewany jest w Anadyrze. Dowiedzieli się już, że stąd płynie prosto do Anchorage.

- Musisz tym statkiem popłynąć, bo inaczej zapuścisz korzenie w Anadyrze - dowodzili swoich racji. Nie byłem jednak przekonany co do ich zdania i powiedziałem, że noszę się z zamiarem wynajęcia na Przylądku Dieżniewa jakiegoś większego kutra rybackiego, który przewiezie mnie na Alaskę.

- Gdyby to było takie proste, to ja bym ciebie przewiózł jeszcze dzisiaj - powiedział Borys. - Każdy statek rosyjski zawijający do portu amerykańskiego wnosi opłatę portową w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów... i do tego musi przejść specjalną kontrolę i kwarantannę. - A skąd załoga weźmie wizy? Niestety, nic nie poradzisz, bo rządzą tym jeszcze stare przepisy, które do dzisiaj utrzymane są w mocy - zakończył Borys.

Były to fakty, o których nie miałem pojęcia, a rzeczywiście komplikowały sprawę. Stało się więc oczywiste, że na Alaskę przedostaję się z Anadyru: padło to wszystko na mnie tak niespodziewanie, że jeszcze przez pierwszą chwilę nie dotarło do mnie, że Anadyr jest już moim ostatnim etapem na terenie Rosji.

Odczułem straszny żal, że skończyło się coś, co sprawiało mi straszną przyjemność. Żal za czymś, co bezpowrotnie zostało utracone... Już nie odzyskałem humoru tego wieczoru. Pietia widząc mnie w tym nastroju, naśmiewał się dobrodusznie ze mnie i proponował, abym po prostu na stałe osiedlił się w Rosji...

Nazajutrz Borys dowiedział się, że statek przy pływa jutro po południu, a postój jego w porcie anadyrskim przewidziany jest na dwadzieścia cztery godziny. Przemyślałem wszystkie za i przeciw i doszedłem do wniosku, że przyjaciele mają rację. Tak więc pojutrze opuszczam terytorium Rosji. Borys zaproponował, abym skorzystał z okazji i popłynął kutrem na Morze Beringa.

- Zobaczysz nasze letnie bazy rybackie, przyjrzyj się odłowom łososa i zobaczysz, jak powstaje kawior.

Nie mając żadnego ciekawszego zajęcia, z chęcią zgodziłem się na tę propozycję. Borys polecił Pietii, aby ten towarzyszył mi w podróży. - Uważaj na niego - powiada Borys - bo jeszcze wyskoczy za burtę i wpław popłynie na Alaskę - zażartował. Wypłynęliśmy niebawem.

Anadyr od strony morza wygląda bardzo malowniczo. Miasto jest jakby wciśnięte pomiędzy okalające je zielone, porośnięte drobną roślinnością góry, które później w miarę oddalania się od portu zniżały się coraz bardziej, przechodząc w końcu w pagórkowatą tundrę.

Popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża, omijając wyrastające z morza potężne skały, gromadnie okupowane przez ptaki. Po jakimś czasie dopłynęliśmy do pierwszej bazy. Wzdłuż wybrzeża, tuż przy samym brzegu, rozstawione były sieci. Rozstawione były bardzo pomysłowo, tworząc coś w rodzaju labiryntu, który swą budową przypominał duży lej. Płynące ławice łososi dostawały się w te kanały sieciowe i płynąc dalej już „kontrolowane”, same dopływały do wielkiego ogrodzonego akwenu, skąd były odławiane wielkimi czerpakami. Osobliwy ten magazyn był cały czas dopełniany przez napływające nowe ławice. Zauważyłem ogromne ilości fok, które również się tam znajdowały. Biedne zwierzęta, pomyślałem, widząc pływające je w sieciowej matni. Dopiero po dłuższej obserwacji stwierdziłem, że foki nie były uwięzione, jak początkowo myślałem, ale zrobiły sobie z sieciowych ogrodzeń doskonałą restaurację. Kiedy tylko miały ochotę, wskakiwały do środka i bez trudu łapały rybę. Następnie kładły się na plecach i obracając sobie zdobycz w małych łapkach pożerały ją, głośno przy tym mlaskając.

Sama baza to kilka składanych drewnianych baraków, tak skonstruowanych, że bez trudu można było je przenosić z miejsca na miejsce. W jednym z nich były rozstawione długie stoły, przy których pracowały kobiety. Wyciągano tutaj z ryb ikrę, którą wrzucano do wielkich wanien. Następnie ikra wędrowała na specjalne sita, gdzie ręcznie delikatnie mieszając nią, pozbawiano ją naturalnego śluzu. Po tym oczyszczającym zabiegu solono ją i wkładano do drewnianych beczek wyłożonych czystą folią. Gdy beczka była pełna, zamykano ją szczelnie i już parę tysięcy dolarów odstawiano na bok. Ludzie pracujący w

bazie mieszkali w prowizorycznie ustawionych szałasach lub namiotach. Ponieważ „żniwa” kawiorowe trwały około dwóch miesięcy, nikt sobie z tych niewygód nie robił specjalnego problemu. Ważne było tylko, aby na czas dojechało zaopatrzenie składające się z chleba, wódki i papierosów. Właśnie przywieźliśmy te dobra i w bazie panował wesoły nastrój. Po rozładunku zaopatrzenia załadowano pełne beczki z kawiozem i popłynęliśmy do następnej bazy. W sezonie odłowym Borys posiadał kilkanaście takich baz i nie sposób było je wszystkie opłynąć jednego dnia. Niektóre były tak oddalone, że trzeba było do nich płynąć dziesięć godzin.

Po południu zakotwiczyliśmy obok jakiejś wyspy skalnej i w celach rekreacyjno - - sportowych zajęliśmy się połowem ryb. Połów nie był skomplikowany i przyniósł dużo zadowolenia, ponieważ na jednym haku znajdowały się przeważnie dwie ryby. Były to drapieżne dorsze. Ta zielona ryba brała na każdą przynętę. Mógł być to kawałek ryby lub sama płetwa. Trzeba było uważać przy odczepianiu jej z haka, ponieważ rzędy ostrych zębów mogły bardzo pokaleczyć palce. Miała bardzo smaczne mięso, które było delikatne i soczyste. Urządziliśmy piknik na pokładzie i bawiliśmy się do samego wieczora. Była już noc, kiedy stanęliśmy na redzie portu. Czekał nas teraz dwugodzinny przymusowy postój spowodowany odpływem. Byłem bardzo zadowolony z wycieczki w morze, ponieważ zobaczyłem piękne niepowtarzalne widoki i bogaty świat roślinny i zwierzęcy występujący w tym zakątku ziemi.

Nazajutrz już rano byłem w bazie. Borys oświadczył, że załatwił zamustrowanie mnie na statek. Jego przyjaciel z kapitanatu portu rozmawiał z kapitanem amerykańskiego statku, który zgodził się zabrać mnie na swój pokład. Amerykański kapitan jednak przed załadunkiem chciał zobaczyć moje dokumenty i wizę... Statek przyplłynął wcześniej i stał już w porcie, więc Borys udał się wraz ze mną do kapitana.

Kapitan był w średnim wieku. Dokładnie sprawdził moje papiery, po czym polecił, aby wpisano mnie jako pasażera. Została ustalona cena za usługę, którą musiałem natychmiast uiścić w kasie okrętowej. Od tego momentu już wiedziałem, że jestem na terytorium, gdzie bogiem jest pieniądz. Ustaliliśmy godzinę załadunku i rosyjskiej odprawy celnej. O godzinie osiemnastej land - rover stał przymocowany na pokładzie. Ciebie już nie ma w Rosji - pomyślałem, patrząc na samochód.

Miałem wisielczy humor. Załatwiając to wszystko, miałem jakieś dziwne uczucie, że skończyła się moja wolność. Czuję się, jak bym wstępował do wojska... Wszystko odbyło się zupełnie inaczej niż myślałem. W moich wizjach miałem opuszczać terytorium Rosji szczęśliwy i z miną zwycięzcy. Było jednak zupełnie odwrotnie. Bardzo trudno było na

początku zaaklimatyzować się w tym kraju, jednak o wiele trudniej było ponownie wrócić do świata bogatej cywilizacji, do świata, gdzie wartość człowieka była szacowana zasobem jego portfela.

Ten ostatni wieczór spędziłem w towarzystwie Pietii i Borysa. Przed północą byłem już w mieszkaniu. Nie mogłem doczekać się porannego brzasku. Dręczyło mnie pragnienie snu, ale ten nie nadchodził i tak się złożyło, że tej nocy w ogóle nie spałem.

Wczesnym rankiem udałem się pieszo do portu. Było chłodno i mglisto, wszystko dookoła wyglądało przygnębiająco.

Żegnaj, gościnnie Rosjo.

Mgła stopniowo zanikała, przebijało się słońce, zamieniając wszystko w złoto. Na nabrzeżu pożegnałem się ze wszystkimi przyjaciółmi. Tym razem nie uśmiechał się nawet Pietia. Ryk syreny oznajmił, że skończyła się moja największa przygoda.

XIV

Łąd oddalał się coraz bardziej. Stałem na rufie i obserwowałem pofałdowany wzniesieniami brzeg, który z każdą minutą stawał się coraz mniej wyraźny, aż wreszcie utworzył nieregularną ciemną linię, rozciągającą się na horyzoncie. Niebawem taczała mnie tylko woda.

Dopiero teraz poczułem, że opuściłem Rosję. Stojąc oparty o ring, wpatrywałem się w kłębiącą się za rufą wodę, lecz co pewien czas wzrok mój automatycznie wędrował w przestrzeń, gdzie do niedawna widoczny był łąd. Popadłem w przyjemne drętwienie i zadumę.

Spokojnie ustalałem w myślach chronologię przeżytych zdarzeń, a moje szare komórki mimowolnie analizowały to wszystko, podając mi gotowy wyraźny obraz wszystkiego, co złożyło się na powstanie osobliwego podsumowania. Czułem się bogatszy o jedno wielkie życiowe doświadczenie. Bogatszy, ponieważ posiadałem coś, posiada wartość niematerialną, czego nie można nabyć za pieniądze. Wiedziałem, że nikt mi tego nie zabierze, że to należy tylko do mnie.

W chwili obecnej opisując moje przygody, staram się zachować styl, formę dialogów i refleksji. Zdaję sobie jednak sprawę, że w pracy mojej jest wiele niedociągnięć, że pomimo szczerych chęci nie uda mi się wiernie wszystkich myśli przelać na papier. Pragnę w tym momencie zaznaczyć, że nie jest to tylko opis ojej radosnej przygody życia, ale przekazanie prawdy, a nie tylko jej części, którą najchętniej pokazują światu reporterzy.

Jak już wspomniałem wiedza o biedzie jest wiedzą jałową. Przygotowując się podróży przez Rosję, z wielkim zapałem czytałem wszystkie dostępne publikacje dotyczące tego kraju, a przede wszystkim Syberii.

Było ich niewiele, ale łączyła je jedna nić - nić sensacji stojącej przed prawdą. Teraz jestem pewien, że wiele tych pozycji było pisanych z za biurka, bez gruntownej znajomości tematu. Ktoś gdzieś przeczytał, obejrzał, rozłożył mapę i dopisał swoje. Jeden z autorów tak się rozpuścił w swojej fantazji, że w książce wcisnął czytelnikom, że zbierając materiał do swojego wydania, poruszał się po komunistycznym ZSRR, omijając oficjalne instytucje państwowe - tak sobie po prostu podróżował po Syberii.*

Dziwnym więc trafem dzisiaj, trzy lata po upadku komunizmu w Rosji, nie jest możliwy wjazd do większej wsi syberyjskiej bez wnikliwej kontroli dokumentów.

**być może* Koperski odnosi się do pisarza brytyjskiego, Colina Thubrona, który we wczesnych latach osiemdziesiątych podróżował prywatnym samochodem po ZSRR i opisał swoje obserwacje w książce „Among the Russians”. Tak, jak jego późniejsza podróż po azjatyckiej części byłego Imperium fakt odbycia pierwszej podróży nie podlega wątpliwości. (książki „Lost Heart of Asia” i „In Siberia”, wydane została jednak już na przełomie tysiąclecia, zatem nie do nich odnosi się Koperski)

Dokumenty należy posiadać patrząc na pociąg, samolot, a nawet tramwaj. Lecz autor opisujący to wielkie mocarstwo jeździł sobie swobodnie po Syberii, od czasu do czasu nawet korzystał z wewnętrznych linii lotniczych... Był po prostu wszędzie, nie przeszkadzał mu nawet status „zamkniętych miast” np. Krasnojarska czy Magadanu.

Jako ciekawostkę dodam, że Magadan został „otwarty” na przełomie 1993/94 roku. Ja nie byłem „wszędzie”. Przebyłem całą Rosję i Syberię, lecz obszar, który widziałem, byłby trudny do zaznaczenia na mapie. Widoczna by była tylko cienka nitka, bo ileż może człowiek zobaczyć, rozglądając się na prawo i lewo. Najważniejsze jednak jest, aby rozglądając się, zobaczyć wszystko, co nas otacza, a nie tylko to, co wydaje się nam sensacją. Wiadomo, że dla przeciętnego człowieka nie będzie sensacją wiadomość, że komuś się dobrze wiedzie i żyje w pełni szczęścia. Sensacją natomiast będzie czyjeś nieszczęście, bieda, nędza. Wtedy siedzący w wygodnych fotelach poczują się lepsi od tych, których dotknęło nieszczęście i na tym to wszystko polega. Nikt tak naprawdę się tym nie wzrusza, nie biegnie, by przelać jakąś kwotę pieniężną na konto utworzone przez jakieś towarzystwo charytatywne, nie obiecuje sobie, że w tym roku zrezygnuje z wakacji na Lazurowym Wybrzeżu, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze przeznaczy dla potrzebujących. Jedno co ewentualnie uczyni w tej sprawie, to odda Czerwonemu Krzyżowi nienoszone koszule, które od lat zalegają w szafie i już ma czystą szafę i czyste sumienie...

Na tym przeważnie kończy się pomoc bogatych okazana biednym. Są od tej reguły na pewno odstępstwa, ale jest ich tyle, że w ogólnej skali ludzkości nie stanowią nawet jednej setnej procent.

Wszyscy jednak bardzo dokładnie wiedzą, że w Rosji panuje bieda i nędza. Ta ostatnia ma jednak różne pojęcia, bo należy zdać sobie sprawę, że nie tęskni się do tego, czego się nie zna. Tak więc w rozumowaniu przeciętnego idioty, chłop syberyjski jest nędzarzem, bo nie posiada pralki automatycznej i kolorowego telewizora... Moim zdaniem nędzarzem jest ten, który urządza się na tym świecie tak, jakby miał żyć wiecznie. Spala całą swoją życiową energię, nie zdając sobie sprawy, że inwestuje w rzeczy martwe, niemające żadnego znaczenia. Większości wartości tego świata nie można kupić za pieniądze. Nie słyszałem, aby ktoś kupił sobie rozum...

Niestety, tych ostatnich, upośledzonych umysłowo jest najwięcej. Tworzą oni specjalny rodzaj „małych” ludzi z dużymi telefonami komórkowymi, wiecznie zaprzątniętych załatwianiem „małych” spraw. Cóż, nie można zmienić kodu genetycznego...

Bogactwo jest pojęciem bardziej niż względnym. Niektórzy mają wszystko, ale

ogólnie wszyscy nie mają nic. Nic nie przynieśliśmy na ten świat i nic z niego nie zabierzemy. Więc nie podniecajmy się sensacyjną wiadomością, że syberyjski chłop nie ma pralki automatycznej, bo jest ona jemu tak niezbędna jak nam rakietę latającą na Księżyc... Ogólnie jest przyjęte, że ludzie żyjący na Syberii są nieszczęśliwi - kompletna bzdura.

W czasie mojej podróży przez Rosję nie spotkałem się nigdy z narzekaniem ludzkim, biadoleniem o biedzie. Obrazki takie oglądałem tylko w reportażach telewizyjnych nakręconych przez zachodnie wytwórnie. Autorzy tych publikacji, niestety, nie wiedzą o Rosji i Rosjanach.

Świat ich po prostu nie zna. Pisząc to, nie chcę dowodzić, że Rosjanie żyli i żyją w szczęściu - nie chodzi o to. Znamy historię i wiemy, że żaden naród na świecie nie przeżył tyle upokorzenia co naród rosyjski. Pisząc to, staram się oddzielić politykę od normalnych ludzi, a przede wszystkim od ich serc. Rosję zamieszkuje około dziewięćdziesięciu dużych i małych narodowości, które łączą wspólne losy historyczne. Losy te sprawiły, że Rosjanie stali się narodem twardym, a niedola i niedostatek uczyniły ludzi wrażliwymi na wszelkie nieszczęście. Pokrzywdzeni i głodujący tułacze wszędzie spotykają się z uprzejmością i pomocą.

Tylko afiszowane bogactwo wzbudza nieufność tubylców. Podczas mojego pobytu na gościnnej ziemi rosyjskiej wielokrotnie byłem świadkiem sytuacji, w których ludzie bezinteresownie pomagali drugim, a zapytani o to odpowiadali: „Dzisiaj on jest w biedzie - jutro mogą być ja”. Jest to pewien paradoks, ponieważ ludzie ci w niedawnej przeszłości byli podejrzliwi i bali się siebie wzajemnie.

Komunistyczna doktryna sprawiła, że człowiek nie ufał drugiemu człowiekowi, szerzyło się donosicielstwo, a za najmniejszy przejaw niezadowolenia dostawało się długoletnie wyroki. Jednak nic nie jest w stanie zmienić tych ludzi. W tej bitwie wygrało człowieczeństwo i jego forma, jaką ludzie krajów wysoko rozwiniętych zatracili. Nie można więc być jednostronnym, bo jednostronność jest cechą ludzi niedojrzałych. Trzeba poznać Rosję osobiście, a dopiero wówczas wypowiadać się na temat tego narodu. Ostatnie miesiące sprawiły, że stałem się bardzo samodzielny. Rozwinąłem większą pomysłowość. Wszystko to sprawiło, że już z niecierpliwością czekałem na kolejne przygody, które miały mnie tym razem spotkać na ziemi amerykańskiej. Odczuwałem wielką ciekawość świata, chciałem go w całości zobaczyć.

Powietrze stało się łagodniejsze. Słońce świeciło wysoko na niebie, opadła unosząca się mgiełka. Statek swym potężnym dziobem rozdzierał zimną wodę Morza Beringa, morza, które w obecnej strukturze geopolitycznej odgrywa szczególną rolę. A wszystko

zaczęło się od tak: Około roku 1730 duński żeglarz będący w służbie Rosji, Vitus Bering, opływając północno - wschodnie wybrzeże Azji, odkrył nieznane dotąd brzegi. Odkrycia swego dokonał w pobliżu cieśniny, którą później, wraz z przyległym akwenem morskim, nazwano jego nazwiskiem. Dopiero jedenaście lat później rosyjska ekspedycja kierując się wskazówkami Beringa dotarła do „nieznanej ziemi” i nazwała ją Alaską. Nowo odkryte terytorium przyłączono oficjalnie do Rosji. Vitus Bering dokonując swego odkrycia, nie przypuszczał, że parę stuleci później terytorium to zwane będzie Ameryką, a osiemdziesięciokilometrowa cieśnina nosząca jego nazwisko stanie się oficjalnie granicą czasu i daty, a nieoficjalnie granicą dwóch światów.

Mój powrót do „cywilizacji” odbył się bezboleśnie, nie nastąpiło wielkie zderzenie światów, było po prostu trochę inaczej.

Alaskę znałem tylko z literatury, gdzie przedstawiano ją jako surową, dziką i niedostępną krainę. Nie wątpię w to, że jest to uroczy zakątek ziemi, ale dla mnie ta dzikość była inna, całkowicie już unowocześniona. Znajdowały się tu regularne bezpieczne drogi i szlaki, były stacje benzynowe, motele i pełne towarów sklepy. Co prawda nie wszystkie drogi były asfaltowe, ale jeśli już były, to były ładnie utrzymane, a gdzieś tam na bezludziu można nawet było spotkać budkę telefoniczną. Krajobrazy były podobne do syberyjskich i gdyby nie widoczne na każdym kroku zagospodarowanie terenu, można by sądzić, że znajdują się jeszcze na Syberii.

W przeszłości kontynenty te stanowiły jedną całość, lecz na przestrzeni milionów lat ruchy tektoniczne podzieliły na dwie części prastary kontynent. Podzieliły jednak tylko ziemie, bo ludzie pozostali ci sami. Przykładem niech będą Eskimosi, którzy zamieszkują po obydwu stronach Cieśniny Beringa. Denowie i Atabaskowie na pewno mają tego samego protoplastę co Czukeze, Koriacy czy Aleuci.

Nie trzeba być etnografem, by stwierdzić, że narody te nie różnią się urodą. Również niewiele się różni ich standard życia. Poza niewielkimi wynalazkami cywilizacji tak samo żyją, polują i pielęgnują te same tradycje. Na Alasce do dzisiaj można spotkać ślady dawnych gospodarzy. Zachowało się jeszcze dużo starych domów i cerkwi. Aż dziw bierze, jak daleko zawędrowała ta stara kultura. Tu należy również wspomnieć o Rosjanach w przeszłości zamieszkujących te tereny. Kiedy w roku 1867 car sprzedał Alaskę Stanom Zjednoczonym, ukazał się obopólnie podpisany dekret gwarantujący zamieszkującym Alaskę Rosjanom obywatelstwo amerykańskie. Jednak patriotyzm był silniejszy od materialnych korzyści i większość Rosjan powróciła na kontynent azjatycki. Władca rosyjski okazał wielką nieroztropność, sprzedając tak bogatą, ziemię, ale prawda jest taka, że Rosja nie byłaby dzisiaj bogatsza, posiadając w swoich granicach Alaskę... W

1959 roku kraina ta została oficjalnym stanem USA i w chwili obecnej jest jednym z najpiękniejszych i najbogatszych stanów Ameryki Północnej.

Podobnie rzecz miała się z Kalifornią. Mało kto dzisiaj wie, że za czasów Katarzyny I Kalifornia była gubernią Rosji, w której władzę sprawował graf Riazanow. Tak jak Alaskę sprzedano, tak Kalifornię oddano za darmo! Gdyż była za daleko i było tam za gorąco... Rosja po prostu się jej zrzekła.

Alaska jest jeszcze dzisiaj dziką krainą, ale dla mnie nie była ona już tym co Syberia. Skończyły się niewiadome, skończyły się pełne uroku ogniska, na każdym kroku nakazy i zakazy. Nie pozostało nic innego, jak nocować w motelach i przemieszczać się drogami tego wielkiego parku narodowego. Jechałem teraz Alaską Highway, pierwszą drogą łączącą USA z nową „gubernią”. Raz ubity żwir, raz asfalt, dookoła malownicze tereny. Gdybym nie widział Syberii, zachwyciłbym się bardzo otaczającym mnie krajobrazem, ale dla mnie ziemia ta nie miała już duszy. Coś mnie zablokowało i nie przełamałem już tej bariery do końca podróży.

W dwa dni później nocowałem już w motelu „Dawson Creek” w Kanadzie, a następnego dnia przejechałem całą Kolumbię Brytyjską i znalazłem się w Seattle.

Właśnie tu, w stolicy stanu Waszyngton, na dziesięć dni utknęła moja eskapada. Z bardzo prostego powodu - z braku pieniędzy. Zabrakło na benzynę, na jedzenie i opłaty za przejazd przez liczne parki narodowe. Więc nie rosyjska mafia, nie bezdroża i bagna zatrzymały wyprawę, ale brak drobnych w sumie pieniędzy. Mieli być sponsorzy, ale ich nie było, miał powstać film, ale też nic z tego nie wyszło.

Tak czasami bywa, że nie zawsze wszystko się udaje. Tymczasem byłem strasznie głodny w miejscu, gdzie jedzenia było w bród, a jedyną przeszkodą w jego zdobyciu był chwilowy brak „zielonego papierka”. Mieszkałem w podrzędnym hotelu „Moore” a zwyczajną krechę, a rodzina szukała paru dolarów, bym mógł dojechać do celu.

Prawie dziesięć dni chodziłem głodny po mieście, a ślina mi obficie ciekła na widok wystaw sklepowych pełnych łakoci.

Nigdy nie przypuszczałem, że na terenie bogatej Ameryki będę chodził głodny. Nie miałem nawet centa.

Pewnego wieczoru byłem już tak głodny, że postanowiłem udać się na polowanie, przed łowami ukradłem solniczkę z pewnej chińskiej knajpy, uzbroiłem się w nóż wyruszyłem na poszukiwanie zdobyczy. W okolicach hali targowej złapałem gołębia, z którym udałem się w ustronne miejsce, gdzie pozbawiłem go życia. Następnie nocą, nad morzem rozpałem niewielki ogień i upiekłem zdobycz. Uczta była wyśmienita, żałowałem więc, że nie złapałem ich więcej. Nie muszę chyba wspominać, co by się mną

stało, gdyby fakt pozbawienia życia gołębia wyszedł na jaw... Następnego dnia wałęsając się głodny po mieście, zauważyłem mały bar, gdzie sprzedawano tylko różnego rodzaju kanapki. Było późne popołudnie, a od przelożonych grubo bekonem półek ugiwały się półki.

Wnioskowałem więc, że wszystkiego nie sprzedadzą, a resztę po zamknięciu kału wyrzucą do wielkich kontenerów stojących na zapleczu. Musiałem jednak czekać aż do godziny dwudziestej drugiej, gdyż dopiero o tym czasie zamykano barek.

Cierpliwość została wynagrodzona. Miałem jedzenie na następne dwa dni. Wreszcie doszły zdobyte przez rodzinę pieniądze i mogłem opuścić Seattle.

Do Nowego Jorku najkrótszą drogą było niespełna pięć tysięcy kilometrów, które mógłbym przebyć swobodnie w ciągu czterech dni, ale nie chciałem przemieszczać tylko autostradami, bo cóż można ciekawego zobaczyć, jadąc autostradą.

Chciałem zobaczyć jak w rzeczywistości wygląda południe tego kraju, znane mi dotychczas tylko z westernów, więc postanowiłem jechać do celu okrężną, ale za to ciekawszą drogą. Autostradą przebyłem tylko odcinek do Portland, skąd pojechałem nad Pacyfik i dalej wzdłuż jego wybrzeża podróżowałem w kierunku południa. W Oregonie zjechałem z głównej drogi i dalej przemieszczałem się podrzędnyimi drogami. Mijałem biedne wsie i osiedla ludzkie zapomniane wśród wypalonych słońcem zboczy i wręcz z radością stwierdziłem, że niewiele się różnią od tych widzianych na Syberii. Więc wszędzie na każdym skrawku naszego globu to rodzaj walki z życiem - pomyślałem.

Szerokim hakiem objechałem San Francisco, zwiedziłem Park Narodowy Yosemite", w którym nie było nic godnego uwagi i drogą numer 395 udałem się do osławionej Doliny Śmierci. Ponieważ była już trzecia dekada sierpnia, upał panował tu straszliwy. Nawet nocą nie było czym oddychać i gdyby w motelu nie było klimatyzacji, naprawdę poniósłbym śmierć w tej dolinie. Później jechałem drogą wiodącą przez prerię, a towarzyszący podróży skwar słoneczny obrzydził mi do końca poznanie tego zakątka ziemi. Szybko zrozumiałem, że sierpień nie jest odpowiednim miesiącem na zwiedzanie tego regionu kraju, więc postanowiłem odwiedzić jeszcze Wielki Kanion, a później udać się na północ i bezpośrednio do Nowego Jorku. Jadąc w kierunku Wielkiego Kanionu, często przejeżdżałem przez rezerwaty indiańskie, liczne na tym terenie.

Indianie byli wyraźnie znudzeni odwiedzającymi ich turystami, siedzieli w cieniu domów, a w przerwach między jednym a drugim łykiem gorzały starali się sprzedać przejeżdżającemu jakąś szmirowatą pamiątkę. Za parę dolarów skłonni byli założyć na głowę pomalowane gęsie pióra i pozować do zdjęć. Był to widok bardzo żałosny.

Bocznymi drogami przedostałem się do autostrady numer siedemdziesiąt i udałem

się w kierunku Denver. Do Nowego Jorku pozostało niecałe dwa tysiące kilometrów. Nic mnie już tu nie ciekawiło, więc w dwa dni później wjechałem na ulice Nowego Jorku.

Nie czekały na mnie kamery telewizyjne, gdyż nie odnosi się sukcesów bez odpowiednich znajomości... Zatrzymałem samochód przy jakiejś alei i poczułem się bardzo samotnie... Byłem sam w tym wielkim mieście.

Na szczęście miałem adres kolegi, który wyemigrował z Polski przed dwudziestoma laty. W młodzięcym wieku byliśmy dobrymi przyjaciółmi, razem rozpoczynaliśmy nasze „kariery” muzyczne. Nie wiedziałem, czy adres jest aktualny, poza tym miałem dużo obaw, podnosząc słuchawkę telefoniczną, wiadomo przecież, że ludzie się zmieniają. Lecz nie Jasiu Kopij! Tacy faceci jak on nigdy się nie zmieniają. Powiedziałem, gdzie jestem i po godzinie ściskaliśmy się wzajemnie na tłocznych ulicach Nowego Jorku...

Nie mogę napisać wiele o Stanach Zjednoczonych, gdyż niewiele widziałem, ale wiem, że nie ma takiej Ameryki, jaką oglądałem w telewizji. Ludzie bez przerwy udają kogoś, kim nie są. Siłą się na oryginalność. Nie wszędzie jest tak bogato, jak świat sobie wyobraża, a piękne na kolorowych ekranach wiejskie domki są z tektury... Nie dziwny się więc, że gdy zawieje wiaterek nad Florydą, zniszczenia wyglądają tragicznie. Tylko wielkie miasta są „zwariowane” i pełne przepychu. Można się temu wariactwu przyjrzeć, nie zawsze wiedząc, o co chodzi.

Jest dla mnie niezrozumiałe, dlaczego ten kraj dla większości świata stał się symbolem. Czego? Magii plastikowej karty? Teatralnej uprzejmości? Sztucznej wolności? Świat nie zdaje sobie sprawy, jak biedni są ludzie jeżdżący wielkimi cadillacami, mieszkający wśród kolorowych neonów. W telewizji trudno jest to zobaczyć. Ale wystarczy z bliska popatrzeć na ich twarze... - wyrażają, niestety, tępotę.

Nic więcej nie mogę powiedzieć na temat Ameryki, bo cóż można jeszcze powiedzieć o kulturze, w której jakiś umiśniony aktor podobny do małpy czy sportowiec jest idolem narodu. Nie jest dobrze z żadną nacją, gdzie modelka zarabia więcej od lekarza lub profesora.

Korzystając z uprzejmości oraz karty kredytowej kolegi, rezerwuję przelot przez Atlantyk. Z bólem serca rozstaję się z samochodem. Niestety, nie mam pieniędzy, aby zabrać ze sobą do Europy.

W pierwszych dniach września ląduję na lotnisku w Warszawie. Wita mnie tylko najbliższa rodzina.

I pomyśleć, że wrócono mi, że nie dojadę nawet do Moskwy...